



Nazwa instytucji

Książnica Cieszyńska

Tytuł jednostki/Tytuł publikacji

Wesołe Poselstwo dla Dzietek.

Liczba stron oryginału

190

Liczba plików skanów

190

Liczba plików publikacji

193

Sygnatura/numer zespołu

CZ II 00789

Data wydania oryginału

1898

Projekt/Sponsor digitalizacji

Dofinansowano ze środków PW Kultura+



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.



NARODOWY
INSTYTUT
AUDIOWIZUALNY

KULTURA+

01 001
Digitalizacja



02-783/1896

CZ 3061

70

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Nr. 1.

Zamek z płasku.

K 304/02
6.00 (m 1-6)

Zamek z piasku.

Wielka to była rozkosz dla małego Karola i siostry jego, gdy zaraz w pierwszy dzień swój wycieczki podczas wakacyj szkolnych znaleźli się nad brzegiem morza. Z dziecinną radością zaczęli od razu bawić się w piasku i budować sobie z niego zamek. Dla nadania mu trwałości otoczyli fundament skorupami ślimaków a wierzchołek przyozdobili chorągiewką.

Ukończywszy pracę swoją zostali odwołani do obiadu. Gdy po południu znowu na miejsce swój zabawki wybiegli, szukają zamku, ale nadaremno, — bo go już nie było. Woda go tymczasem spłókała i nie pozostawiła z niego ni śladu.

Karol bardzo się nad tém zasmucił, bo to po raz pierwszy doznał zawodu względem swojej pracy, na którą przedtém z dumą spoglądał. Lecz później często jeszcze musiał się przekonać, jak mało to człowiek na świecie może ufać we własnych swych czynach, w ludziach i w różnych naszych okolicznościach. Niechajby tedy przez łaskę Bożą stał się podobnym owemu „mądrymu mężowi, który zbudował dom swój na opoce; i spadł gwałtowny deszcz i przyszła powódź, i wiatry wiały a uderzyły na on dom, ale nie upadł, bo był założony na opoce“.

O zbawieniu.

Cóż to jest zbawienie? Jest to uwolnienie, wyrwanie i wyratowanie z niebezpieczeństwa.

We młynie leżącym nad brzegiem rzeki bawił pewnego dnia chłopczyk i wykonywał na górnym piętrze swą pracę. W tém usłyszał, jako prawie pod

nim niecoś upadło do wody i pobiegłszy niebawem do okna spostrzegł postać dziecięcia, które się już topiło. Cóż tu zrobić? Chłopczyk natychmiast biegnie po schodach na dół, zrzuca z siebie odzienie i skacze za dziećciem do wody. Już go nie widać a woda po nad nim płynie spokojnie jak przedtém. Czy zginęli oboje?

W kilka minut porusza się powierzchnia wody, a nuż pojawia się głowa chłopczyka. Lecz nie sam jeden wraca, coś ciężkiego trzyma on mocno na ręku i podnosi do góry. Cóż to jest? Jest to dziecie zemdlałe. Z wyteżeniem wszelkich sił płynie chłopiec do brzegu, wspina się zręcznie wzgórze i nuż ocaleni oboje!

To jest wybawienie — wyratowanie od śmierci wśród topieli; a ten szlachetny i odważny chłopczyzna, który dla ocalenia dziecięcia swoje własne życie naraził na niebezpieczeństwo, ten jest „wybawcą“.

Jest noc. Na ulicach największego miasta w świecie, Londynu, ustało życie, ludzie udali się do spoczynku, wszędzie panuje cisza a całe miasto we śnie pogrążone. Cisza i ciemność sprawiają uroczyste wrażenie. Lecz słuchajno! cóż to znaczy? Głos jakiś przeraźliwy nagle przerywa ciszę nocną! „Pali się,“ „pali się“. Hałas coraz większy się zbliża a z nim tłumy ludzi na ulicach.

I my udajemy się na miejsce pożaru.

Już dym bucha oknami, iskry lecą wzgórze a tu i ówdzie już widać płomienie. Zebrały się tłumy ludzi, otaczają dom, ale niestety jakże mają pomagać? Największa troskliwość objawia się zewsząd dla mieszkańców domu, którzy jeszcze spokojnie spią i nie mają pojęcia o niebezpieczeństwie, aczkolwiek pożar z niewymowną szybkością już ich otacza. Nikt też nie odważa się wejść i obudzić

spiących a choć wszyscy ich żałują, nikt dopomóż nie może.

W tém słyszeć turkot powozu. Ten coraz bardziej się zbliża i we chwili się pojawia powóz straży pożarnej. Radość maluje się na każdej twarzy a serca na nowo oddychają nadzieją. W okamgnieniu stoi przyrząd do ratowania, a po drabinie biegnie strażak w górę, wyrwa okno i wchodzi do pokoju na wyższym piętrze. Mieszkańcy domu powoli uchodzą. Oczy wszystkich spoglądają na okno otwarte i czekają, azali mąż ten odważny powróci jeszcze? Albo może już nie żyje, może się udusił, może spalił, może też pod belkami leżącymi już pogrzebany jest! Chwile wydają się godzinami, aż nareście błysnie szyszak strażaka w oknie. Powraca on szczęśliwie i na rękę niesie coś ciężkiego. Był to chłopiec mały, którego strażak wyrwał i uniosł z łóżeczka. Nowy okrzyk radości wita go zewsząd, a gdy dziecina przyrządem do spuszczenia osób dostała się nadół, biorą ją ludzie i tulą do łona, bo dzięki Bogu, bez uszkodzenia została ocaloną.

To jest wybawienie — wyratowanie od śmierci wśród płomieni a ów silny i odważny strażak jest „wybawcą“.

Dziecię kochane! zbawienie, o którym czytasz w biblji i śpiewasz w tylu pięknych i nabożnych pieśniach, ono też jest wyratowaniem, wybawieniem od śmierci. Umrzeć wprawdzie musimy wszyscy, i dobrzy i źli; ale zbawienie jest wyratowaniem od innej śmierci, która jest tysiąc razy gorszą niż zginienie w topieli lub uduszenie się w płomieniach; jest ono wyratowaniem od upadku do jeziora ognistego gorejącego siarką, jest ocaleeniem od ognia piekielnego.

Życie owęj dziewczynki zostało ocalone, ale na krótko tylko. Po upływie

sześciu miesięcy zachorowała na gorączkę i umarła. Chłopak zaś ocalony przez strażaka wyrosł na męża a dopiero we wieku sędziwym, licząc lat koło 70, umarł także. Widzimy ztąd, jako człowiek tylko na czas krótki od śmierci ocalić się może. Inaczej to czyni Pan Jezus, on na wieki wybawia; a kogo wybawi, ten nigdy nie skosztuje owęj drugiej strasznej śmierci, o której czytamy w biblji. Zbawienie swoje wykonywa on zawždy, i w téj chwili. Ktokolwiek, czy młody czy stary, uczuje ból w duszy nad grzechami swemi i pozna zupełne swe zepsucie, które go czyni niezdolnym do szukania tego, co jest dobre, i niegodnym, aby z aniołami św. mieszkać miał; ktokolwiek uzna, iż przez własną siłę ani grzechów swych zgładzić ani siebie odnowić nie może, a dla tego Bogu grzechy wyznawa i łaski jego błaga; ktokolwiek wzdycha z celnikiem: „Boże, bądź miłosiw mnie nędznemu grzesznikowi,“ i wierzy, że Pan Jezus prawdziwie na jego miejscu i dlań na krzyżu umarł, aby go wybawił, — temu Bóg daruje zbawienie, napelni serce jego pokojem i radością i daje mu świadectwo, że zbawionym, czyli wyratowanym jest.

Bracie młody, ty, który te słowa czytasz, czy jesteś wybawiony, czy jesteś wyratowany? Jeżeli nie, tedy zastanów się nad niebezpieczeństwem położenia swego!

Synaczek ów w domu się palącym ni chwili nie był bezpiecznym, — czyż mógł przeto być szczęśliwym? Wprawdzie spał sobie i może miał sny błogie — ale jakież było przebudzenie na rękę strażaka, gdy cały dom ujrzał w płomieniach! Ucieczka była jedyną myślą jego, dla tego z taką ufnością tuli się do nieznanomego wybawcy. Tak też wie-

dzie się tym, którzy w Jezusie nie poznali jeszcze zbawcy swego; są jakoby w domu gorejącym. Ciało nasze jest słabe i każdej chwili śmierć nas zaskoczyć może. Czyż przylotem można być wesołym i zażywać rozkoszy? Można, a zwłaszcza póki szatan trzyma człowieka we śnie omamienia i nie pozwoli mu poznać, w jak wielkiem jest niebezpieczeństwie. Ale skoro człowiek przejrzy na oczy, tedyć pozna z przerażeniem, że droga jego wiedzie do piekła, i zapragnie ratunku. Jakóż go dostąpić? Porucz się zupełnie Panu Jezusowi, on cię wybawi.

Synacek uwierzył strażakowi, że grozi niebezpieczeństwo i że on go wyratować może. Ale jakże, gdyby był powiedział: „Pocóż uciekać? jeszcze się nie pali a w łóżeczku spię sobie spokojnie; do ucieczki jeszcze czas!” Wtedy byłby zginął w płomieniach. Tenże sam los by go był spotkał, gdyby był powiedział: „Widzę ci, że źle, lecz za twą pomoc dziękuję, już ja sobie sam pomogę”. Powiecie, iż nikt nie byłby tak głupim; a jednak nie mało jest dziewcząt i chłopców, którzy nie mniej głupimi i bezbożnymi są.

Mówi się im o niebezpieczeństwie, opowiada o Jezusie, który na nich czeka i ratować zawsze gotów, a jednak się jemu nie poruczają ani wybawić się dają. Cóż o nich myśleć? Jedno tyle, że zbawicielowi albo nie wierzą, albo się poddać nie chcą.

Hill.

Czy jesteś za młody, byś Pana Jezusa miłować mógł.

„Dla czegoż płaczesz?” zapytała pewna uprzejma pani dziewczynkę, którą spotkała rzewnie płaczącą. „Pragnę-

łabym Pana Jezusa miłować,” odpowiada dziewczynka, „lecz nie wiem, jak to mam zrobić, bo mi ludzie mówią, że do tego jeszcze za młoda”.

Nad przyczyną takiego żalu ucieszyła się pani, wiedziała bowiem, że kto Pana Jezusa miłować pragnie, już go w skutku miłuje, inaczejby nie czuł takiej potrzeby. Wy tłumaczyła to więc dziewczynce i dodała, jako i Pan Jezus umiłował ją tak, iż za nią umarł. Onci to jest przyjacielem dzieciaków nawet i najmniejszych. Kiedy jeszcze był na świecie, brał je na ramiona swoje, kładł na nie ręce i błogosławił im; a teraz choć w niebiesiech jest na tronie chwały swojej, i siedzi na prawicy Bożej, jednak dla dzieciaków zostaje tym samym miłym i łagodnym zbawicielem. „Tedyć i ja nie jestem za młoda, abym go miłowała,” zapytała dziewczynka?

„Nie, moje dziecko,” odpowiada pani, „żadne dziecko nie jest do tego za młode, skoro tylko zdoła pojąć, kim on jest, i co dla nas uczynił. Kto ci to powiedział, ten tak zbłądził, jako uczniowie Jezusowi, którzy dzieciakom bronili przystępu do Pana. Ale im Jezus odpowiedział: „Dopuszczcie dzieciakom przychodzić do mnie i nie zabraniajcie im, albowiem takich jest królestwo niebieskie”.

„Jakże się nad tem cieszę,” odpowiada dziewczynka, „ja bardzo miłuję Pana Jezusa a on mię kiedyś przyjmie do nieba”. Osuszwszy łzy swoje pobiegła do domu i wielką radość sprawiała potem rodzicom dobrem swem i grzecznem zachowaniem się.

Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądają. Mat. V. 8.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa” są prawdziwe.

chłoty



7

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Wdzięczny piesek.

Pewien aptekarz stał wieczorem przed drzwiami swego domu i spostrzegł słabego, kulawego i zgłodniałego pieska, który łapkę podnosząc do góry ledwie snuł się dalej. Aptekarz zlitował się nad biednym zwierzęciem, zwabił je do domu, nakarmił mlekiem a obejrzawszy nogę jego znalazł, że kość złamana; naprawił ją od razu i zaniósłszy pieska do kuchni, zgłotał mu przy piecu legowisko ze słomy. Tam w kącie leżał sobie pacjent a synek aptekarza, wielką litością zdjęty, troskliwie go pielęgnował.

Po jakimś czasie wygoiła się noga zupełnie, piesek zaczął biegać swobodnie i okazywał wielkie przywiązanie i wdzięczność do swego nowego pana. Lecz dnia jednego znikł nagle; widziano go tylko, jak uciekał ulicą nadół. Aptekarz usłyszawszy to, rzekł do siebie: „Zaiste już pies zapomniał, jak wiernie go pielęgnowałem; cóż to za niewdzięczne zwierzątko!”

Następnego poranka usłyszano przed drzwiami domu szczekanie. Pies wyleczony powrócił znowu, lecz nie sam jeden, przyprowadził z sobą innego pieska, który także miał złamaną nogę. Po to tylko był wybiegł, aby dobroczyńcy swemu, który go wyleczył, sprowadzić nowego pacjenta.

Jakąż piękną naukę daje nam chrześcianom to opowiadanie! Jeżeli przyszedłszy do Jezusa i zostaliśmy uzdrowieni na duszach naszych przez tego boskiego lekarza, aż nie mielibyśmy prowadzić do niego także wielu innych?

Powiedz to Jezusowi!

Mały Wilhelm bawił się wczoraj z przyjaciółmi swymi w ogrodzie i zdarzyło mu się wybiec szybko w oknie. Najprzód chciał to przed matką swoją zataić, lecz uczuł się przytęm tak nieszczęśliwym i tak niespokojnym, że ję opowiedział wszystko i wyznał, jak mocno nad tym wypadkiem boleje. Matka przebaczyła mu natychmiast, wyraźnie dla tego, że powiedział prawdę a nie szukał winy swój zataić.

A ty, mój młody przyjacielu, czy ty jesteś spokojnym dla grzechów swoich? Czyś Jezusowi wyznał żale swoje? Albo czy zataiłeś je przed Panem i szukałeś na własną rękę naprawienia samego siebie? Tak go nie osiągniesz; dla tego idź lepiej od razu do Jezusa i błagaj odpuszczenia jego!

A tać jest obietnica jego: „Jeźlibyśmy wyznali grzechy nasze, wierny jest Bóg i sprawiedliwy, aby nam odpuścił grzechy“. — (1. Jan. 1. 9.)

Wierny jest! albowiem słowa niechybnie dotrzyma; boć „Jezus Chrystus wczoraj i dziś, tenże i na wieki“. (Żyd. 13. 8.)

Sprawiedliwy jest! albowiem umarł na krzyżu i zapłacił Bogu długi wielkie za grzechy, które ty popełniłeś. „Który grzechy nasze na ciebie swoim zaniósł na drzewo“. (1. Piotr. 2. 24.)

Widzisz ztąd, że Jezus ci odpuścić może i chce. A jeżeli do niego się udajesz, tedy nie tylko błagaj odpuszczenia, lecz także wierz, że ci go daruje.

Wiem, że niejedno z was, miłe dziatki, prosi Jezusa o odpuszczenie, ale nie wiem, czy też wierzycie, że on w tej samej chwili i na tém miejscu wam odpuszcza, gdzieście go z całego serca o to prosili.

Pewna dziewczynka rzekła mi raz jednego w szkole niedzielnej: „Ach tak jestem nieszczęśliwą dla grzechów moich!“ „A czyż ich nie wyznała Jezusowi?“ zapytałem się ję. — „Wyznałam“, odrzekła, „lecz nie znalazłam pokoru“. — „A czyż wierzyła, wyznawszy je, że Jezus ci odpuści?“ — „Nie!“ — „Ach wtenczas, moje dziecko“, odrzekłem, „wtenczas opuściłaś, co jest najgłówniejsze!“

„A czy już to wszystko, że wyznawszy Jezusowi grzechy swoje, wierzyć mam, iż on mi odpuści?“ — „Tak jest, wszystko“, odpowiedziałem. Potém powiedzieliśmy to Panu Jezusowi pospołu, a dziewczynka poszła uszczęśliwiona do domu, ponieważ uwierzyła, że ję Jezus odpuścił.

Pewna młoda przyjaciółka pisze do mnie: „Ukląkwszy na kolana wyznałam Jezusowi winy moje, prosiłam odpuszczenia a on mię wysłuchał“.

„Wierzę“, odpowiesz młody przyjacielu, „aleć i ja to uczyniłem, a jednak nie czuję się szczęśliwym!“

Czyś też ty grzechy swoje pozostawił u Jezusa? Może nieraz upadłszy na kolana modliłeś się: „Ach Panie Jezu, wielkim jestem grzesznikiem, ale ty mi racz odpuścić, oczyść duszę moją krwią twoją drogą i zgładź wszystkie nieprawości moje“. Aleś grzechów swoich jednak nie złożył u Jezusa, by on je mógł zgładzić! Onci obiecuje, że wrzuci w głębokosie morską wszystkie grzechy nasze“ (Mich. 7. 19.); ale ty je musisz najprzód złożyć ze siebie u niego, musisz je puścić od siebie, aby Jezus, ten baranek Boży, je przyjął na siebie.

Jeśli to uczynisz, tedy ci obiecuje Pan: „Grzechów ich i nieprawości ich nie wspomnę więcej.“ (Żyd. 10. 17.)

Jordan.

Czerwona ręka.

Ja, ja gładzę przestępstwo twoje. — (Izaj. 43, 25.)

Był niegdyś głuchoniemy, imieniem Jan. Acz nigdy nie posłyszał głosu ludzkiego, słyszał jednak głos Chrystusów, znał i pokochał go i szedł za nim.

Razu jednego opowiadał na migi i za pomocą palców nauczycielce swój o cudownym śnie, który mu się śnił. Bóg mu pokazał wielką czarną księgę, w której grzechy jego wszystkie zapisane były; a tych było mnóstwo i wszystkie bardzo czarne! Pokazał mu dalej Bóg piekło otwarte, pełne płomieni, które za grzechy go czekają. W tém nadchodzi Jezus Chrystus, kładzie czerwoną rękę swą, — czerwoną od krwi na krzyżu wylaną — na całą stronicę księgi, a ręka ta droga zmasała wszystkie grzechy Jana. Gdy Bóg księgę podniósł wzgórze, nie

mógł już w niej żadnego grzechu więcej dopatrzeć.

Słowo jego drogie powiada ci: „Ja, ja gładzę przestępstwo twoje“. „Wierysz ty temu?“ „Wierz tylko, a stanie ci się, jakoś uwierzył“. To nie mara, to nie uczucie tylko, to słowo Boże, — a prawdy tej nie w świecie obalić nie może, — że krew Jezusa Chrystusa wylana jest, a że krew ta gładzi przestępstwa nasze, jako o tém świadczy ap. Paweł, mówiąc (Kol. 2. 14.): „Zmasał on cyrograf, który był przeciwno nam“.

A nie mało tu mazać trzeba! — Oprócz grzechów tobie świadomych, dzisiajszych, wczorajszych i z dawnych dni krótkiego żywota twego są takie, których nawet za grzech nieuważałeś, — a one wszystkie zapisane są w księdze P. Boga.

Czy chciałbyś, by na zawsze zmasane były? Czy modlisz się: „Panie, zgładź nieprawości moje?“ Czy chciałbyś mieć pewność, że są zgładzone? Wtenczas dierz się słowa Bożego, i wierz, że prawdą jest, dla ciebie prawdą, co stoi napisano: „Gładzę nieprawości twoje jako obłok, a grzechy twoje jako mgłę; nawróć się do mnie, bom cię odkupił“. Izaj. 44, 22.

Wierzę mocno, mój Jezu, że dla twój zastugi Odpuszczone wierzącym Wszystkie grzechów długi. Wiem że twa sprawiedliwość I moim jest działom, Jak tego przez twą łaskę W mój duszy doznałem. Z niej się cieszyć me serce Nigdy nie przestanie, Czy to w życiu, czy w śmierci, Ona me ufanie.

Havergal.

Bóg miłuje także niegrzeczne dziatki.

„Jakież dziatki miłuje Pan Bóg?“ zapytał się razu jednego nauczyciel dzieci w szkole niedzielnej.

„Dobre dziatki!“ „Dobre dziatki!“ odezwały się rozmaite głosy.

Nauczyciel milczał i dzieci zdumione nie wiedziały, co mają odpowiedzieć.

Nagle rzecze nauczyciel: „Jezus miłuje także niegrzeczne dziatki“.

Nad temi słowy bardzo się dzieci zastanowiły, a pewna dziewczynka zaniepokojona zapytała się, azali też to rzeczywiście prawda. Po oświadczeniu nauczyciela, iż się rzecz prawdziwie tak ma, albowiem stoi napisano, że Bóg umiłował świat a w świecie „niemasz, ktoby czynił dobre, niemasz aż do jednego“ rozpłakała się dziecina i rzekła: „Ach, jakże się cieszę z tego, bo i ja nie jestem dobrem dziecięciem“.

Tak po pierwszy raz zabłysła w sercu dziecięcia jasność ewangelii o łasce Bożej w Chrystusie Jezusie i roztopiła umysł uporny aż do łez i do zupełnego oddania się Panu.

Bóg miłuje wszystkie dziatki, nie za to, że one odporne, lecz dla tego, że on jest dobrym, nie za to, że one grzeczne, lecz dla tego, że on jest miłościwym, albowiem „Bóg jest miłość“. Działki, które Pan Jezus wołał do siebie i błogosławił im, te były niewątpliwie także grzeszne, uporne i nieposłuszne; a jednak nie mówi Pan: „Dopusćcie dobrym działkom przychodzić do mnie“, lecz mówi: „Dopusćcie działkom przychodzić do mnie“.

Gdyby Pan Jezus jeszcze dziś chodził po świecie, kazał ewangelią, nauczał lud i błogosławił działki, jakże byłbyś szczęśliwym, gdyby cię rodzice twoi przynieśli do niego, aby na cię włożył ręce i pobłogosławił ci! Jezus by cię zapewne powitał serdecznie. Lecz choć go tu niema, możesz ty jednak przyjść do niego. On cię widzi i słyszy, on cię miłuje i wie, czego potrzebujesz, a choć jesteś grzesznem i niegrzecznem dziecięciem, jednak cię on kocha i woła do siebie. Ty możesz wołać do Jezusa, a on cię wysłucha, odpuści winy, uzdrowi i wesprze cię zaiste.

Azali nie chciałbyś pójść do Jezusa dziś jeszcze i tak prawie, jakim jesteś?

O miłości braterskiej.

„Uważaj Karolku, stój braciszku, pędzisz ku dziurze w lodzie!“ Tak wołał Henryk na brata zbliżającego się na łyżwach do otworu w lodzie.

Lecz już było za późno; Karolek nie spostrzegł otworu i nim Henryk wyrzekł przestrożę, już Karolek znikł pod lodem.

Henryk bieży za nim; jeszcze, jeszcze go mógł dojrzeć. Prędko się tedy kładzie na lodzie i wyciąga bratu rękę na ratunek. Lecz lód jeszcze cienki nie mógł wytrzymać ciężaru, załamał się i Henryk także upadł do wody. Tu porwał małego brata, podniósł go, jak mógł najwyżej, do góry, aby go inni wyciągnęli, wołał jeszcze: „ratujcie, ratujcie brata mojego“ i znikł na zawsze pod lodem.

Brat starszy położył życie swoje za młodszego. Aż Karol nie będzie z miłością i wdzięcznością chował pamiątki brata swego? Aż nie będzie sobie przypominał wszystkich słów jego, i usiłował się czynić wszystko, co mu było sprawiało radość.

Toż samo uczynił dla was Pan Jezus. Onci waszym starszym bratem, on za was życie swoje położył. On umarł, abyście wy, działki, żyły. „Większej miłości nad tę żaden nie ma, jedno gdyby kto duszę swoją położył za przyjaciół swoje“. Jan 15. 13. Drogi zbawiciel nasz położył duszę swoją za nas, kiedyśmy my go jeszcze nie miłowali. Pismo św. mówi: „Zaleca Bóg miłość swoją ku nam, że gdyśmy jeszcze byli grzesznymi, Chrystus za nas umarł“. Rzym. 5, 8.

Moji młodzi przyjaciele, czy wierzycie wy w tę miłość Jezusową ku wam? Czy waszem postępowaniem usiłujecie się dowieść, że P. Jezusa uczynkiem i prawdą miłujecie? W tym razie jesteście żołnierzami wojska jego, uczniami i naśladowcami jego prawdziwymi. Niedługo ten zbawiciel, który we walce wszędzie i zawsze nam przodkuje, wszystkich tych, co go na świecie prawdziwie miłowali i wiernie mu służyli, przyjmie do siebie do nieba, aby byli uczestnikami chwały jego wiekuistej.

Wszystkie opowiadania „wesolego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



R. TAYLOR

Bielsi niż śnieg, ojczu!

Bielsi niż śnieg.

Razu jednego, siedząc na ławce obok kaplicy, w której prawie kilka razy opowiadałem słowo Boże, przystąpił do mnie człowiek a po zdrowiwszy uprzejmie odezwał się:

„Niech pan przebaczy, czy pan nie jesteś kaznodzieją, który tu prawie kazał?“

Potwierdziłem zapytanie jego i zapytałem: „Czy też pan jesteś pojednany z Bogiem?“

„Tak jest“ odpowiada, „dzięki Bogu, jestem z nim pojednany; ale dopiero od niedawna i bardzo dziwnym sposobem“.

„Niech mi pan opowie“, odezwałem się, „jakim sposobem raczył Bóg pana doprowadzić do pokoju z sobą“.

„Chętnie opowiem“, rzecze; „musisz pan wiedzieć, że długie lata służyłem we wojsku w Indyach wschodnich, a jako wielu innych nie troszczyłem się najzupełniej o zbawienie duszy mojej; żyłem w pijaństwie i siłę czasu spędziłem przy kieliszku; nawet w ostatni wieczór przedtém, nim łaska Boża mię nawróciła, jeszcze mię z karczmy wyrzucono. Niedzielę zawsze spędzałem w łóżku a od wielu lat nie byłem w kościele“.

„Lecz choć sam o kościół nie dbałem, żyłem sobie jednak, żeby moje dzieci tak nie czyniły; posyłałem je do kościoła i do szkoły niedzielnej. Niedawno temu, w niedzielę powracając dzieci moje z kościoła, a w chwili, gdy się wybieram do obiadu, spotyka mię mała sześciolatnia córeczka, spogląda na mnie czule a gdym głośną jej włoski, rzecze do mnie: „Ojczy, czemuż też ty nie chodzisz do kościoła?“

„Zapytanie to trafiło mi jakby sztyletem do serca a córeczka opowiada dalej, że słyszało jedno z dzieci, jako tam śpiewali tak piękną pieśń a zaczynała się: „Oczyszczeni, niż śnieg bielsi“.

„Cóż to być może, moje dziecię“, zapytałem się? „Czy znasz nieco, czémby można stać się bielszym niż śnieg?“

„Tak jest, ojczy; krew Chrystusowa oczyszcza nas i czyni bielszymi niż śnieg!“

„To już dla mnie było więcej, niż znieść mogłem. Poznałem, jak wielkim jestem grzesznikiem, kiedy moja 6-letnia córeczka tak mię strofować i nauczać musi; nie nie odpowiedziałem, ale serce moje przejęte było tą myślą, jak bardzo mi potrzeba być oczyszczonym, aby kiedyś stanąć przed obliczem Bożem. „Bielsi niż śnieg“, te słowa nie dały mi spokoju, we dnie i nocy mię prześladowały. Ostatecznie tak byłem strwożony, tyle o duszy mojej, o grzechach moich i o wieczności rozmyślać musiałem, że na końcu trunkiem się tych trwożliwych myśli pozbyć postanowiłem. Poszedłem do karczmy, kupiłem araku i opilem się należycie; ale wszystko na próżno, bom się przez to niepokoju swego nie pozbył“.

„Wtedy wszedłem w siebie, wyznałem Bogu, jak wielkim, biednym i nędznym jestem grzesznikiem, błagałem łaski jego i zacząłem czytać w biblii. Upór mój został złamany i z gorącym dziękowaniem poznałem z pisma św., że „krew Jezusa Chrystusa nas oczyszcza ze wszystkich grzechów naszych“, a kto weń wierzy, ma odpuszczenie grzechów. Tu dusza moja znalazła uspokojenie i od tego czasu doznaję błógiego pokoju, polegając na krwi Chrystusowej, która jest jedyną drogą do pokoju z Bogiem. Teraz też wiem z pisma św., że odziedziczyć żywot wieczny, albowiem wierzę, iż prawdziwe jest przyrzeczenie Boże, że nie zgine więcej, ale niegdyś u Boga i Baranka we wiecznej chwale jego będę między zastępami tych, którzy przed nim chodzą odziani szatami jak śnieg wybielonemi, o którychto córeczka moja mi najprzód opowiadała“.

H. H. S.

„Ocaleni!“

Jest ciemna, burzliwa noc. Na skalistym brzegu wzburzonego morza stoją gęste tłumy ludzi w trwożliwym oczekiwaniu. Wystrzały

dosłyszane dały znak, że okręt w pobliżu w niebezpieczeństwie. Od razu wystrojono łódź ratunkową, wsiadają w nią majtkowie, odbijają od brzegu, i już ich nie widać w ciemności wśród szumiących bałwanów. Napróżno ludzie na brzegu stojący wysyłają oczy i uszy; wśród ciemności nocy tonącego okrętu nie widzieć ni śladu, przed burzą nie słyszeć innego głosu.

Oto! — przez wycie wiatru przedarł się w dali głos ludzki — po raz drugi i jeszcze głośniej! Jest to głos radośny powracających przyjaciół. A skoro łódź ratunkowa się przybliżyła i rękami silnemi na brzeg przyciągnięta została, nieskończone okrzyki radości zewsząd posłyszeć się dały, bo załoga okrętu rozbitego została „ocaloną“.

A znowu jest noc. Wśród pewnego miasta wielkiego nie ma ciszy, lecz wrzawa ogromna. Na ulicach pełno ludzi a wszyscy spieszą w kierunku oznaczonym przez czerwoną łunę na niebie. Przyszedłszy na miejsce widzą dom stojący w płomieniach, a wszystkie wysyłanie straży ogniowej nie mogą zmniejszyć pożaru. „Czy mieszkańcy ocaleni?“ „Nie! W najwyższym pięttrze pozostała jeszcze dziewczynka. Właśnie ten strażak wspina się po nią wzgórze!“ taka daje się słyszeć odpowiedź. Mimowolnie powstrzymasz oddech i patrzysz za nim, jako mężnie przerywa chmury dymu, które raz czarne, raz znowu olśnione blaskiem płomieni wałęsa się oknami. Już strażak u celu — już nam znikł z oczu.

Na dole cisza grobowa, minuty wydają się godzinami. Tu, na drabinie pojawia się strażak z dziewczynką na ręku, a gdy dochodzą ziemi, jednogłośnie wita ich okrzyk radości, bo „ocaleni“.

Widzicie, jako wszyscy ci ludzie w osobliwym się znajdowali niebezpieczeństwie, inaczej bowiem nie byliby potrzebowali ratunku! Ale czy wy też zrozumiecie, moje miłe dzieci, że i same jesteście we wielkim niebezpieczeństwie, dopókiście Pana Jezusa nieprzyjęły za wybawiciela swego, inaczej bowiem nie powiadałaby biblia, że i wy wybawienia potrzebujecie?

W Dziejach Apost. 4. 12 stoi napisano: „Nie ma innego imienia danego ludziom, przez którebyśmy mogli być zbawieni“ t. j. ocaleni.

Jakież jest to nasze niebezpieczeństwo? W tém jest, iż Bóg grzechu nienawidzi, karać zaś grozi, a że my jesteśmy grzesznikami. Wszelkie złe, samolube myśli, wszelkie odporne i dumne słowa są grzechem, a oko Boga wszystkowidzącego przenika je. Kto zaś u Jezusa, który za nas zniósł karę, nie szuka odpuszczenia grzechów, ten pozostaje w potępieniu i bez „ocalenia“.

Zastanów się, moje dziecię, nad wielkością tego niebezpieczeństwa. Przyzna to każde, że straszna jest rzecz umrzeć bez wybawienia, ale jabym wam życzył, abyście też poznali, jak niebezpieczną jest żyć bez wybawienia, ponieważ nie miałybyście nikogo, którego ręka potężna by was w życiu ochraniała, ktoby wam we wszelkich potrzebach był pomocnikiem i pocieszycielem a w godzinie śmierci stał koło was i towarzyszył wam do sądowej stolicy Bożej.

Jakóż tedy możecie zostać ocalone? Tylko jak znajdziecie ucieczkę prawdziwą! Noe ocalał z rodziną swą, albowiem się schronili na jedyne bezpieczne miejsce, do korabia, gdy tymczasem wszyscy inni zginęli. Możecie już też słyszały lub czytały o owych wielkich łąkach, czyli stepach lub preryach Północnej-Ameryki, jako tam czasami owa wysoka trawa się zapali i jako potem płomienie wałami tak nieopisaną szybkością na wszystkie strony się rozszerzają, że przed nimi ani człowiek ani zwierzę żadne uciec nie może. Jak tedy gromada myśliwych ujrzy z daleka ten wał ognisty się zbliżający, cóż czynią? Trawę w pobliżu siebie zapalą, a wiatr rozszerza ogień, aż koło nich wypali się szeroka wielka przestrzeń. Na tém wypalonem miejscu pozostają, a jak się zbliży ów gwałtowny pożar pędzony wiatrem, tedy znajduje koło nich już wszystko spalone i omija w szeroki dalekiem kole myśliwych, nie dotykając ich, bo znajdują się na miejscu bezpiecznem.

A dla nas gdzież jest ten przytułek prawy? Dokądże ucieka się dziecię przestraszone? Na łono rodziców, gdzie czuje się pewnem. To już wiecie, miłe dziatki, kto jest ten, co otwiera nam ramiona miłości swojej, aby nas przyjął, te ramiona, co na krzyżu przybite były. Pamiętacie, jako nieprzyjaciele urągali mu: „Innych ratował a samego siebie ratować nie może“. W okamgnieniu byłby mógł siebie ratować, lecz jakże byłby stał się zbawcą ludzkości? Dla tego sam niósł hańbę i utrapienie, na któreśmy my zasłużyli, sam podjął śmierć, na którąśmy my zawinili. Teraz rozciąga ramiona swe naprzeciwko nam i woła: „Chodźcież do mnie“. Kogo on obejmie w ramiona swoje, ten jest wyratowany i zbawiony na wieki.

Czyście też pomyślały sobie kiedy, iż jedno tylko dla was nastąpić może, albo zbawienie, albo potępienie? że nie ma trzeciej, średniej drogi, że albo jako ocalone, albo zatracone pójdziecie dziś do łoża swego. Zastanówcie się, że być zgoła ocalonym jest to tyle co być zatraconym.

Obejrzymy to w obrazie. Na krańcu zarośli pracują robotnicy, ścinając drzewo. Nagle jednemu, gdy się mocno zanosił do cięcia, niebacznie wysliznęła się siekiera z ręki i na miejscu zabiła towarzysza jego. Nieszczęśliwy meżobójca wie, że musi umrzeć, jeżeliby nie dobiegł do „miasta dla ucieczki“ prędzej, niżby go dopędził najbliższy powinowaty zabitego. (4 Mojż. 35.) Od razu tedy puszcza się w drogę do najbliższego miasta dla ucieczki. Słońce wysoko stoi, skwar jego promieni spada na wędrowca, i ledwie nie pozbawia go przytomności; lecz ten jednakowoż niewstrzymany pędzi naprzód. Droga zła, nogi zranione się krwawią, lecz tu chodzi o życie, a do wypoczynku nie ma czasu.

İlekroć wejdzie na pagórek, spojrzy bojaźliwie po za siebie, i widzi już nie daleko mściciela pędzącego za sobą przez góry i doły. Na końcu przecieży ujrzy przed sobą „miasto dla ucieczki“, jeszcze do niego chwil kilka, już stoi u bramy, ale zamiast wstąpić — usiada przed

bramą. Wołasz nań: „Biegnij, spiesz się, boś tu jeszcze nie jest bezpiecznym“. A on odpowiada: „Zgoła już jestem ocalony“. Ty wołasz: „Nie, jeszcze nie jesteś bezpiecznym, zarośla zakrywają ci drogę; ani się nie obaczysz, kiedy mściciel cię napaść i zabić może“. Lecz on jednak odpowiada: „Bądź spokojny, już zgoła jestem ocalony“.

Czyż to nie obraz wasz własny, miłe dziatki? Ojciec i matka może nieraz wam opowiadali o zbawczej miłości Zbawiciela, możecie już same o nię rozmyślały i jej pragnęły, ale pókiście się do niego nie wybrały, pókiście zbawienia jego przyjąć nie chciały, dopóty zostawacie zewnątrz „miasta dla ucieczki“, onego jedynego miejsca bezpiecznego. Brama jego na oścież otwarta, Chrystus was zaprasza. „Oto, teraz czas przyjemny, oto, teraz dzień zbawienia“. 2. Kor. 6. 2.

J. M. B.

Idź, a powiedz to Jezusowi.

Moje miłe dziatki, jakiegokolwiek są troski wasze, przyjmijcie mą radę: Idźcie a powiedzcie to Jezusowi; idźcie do serca jego a zwiercie się jemu. Tej rady przestrzegajcie przez całe życie. Będziecie czasami pozbawione wszelkich przyjaciół; nie będziecie miały nikogo, ktoby wespół z wami czuł, nikogo, komubyście tajemnice swoje powierzyć mogły. Idźcież wtenczas, a powierzcie je Jezusowi! Pamiętacie przecież, że i uczniowie jego tak czynili. Wiemy o nich, że przychodzili do Jezusa, i powiadali mu wszystko, kiedy jaka troska ich gnioła.

Idźcież, idźcie do niego; czyncie to w nocy i we dnie; jak chcecie wiedzieć, co macie czynić, idźcie spiesźnie do Jezusa. Ja wiem, że was wysłucha a dziatki jego znajdą ucieczkę. Ucieczką ich serce Pana Jezusa. „Chodźcie do mnie wszyscy, którzyście spracowani i obciążeni, abowiem ja wam sprawię odpocznienie“. Mat. 11. 28.

Wszystkie opowiadania „wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Urodziny Anny.

Podarek.

„Dar z łaski Bożej jest żywot wieczny“. Rzym. 6, 23.

Był to dzień urodzin małej Anny; ojciec spełnił przyrzeczenie swoje i darował jej piękny upominek. Anna była wielce uszczęśliwioną, i rozumie się, że za to nic nie potrzebowała zapłacić, gdyż inaczej nie byłby to dar. Dla tego wesoło odebrała upominek i rzekła: „Dzięki ci, ojczu; niech Bóg zapłaci“.

Powyższy wyrok z pisma św. mówi o bardzo kosztownym darze, o żywocie wiecznym, który Jezus daje wszystkim, co go oń proszą, albowiem powiada: „Proście, a będzie wam dano“. — Mat. 7, 7.

Czyś go już kiedy o to prosiło, moje kochane dziecię, a czyś już kiedy przyjęło od niego ten zacny dar jego? Albo czyś usiłowało się uczynić nieco, by sobie go zarobić? — Tak go nie dostąpisz!

Nasza godność prawdziwa w Chrystusie jedynie,
Kto weń ufa i wierzy, ten nigdy nie zginie.
Włóż Jezu na nas szatę twój sprawiedliwości
A nic nam nie odejmie zbawienia pewności.

Anna nie potrzebowała wydawać swych groszy zaoszczędzonych za dar ojcowski ani też Pan Jezus nie żąda nic za żywot wieczny, który nam świętą krwią swoją zjednał, kładąc życie na krzyżu za grzechy nasze. On go daje za darmo mówiąc: „Jeżeli kto pragnie, niech do mnie przyjdzie a pije“. — Jan 7, 37. „Nuż wszyscy pragnący, pójďte do wód, i wy, co nie macie pieniędzy, pójďte kupujcie a jedzcie; pójďte, mówię, kupujcie bez pieniędzy i bez zapłaty wino i mleko“. — Izaj. 55, 1.

Azali nie chcesz przyjąć daru jego?

„Ale czy to wszystko“, odpowiadasz, „co czynić mam, przyjmą tylko dar jego?“

„Tak jest, wszystko“.

„Ależ przecie ja nic za to nie uczyniłem!“

„To prawda, jednak Jezus za ciebie wszystko uczynił; słowo jego ostatnie na krzyżu powiada: „Dokonało się“. Jan 19, 30.

„Aleć“, odpowiesz, „ja daru tego jeszcze nie jestem godnym!“

I to prawda, ale Pan Jezus ci go ofiaruje nie dla tego, iżbyś nań był zasłużył, lecz dla tego, że on cię miłuje, a ty go potrzebujesz; „Albowiem gdyśmy jeszcze byli młodymi, Chrystus według czasu umarł za niepobożne“. — Rzym. 5, 6.

„Jeżeli tak“, odpowiadasz, „tedy chętnie spróbuję“.

Gdy mała Anna otrzymała od ojca podarunek, nie była w obec niego tak niegrzeczną, iżby była rzekła: „Spróbuję go przyjąć!“ Aż ty chciałbyś obrazić Pana Jezusa mówiąc do niego: „Spróbuję przyjąć dar twój, kochany zbawicielu?“

Ach nie zwlekajże, lecz przyjmij go bez namysłu z całego serca, boć P. Bóg sam cię napomina mówiąc: „Oto teraz czas przyjemny, oto, teraz dzień zbawienia“. — 2. Kor. 6, 2.

Bierz dar jego, bo go potrzebujesz, bierz, boć Pan Jezus daruje ci go za darmo, wiedząc, że sam nań zarobić nie możesz, ani też nic nie masz, czémbyś go zapłacił.

Znowu się wymawiasz: „Prosiłem P. Jezusa, by mi darował żywot wieczny, ale jednak nie mogę rzec o sobie, żeby był uratowany i zbawiony“.

A wiesz dla czego? Dla tego, żeś daru jego nie przyjął. Możesz nie raz już udać się do Pana prosząc go: „Ach P. Jezu, dajże mi żywot wieczny, ach Jezu wybawże mnie!“ aleś nie zważał, że on powiada: „Kto chce, niech bierze wodę żywota darmo“. Obj. 22, 17.

Tak go Pan podawa, a ty tylko masz przyjmować i brać.

Przyjmij tedy dar jego dziś jeszcze, przyjmij go już teraz, mój młody przyjacielu; wyciągnij rękę wiary: „Wierz w Pana Jezusa Chrystusa, a będziesz zbawiony“. — Dzieje A. 16, 31.

Przyjmij żywot wieczny, który on tobie daruje, a powiedz mu z całego serca: „Dzięki tobie, zbawicielu drogi!“

Nawiedziłeś grzeszne W doczesnem więzieniu,
 Nowiny pocieszne Głosił o zbawieniu,
 Bogactwaś niebieskie Przyniósł w kraje ziemskie,
 Obdarzył nas niemi, Cośmy ubogimi,
 Chryste, królu nasz!

J. W. J.

Mój zegarek.

Pewnego wieczora rozmyślałem, o czémby w przyszłą niedzielę w szkole niedzielnej z dziećmi rozmawiać miał. Sięgam po zegarek do kieszeni i nie mało się zdziwiłem, że ten dopiero szóstą godzinę wskazuje, gdy tymczasem już daleko później być musiało. Spoglądam na wskazówki — te stoją; przysłuchuję się, lecz wewnątrz cichutenko, zegarek stoi; otwieram go, oglądam skład cały, aż tu spostrzegam, że sprężyna złamana. Tedy rzekłem u siebie: „o, toż uczniom w szkole niedzielnej o nieposłusznym moim zegarku opowiadać będę“.

Czy wam już kiedy przyszło na myśl, że zegarki pod niejednym względem równają się chłopcom i dziewczętom? Najprzód mają twarz, a tą jest cyferblat, potem mają dwie ręce, a temi są wskazówki; a jak są zdrowe, to zegarki jako dzieci dosyć są głośne, że możemy powiedzieć, iż także mają język.

Oblicze zegarka było w nieładzie, bo nie wskazywało prawdziwej godziny; ale przyczyna tej wady była gdzieindziej, niż w obliczu; chodziło właśnie o ową małą sprężynę, która oku zakryta wewnątrz pracuje i cały skład kółek w ruchu utrzymuje, a ta była złamana.

Widziałem razu jednego chłopca z twarzą zapłomienioną i okiem iskrzącem się od złości; ale czy się wam zdaje, że tylko to wejście byłoby nagany godne? Wiedziałem ja dobrze, że tam wewnątrz się niecoś rozstroiło, a ztąd na zewnątrz w twarzy taka zmiana.

U mego zegarka były wskazówki czyli ręce zastawione i wskazywały tedy na nieprawę cyfrę, stały sobie próżnujące a przeto mówiły nieprawdę. Posunąłem je na odpowiednie

miejsce, lecz napróżno, bo przyczyna złego była wewnątrz.

Ileć widzę dziewczynkę, która zamiast być pomocną matce, siedzi sobie za założonemi rękoma, albo chłopca, co się wałęsa po ulicach, lub zakrada się do spiżarni i wykrada łakocie, tedy mi się wydaje, że to nie tylko ręce puściły się na drogę nieprawą, lecz także jeszcze coś innego, i nie mało się obawiam, że cały wewnętrzny człowiek, t. j. dusza, znajduje się w nieładzie.

Słucham sobie, czy zegarek mój tyka, lecz zupełnie cicho. Zegarki bowiem umieją mówić, a szczególnie podczas ciszy nocnej opowiadają o niejednej ważnej rzeczy; przypominają nam, jak prędko czas ubiega coraz dalej — aż do wieczności. Dobry zegarek ten tylko wtedy mówi, gdy nam ma coś pożytecznego i rozumnego do powiedzenia. Inne znowu okłamują człowieka, nie bijąc tak, jak powinno.

Przypominam sobie, że widział zegar, który o trzeciej wybił dziewiętnaście a o czwartej aż dwadzieścia siedm. Wina leżała na wewnętrznym składzie, a nie na przyrządzie do bicia.

Tak samo, gdy dziecię mówi nieprawdę albo złe i nieroztropne rzeczy, nie jest temu winien język, lecz przyczyna leży głębiej i wada jest gorszą. Wierzaj, że to serce jest w nieładzie.

Gdy się przekonał, że zegarek stoi, zacząłem nim najprzód wstrząsać; potem posunąłem wskazówki na prawe miejsce, naciągnąłem zegarek, badałem go wewnątrz, obracałem kółka i udało mi się wprawić go w ruch, ale tylko na minutę, bo znowu się zastawił. Nie zabierałem się już nierozważnie do rozbierania całego składu dla naprawiania sprężyny, bom dobrze wiedział, że ta jest złamana, a że na jej miejsce nową sprężynę wstawić potrzeba.

Jakże, gdybyśmy złośliwemu, zagniewanemu zaciśnięte jego pięście otworzyli i do modlitwy złożyli, albo gdybyśmy odporną i kłamliwą dziewczynkę twarz jej zgryzioną wypogodzić i usta zawrzeć chcieli — czy by się to udało?

Nie, bo sprężyna wewnętrzna zepsuta, a tę odnowić trzeba.

Wziąłem zegarek i zaniósłem do zegarmistrza, aby nową sprężynę wstawił. Potem znowu wszystko było dobre. Wskazówki wskazują dokładnie a zegarek tyka, jak się należy.

Tak też na złe słowa i czyny, złe obyczaje i kaprysy jest tylko jedno lekarstwo: nowa sprężyna — nowe serce; a tu trzeba się obrócić do owego wielkiego zegarmistrza i wszechmocnego odnowiciela. „Synu mój, daj mi serce twoje“, mówi P. Bóg. Dla czegoż je chce mieć? Na to, aby ci zań dał nowe, a wtedy i ręce twoje i twarz twoja i język twój należycie się sprawować będą.

Najprzód, miłe dziatki, trzeba wam serca nowego! Chętnie wierzę, że niejedno z was się usiłuje naprawić się w słowie i uczynku i że chcecie, gdy się to uda, oddać siebie na własność Panu Jezusowi.

Lecz bierzecie się do takiego dzieła, którego dokonać nie jesteście w stanie; pomimo że sprężyna złamana, usiłujecie się zegarek utrzymać w ruchu; lecz tym sposobem do celu nie dojdziecie.

Idźcie tedy, jako jesteście, do onego prawego mistrza, pójďte do Jezusa! Proście o serce nowe i ducha nowego! Potem, wierząc mi, potem język wasz chętnie śpiewać będzie chwałę jego, a oblicze wasze nosić będzie piętno pokoju wewnętrznego a ręka wasza z radością wyciągać się będzie w służbie jego. *Bishop.*

Światłość słońca Bożego.

Jakże często przywodzą się ludzie wielcy i mali o światłość szczęścia prawdziwego, którą Bóg daje, nie chcąc wierzyć temu, co słowo Boże przyrzeka i zwiastuje! Łatwiej są przystępni dla wroga dusz naszych i podszeptów jego, niż dla wyraźnych obietnic tego, który jest prawdą, a dla tego są nieszczęśliwymi

i żalą się mówiąc: „Modłę się, ale pokoju nie znajduję“. Lecz jakże go skosztować mają, kiedy się w obec P. Boga jako w obec kłamcy sprawują i słowu jego niedowierzają!

Znałem dostojnego człowieka, co też należał do takich nieszczęśliwych powątpiewających. Bez przestanku dumał nad nędzą swą wewnętrzną i prawie genialnie umiał wykrywać nowe sposoby do męczenia samego siebie. Razu jednego siedział sobie tak znowu podczas burzy w ciasnym swym pokoiku i wpatrywał się w czarne chmury na niebie, które co do joty były podobne do czarnych chmurnych myśli jego. Nagle niespodzianie przedarł się przez chmury jasny promień słońca, a na kobiercu przed dumającym zajaśniała niewielka okrągła plama. Piesek faworyt, ujrawszy ją, opuścił natychmiast legowisko swoje koło pieca i rozłożył się na miejscu oświeconem słońcem.

To nieznaczne zdarzenie mocno wzruszyło dumającego. „Ach, czemuż i ja też tak nie czynię“, pomyślał sobie, „kiedy mi Bóg w słowie swém tak jasne daje obietnice, by serce moje ogrzać i rozweselić? Dla czegoż nie opuszczam tego zakątka, gdzie siedzę w ponurem niedowierzaniu a nie szukam sobie odpoczynienia w słońcu miłości Bożej i w słodczych obietnicach jego?“

Mój drogi przyjacielu młody, czy ty jeszcze się sprzeciwiasz Bogu twemu, czy jako dziecię niegrzeczne kryjesz się jeszcze w ciemnym kącie niedowiarstwa i wzbraniasz się spojrzeć na pociechę, którą ci podaje Bóg?

Zastanów się; gdy Bóg światłość swoją ci niby już koło nóg twoich rozlewa, tedyć tę przynajmniej pracę musisz sobie zadać, byś cie pła jego użył i niem się cieszył. Obietnice pisma nie ci nie pomogą, póki nie uwierzysz i nie stajesz się pewnym, że one do ciebie, prawie do ciebie się zwracają. *T. J. H.*

Wszystkie opowiadania „wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



E. J. T. P. V. I. K.

Każdy, co weń wierzy.

Stary, biedny i niewidomy człowiek siedział raz u jednego na drodze i czytał w biblii dla niewidomych te słowa: „Każdy, co weń wierzy.“ Nie mogąc dobrze zrozumieć, co one znaczą, zawsze na nowo przesuwając swe palce po onym miejscu i powtarzał po cichu: „każdy, co weń wierzy; każdy, każdy — kogo też to „każdy“ ma oznaczać?“ — W tém przechodzi chłopiec a niewidomy woła nań: „Chłopcze, cóż tu ma znaczyć to słowo „każdy?“ „Każdy,“ odpowiada chłopiec, „t. j. ja i ty i każdy inny i wszyscy ludzie, co weń wierzą.“

„Jeżeli tak,“ rzecze u siebie niewidomy, „tedy się ono i do mnie odnosi.“

„Przez imię jego odpuszczenie grzechów weźmie każdy, co weń wierzy.“ (Dzieje 10. 43.)

W zacnych tych słowach znalazł niegdyś pewien chłopiec umierający słodką dla siebie pociechę. „Droga mamó,“ powiadał on często, „połóż też palec mój na to słowo „każdy,“ kiedy tam stoi „każdy,“ toć i ja do tych należę.“

Przypuśćmy, żeby imię twoje stało w biblii, a żeby Bóg mającemu imię to tego zapewnić odpuszczenie grzechów, jeźliby wierzył w P. Jezusa. Jeszczeby mogło być tysiąc innych, którzy to samo imię mają a nikby niewiedzieli, czy jego, czy kogo innego pismo oznacza. Żeby pomyłki takiej w ogóle być nie mogło, dla tego powiada Bóg w słowie swém: „Każdy,“ zatem też i ciebie ma na myśli.

Wyszukaj sobie w biblii wszystkie miejsca, gdzie Bóg „każdemu, co wierzy w Chrystusa,“ obiecuje grzechów odpuszczenie i wieczne zbawienie. Liczba ich jest nie mała.

„Tak Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny.“ — Jana 3, 16.

Bishop.

Szukajcie.

Anna siedziała przy oknie i czytała jakąś bardzo zajmującą książkę. W tém zawołała

matka: „Anno, idź na górę, w sypialni zostawiłam sobie naparstek, przynieś mi go!“ Anna biegnie na górę, ogląda się naokoło i powraca znowu. „Mamo, tam go nie ma“, odpowiedziała i znowu zasiada do książki. „Aleć ja wiem, że go na górę zostawiła,“ odrzekła matka, „idź tylko raz jeszcze i poszukaj go.“ Anna wstaje, ociągając się, i idzie znowu do sypialni. Tym razem zabawiła dłużej, poszukuje po stole nawet po skrzyniach, ale nic nie znalazła, bo się naparstek, jak to one czasami lubią, dostał gdzieś do kąta ciemnego. „Ale tam go na pewno nie ma, droga mamó!“ odrzekła Anna. „Jest, jest, córko moja,“ odrzeczła matka, „ja na pewno wiem, że go tam zostawiła, aleś tylko ty nie dobrze szukała.“ Anna musiała pójść jeszcze raz i tym razem zaczęła dobrze poszukiwać. Szukała po podłodze, pod łóżkiem i po wszystkich kątach, aż go nareszcie znalazła. Gdyby była zaraz z początku należycie szukała, to go już dawniej mogła znaleźć.

Jeżeli naprawdę cokolwiek znaleźć chcemy tedy tego szukać musimy.

Patrz, tam człowiek stracił pieniądź złoty na drodze. Szuka po bruku, po drodze, w kanale; poszukuje wszędzie i starannie.

W dalekiej Kalifornii przekopują ludzie i przewracają starannie ziemię; posłyszeli bowiem, że się tam złoto znachodzi i poszli w nadziei, że tam dla siebie znajdą szczęście. Ale ziarenek złota nie można zbierać tak, jako kamienie, trzeba za niemi poszukiwać.

A czyżby skarby ziemskie miały być zadniejsze niż niebieskie? Czyżby złoto i drogie kamienie miały mieć większą wartość nad ową jedyną perłę najkosztowniejszą? Jeżeli zbawienie, jeźli Jezusa znaleźć chcemy, tedy go też szukać musimy.

Razu jednego po nabożeństwie dzieciaków powracał nauczyciel wieczór do domu, a w drodze wydawało mu się, jakoby słyszał kroki za sobą. Było bardzo ciemno, droga samotna i już mu się o zbójcach myśl nasunęła, lecz obróciwszy się

sposzrzegł chłopca, który biegał za nim. Chłopiec ten był także na nabożeństwie dzieciak i już od pół godziny biegał za nauczycielem, nie mając odwagi do niego przemówić. Cóż mógł sobie od niego życzyć? Anibyście nie zgadły, miłe dziatki; życzył sobie, by się nauczyciel z nim pomodlił i powiedział mu jeszcze więcej o drodze do zbawienia. Chłopiec ten szukał Jezusa, ale go też znalazł, a teraz wyrosł na statecznego i zdolnego chrześcijańskiego męża.

Pewien Indyjczyk znalazł jedną kartkę biblii; jakim sposobem, nie wiem. Na kartce tej stało prawie napisano: „Tak Bóg umiłował świat, iż Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny.“ To wystarczyło do obudzenia w tym człowieku życzenia, by dowiedzieć się jeszcze więcej. Dowiadywał się tedy, gdzieby tę cudowną książkę dostać mógł i puścił się potem w drogę koło sta mil do najbliższej stacyi misyjnej. Któż opíše jego radość, gdy mu tutaj podarowano całą biblią?

Czyście wy już też kiedy, miłe dziatki, szukały P. Jezusa z tą gorliwością, jako ten Indyjczyk? Czyście pragnęły go znaleźć i otworzyć jemu serca wasze? Czy możecie wyznać, jako niejedni chłopcy i dziewczęta, i rzec: „Znalazłem przyjaciela mego, Jezu, tyś jest moim?“

„Chciałbym, żebym mógł rzec: „Jezus jest moim,“ powiedział mały chłopczyn, „chciałbym, żebym mógł rzec, iż mi są wszystkie grzechy odpuszczone.“ A inny pisze: „Mam nadzieję znaleźć w krótkce Zbawiciela, a potem będę zbawiony.“ A inny pisze: „Zdaje mi się czasami, jakobym go już miał, a znowu jakobym go nie miał, ale ja pragnę go mieć zawsze.“

Mam przyjaciela, który już na tysiące listów napisał do dzieciak, i od wielu otrzymał odpowiedź. Niektóre piszą tak: „Chcielibyśmy miłować P. Jezusa, a jednak go nie miłujemy, chcielibyśmy otrzymać nowe serce, a jednak go nie otrzymujemy; szukamy Jezusa, a jednak go nie znajdujemy.“ Do tych dzieciak i do wielu

innych, którym się też tak wiedzie, chciałbym rzec słowo. Powiedzcie mi, miłe dziatki, czyż w tém wino? Czy w tém wino Jezusa? Czyż on daleko od was? Czyż on się znaleźć nie daje? Aż sam nie powiada: „Kto szuka, ten znajdzie, kto prosi, ten weźmie, a tego, co do mnie przyjdzie, nie wyrzucę precz?“

Uważajcie na te słowa, miłe dziatki; są to słowa Jezusowe: „Szukajcie, a znajdziecie.“ Możecie już nieraz w myślach życzyły sobie być owieczkami Jezusowemi; możecie się nawet modliły o odpuszczenie grzechów. Pewnieście już albo w szkole niedzielnej albo w nabożeństwie słyssały, jako Jezus dziatki miłuje, i jako za grzeszniki umarł na krzyżu. Uczuliście się być grzesznymi i błagałyście o zbawienie. Poszłyście do domu, modliłyście się o serce nowe i pragnęłyście serdecznie stać się dobrymi, szczerymi i pobożnymi. Lecz zaraz w przyszły dzień zdarzyło się niejedno. Najprzód było trzeba iść do szkoły; potem was czekała inna praca; potem przyszedł jakiś przyjaciel w odwiedziny i inne rozmaite rzeczy. Przytem nie zaniechałyście modlitwy, ale może już nie była tak gorliwa; później stałyście się znowu niegrzeczne, nieposłuszne i złośliwe, zaczęłyście się wstydzic za modlitwę, mniemając, że ona tak nic nie pomoże, a nim znowu przyszła niedziela, już wszystkie wasze dobre myśli i zamiary były uleciały. Wyście pozostały tak samo lekko-myślne i rozpustne jako przedtem. Aż nie tak jest? Aż nie tak się wam powiodło?

Otóż widzicie, gorliwości wam potrzeba, bo inaczej nadarmo się spodziewacie błogosławieństwa Bożego. Ale nie mniemajcie, że wy same tylko jesteście szukającami. Aż nie wiecie, że jest jeszcze inny, którego serce, pełne miłości dla was, już od dawna was szuka? Wy jesteście niby owieczka biedna, która opuściwszy trzodę zbłądziła, która biega wśród ciemnej i zimnej nocy naokoło, a nie może znaleźć drogi swojej. Lecz pasterz dobry szuka was; chciałby was wziąć na ramiona i zanieść do

owczarni swojej. Czy życzyście sobie, miłe dziatki, znaleźć P. Jezusa? Wierzajcie mi, on daleko więcej pragnie znaleźć was.

Czy też są dzieci, co twierdzą, że szukały zbawiciela a nie mogły go znaleźć? Tak mi opowiadał przed kilku laty pewien człowiek. Często chadzał do kościoła, słyszał niejedno kazanie, przyjaciele napominali go i modlili się razem z nim, lecz to nic nie pomaga. Pewnej niedzieli wieczór powracał z kościoła; przed nim szła po schodach staruszka, która nagle usliznąwszy się, byłaby nadół upadła, gdyby człowiek ten nie był jej pochwycił i sprowadził na dół. Oświadczył jej też swą gotowość odprowadzić ją do domu, na co staruszka odrzekła: „Zaprawdę pan miłuje P. Jezusa, bo inaczej nie byłby tak uprzejmym dla biednej stariej kobiety.“ On opowiadał jej, jako już od dawna, a zawsze nadaremno szuka Jezusa. „Czy tak?“ odpowiada staruszka, „czy myślisz pan, żeś pan szukał Jezusa? Czy pan nie wiesz, że Jezus także szukał pana? Onci przyszedł, aby szukał i zachował, co było zginęło. On pana prawdziwie szuka a niech pan wierzy, że gdzie dwóch szuka, tam oni też znajdują.“

Człowiek ten poznał od razu swój błąd, przyjął do serca słowa staruszki, i powrócił do domu, nie już aby szukał P. Jezusa, lecz aby mu się dał znaleźć. Czy i wy tak nie uczynicie, przyjaciele młodzi? Już długo was szuka P. Jezus, czy nie dalibyście się jemu już znaleźć?

Bishop.

Wykupiony.

Moi młodzi czytelnicy słyszeli już może, jako jeszcze przed niewielką laty w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki panowało niewolnictwo. Biednych murzynów sprzedawano tam na targach tak, jako u nas konie lub woły sprzedają.

Razu jednego sprzedawał handlarz niewolników starego murzyna, który był chrześciani-
nem. Zebrało się kilkunastu kupców i zaczęła

się licytacja. „Ileż za tego starego?“ woła handlarz, „jest to silny, rzetelny i wierny niewolnik a do tego dobry kaznodzieja; ileż dacie zań moi panowie? Proszę, podawajcie ceny!“

Podano dwadzieścia pięć talarów. „Czy tylko dwadzieścia pięć za tego zdolnego człowieka?“ Podano trzydzieści. „Trzydzieści!“ „Czterydzieści!“ — „Czterydzieści, powiadacie?“ — „Pięćdziesiąt!“ „Sześćdziesiąt!“ „Sześćdziesiąt pięć!“ Serce starego biednego niewolnika zaczęło bić głośno; oczy zalały się łzami. Przy długoletniej pracy zaoszczędził sobie bowiem nieco pieniędzy, spodziewając się umrzeć niegdys wolnym. Ostatnia suma podana równała się blisko jego majątności. W bolesnem rozpaczliwym położeniu, acz nie zupełnie bez nadziei, zawołał biedny na końcu z całej piersi, drżącym głosem: „Siedmdziesiąt!“ Kupcy zdziwili się i nikt już nie podawał więcej. „Siedmdziesiąt!“ „Siedmdziesiąt!“ wołał handlarz „po raz drugi, siedmdziesiąt, po raz trzeci! koniec!“ — Stary niewolnik został wolnym. Sam sobie kupił swą wolność.

Dla tej mężczyź się przez całe życie, i nie życzył ustom swoim kawałka chleba.

Ale są też inni niewolnicy, co żadnym sposobem samych siebie wykupić nie mogą. Mam na myśli niewolników grzechu i szatana. Są ludzie, co podejmują wszelką pracę, aby dostać wolności. Zamiast iżby zaufali P. Jezusowi, który ich chce zbawić i uszczęśliwić, usiłują się na własną rękę przez swe dobre zamiary i czyny szlachetne zjednać sobie zbawienie. Stają się pobożnymi i wszelkię dokładają pracy; — ale to wszystko nic nie pomoże. Wolność naszą kupił nam Pan Jezus. Za nią umarł na krzyżu, a apostoł powiada: „Wiedząc, iż nie skazitelnymi rzeczami, srebrem albo złotem, wykupieni jesteście od marnego obcowania waszego, od ojców podanego; ale drogą krwią, jako baranka niewinnego i niepokalanego, Chrystusa.“

(1 Piotr. 1, 18.)

T. J. B.



łaskawym, że nam pozwala modlić się do niego, kiedy chcemy. Czy to nie przecudna?

Ileć się do Boga modlimy, wołamy do niego: „Ojczy nasz.“ To objaśnia wszystko. Gdy jest ojcem naszym, nie boimy się przystąpić do niego każdego czasu. On też jest miłościwym ojcem a najmniejsze dziatki jego śmiały mu każdego czasu powiedzieć, czego pragną a on je pewnie wysłucha.

Ale modlimy się: „Ojczy nasz, któryś jest w niebiesiech.“ Czyż modlitwa dziecięcia tak wysoko wznieść się może? Niebios są daleko, zgoła za nadto daleko, niżlibyśmy je myślami dosięgnąć mogli. Czyż tam dojdą nasze modlitwy?

Chodzi o modlitwę. Są modlitwy, które nie dojdą wyżej niż do powały. Modlitwa faryzeusza nie wzniosła się po nad szczyt kościoła. Modlitwy niektórych dzieciak, choć je głośno mówią, nie wzniosą się ponad dach domu. O to chodzi, z kąd pochodzą. Modlitwa biednego celnika pochodziła z głębi serca, dla tego szła wprost aż do tronu Bożego. Modlitwa zaś pochodząca tylko z warg naszych nie dochodzi P. Boga.

Dziwna to rzecz, jak daleko idzie modlitwa. Telegrafem donosimy wiadomości do najodleglejszych krain ziemi, ale modlitwa jeszcze prędzej idzie. Czy nie macie jakich pokrewnych tam gdzie w Ameryce, w Australii lub Chinach? I tych w okamgnieniu modlitwą dosięgnąć możecie. Modlitwa wasza może wprost iść do tronu Bożego, a błogosławieństwo, o któreście dla nich prosili, może ich dojść w tej samej chwili. Czyż to nie cud?

Modlitwa też jest nader silna; ona wielkie rzeczy wykonać może. Widziałem raz jednego w fabryce ogromny młot, który taką siłą padał na kowadło, że jednym uderzeniem wielki kawał żelaza stłukł na drobniutkie kawałki. Młot ten wprawdzie w ruch była rzecz bardzo łatwa; nawet mały chłopiec tego mógł dokonać. Działo się to za pomocą przyrządu mechanicznego. Za poruszeniem igły, którą młot z machiną

był połączony, upadał tenże i rozbijał wszystko, na co natrafił.

Ale jeszcze jest coś silniejszego nad ów wielki młot, a zwłaszcza ręka Pana Boga. Ta potężna ręka wstrząsa światem, rozpuszcza wichry, rozwała góry; a ręka ta wszechmocna też przez modlitwę w ruch wprawia się daje. Nawet małe dziecię tego dokona, bo i małe dziecię umie się modlić. O jak wiele może modlitwa dziecięcia, kiedy na rękę Bożą wpłynąć jest w stanie.

Znajduję, że te dziatki, które serca swe poruciły P. Jezusowi, bardzo chętnie się modlą. Wiele ich lubi się zgromadzać do wspólnej modlitwy. W pewnej, mi znajomej szkole niedzielnej schodziło się co niedzielę dwadzieścia do trzydzieści dzieciak dla odprawiania wspólnej modlitwy. W innej szkole znowu było kilka dziewcząt, które się dziennie do modlitwy schadzały, bo im było za długo czekać od niedzieli do niedzieli. A cóżbyście myślały, gdzie się schadzały, niemając do tego izdebki? Ujrzały raz jednego w pewnej pobocznej ulicy stary powóz do przeprowadzania sprzętów domowych i wyprosiły sobie u właściciela pozwolenie do schadzania się w nim. Tam śpiewały i modliły się, póki wozu nie uprzątnięto. W pewnym nabożeństwie dla dzieciak, do którego schadza się ich co niedziela koło 300—400, podawają dziatki dozorca małe karteczki, na których spisują prośby i modlitwy przyczynne za siebie i swych miłych. Te się potem na głos odczytują i wszystkie dziatki biorą udział w modlitwie. „Proszę, módlmy się, aby mi Bóg dał serce nowe, żebym kochał Jezusa mego“ — stało na jednej kartce; na drugiej stało: „Proszę, módlcie się za mnie i mą siostrę, abyśmy nie zbłądziły od trzody Jezusowej.“ — „Módlmy się za mego ojca, aby przestał się upijać i nauczył się poznać grzech swój,“ pisze pewna dziewczynka; inna pisze: „Módlmy się za moją nauczycielkę, która ciężko choruje, aby wyzdrowiała;“ a znowu inna mała pisze: „Tak jestem szczęśliwą, i chciałabym,

żeby też ojciec i matka tak szczęśliwi byli; proszę, módlmy się za nimi.“ Czyście się wy, kochane dziatki, które to czytacie, już też kiedy modliły? Nie pytam się, czyście się modliły wargami swemi, lecz czyście się modliły ze serca? Jeżeli tak się modlicie, to was P. Bóg pewnie wysłucha. Bóg wysłuchiwa modlitwy dziełek swoich. „Znowu P. Bóg wysłuchiwał mą modlitwę,“ zauważała mała dziewczynka, „mój ojciec, co zawsze kłął, przestał kłąć, odkąd się zań modłę.“ Módlcie się tedy zawždy miłe dziatki! Może nie raz wydaje się, jakoby modły wasze wysłuchane nie zostały, ale tak nie jest, albowiem to P. Jezus przyrzeka, mówiąc: „Proście, a będzie wam dano; szukajcie a znajdziecie; kołajcie, a będzie wam otworzono.“ — (Mat. 7, 7.)

Bishop.

Okręt w płomieniach.

Piękny, wielki okręt, na którym było koło 500 ludzi, wpływał dnia pewnego już wesoło do portu, gdy nagle ozwał się krzyk, że ogień na pokładzie. Okręt z tyłu duszami ludzkimi był w największém niebezpieczeństwie, a do ocalenia jego trzeba było największej zręczności i ostrożności.

Kapitan znajdował się w największém przeżeniu. Przyszło mu na myśl, że z całej załogi tylko jeden jest w stanie doprowadzić okręt do portu, a tym był sędziwy Jan Reinhard. Ale czy będzie mógł wytrzymać upał, który koło steru był największy? Niech się Bóg nad nami zlituje, bo tu już ludzka pomoc nie wystarczy; lecz jednak zapytam się Jana, czyby się nie odważył do steru.

Kazał zawołać Jana, wystawił mu, jak drogich jest 500 dusz ludzkich; jak smutną by było, gdyby tak blisko od brzegu jednak zginąć musiały, i zapytał go, azaliby dla ocalenia 500 ludzi nie był gotów poświęcić siebie i wystawić się u steru na upał płomieni? „Od razu!“ odparł Jan, i natychmiast poszedł do steru. Deszcz

węgla gorejących powitał go tam a wśród dymu ledwie że się zaraz nie zadusił. „Czy wytrzymasz tam Janie?“ pyta się kapitan. „Wytrzymam, kapitanie,“ odpowiada sędziwy bohater! Pożar coraz bardziej się rozszerza a ręce Jana ledwie że trzymają się steru. „Czy jeszcze dziesięć minut wytrzymasz Janie?“ pyta znowu kapitan. „Tak jest, kapitanie,“ słyszeć cichą odpowiedź. Już tylko pięć minut do brzegu a kapitan po raz trzeci woła: „Czy jeszcze 5 minut wytrzymasz, Janie?“ Konającym głosem dochodzi odpowiedź: „Jeszcze — kapitanie.“ — Okręt ocalony już wchodzi do portu, lecz wybawca jego, podobny do węgla, już nie żyje więcej.

Chwała tobie, szlachetny bohaterze! Niechby przykład twój wiele miał naśladowców!

Większej miłości nad tę żaden nie ma, jedno kto duszę swoją położy za przyjaciół swoje.

Miłe dziatki, przed 1800 laty przyszedł także z nieba jeden, aby ocalił podróżnych. Same utrapienia i niebezpieczeństwa a na końcu śmierć okrutna go spotkała. Ten byłby mógł powrócić do nieba, pozostawiając świat w zginieniu, ale zaudał wielką była miłość jego, dla tego mężnie pozostał. Był ubogim i wzgardzonym, potem go zdradzono, ale to wszystko znośił mężnie. W obliczu śmierci haniebnej modlił się w ogrodzie: „Ojcie, jeżeli można, niech mię nie ten kielich.“ Lecz nie było można, przeto wychylił go aż do dna. Szedł na Golgotę, został ukrzyżowany — ale i tu jeszcze mógł zstąpić z krzyża i ratować siebie, lecz z miłości zniósł wszystko za nas.

Słońce się zaczęło, Bóg oblicze swe przed nim zakrył, lecz on jednak wszystko zniósł, gotów wszystkich, co w nim zaufali, zawieść do portu niebieskiego, choć za to krew swą przelać musiał. Ach Panie Jezu, miłość twoja jest nieobjęta! Czyż chciałybyście dlań, miłe dziatki, być niewdzięczne i nie stworzyć mu serc waszych? *Bernardo.*

Wszystkie opowiadania „wesołego poselstwa“ są prawdziwe.



CZ 11 789/1890

Wesołe poselstwo dla dzieci.

CZ 3062



K 304/02 Nr. 9.
12,00 (nr 9-20)

Dziękuję, kapitanie!

Dziękuję, kapitanie!

Cesarz Napoleon odbywał pewnego razu przegląd wojska swego; było to jakoś w kilka lat po jego wstąpieniu na tron Francji. Siedząc na koniu upuścił przez nieostrożność z ręki swej lejce. Naraz się koń spłoszył i w nogi z cesarzem, niewiedzieć dokąd! Marszałkowie, generałowie, oficerowie armii, widząc co się dzieje, pobledli z trwogi, lecz nikt nie był w stanie niebezpieczeństwu zapobiedz. Naraz wystąpił z pośród szeregów pewien prosty żołnierz, wpadł koniowi w drogę, uchwycił za lejce i na miejscu go zatrzymał. Gdy z pokorą i radością włożył lejce do ręki cesarza, uśmiechnął się Napoleon i rzekł: »Dziękuję, kapitanie!«

»Którego pułku, Najjaśniejszy Panie?« zapytał żołnierz z równą przytomnością umysłu, jaką prawie udowodnił. Dotąd bowiem był szeregowcem, a cesarz go kapitanem nazwał.

»Mojej gwardyi!« odrzekł monarcha, patrząc z upodobaniem na żołnierza, który słowu jego od razu zaufał.

Skoro się cesarz odwrócił, złożył żołnierz szyszak i zbroję na ziemię i poszedł sobie między oficerów gwardyi, lubo ani szabli ani ubioru oficerskiego nie miał. Ci na niego zyzem patrzali, dziwując się nad zuchwałością natręta, który się ich trzyma. »Czego chcesz, durniu?« odezwał się jeden z oficerów. — »Dureń jest kapitanem przybocznej gwardyi cesarza!« odparł zapytany, pokornie lecz śmiało. — »Któż to powiedział?« zapytał oficer. -- »On powiedział,« rzekł żołnierz, wskazując na cesarza. W tej samej chwili wszyscy obecni powitali go uprzejmie jako swojego, poczem bez

wszelkiej dalszej uwagi zajął miejsce między nimi.

Bóg mówi: »Kto wierzy, *ma* żywot wieczny.« Bóg to mówi, a słowo jego musi być prawdą. Gdy serce nasze prawdę tę przyjmie, dzieje się to dla tego, ponieważ Bóg tak mówi, nie zaś dla jakichś nadzwyczajnych uczuć serca naszego. »On to powiedział!« — to musi wystarczyć i dla nas.

Kochany czytelniku! Ty także jesteś grzesznikiem, a potrzebujesz zbawienia, choćbyś go nie pragnął. Chodź tedy do wodza i króla swego, a ujawszy Go za rękę, z całego serca Jemu zaufaj. On umarł, a umarł za ciebie; przeto gdy mówi: »Ufaj synu! ufaj córko; odpuszczone są tobie grzechy twoje,« możemy być pewni, że się rzecz tak ma. My zaprawdę więcej mamy powodów Jezusowi ufać, niż ów żołnierz cesarzowi swemu. Nasz wódz samego siebie za nas poświęcił, gdy tymczasem cesarz od żołnierzy swoich poświęcenia żądał. Ufaj człowiecze słowu Pana Boga!

G.

Smutna to sprawa.

Pewna mała dziewczynka przystąpiła pewnego dnia do nauczyciela swego prosząc go, czyby z nim mogła kilka słów przemówić. Widocznie miała coś ciężkiego na sercu i szukała uleczenia. Uprzejme słowo nauczyciela zachęciło ją do wynurzenia swych uczuć.

»O mój Panie,« rzekła drżącymi usty, »jest to smutna sprawa, lecz ja nie Kocham Pana Jezusa.«

»A jakże się do tego zabierasz?« zapytał nauczyciel.

»Tego właśnie nie wiem i proszę Pana o radę,« odpowiedziała. Przytem wyglądała tak żałośnie, jak gdyby o najtrudniejszą sprawę chodziło.

»Apostoł Jan,« rzekł nauczyciel, »który Pana Jezusa więcej kochał niż ktokolwiek inny, pisze w liście swoim te słowa: My Go miłujemy, iż On nas pierwaj umiłował. 1. Jan, 4, 19. — A zatem radzę ci, idź spokojnie do domu i powtarzaj te słowa: *Jezus mię kocha!* Może być, że jutro będziesz w stanie dodać do tego: *Ja Jezusa kocham.*«

Dziewczynka spojrzała na nauczyciela mając łzę w oku i powtórzyła: »*Jezus mię kocha.*« Równocześnie zamyśliła się nad znaczeniem tych słów, wyobrażając sobie, jak Jezus za nas cierpiał i umarł na krzyżu. Myśli te mimowolnie błogiem uczuciem serce napęłniły.

Następnego wieczoru znowu przybyła na nabożeństwo, lecz tym razem oblicze jej radością pałało. Przystąpiwszy do nauczyciela, uściśnęła serdecznie dłoń jego i rzekła: »O mój Panie! ja już kocham Pana Jezusa, bo On mnie tak niewymownie kocha!«

Przyjdź.

Na ostatniej karcie Pisma świętego znajdujemy potrójne wezwanie: »Przyjdź«, jakby Duch Boży nie mógł zakończyć nauk objawienia inaczej, tylko usilnem wezwaniem, aby każda dusza nie mająca odpuszczenia, Chrystusa szukała.

Najprzód czytamy: »Duch i oblubienica mówią: Przyjdź.« — Słowo to brzmi w sercu jakby dźwięk niebieskiego dzwonu, wzywającego do Pana. — Dalej stoi napisano: Kto słyszy, niech

rzecze »Przyjdź«. To jest jakby echo duszy szukającej Pana. — W końcu ostatnie: »Kto pragnie, niech przyjdzie.« Słowo to jest jakby ostatnie uderzenie dzwonu, niby głos ostatni zapraszający biednego grzesznika, aby wprost, jakim jest, przyszedł do Pana.

Na to potrójne wezwanie pyta się dusza, czy może istotnie do Pana przyjść? Odpowiedź słowa Bożego jest zupełnie jasna: »Kto pragnie, niech przyjdzie!« A więc jeżeli *pragniesz*, pragniesz Chrystusa, przyjdź do Niego; On cię niebieską radością obdarzy. Nie zwlekaj z przyjściem, lecz przychodź od razu; przyjdź jeszcze dzisiaj, albowiem mówi: »Dziś, jeżeli głos mój usłyszycie, nie zatwardzajcie serc waszych. Oto dzisiaj czas przyjemny!«

Przyjdź. Przyjdź. Przyjdź.

»Jamci jest droga, prawda i żywot.« Jan 14, 6.

Droga: Pójdź za mną. Jan 1, 43.

Prawda: Uczcie się odemnie. Mat. 11, 29.

Żywot: Mieszkajcie we mnie. Jan 15, 4.

Powiedz Jezusowi!

A szedłszy powiedzieli Jezusowi. Mat. 14, 12.

Mały Wilhelm bawił się w ogrodzie z towarzyszem swoim i rzuciwszy kamykiem rozbił szybę w oknie altanki. W pierwszej chwili chciał to zataić przed mamą, lecz tak się uczuł niespokojnym i niepewnym siebie, że postanowił wyznać swą winę i prosić o przebaczenie.

Matka odpuściła mu i dodała, że mu dla tego daruje karę, ponieważ prawdę

powiedział i nie chciał jej oszukać zatajeniem winy.

A cóż wy czynicie, młodzi przyjaciele? Czy także otwarcie wyznawacie grzechy swoje Panu Jezusowi, albo czy próbujecie zataić je przed Nim i samych siebie poprawić? Tego uczynić nie będziecie w stanie. Przeto wam radzę, wyznajcie grzechy swoje Panu i proście szczerze, aby wam odpuścił. Słowo Jego obiecuje, mówiąc: »Jeźlibyśmy wyznali grzechy nasze, wierny jest Bóg i sprawiedliwy, aby nam odpuścił.« 1. Jan 1, 9.

Wiernym jest; Onci zaiste obietnicy swojej nie zmienili ani nas nie zawiedzie, albowiem »jest wczoraj i dziś, i tenże na wieki.« Zyd. 13, 8.

Sprawiedliwym jest; Onci sam na krzyżu umarł i za wielkie długi nasze zapłacił Bogu, za te wszystkie grzechy, któreśmy my popełnili. »On grzechy nasze na ciele swoim zaniósł na drzewo.« 1. Piotr, 2, 24.

A ztąd widzimy, że Chrystus może i że chce nam odpuścić.

Lecz odpuszczenia grzechów szukając, musimy je nie tylko »wyznać Jezusowi«, lecz także wierzyć, iż nam odpuści.

Ja znam dużo dzieci, co Pana pokornie o odpuszczenie proszą, ale nie wiem, czy także wierzą, iż im odpuścił.

Pewna młoda dziewczynka rzekła do mnie na pewnym zebraniu:

»Moje grzechy mię bardzo niepokoją.«

»A czyś je Panu Jezusowi wyznała?« zapytałam.

»Tak jest, wyznałam; ale pokoju nie znalazłam.«

»A gdyś je wyznała, czyś też wierzyła, że ci odpuścił?«

»Nie,« odpowiedziała.

»To w takim razie,« rzekłem, »najważniejszą rzecz opuściłaś.«

»Czy to wszystko, com powinna uczynić?« zapytała. »Czy mi nic więcej nie trzeba, jak tylko wierzyć, że mi Pan odpuścił?«

»Nic więcej,« rzekłem.

Zatem wyznaliśmy wspólnie Jezusowi winy nasze a sąsiadka moja poszła do domu uspokojona.

Inna dziewczyna napisała do mnie opowiadając: »Upadłszy na kolana swoje wyznałam Panu Jezusowi grzechy swoje błagając odpuszczenia, a On mi odpuścił.«

Lecz słyszę głosy, które mówią: »Ja także Jezusowi wyznałem swój grzech a przecie nie mam pokoju serca.«

Chodzi o to, czyś grzech swój u Jezusa zostawił lub czyś go z sobą napowrót zabrał? Jeźliś go u Pana nie zostawił, jakże go Jezus może zdjąć z ciebie? Ty się od grzechu musisz oderwać, a potem Pan uczyni, jak obiecał, że »wrzuci w głębokość morską wszystkie grzechy nasze.« Micheasz 7, 19. Potem nastąpi, co przyrzekł, mówiąc: »Grzechów ich i nieprawości ich nie wspomnę więcej.« Żyd. 10, 17.

Czujcież a módlcie się, abyście nie weszli w pokuszenie. Mat. 26, 41.

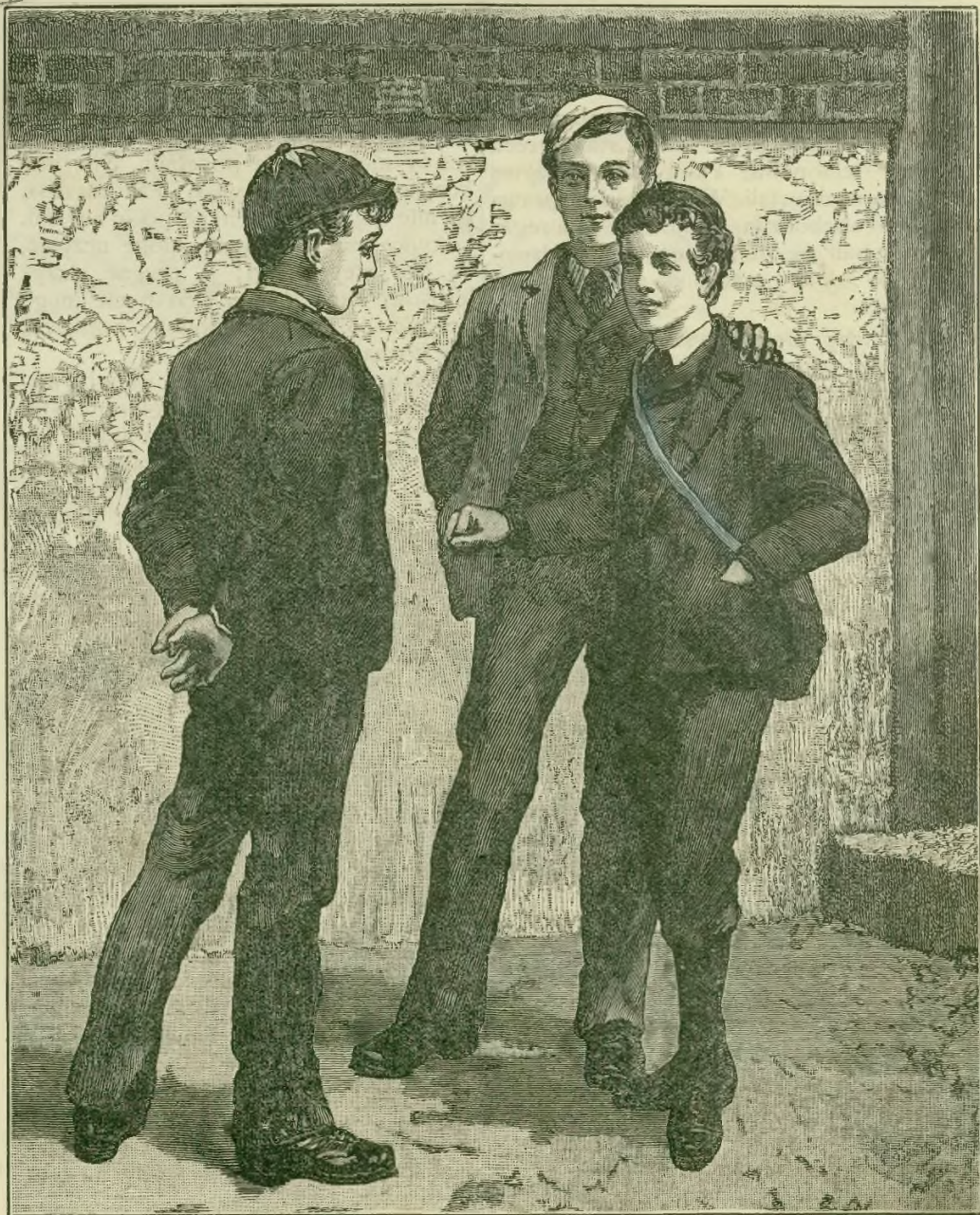
Bądź czujny, a utwierdzaj innych, którzy umrzeć mają. Obj. św. Jana 3, 2.

Miłością wieczną umiłowałem cię, dla tegoć ustawicznie miłosierdzie pokazuję. Jer. 31, 3.

Albowiem nie mamy tu miasta trwałego, ale onego przyszłego szukamy. Do Żyd. 13, 14.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Nie, Pawle; ja nie pójdę, ja nie śmiem.

Było to we środę przed południem; na polu przed szkołą stało trzech chłopców, którzy bardzo żywo z sobą rozmawiali. Widać, że ich sprawa mocno obchodziła. Spojrzawszy na zegar przekonali się, iż za pięć minut zadzwonią do szkoły, przeto się prędko trzeba ugodzić.

»Niktby nie pomyślał, Adamku, że z ciebie taki tchórz,« odezwał się największy z chłopców do najmniejszego. »Daj się namówić, chodź z nami w sobotę na ryby! Gajowego nie będzie w domu; to my z sobą weźmiemy wędki i sieci i prześlicznych pstrągów nałowimy. Ja ci powiadam, że się niczego lękać nie trzeba. Chodź z nami w sobotę!«

»Nie, ja nie mogę, Pawle; a was też proszę, nie róbcie tego.«

»Cicho, nie ucz nas; my wiemy, co robić,« odrzekł najstarszy. »Powiedz nam tylko, dla czego się wzbranasz? Ja i Jerzy koniecznie myślimy, żeś powinien z nami iść.«

»Nie, Pawle, ja nie chcę i nie śmiem.«

»Boś jest tchórz i dzieciak!« jednogłośnie obaj zwodziciele zawołali. Lecz spostrzegłszy się umilkli, widząc, że towarzysz bynajmniej na tchórza nie wyglądał; patrzył przed siebie śmiało i z odwagą, słuchał spokojnie ich szyderstw i obelg, choć mu się lica zaczerwieniły, a drżąca warga dała się domyślać, jak go te przycinki raniły.

»Ale, Adamku,« odezwał się mniejszy uprzejmym głosem, »nie bądźże taki uparty. Wszakżeś dawniej z nami zawsze wiernie trzymał. Cóż ci się naraz

stało? Pomnij, ileśmy to dawniej przjemnych chwil z sobą spędzili!«

»Jabym wolał, żeby niejedno można odmienić, cośmy uczynili,« odparł chłopczyzna poważnym głosem. »Teraz widzę, żeśmy niejedno złe popełnili. Nie, mój kochany; ty się mylisz, jeżeli myślisz, że mię bojaźń wstrzymuje pójść z wami. Ja tylko nie chcę i nie mogę uczynić, co jest nieprawego; ja pragnę służyć Jezusowi Panu memu, przeto nie mogę uczynić, co Mu się niepodoba, ponieważ Go kocham.«

»Ach, z tej strony wiatr wieje!« wybuchnął Paweł szyderczym głosem. »Jeżeli tak, to rozumiem; lecz w takim razie musisz sobie wszelkiej zabawy odmówić, nie śmiesz nawet w piłkę grać z chłopcami. Musisz wyglądać poważnie jak stary.«

»Nie, mój kochany; ja ci pokażę, że dziś nawet lepiej gram niż dawniej; a co do wejścia, to powiedz, czy dziś gorzej wyglądam niż przedtem?«

»Dobrze,« rzekł Paweł, »damy ci trzy miesiące czasu do wypróbowania tych zasad. Potem zobaczymy.« W tem odezwał się dzwonek i wszyscy trzej wracali do klasy.

Następnej soboty ani Paweł, ani Jerzy nie poszli na ryby, z czego się Adam mocno ucieszył, aczkolwiek nie wiedział, że sam swym przykładem był powodem tej zmiany. Po upływie trzech miesięcy przystał Jerzy na stronę Adama i obaj odtąd służyli Panu, z całego serca kochając Chrystusa. Wspólnie się modlili, aby Bóg także Pawła oświecił i do miłości Pana pobudził.

Pewnego razu, przechodząc drogą, spotkali obaj Pawła i zatrzymali się obok niego. »Czy pamiętacie,« zagadnął ich, »jakośmy onej środy na tem

samem miejscu rozmawiali? Ja słów twych, Adamie, nie mogłem zapomnieć, Nie chciałeś uczynić, co się niegodzi, aby nie zasmucić Jezusa, którego *kochasz*. Ten sposób życia daleko mi się lepiej podobał, niż słowa zakonu: To czyń, a tego zaniechaj!»

»No, a czy próbowałeś tego sposobu i polubiłeś go?»

»Tak jest,« rzekł Paweł; »ja także Pana Jezusa kocham i daleko więcej kochać Go pragnę.«

T.

Niebo.

Pewna matka szła z małym swym synkiem przez pole; dzień był piękny i jasny. Chłopczyk ogłądał się w około, a naraz spojrzawszy w górę zastanowił się na chwilę i rzekł: »Ale, mateczko; do nieba jest strasznie wysoko. Jakóż my się tam kiedyś dostaniemy?»

»Ach, moje dziecko,« odrzekła matka, »niebo musi najprzód do nas przyjść, nim my do niego przyjdziemy.« Naturalnie chłopak nie rozumiał, co matka myślała, przeto mu przypomniała słowa Jezusowe, które powiedział, gdy był na ziemi, a mianowicie: »Jeżeli mię kto miłuje, Ojciec mój miłuje go, i do niego przyjdziemy, a mieszkanie u niego uczynimy.« Jan. 14, 23.

Jezus jest gotów przyjść do serca twego. On stoi u drzwi i kołace, azalibyśmy Mu nie otworzyli. Gdy przychodzi, tedy z sobą niebo przynosi. Wpuśćmy Go i zrobmy u siebie mieszkanie, On nam w sercu niebo zgotuje. Lecz jeżeli my Go nie przyjmujemy i tu Mu w sercu mieszkać nie damy, On nas też kiedyś nie przyjmie do siebie,

ani u siebie przebywać pozwoli. »Niebo musi przyjść do nas, nim my do niego przyjdziemy.«

Zrobie czy zrobiono?

Z kościoła pewnej wioski wyszedł uroczysty orszak pogrzebowy, dziedzicznego Pana prowadzono na cmentarz do grobu. Za trumną jego szedł w głębokim żalu jedyny syn, szesnastoletni młodzieniec, o wdzięcznych rysach twarzy, na której się głębokie wzruszenie serca odbijało. Kochał ojca swego miłością dzieciinną, a teraz żegnając się z nim w dwójnasob odczuł, czem dla niego był. Gdy ledwie pierwszy rok życia ukończył, umarła mu matka, a od tego czasu był mu ojciec wszystkim, czem człowiek człowiekowi może być na ziemi. Gorącą wdzięczność czuło serce jego tak w obec Boga jak ojca swego. Gdy ciało jego składano w grób, ślubował Franek — takie było nazwisko młodzieńca, — że nigdy w życiu nie zapomni słów, któremi się ojciec w ostatniej chwili odezwał, mówiąc: »Synu! do widzenia w niebie! Tak sobie postępuj, żebyśmy się znowu spotkali u Pana.« Powróciwszy do domu z cmentarza, chciał tylko niektóre rzeczy załatwić a potem wracać do szkół, gdzie dotąd nie jedną chwilę lekkomyślnie zmarnował.

Z początku uwiadomił swych przyjaciół, iż nie może dużo z nimi przebywać, ponieważ postanowił pilnie i sumiennie obowiązki swoje pełnić. Ułożył nawet pewien podział czasu, chcąc się go trzymać każdego dnia; postanowił każdego poranku i wieczora jeden rozdział biblij przeczytać, regularnie się modlić a z pieniędzy przeznaczonych na potrzeby swoje pewną część na cele misyi ofiarować.

»Jakiż to piękny zrobił początek!« powiedzą czytelnicy. Lecz szatan go także za to pochwalił, wiedząc bardzo dobrze, jak się ma rzecz z postanowieniami ludzkiemi. Franek trzymał się przez niejaki czas tych zasad, lecz w krótko dostawszy się między towarzyszy, zapomniiał o nich i żył znów jak dawniej.

Po upływie czterech lat wrócił do domu i objął majątek. Zaraz pierwszego dnia poszedł na grób ojca swego i ślubował tam, iż czynów jego naśladować będzie. »Niech nikt nie powie, że pamięć ojca splamilem. Ja kościół poprawię, szkołę zbuduję i nową kartę życia rozpocznę.« W obec tych zamiarów szeptał znowu szatan i mówił: »To pięknie; to pewnie zrob.«

Po upływie kilku dni donosiły gazety, że na pewnej kolei zdarzył się nieszczęśliwy wypadek, dwa pociągi uderzyły o siebie i dużo podróżnych zostało ciężko pokaleczonych. Między nimi był także młody właściciel wioski, znany nam Franek. Odniesiono go do szpitalu, gdzie stracił przytomność i leżał w gorączce. Nie był wprawdzie śmiertelnie chory, lecz w każdym razie niebezpieczne rany otrzymał. Gdy w nocy odzyskał przytomność, nie mógł zasnąć i ustawicznie o nieboszczyku ojcu rozmyślał. Przypominał sobie słowa, które mi go na śmiertelnej pościeli żegnał, i ustawicznie wzdychał, na słabość serca swego narzekając.

Rano czuł się bardzo osłabionym, lecz w okamgnieniu zajaśniało oblicze jego radością, gdy ujrzał nad sobą staroego lekarza ojca swego, z którym się już dawniej zaprzyjaźnił. Był to człowiek głębokiej wiary i cnotliwego życia.

»Ach smutna rzecz, mój drogi Panie,« odezwał się Franek; »tu mię naraz wi-

dzisz we szpitalu. Całą noc męczyły mię bole i nie wiem wcale, co to ze mną będzie.« »Wiem o twem cierpieniu,« rzekł lekarz, »bo o czwartej rano już byłem u ciebie, całą noc jechałem; aleś ty mię nie poznał.«

Zaczęli rozmowę o rozlicznych rzeczach, w ciągu której lekarz jako prawdziwy przyjaciel nieboszczyka ojca nadmienił synowi niejedną sprawę, która się z wolą ojca nie zgadzała. Młodzieniec przyjął jego napomnienie i ślubował poprawę, skoro wyzdrowieje.

»Ach, mój przyjacielu,« odparł starsuszek; »tej nocy słuchając majaczeń twoich, miałem sposobność zrozumieć, w czym twój błąd zależy. Ty zawsze mówisz »zrobię«, zamiast pamiętać, że już jest »zrobiono«. Jezus to uczynił. On jest »droga« nasza; bez Niego nic nie uczynimy. Dotąd próbowałeś własną iść drogą; postanowiłeś czytać w Biblii, porzucić swych towarzyszy, budować szkołę, a cóż uczyniłeś!? Zacznij z Jezusem; Jemu serce oddaj, a potem przez miłość Jego uczyni, co najlepszego możesz, Panu na chwałę.« Słowa starsuszka trafiły młodzieńcowi do serca; w sile Chrystusowej uczynił odtąd, czego sam z siebie wykonać nie mógł. T.

Bezemnie nic uczynić nie możecie.
Jan. 15, 5.

W pokoju się i położę i zasnę, bo Ty sam, Panie! czynisz, że bezpiecznie mieszkam. Ps. 3, 9.

Jam się ukladł, i zasnąłem, a ocuciłem się; bo mię Pan podpierał. Ps. 3, 6.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Podarte album.

Nasza babcia siedziała w wysokim krześle z poręczami, a na jej łonie leżała książka, stare, trochę podarte i poprawione album. Koło staruszki okręcało się czworo wesołych, jasnookich dzieci, prosząc ją uprzejmie, aby nam opowiedziała, jak się miała rzecz z onym album, które jakieśmy widziały, po Biblii najbardziej ceniła. Babcia zdjęła z oczu okulary i spojrzawszy na nas z uśmiechem zaczęła opowiadać.

»Moje dzieci! Wy się dziwicie, dla czego tę starą książkę tak wysoko cenię. Ona już dziś nie wygląda pięknie, a nawet atrament, którym niegdyś drogie mi osoby imiona swoje i wiersze pisały, pobladł i wypłowił. Byłam małą dziewczynką, liczyłam lat dziesięć — «Pomyślcie sobie, babcia była dziewczynką,» krzyczałyśmy razem, klaskając w dłonie. — »Nie różniłam się od innych dzieci, byłam wesołą, szczęśliwą i o nic się nie troszczyłam, przestrogi i nauki ukochanego ojca mego — tu babcia obtarła łzę cisnącą się do oka — »nie bardzo mi trafiały do serca. Pewnego dnia zawołał mię ojciec do swego pokoju, posadził na krześle i chciał ze mną mówić. Ja się wzbraniałam, nie będąc przyzwyczajoną słuchać czegokolwiek prócz śpiewu ptaków. Lecz gdy ojciec rozkazał, trzeba się było zachować spokojnie. »Kochanie!« odezwał się do mnie, »czas już pomyśleć o rzeczach innych jak tylko o ptakach w ogrodzie. Pomnij, me dziecię, na Pana Jezusa, onego dobrego pasterza; On także ciebie woła do siebie, mówiąc: »Chodź do mnie;« On do ciebie mówi: »Dziecię moje, daj mi serce swoje.« Czy nie

zechcesz, kochanie, oddać się Jemu?» Mnie się w oku zakręciła łza, spojrzałam na poważną głowę ojca, gdzie wśród ciemnych włosów białe nitki się snuły i pomyślałam o wielkim smutku, który go spotkał, gdy prawie przed rokiem kochana matka nasza umarła i na cmentarzu pod kościołem pogrzebaną została. Czując łzy w oczach zsunęłam się z krzesła i rzuciłam się ojcu na szyję mówiąc: »Drogi, kochany ojcie! Ja chcę być lepszą dziewczynką; ja się będę starać, abym cię nigdy nie zasmuciła.«

»Tego ty sama nie potrafisz uczynić, kochane dziecię!« rzekł ojciec czułym głosem, gładząc pukle mych włosów. »Pana Boga musisz prosić o pomoc, on to uczyni. Patrzaj, oto ci przyniosłem książkę.« W tem wręczył mi to album. »Wypisałem w niej kilka wyroków z Pisma świętego. Jezli je z modlitwą i uwagą czytać będziesz, to ci Pan Bóg pomoże serce twe odmienić.«

Oko jego patrzało na mnie łagodnie, aby się przekonać, czy mi się dar podoba. Nie potrzebuje zapewniać, że mi się podobał. Otworzywszy książkę, na pierwszej karcie znalazłam napis: »Annie R. od kochającego ją ojca. Błogosławieństwo Chrystusowe z tobą.«

Myśmy oglądały napis i podziwiały dar. W tem się moja siostra odezwała, mówiąc: »Babciu kochana! Tak tę książkę lubisz, jakóżes ją tedy podarła?»

Babcia westchnawszy mówiła dalej. Było to kilka dni przedtem, nim na nową drogę wstąpiłam. Pewnego popołudnia siedząc w swym pokoju, czytałam w tej książce. W tem słyszę głos ojca, który mię wołał. Przyszła do nas pewna ciocia z synkiem swym i ojciec rozkazał mi, abym ją do wyznaczonego pokoju zaprowadziła. Ja położyłam album

na kanapie i poszłam z cicią. Dłuższy czas byłam gdzieś zajęta i zapomniałam o książce. Naraz mię ojciec wysłał po coś do drugiego pokoju. Wstąpiwszy przerażający ujrzałam obraz. Mój mały kuzynek siedzi na ziemi, przed sobą ma album i rwie kartę za kartą, rozrzucając je po podłodze. Na ten widok wpadłam w gniew i uderzyłam chłopaka po pulchnej rączce tak, aż posiniała. Porwawszy album i podarte karty poleciałam do swego pokoju, upadłam na kolana i gorzko płakałam, tak nad album jak nad sobą. Mały chłopczyzna przeżalście krzyczał. Naraz wstępuje do pokoju ojciec zaniepokojony i pyta, dla czego chłopca tak uderzyłam? Gdym mu książkę pokazała, rzekł: »Widzę, żeś się jeszcze niczego z niej nie nauczyła, bo nie umiesz panować nad sobą.« Słowa ojca, jako też całe to zajście pobudziły mię do szukania Chrystusa i służenia Jemu. Ojciec mój poprawił album, ile się to uczynić dało, a ja od tej chwili stałam się inną.

G.

Szczególniejszy list.

Było to roku 1604. Na tronie Anglii siedział król Jakób I., gorliwy zwolennik kościoła ewangelickiego. W łonie jezuickiego stronnictwa znalazło się kilku fanatyków, którzy się sprzyśięgli, że króla i cały rząd zgładzą. W tym celu wydzierżawili niewielki domek obok pałacu, w którym parlament angielski aż po dziś dzień posiedzenia odbywa; ztąd wykopali podziemny ganek, przez który chcieli kilka beczek prochu do strzelania do parlamentu wprowadzić i podczas posiedzenia wysadzić pałac w powietrze. Rzeczywiście udało się spiskowcom 36 beczek prochu do strzelania umieścić w piwnicach parlamentu, które zakryli drzewem i gałęziami, tak iż wszystko było przygotowane na dzień 5. listopada. Jedna iskierka,

a cały pałac z królem i parlamentem polecą w powietrze.

Trzy dni przedtem siedział pewien członek parlamentu w domu swym, przeglądając listy, które nadeszły, aż naraz znajduje tajemniczy list bez podpisu, w którym była przestroga, że parlamentowi grozi niebezpieczeństwo. »Nie będzie rozruchu,« stało napisane, »ale straszne uderzenie nastąpi, i nikt się nie dowie, od kogo pochodziło.«

Przeczytawszy list nie mógł sobie znaczenia jego wytłumaczyć. Lecz jakieś przeczucie nie dało mu spokoju, przeto poszedł do niektórych dworzan i pokazawszy list dowiadywał się, co może znaczyć. Pierwszy z nich odezwał się mniej więcej temi słowy: »Oczywiście chciał ktoś Pana przestraszyć, przeto takie głupstwo napisał. Nie myśl o tem i nie daj sobie humoru zepsuć.« Odpowiedź ta nie zaspokoila magnata, bo mu się wydawało, że piśzącemu chodziło o przestrożę, a nie o postrach. Przeto poszedł do drugiego dworzanina. Ten przeczytawszy list pomyślał na chwilę, a potem rzekł: »Tego nikt nie może zrozumieć; wrzuc Pan pismo do pieca i nie myśl o niem.«

Ta odpowiedź nie zaspokoila magnata, bo mu się wydawało, że list koniecznie ma jakieś znaczenie. Poszedł więc do trzeciego dworzanina. Ten nie mogąc dociec tajemnicy, radził zachować list na czas późniejszy, może się sprawa sama wyjaśni. Magnat nie mógł się uspokoić i poszedł do króla. Jakób przeczytawszy list wpadł na myśl, że owo »straszne uderzenie« chyba z prochem do strzelania jest połączone. Wydał więc rozkaz, aby wszystkie pokoje parlamentu starannie przeszukano. Gdy wojsko weszło do piwnicy, znaleźli kupę drwa i gałęzi, pod którymi było ukrytych 36 beczek z prochem do strzelania. Przy nich stał człowiek, mając przygotowany lunt, bo tego samego dnia miał podczas posiedzenia parlamentu wysadzić pałac w powietrze.

List nieznanego ocalił parlament od okropnej śmierci. Cudownem, zaprawdę, było to ocalenie. Lecz inny jeszcze nie mniej cudowny, mamy list od Boga, który nas ostrzega, abyśmy groźniejszą

śmiercią nie zginęli. Co onego nieznanego pobudziło ostrzedz przyjaciela, tego nie wiemy, lecz co do duszy naszej doskonale wiemy, że Bóg jedynie przez ojcowską miłość przed wiecznym upadkiem nas ostrzega. Następujących kilka wyroków niech będzie dowodem tej prawdy.

»Miłością wieczną umiłowalem cię, dla tegoć ustawicznie miłosierdzie okazuję.« Jerem. 31, 3

»Tak Bóg umiował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny.« Jan. 3, 16

»Syn Boży mię umiował i wydał samego siebie za mię.« Gal. 2, 20.

Pismo Boże ma równie zamiar ostrzedz nas przed niebezpieczeństwem, które każdemu człowiekowi grozi.

»Uciekajcie przed przyszłym gniewem.« Mat. 3, 7.

»Albowiem wszyscy zgrzeszyli i nie dostaje im chwały Bożej.« Rzym. 3, 23

»A po śmierci będzie sąd.« Do Żyd. 9, 27.

List nieznanego nie powiedział magnatowi, co ma czynić, aby uszedł niebezpieczeństwa, lecz słowo Boże wyraźnie drogę określa.

»Rzekł Jezus: Jamci jest ta droga.« Jan. 14, 6.

»Nie bój się, bom cię odkupił.« Izaj. 43, 1.

»Pójdźcie do mnie.« Mat. 11, 28.

Zachodzi więc zapytanie, co my z onym cu-downym listem Boga uczynimy?

Może niektórzy to samo czynią, co owi trzej dworzanie radzili. Pierwszy z nich, jak wspomnieliśmy, był zdania, że ten człowiek, który ów list napisał, miał tylko zamiar przestraszyć przyjaciela swego. Tak samo i dziś mówią; powiadają, że słowo Boże tylko ludzi straszy, a groźby jego nigdy się nie spełnią. Lecz czy żarty i szyderstwa ludzkie sprawę odmienią i drogom Bożym przeszkodzą? Nigdy! Gdyby ów magnat był usłuchał rady dworzanina, mocno byłby tego później żałował. Byłby się niestety za późno przekonał, że list był prawdziwy, tylko nim gardzić nie należało. Tak samo ma się rzecz ze słowem Bożem. Ono jest prawdziwe. Świat je może lekce poważać i drwić z niego, lecz przez to drogi Boga nie zmieni. Jeżeli na drogę,

którą Pan poleca, nie wstąpimy, tedy dusza nasza kłęski i potępienia wiecznego nie ujdzie.

Drugi dworzanie, nie mogąc treści listu zrozumieć, był zdania, że list w ogóle żadnego sensu nie ma. Nie inaczej postępują ludzie ze słowem Bożem. Albo go wcale nie czytają, albo czytając nie zadają sobie pracy, żeby naukę jego pojęli. Potem przychodzą i chcą w nas wmówić, że w Słowie Bożem nic rozumnego nie znajdują, ani myśli jego nie rozumieją. Wielki to nierozum! Słowo Boże jest tak jasne i tak wyraźne, iż nawet dziecię nauk jego wyrozumieć zdoła, mianowicie naukę o miłości Zbawiciela naszego, którą pewna mała dziewczynka dwoma zdaniem ślicznie ogarnęła, modląc się i mówiąc: »Panie Jezu, pokaż mi, jak ja jestem grzeszną, a jak Ty moim jesteś Zbawicielem.«

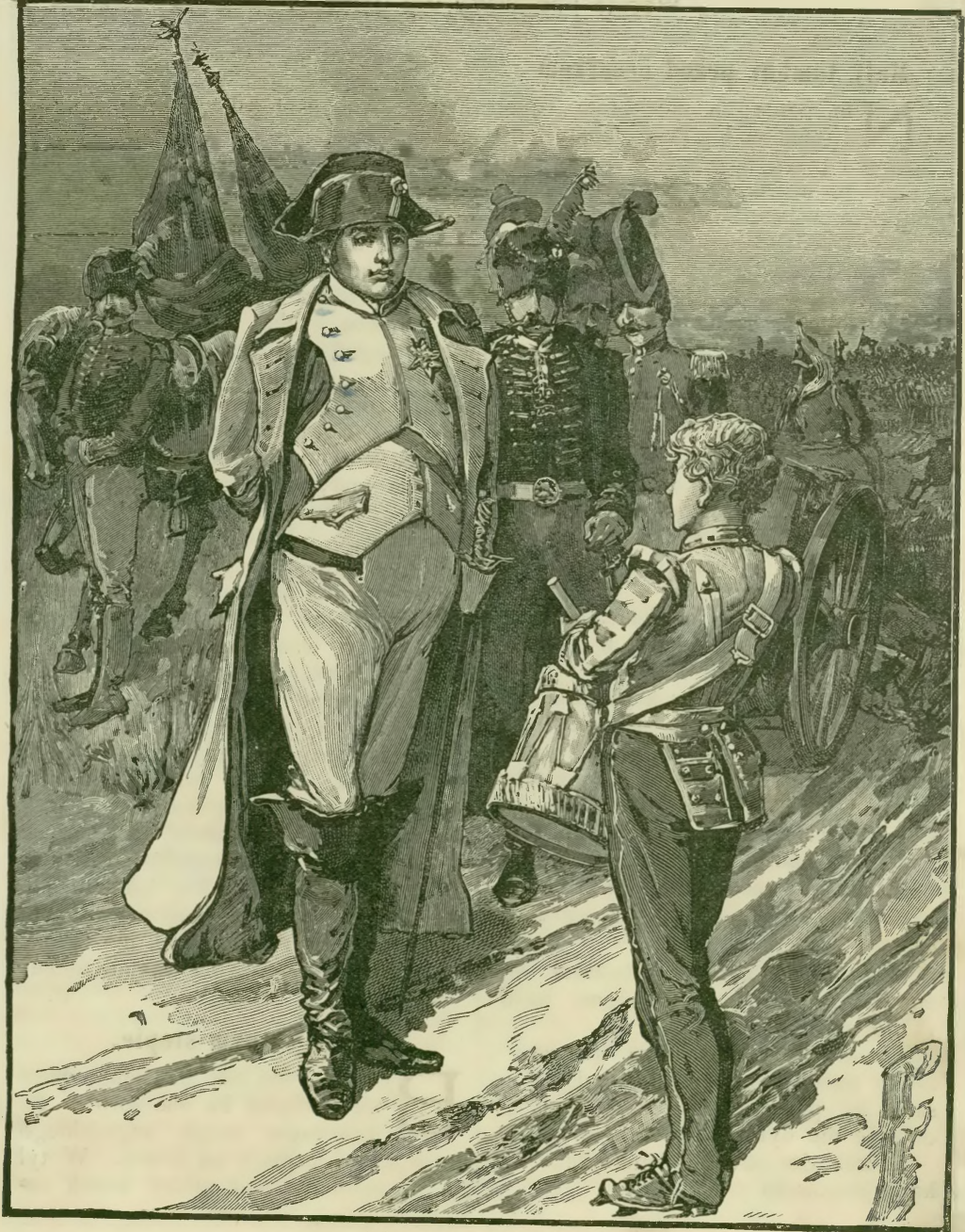
A może dużo chłopców i dziewcząt równie jak ludzi dorosłych za radą trzeciego dworzanina idzie. Słowem Bożem nie gardzą ani nie mówią, że go nie rozumieją. Często słuchali, gdy w kościele i szkole ustępy Pisma świętego czytano; może je sami dla siebie czytali i zastanawiali się nad nimi, ale potem odeszedszy zapomnieli i nie troszczyli się więcej o to, czego słowo Boże wymaga. Mieli dużo innych zajęć, przeto sprawy królestwa Bożego na późniejsze czasy odłożyli.

W podobnem położeniu znajdował się może ów członek parlamentu, gdy wymieniony list tajemniczy otrzymał. Może dużo innych listów przed nim leżało, może też inne ważne sprawy załatwienia wymagały. Łatwo mógł odłożyć list na bok z tem postanowieniem, że później sprawy dochodzić będzie. Gdyby tak uczynił, byłby niechybnie życie utracił. Jakaś dziwna tajemnicza siła nie dała mu spokoju, przeto natychmiast zajął się sprawą i wielkiemu nieszczęściu zapobiegł.

Równie i my czytamy. Słowa Bożego i spraw duszy swojej nie zaniedbujemy ani na inny czas nie odkładamy, bo już jutro mogłoby być za późno.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Mały tambur przed cesarzem.

„Nie, panie; ja nie jestem szpiegiem!” odparł chłopak, gdy go złapano i przed nieprzyjaciela stawiono.

Było to w wojnie z Francją. W angielskiem wojsku służył młody chłopak, liczący lat ledwie piętnaście. Pełnił służbę tambura i powszechnie był lubiony u żołnierzy. Pewnego razu zdjęła go ciekawość obejrzeć sobie trochę ten obcy kraj, do którego przemaszerowano; przez nieostrożność wyszedł sam jeden z obozu i trochę za daleko wysunął się naprzód, aż blisko pod obóz francuskiego wojska. Naraz go kilku francuskich żołnierzy otoczyło, zabrali go i jako jeńca przed generała stawili. Dowódca przezwiał go szpiegiem i karą śmierci zagroził, na co chłopiec z oburzeniem odparł, że szpiegiem nie jest.

»Chciałbym tedy wiedzieć, czem jesteś?» odrzekł szyderczo, z pogardą oficer.

»Jestem tamburem w angielskiej służbie!» odparł chłopiec dumnie i stanowczo.

Żołnierze francuscy śmiali się z tego, a wódz ich nie wiedział, co myśleć. Chłopiec widząc szydercze ich spojrzenia stracił już nadzieję ocalenia swego, bo wiedział, że szpiegów karano śmiercią.

W końcu zaprowadzono jeńca przed samego cesarza.

»Przynieście bęben!» rozkazał monarcha; a gdy to uczyniono rzekł: »Chłopcze, tnij marszał!»

Tambur wyběnił kilka marszów i nowej zaczął nabierać otuchy. Lecz cesarz nie przestał patrzeć surowo, widocznie nie był zadowolony.

»Teraz do odwrotu uderzysz!» rozkazał monarcha.

»Do odwrotu, Najjaśniejszy Panie?» odezwał się chłopiec. »Ja nie wiem, co to jest. Angielski żołnierz woli umrzeć niż się cofać!»

Po tych słowach niczego już się nie spodziewał jak śmierci, bo takiej odpowiedzi nieprzyjaciel nieprzebaczy. Lecz cesarz z upodobaniem uśmiechnął się, podziwiając odwagę chłopaka i kazał go wypuścić na wolność. Wezwano go do namiotu wodza, tam wręczono mu list do angielskiego generała, wyrażający podziw i pochwałę dla dzielnego chłopaka, który się z taką odwagą i godnością o ziomkach swych odzywał.

Chrześcijański bojowniku, bojujący dobry bój wiary, ty także nie powinienes wiedzieć, co to jest »odwrot« w służbie Pana twego. Jakiegokolwiek niebezpieczeństwa grożą, jacykolwiek nieprzyjacielem na nas uderzają, stójmy niezachwianie i bez wszelkiej trwogi, nie dając się w wierności Pana swego zachwiać. Szczególnie wy, młodzieńcy nasi, weźmijcie sobie za wzór onego chłopaka i nie dajcie się zastraszyć. Jeżeli Jezusowi służycie, niejedna trudność was spotka. Jeżeli w szkole jesteście, będą z was szydzić współuczniowie, jeżeli w służbie jakiej, otoczenie wasze drwić będzie z was. Może najbliżsi wasi złorzeczyć wam będą. Nie lękajcie się. Spójrzycie wzgórze o pomoc do Pana, w sercu swem postanówcie, nie cofnąć się nazad, a zwycięstwo was nie minie!

P.

Na samotnym stepie.

Było to przed laty dawnemi, dzień się nachylał ku wieczorowi. Po samotnym stepie angielskiego kraju jechał jeździec na koniu. W tył po za siodłem miał gruby worek na-

pchany książkami i papierami. O stepie krążyły pogłoski, że się czasami zbójcy w nim zjawiają. Nasz podróżny jechał spokojnie, nucąc nabożną piosnkę i o niebezpieczeństwie nie myślał. Naraz: »stój!«, odezwał się głos i tuż obok niego stoi zbójca z nabitą strzelbą. Mierząc nią w pierś jeźdźcy woła zuchwale: »Dawaj pieniądze, bo strzele!« Podróżny wydobył z kieszeni sakiewkę, w której miał kilka groszy, i oddał zbójcy. Lecz ten nie był zadowolonym, kazał więc otworzyć worek, przejrzał książki, przeszukał skromne odzienie podróżnego a nic więcej nie znalazłszy z niechęcią się oddał.

Gdy kilka kroków odszedł, zawołał na niego podróżny, wzywając do siebie. Zbójca myślał, że się jeszcze coś znalazło i wrócił do niego.

»Może się zdarzyć,« rzekł jeździec, »że kiedyś tego trybu życia pożałujesz; wtemczas sobie wspomnij,« uroczyście dodał, »że krew Jezusa Chrystusa oczyszcza nas od wszelkiego grzechu.«

Zbójca odwrócił się z niechęcią, lecz nie mógł utaić wrażenia, które te słowa i uroczysty sposób człowieka na nim wywarły. Szedł swoją drogą trzymając w ręku zdobyte grosze, lecz w sercu strzałę unosił. Przy tej sposobności poznał podróżnego; był to Jan Wesley, słynny czasu swego kaznodzieja angielski, od którego Metodyści pochodzą.

Minęło lat kilka; z pewnego kościoła szły tłumy ludu, bo się prawie nabożeństwo skończyło, na którym miał Wesley kazanie. Dużo ludzi czekało u bramy, aby ucisnąć rękę kaznodziei, bo słowa jego serca przekruszały. Wesley jednak nie przychodził, bo go na ganku człowiek zagadnął i dłużej z nim przemawiał. Był to pewien kupiec, który od kilku

lat przebywał w mieście słynąc z pracowitości i pobożności. Przyszedł do miasta jako ubogi wyrobnik, lecz się powoli majątku i znaczenia dorobił.

Opowiadanie jego musiało mocno Wesley'a zajmować, bo długo z nim rozmawiał. Był to ten sam zbójca, który go przed laty na stepie obrał. Łaska Boża ocaliła go, jak głównię z ognia. Słowa podróżnego tak mu wtenczas w sercu utkwiły, iż się ich więcej nie pozbył. We dnie i w nocy go prześladowały. Wziął więc Bibliję i zaczął w niej czytać, aż go Duch Boży na nową drogę nawrócił i nowe życie rozpocząć pomógł. »A wszystko to,« rzekł, »czem dzisiaj jestem, Panu zawdzięczam.« »Nie mnie,« odparł Wesley, »ale cudownej miłości Bożej.«

Wielkie są litości Boże.

W pewnej rodzinie było kilkoro dzieci, lecz z pomocą Bożą nie miały niedostatku, bo ojciec i matka wiernie się o nie starali, a Pan Bóg im pomagał. Naraz ojciec popadł w chorobę i umarł, a matka owdowiała ledwie była w stanie wyżywić swe dzieci. Do tego ciężki spotkał ją żal, bo najstarszy syn, który jej miał być podporą, dostał się między złe towarzystwo i zupełnie matki się zaparł. Pewnego dnia wcale zniknął i nikt nie wiedział, co się z nim stało. Nie powiedziawszy matce i słowa poszedł w świat daleki bez pożegnania i nie wrócił do domu.

Biedna niewiasta męczyła się jak mogła; dzieci odchowała i z każdego doznawała pociechy, lecz o pierworodnym jednak nie zapomniała. Inni ludzie przestali o nim mówić, uważając go za umarłego, lecz macierzyńskie serce je-

dnak się spodziewało, że go jeszcze kiedyś żywego zobaczy. W zimnych wieczorach zimowych, gdy na dworze wiatry huczały, westchnęła nieraz boleśnie, bo sobie wyobrażała, że się może gdzieś na morzu znajdować będzie. Gdy do stołu siadali, naumyślnie o jedno krzesło więcej stawiała, bo się jej zdało, że każdej chwili może powrócić. Tak płynęły dni i lata; matka postarzała i bardzo się nachyliła ku ziemi, lecz nadziei serca nie utraciła.

Było to pewnego popołudnia w lipcu. Jakiś obcy mężczyzna z długą, czarną brodą przybliżył się do domu, oglądał ogród, budynki, całe otoczenie, aż ujrzał okno, u którego matka siadywała. Był to syn najstarszy, wracający do domu. Poznał matkę, lecz mu sumienie nie pozwoliło rzucić się w jej objęcia. Spuściwszy wzrok do ziemi stał przed jej oknami. Staruszka widząc mężczyznę, poznała w nim syna i wybiegła go powitać. Ujęła dłonie jego rękami i w wielkiem wzruszeniu pragnęła przycisnąć do serca. Syn powoli łagodnie uwolnił swe ręce i rzekł: »Najdroższa matko! przysiągłem przed Bogiem, że nie przekroczę tego progu, aż mi przebaczysz!« Zamiast odpowiedzi złożyła matka pocałowanie na skroni syna; ona mu już dawno odpuściła. Tak macierzyńska miłość winy odpuszcza!

A czy miłość Ojca niebieskiego jest mniejszą? Gdy grzesznik skruszonym sercem do Pana wraca, Bóg mu odpuści, bo »wielkie zaiste są litości Jego.«

Świadełstwo o Chrystusie.

W pewnem mieście kraju Chińczyków stał na ulicy misyonarz, a koło niego gromadka ludzi,

którym opowiadał o radości wielkiej, jaką anioł Pański na polach Betlehemu pasterzom zwiastował. Otoczenie słuchało słów jego z uwagą, w szczególności pochłaniał je formalnie jakiś wyrobnik chiński, który jeszcze nigdy o Chrystusie nie słyszał. Stał i słuchał z taką uwagą, jakby każde słowo w sercu zachować pragnął. Od tej chwili przechodził każdego wieczoru, gdy pracę dzienną zakończył, i zawsze z równem zajęciem słuchał. Nie pochodził z tego samego miasta, był tam tylko na robocie; ojczyzna jego znajdowała się na małej wyspie, w pobliżu brzegu chińskiego kraju. Czas pobytu jego dobiegał do końca, pragnął więc jak najwięcej rzeczy usłyszeć, aby je z sobą zabrać do domu. W końcu powrócił do swoich i więcej do miasta tego nie wrócił.

Po upływie kilku lat dostał się inny misyonarz na oną wyspę, na której jeszcze nigdy noga Europejczyka nie stanęła. Przybywszy zaczął zbierać ludzi koło siebie i opowiadał im o Chrystusie. Ci słuchali ze zdziwieniem, aż w końcu odezwali się, mówiąc: »Toć my temu samemu Zbawicielowi służymy; my waszego Boga wyznawamy.« Tak na onej wyspie zapanowało chrześcijaństwo, nim do nich chrześcijańscy posłowie przybyli. Jakże się to stało? Mili czytelnicy odgadną, że to on chiński wyrobnik uczynił.

Czy i my nie chcemy wstąpić w jego ślady? Jeżeli słowo Chrystusowe serce nasze poruszyło, jeżeli je miłość Jego ogrzała, cieszymy się z daru Pańskiego, dziękujemy zań Panu, ale postąpmy także, jak on wyrobnik postąpił. Bliźnich naszych prowadźmy do Pana.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Dzieci i cyganka.

Mała Kasia i kuzyn jej, Jakóbek, bawili na wsi, w domu swej babci, gdzie się im bardzo dobrze powodziło. Około domu był wielki ogród, w nim rosły drzewa i kwitnęły kwiaty, majowe powietrze wonią napawając. Nie dziw, że dzieci po całych dniach biegały po ogrodzie i jak najlepiej się bawiły. Na końcu ogrodu była piękna altanka; tam urządziły wspańnię obiady, jak to dzieci lubią, i zapraszały gości z okolicy.

Tak płynął dzień za dniem, a każdego razu, gdy szły do ogrodu, przykazywała babcia, aby »nigdy same z niego nie wychodziły.« »O babciu kochana!« odpowiadała Kasia i Jakóbek, »nam tu tak dobrze; nam na myśl nie przyjdzie wynieść z ogrodu.«

Pewnego dnia miało przybyć liczne towarzystwo do altanki, przeto dzieci umówiły się ozdobić ją kwiatami. Biegały po trawie, zbierając kwiaty, poszły między drzewka i krzaki obok parkanu rosnące, naginały gałązki i obrywały kwiecie jak najlepiej mogły. W tem ujrzały jakąś starą kobietę zbliżającą się do parkanu. »Moja panienko!« odezwała się stara do młodej Kasi, »ja mam przy sobie śliczne zwierzątka, sztucznie wypchane; czy nie chciałabyś się na nie popatrzeć?«

»O bardzo chętnie,« odrzekła młoda, »lecz my nie śmiemy z ogrodu wyjść.«

»Przyjdźcie tylko do bramy, ja wam dużo pięknych rzeczy pokażę!«

Dzieci namyślały się trochę, lecz ciekawością zdjęte usłuchnęły w końcu, a cyganka pokazała im małpę i kilka wieiórek, które się bardzo podobały. Potem opowiadała, że ma dużo pięknych

ptaków zamkniętych w klatce, nie daleko stąd, bo tylko o kilka kroków, na rogu ulicy. Dzieci w końcu zapomniawszy przestrogi babci, poszły się na nie popatrzeć i ucieszyły się, widząc jak robią skrzydłami, aby się dostać na wolność.

»Ja wiedziałam,« rzekła cyganka, »że się wam te rzeczy będą podobały. Bo też takim ślicznym i grzecznym dzieciom, jak wy jesteście, nie jedno można pokazać. Patrzcie; tam stoi wóz, a w nim mam w naczyniach prześliczne ryby, pluskające w wodzie. Inni ludzie muszą dziesięć krajcarów zapłacić, jeśli je chcą widzieć; wy jesteście tak grzeczne, wam je bezpłatnie pokażę.«

Rozciekawione dzieci pobiegły po schodach, lecz zamiast ryb znalazły tylko brudne wnętrza wozu, którego drzwi za nimi zamknięto. Zaprzęgnięte konie ruszyły w drogę, a biedne dzieci, widząc co się dzieje, w przerażeniu krzyczały, ale napróżno. Cyganka i jej córka porwały dzieci, zdjęły z nich obuwie i ubiór, okryły brzydkimi szmatami, a gdy już były daleko w polu, wysadziły je z wozu na ziemię i kazały wracać do domu. Wkrótce spotkały służbę, szukającą ich i spotkały babcię w ogromnym niepokoju. »My nie chciałyśmy wyjść z ogrodu,« rzekła z płaczem Kasia, »lecz ta kobieta nas tak namawiała i takie piękne rzeczy pokazywała.« »Pamiętajcie, moje dzieci,« rzekła babcia, »szatan też tak człowiekowi robi; piękne rzeczy obiecuje a potem mu odbierze, co miał dobrego, a w nędzy i nieszczęściu oszukanego zostawi.«

H. B.

Usprawiedliwienie żołnierza.

Podczas wojny amerykańskiej zdarzyło się, że pewien żołnierz oddalił się trochę od swoich, poszedł do

lasu i tam kilka chwil spędził na modlitwie. Gdy wrócił do swoich, popadł w podejrzenie, że podobno zdradził wojsko nieprzyjacielowi, ponieważ w pobliżu rozproszone były oddziały wroga. Wszelkie tłumaczenie nic nie pomogło. Miał wśród kolegów kilku nieprzyjaciół, którzy podnieśli przeciw niemu skargę o zdradę i stanęło na tem, że go rozstrzelają. Wiedzano, iż wszedł w las, tam kilka chwil spędził a potem znów wyszedł. Nie dziw, że się najgorszych rzeczy domyślano; nie trudnem zatem było przypuszczenie, iż wszedł w układy z nieprzyjacielem. Żołnierz twierdził, że poszedł na samotne miejsce, pomodlić się Bogu, jak był zwykł czynić, ponieważ między żołnierzami nie miał sposobności pomodlić się bez przeszkody; twierdził, że każdego dnia tak czynił, bo serce jego czuło potrzebę rozmowy z Bogiem, do czego się w domu rodzicielskim przyzwyczaił. Lecz mu nikt nie wierzył, bo to rzecz niezwykła, żeby się żołnierz tak modlił. Więc go za zdradę na śmierć osądzono i rozstrzelano.

Gdy wyrok sądu przedłożono do zatwierdzenia naczelnemu dowódcy, kazał przed siebie wezwać żołnierza, aby dociec prawdy. Poważnym krokiem wstąpił osądzony przed sędziego swego, a gdy na jego zapytanie uroczyście potwierdził, że chwilę oddalenia spędził na modlitwie, tedy mu wódz rozkazał uklęknąć na kolana i modlić się do Boga, ponieważ musi mieć biegłość w modlitwie, jeżeli tak często z Bogiem rozmawia. Żołnierz usłuchawszy zaczął się głośno modlić. Duch Boży ogarnął w tej chwili serce jego, wskutek czego tak gorącemi słowami wołał do Boga, iż wszyscy obecni aż do łez poruszeni zostali. Dowódca

zabrawszy głos rzekł: »Jesteś uwolnionym; kto tak się modli, zdrajcą być nie może.«

Mała pastereczka.

Było to w pewnej wiosce Szkocyi. Na plebanii mieszkał poważny staruszek, pastor niewielkiego zboru, który znał wszystkich zbowników swoich i wszyscy go też jak ojca czcili i kochali. Od czasu do czasu do każdej chaty wioski zaglądał, rozmawiał z mieszkańcami, czytał z nimi w Biblii i odbywał nabożne zebrania. Ponieważ czuł się słabym na nogi, nabył sobie konika, na którym wierzchem jeździł. Gdziekolwiek przybył, wszędzie go witano, bo wszyscy znali jego dobre serce i chrześciańską gorliwość. Niekiedy szedł także do sąsiednich wiosek i tam ziarno słowa Bożego rozsiewał.

Pewnego razu przybył do jednej z odleglejszych wiosek i zatrzymał się przed domem jednego z większych posiadaczy ziemi. Gospodarz powitał go uprzejmie, tak samo dzieci i czeladź. Wieczór nadchodził, więc poprosili staruszkę, by u nich przenocował. Pastor rozmawiał z gospodarzem o sprawach wioski, o stanie gospodarstwa, a w końcu zapytał, czy nie ma co przeciw temu, iżby odbyli w domu nabożeństwo, nim pójdą spać. Gospodarz zgodził się z całego serca i zwołał wszystkich domowników do wielkiej izby; ci przynieśli swoje kancyonały i Biblię, uklękli na kolana i chcieli się modlić. Pastor zapytał się, czy już są wszyscy zgromadzeni, na co gospodarz odpowiedział, że są wszyscy z wyjątkiem małej pastereczki, która w kuchni czyści naczynia. Duchowny wyraził życzenie, żeby ją także wezwano, ale gospodarz oświadczył, iż jest za bardzo brudna i głupia, przeto o niej więcej mowy nie było. Zaśpiewano pieśń, pastor otworzył Biblię, przeczytał pewien ustęp i w serdecznych słowach do zgromadzonych przemówił. Domownicy rozeszli się zbudowani i pokrzepieni na duszy. W tem pastor wyraził życzenie, czy nie mógłby z ową pasterką przemówić. Zaprowadzono

go do odległej kuchni, gdzie dziewczę stało myjąc garnki i miski. Za pierwszym spojrzeniem przekonał się o prawdzie słów gospodarza, rzeczywiście nie było wiedzieć, czy jest więcej brudna albo czy głupia. Było to dziecko ogromnie zaniedbane. Wyglądała jak istny kopcuszek, bojący się wody i grzebienia. A cóż dopiero co do umysłu! Nawet nie wiedziała, czy ma duszę, po prostu istne cielátko!

»Wiesz ty co, moja kochana,« rzekł pastor, »ja jutro rano muszę odjeżdżać, lecz jeśli mi przyrzeczesz, że każdego dnia będziesz powtarzała krótką modlitwę, której cię nauczę, to ci na przyszły raz nową chustkę przywiozę.« Dziewczyna rozśmiała się z radości, bo oczywiście nie wiele dotąd podarunków otrzymała, i obiecała księdzu wypełnić, czego żądał. Pastor pomyślawszy kazał się jej modlić te słowa: »Panie! pokaż mi, jaką jestem.«

Po upływie kilku miesięcy znowu w to miejsce przybył i z tą samą uprzejmością został przyjęty. W toku rozmowy zapytał się, co ta mała pasterka porabia?

»O, mój Panie!« rzekł gospodarz, »tej się nie dobrze powodzi. Od czasu Pańskiego pobytu jakoś posmutniała, osłabła i cała chora wygląda.« »Czy mogę ją widzieć?« zapytał duchowny. Zaprowadzono go do odległej komory, gdzie na barlogu ze słomy chora leżała.

»Jak się masz, moje dziecko?« zapytał duchowny; »czy powtarzałaś onę modlitwę?« »Powtarzałam,« rzekła, »lecz byłoby lepiej, gdybym tego nie była czyniła, bo w krótkim czasie ogarnął mię wielki niepokój. Poznałam, jak jestem opuszczoną i grzeszną a teraz nigdzie nie mam pokoju; w nocy nie mogę spać a ustawicznie się lękam, co też ze mną będzie, gdy umrę, bo takiego brudasa a takiej grzesznej sieroty, jaką ja jestem, Pan Bóg do siebie nie przyjmie!« Położenie jej cielesne i umysłowe było rzeczywiście pożałowania godne.

Duchowny pocieszył dziewczynę, zwrócił jej oko na Pana Jezusa i na miłość Jego, którą udowodnił, gdy za nas umarł na krzyżu, a w końcu powiedział: »Teraz cię innej modlitwy nauczę, tylko mi musisz obiecać, że ją równie sumiennie powtarzać

będziesz.« Gdy to dziewczyna uczyniła, rzekł: Módl się każdego dnia: »Panie! pokaż mi, jakim ty jesteś!«

Minęło kilka miesięcy, na staruszka przyszła choroba, tak iż już więcej nie był w stanie odwiedzać zborowników i musiał się w stan spoczynku udać. W spokojnem zaciszu, otoczony miłością swoich spędził kilka lat, gdy pewnego razu donoszą, że go jakaś młoda, przystojnie ubrana niewiasta szuka i koniecznie z nim rozmawiać pragnie. Stanąwszy przed starcem ukloniła się z poszanowaniem i zapytała, czy jej nie pozna. »Nie!« rzekł pastor; »nie mogę sobie przypomnieć. Czy miałem kiedy przyjemność widzieć Panią?« — »I owszem,« odrzekła. »Czy Wielebny Pan przypomni sobie, jak w domu gospodarza N. w wiosce A. spotkał ową opuszczoną i zaniedbaną pasterkę?« — »Tak, przypominam sobie,« odpowiedział duchowny; »ta dziewczyna mię mocno zajmowała; czy ją Pani zna? Co się z nią stało?« — »O, znam dobrze; ja sama nią jestem!« Staruszek zdumiał się nad tem, co widział, bo ta niewiasta w niczem do onej pasterki podobną nie była. Ta zewnętrzna i wewnętrzna zmiana nadto uderzała. »Ona druga modlitwa,« opowiadała, »zaprowadziła mię do Jezusa Pana. W nim serce moje znalazło spokój, lecz także siłę odzyskało, że nie jedną trudność przezwyciężyłam. Dziś mam powód dziękować Bogu, bo mię na wewnątrz i na zewnątrz dziwnie ubłogosławił. Nie przestawam mu nigdy za to dziękować, lecz życzyłam sobie także Wielebnemu Ojcu podziękować za Jego dobroć, bo czem dziś jestem, tego jedynie przez one dwie modlitwy dostąpiłam.« — Módlmy się tedy i my, a módlmy się:

Panie! pokaż mi, jakim ja jestem!

Panie! pokaż mi, jakim ty jesteś!

Którzy oczekują Pana, nabywają nowej siły; podnoszą się piórami jako orły; biegną a nie spracują się, chodzą a nie ustawiają. Izaj. 40, 31.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Zabłąkani w gąszczu.

Australia jest po dziś dzień krajem bardzo mało zaludnionym. W pobliżu morza wznoszą się miasta, kwitnie rolnictwo i przemysł, lecz w głąb kraju jeszcze mnóstwo lasów i pustyni. Było to przed laty 25; w pobliżu lasu zbudował sobie pewien osadnik chatkę i oborę na bydło, uprawiał ziemię a dziewicza gleba Australii wspaniały wydawała plon. Gdy ojciec wychodził na rolę, matka zostawała w domu, pilnując dzieci, gotując obiad i wszystkie domowe wykonując prace. Mieli dzieci troje; najstarszy Jerzy liczył lat ośm, Anna lat 7 a Jakóbek 5. Pewnego dnia rzekła matka: »Dzieci, idźcie do lasu po kilka suchych gałązek!« Nie było to dla nich nowością, bo podobne posługi często wykonywały. Każdego razu przykazywała matka, aby się daleko w gęstwinę nie puszczali, ale się w pobliżu domu trzymali. Tym razem stało się inaczej. Czy ujrzały pięknego motylka i biegły go złapać, czy jaki piękny ptak się zjawił, którego chciały bliżej obejrzeć, trudno było się dowiedzieć; słowem dzieci znalazły się wśród gęstwy i zabłąkały się w lesie. Szukając drogi do domu, coraz dalej się od niego oddalały. Zaczęły wołać, lecz się nikt nie odzywał, chyba dzikie ptastwo, przedrzeźniające ich głosy. Zgłodniałe, strwożone, splakane błądziły po lesie, aż w końcu zmierzch zapadł i dzieci zmęczone usiadłszy na ziemi zasnęły. Za chwilę przetarłszy powieki znowu dalej idą, lecz je siły opuściły i musiały się położyć. Mała Anusia zdjęła z siebie sukienkę, obwinęła nią Jakóbka, i położyła go między siebie i starszego brata.

Ojciec wróciwszy z pola do domu,

znajduje przygotowaną wieczerzę i nakryty stół, lecz dzieci nie widzi. Matka rzekła, że poszły po gałęzie do lasu. »Jeśli się tylko nie zabłąkały,« zauważył niespokojnie ojciec, a słowa jego padły jak ciężar na serce matki. Nie siadłszy do stołu wezwał natychmiast kilku sąsiadów i poszli szukać do lasu. Matka w największej trwodze chciała iść z nimi, lecz uważano, że lepiej w domu zostanie, bo może same tymczasem przyjdą. Szukano aż do późnej nocy, lecz najmniejszego śladu nie było. Następnego poranku o świcie wyruszyła jeszcze większa gromada, przeszukano całą okolicę, każdy gąszcz, wołano na wszystkie strony, ale na próżno. Trwoga rodziców doszła do najwyższego stopnia. Musiały chyba gdzieś wpaść w jaką jamę, lub jakieś nieszczęście musiało je spotkać, bo nie podobna, żeby inaczej zginęły bez śladu. Tak minęło siedm dni i ośm nocy ustawicznego szukania i twogi. Nie było nadziei, żeby jeszcze żyły.

W końcu wpadł ktoś na myśl poprosić pomocy dzikich krajowców, którzy w Australii są bardzo podobni do afrykańskich murzynów. Ludzie ci nie odznaczają się wielką bystrością umysłu, lecz mają nadzwyczaj bystre oko i szczególny talent do szukania zgubionych.

Wezwano kilku z nich, pokazano miejsce, gdzie dzieci się znajdowały, a murzyni wkrótce odszukali ich ślady. Spozstrzegli wszystko, gdzie którą gałązkę nagięto, gdzie trawa stopą była przyciśniętą i t. d. »Tu jedno zmęczone siedziało — tu starszy małego niósł i ukłękawszy postawił na nogi — tu upadł na ziemię«....

Nowa nadzieja w sercu matki zabłysła; może przecie jeszcze ujrzy swe dzieci, acz umarłe, bo nie podobna, żedy dotąd

żyły. Tak szli naprzód, aż naraz jeden z krajowców wydał okrzyk, na który najbliższy z sąsiadów ojca siedząc na koniu pośpieszył na miejsce. Ujrzał wszystkich troje, jak leżały w gromadce i twardo spały. Najmłodsze leżało w pośrodku, starannie sukienką siostry obwinęte. Ocucono najstarszego; chciał podnieść rękę, lecz mu opadła od osłabienia; szepnął tylko z cicha, mówiąc: »Ojciec« i znów zasnął; Jakóbek rzekł: »Czemuście nie przyszli; myśmy was wołali,« a biedna Anna, westchnąwszy szepnęła: »Zimno.« Zabrano dzieci śpiące do domu i najtroskliwszą otoczono opieką. Ośm dni i dziewięć nocy spędziły w lesie i raz tylko trochę wody połknęły, a jednak nie umarły. Istny to cud Boży. W skutek najlepszej opieki wyzdrowiały powoli, lecz długo trwało, nim się wybladłe, wynędzniałe liczka znowu zarumieniły.

Wspominając o tem prawdziwym zdarzeniu, mimowolnie przychodzi mi myśl, ile to chłopców i dziewczyn błądzi po świecie, nie w lasach ale po rozmaitych bezdrożach grzechu. Błądzą daleko od rodziców swoich, nie zważają na głos ojca niebieskiego, a w różnych upadkach i marnościach świata serce swe wklają. Obyś nigdy do takowych nie należał, mój kochany synu. A jeżeliś zbłądził od drogi prawej, oto, Jezus, Syn Boży, szuka cię i zachować pragnie, albowiem miłość jego jest wielka i szczerą. O, duszo błądząca po pustyniach grzechu, dajże mu się znaleźć, a »będzie radość w niebiesiech przed anioły Bożymi nad jednym grzesznikiem pokutującym.« *H.*

Doświadczenia bogacza.

Był we Francyi pewien bogaty książę, który na każdy dzień hojnie używał i

nader znakomitych gości u siebie podejmował. Wysokie osobistości w domu jego przebywały. Naraz wybuchła wojna, w której książę wszystkie swe dobra utracił. W końcu tak daleko przyszło, iż kawałka chleba nie było. Za niedługo potem popadł w chorobę i umarł. Po jego śmierci ciekawe rzeczy odkryto. W pewnej szafie znaleziono wielką kupę korków od butelek, a do każdego przywiązana była kartka papieru, na którym była wypisana liczba. Oczywiście te odnosiły się do jakichś zapisów w księgach poczynionych. Szukano takowych i znaleziono w końcu dużą ozdobną księgę, w której było zapisane, kiedy i z kim książę wypił wino z flaszek, których korki na pamiątkę przechował. Tak n. p. stało napisane: »Dnia tego a tego otworzyłem butelkę z numerem 8, i wypilem wino z księciem N. N.«

Na końcu całego spisu znajdował się z czasów późniejszych następujący dodatek: »Wszyscy ci wielcy mężowie dawniej ze mną obcowali i bywali gośćmi w mym domu. Wszyscy mię przyjaciół swym nazywali, gdy byłem bogatym. Dziś się w ubóstwie i w nędzy znajduję, lecz z nich ani jeden o mnie nie wspomniał ani mię odwiedził.«

Jakaż to szkoda dla owego księcia, że wszystek swój czas i bogactwo na to obracał, aby sobie jednac przyjaźń u świata! Jakież szczęście dla nas, kochane dzieci, jeśli my o lepszym wiemy *przyjacielu!*

Naszym przyjacielem niech będzie Pan Jezus. Jezusa przyjaźni tylko szukajmy, a błogo temu, który ją znalazł.

Jezus »jest przyjaciel przychylniejszy nad brata.« Przypow. 18, 24. Jeżeli sobie u świata przyjaciół szukacie, tedy się niegdyś musicie przekonać, że świeccy

przyjaciele i świeckie rozkosze wam nie pomogą, gdy będziecie w nędzy lub w obliczu śmierci. Ale jeśli Pana przyjacielem macie, tedy błogo wam, On was nie opuści, albowiem powiedział: »Nie zaniecham cię, ani cię opuszczę.« Żyd. 13, 5. A zatem Jego przyjaźni szukajcie!

Zbroja małego Jakóba.

Ach, moje dziecię, ja się nie mogę z tobą rozłączyć,« rzekła matka zalana łzami, gdy się Jakób stroił do odejścia. »Ja tej nocy prawie nic nie spałam. Gdy wiatry huczały, zawsze myślałam, w jakim niebezpieczeństwie będziesz na morzu. Ja nie wiem, ale mi się na myśl odejścia twego serce kraje od żalu!«

»Moja droga matko!« rzekł Jakób, »przecież jeszcze wczoraj wieczór samaś mi otuchy dodawała. Pamiętasz, jakoś mówiła, że Bóg łaskawy mię poprowadzi i w opiece swojej zachowa. Ja Jemu ufam, jakoś mię uczyła, i Jego się zawsze wiernie trzymać będę.«

Tak mówił ze wzruszeniem trzynastoletni Jakóbek. Nie był bardzo silnej budowy ciała, raczej trochę subtelnie wyglądał, lecz chorym nie był. Przed rokiem umarł nagle ojciec; matka pozostała z kilkorgiem drobnych dzieci, między którymi Jakób był najstarszy. Chleba w domu nie było, przeto dla biednego chłopca trzeba było szukać go gdzieindziej, a ile można pomagać matce żywić rodzinę. Postanowił pójść na okręt i zostać majtkiem, bo na tej drodze najprędzej spodziewał się dojść do celu. Wyjednał sobie miejsce na okręcie »Kornelia«, który prawie wyjeżdżał z towarami do Południowej Ameryki. Kapitan przyjął go do służby a Jakób prawie układał swój tłumoczek, bo za kilka godzin trzeba było stanąć na pokładzie. Pożegnanie z matką było bardzo rzewne; potem wsunął do kieszeni swój Nowy Testament, który mu nauczyciel podarował, i puścił się w drogę.

Minęło kilka miesięcy. Pierwsza jazda odbyła się spokojnie, żadne niebezpieczeństwo Jakóba nie spotkało; a ponieważ był pilnym i grzecznym, przeto go w krótkie kapitan i majtkowie okrętu pokochali.

Po niejakiem czasie, nabrawszy towarów, wracali do Europy i na samym środku Oceanu ogromna burza okręt zaskoczyła. Trwała dni kilka i nieraz się zdawało, że wały okręt rozbija, bo niekiedy z taką gwałtownością uderzały, iż wszystkie belki

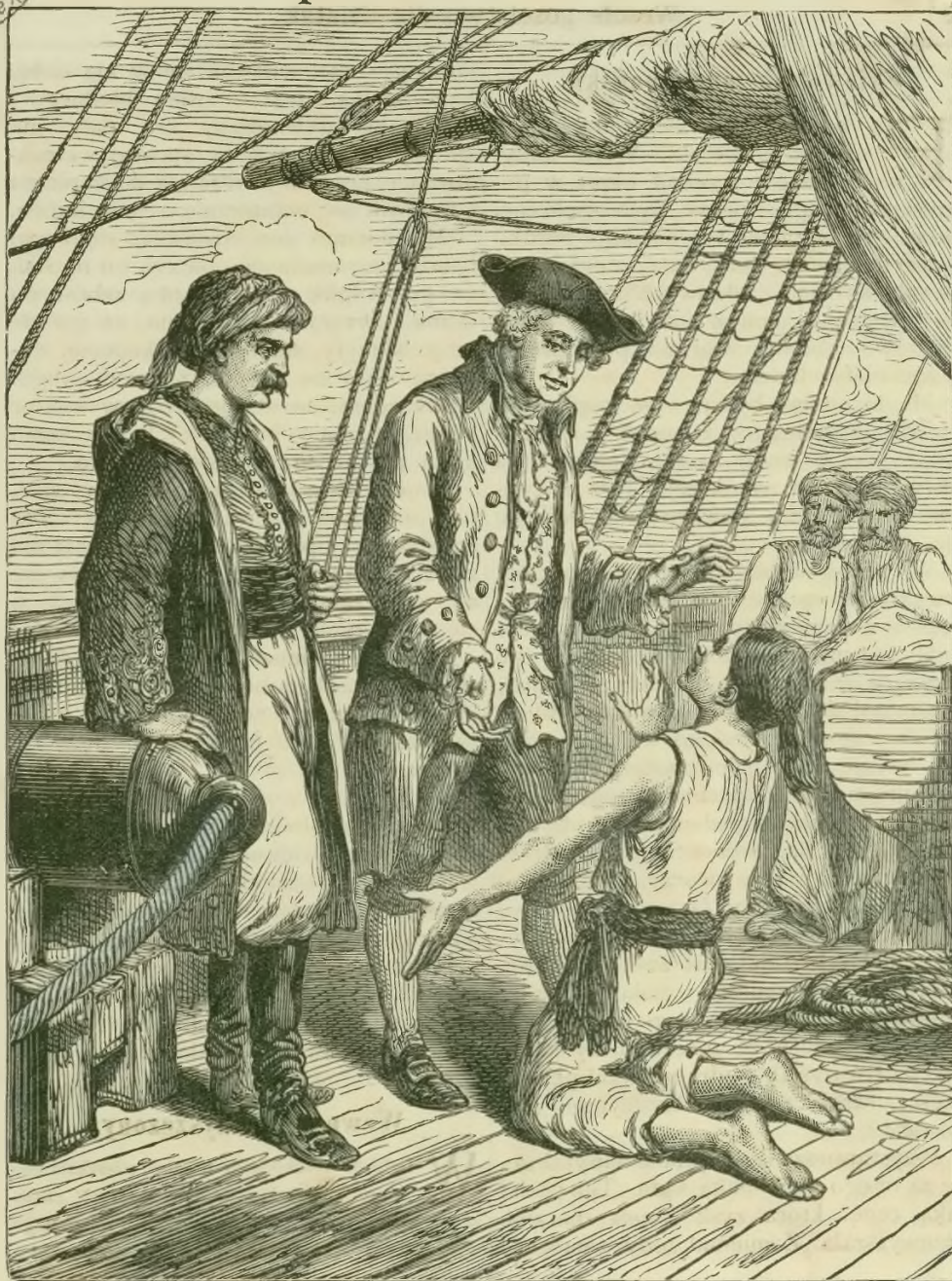
trzeszczały. Maszty się niekiedy wskutek wichru tak nachylały, że aż wody dotykały. Każdej chwili się zdawało, iż główny maszt pęknie i złamany zostanie. Liny i żagle tak się poplątały, iż największe niebezpieczeństwo groziło; bo w tem splątaniu dawały wichrom sposobność jeszcze bardziej okręt nachylać.

Kapitan widząc niebezpieczeństwo, rzekł, że jeden z majtków musi wyleźć na maszt i rozplatać żagle, bo inaczej okręt i cała załoga zaginie. Nikt się z majtków dobrowolnie na to nie odważył, przeto kapitan sam kogoś wyznaczył, a wybór jego padł na Jakóba. Chłopak zbliadł, widząc śmierć pewną przed oczyma, lecz odrazu usłuchnął rozkazu kapitana. Gdy już miał wspiąć się na maszty, znikł na chwilę z pokładu a powróciwszy wsuwał jakiś przedmiot do kieszeni. Potem westchnąwszy do Boga wybiegł jak wiewiórka w górę po masztach. Wichry wyły, okręt się kołysał, a Jakób wspinał się po linach i żaglach, aż na miejscu przeznaczenia stanął. Na pokładzie stał kapitan z kilkoma majtkami a obok pastor okrętowy. — »Dla czegoś Pan tego chłopca wysyłaś?« zapytał duchowny. »On ztąd nie wróci żywy; a szkoda pacholęcia, bo to pocziwe dziecko.« — »Te żagle muszą zostać rozplątane,« rzekł kapitan, »bo inaczej wszyscy zginiemy. Ja mam nadzieję, że wróci żywy. Dorosły człowiek w tej wysokości nie wytrzyma, ale chłopcy biegną po linach jak wiewiórki.«

W tem okropnie huknął wichur, duchowny przymrznięty oczy, niechcąc patrzeć, jak Jakóba uniesie w morze, już go na masztach widać nie było. Lecz na szczęście, Jakób się jednak utrzymał, a gdy na sekundę wichur ucichnął, odwinął żagiel i szczęśliwie zakończył robotę. Potem równie zwinnie dostał się po maszcie na pokład i stanął przed kapitanem. Powszechnie uznanie było nagrodą za jego czyn. Od tej chwili duchowny nie spuścił go z oka, a skoro się trochę wiatr uspokoił, wezwał go do siebie na krótką rozmowę. Wywiedziawszy się szczegółów o jego rodzinie, zadał mu jeszcze dwa zapytania. »Pamiętasz,« rzekł, »gdy miałeś iść na maszt, wtenczas zniknąłeś na małą chwilę. Gdzieżeś był?« — »Ja szedłem pomodlić się w ukryciu! Wiedziałem, jak niebezpieczną podejmuję pracę, i że trudno żywy wrócić, przeto się Panu Bogu poruciłem.« — »Potemś coś do kieszeni schował; cóż to było?« — »To był mój Nowy Testament, który mi dał mój nauczyciel! Myślałem, gdy umrę, zabiorę go z sobą do morskiego grobu! Dzięki Bogu, moja ufność i modlitwa pomogła mi do zwycięstwa.«

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Niewolnik muzułmański.

Po wodach Egejskiego morza płynął okręt turecki. Wiatr nadymał żagle i pędził okręt w pomyślnym biegu; morze było spokojne, powietrze łagodne, to też jazda prędko i przyjemnie się odbywała. Żeglarze w swych strojach jaskrawych krzatali się po okręcie a kapitan turecki, nie mniej jaskrawo ubrany, stał na pokładzie i rozmawiał z ludźmi.

Miedzy nimi był pewien kupiec angielski, powracający z podróży handlowej. Ten z upodobaniem patrzył na ożywiony ruch na okręcie, lecz na twarzy jego pewna powaga i zamyślenie się odbijały.

W szczególności jeden z pomiędzy majtków zwracał na siebie uwagę kupca; często z nim podczas podróży rozmawiał i tym sposobem ciekawych się szczegółów życia jego dowiedział. Majtek odznaczał się niezwykłą jasnością umysłu i dobrocią serca, daleko więcej niż inni towarzysze jego, ale niestety był niewolnikiem i każdej chwili mógł zostać kupionym lub sprzedanym jak bydle. Urodził się na wolności, lecz podczas wojny wpadł w ręce nieprzyjaciół i został w niewolę sprzedany. Jarzmo swoje nosił z żalem i boleścią i jedynym jego życzeniem było odzyskać znów wolność.

Kupiec wymieniony znalazł w nim upodobanie i szczerze go pokochał. Podróż swą kończył ze znacznym zyskiem, przeto rozmyślał, czyby nie miał pewnej części zarobku na dobroczynne cele obrócić?

Przystąpiwszy do kapitana zapytał go, ile za onego niewolnika żąda. Ten podał taką cenę, która zysk kupca znacznie przewyższała. Zamierzał tedy zaniechać

sprawy i nie wdawać się w nią dalej, lecz pewna litość z losem biednego i jakiś głos wewnętrzny nie dały mu spokoju. Rozważywszy sprawę wszechstronnie poszedł jeszcze raz do kapitana i umówili się ostatecznie o cenę kupna.

Muzułmanin dowiedziawszy się o tym handlu ogromnie się oburzył, bo myślał, że go Anglik chce z sobą zabrać do domu. Drżący z oburzenia, aż mu się oczy iskrzyły, stanął przed kupcem, wołając: »Pan się nazywasz synem Anglii i powiadasz, że w obronie niewolników stoisz, a mnie kupujesz! Ja tak samo mam prawo do wolności jak Pan.«

Kupiec się w pierwszej chwili zmieszał, nie pojmując gniewu niewolnika; lecz spostrzegłszy pomyłkę jego, spojrzał mu w oczy uprzejmie i rękę położywszy na jego ramieniu rzekł: »Przecież ja cię na to kupiłem, abym ci dał wolność.«

Na te słowa muzułmanin, jak zelektryzowany, padł dobroczyńcy swemu do kolan, wołając: »Serce moje na wieki należy do Pana! Ja ci służyć będę do śmierci!«

Kupiec ten wysoką cenę zapłacił za wolność niewolnika; lecz wyższą jeszcze dla naszego odkupienia zapłacił Pan Jezus. »Nie skazitelnymi rzeczami, srebrem albo złotem wykupieni jesteście, ale drogą krwią jako baranka niewinnego, niepokalanego, Chrystusa.« 1. Piotr. 1, 18—19. Aż nie mamy równie być wdzięczni jak ów muzułmanin i za miłość Pana wiernie mu służyć? *B.*

Wewnątrz oczyszczony.

W Indyach Wschodnich w Azji mieszkają niektóre pogańskie szczepy, których członkowie się nigdy w życiu nie myją. Ich religia tego wymaga. Od pokolenia do pokolenia przestrzegają

tej dziwnej zasady, która im zabrania używać wody do czyszczenia ciała.

Pewnego dnia siedziała żona chrześcijańskiego misjonarza tamtejszych okolic w ogrodzie domu swego, gdy naraz jakieś dziwne, trochę do człowieka podobne stworzenie przed nią stanęło; była to dziewczyna, licząca lat trzynaście, lecz wyglądała jak istne straszdyło. Włosy miała rozczochrane, szaty podarte, twarz brudną, nogi i ręce skorupą błota pokryte. Tak stała w milczeniu przed żoną misjonarza, czekając aż się do niej odezwie. Od narodzenia aż do tej chwili nigdy się nie myła.

Żona misjonarza musiała najprzód przezwyciężyć wstręt, który ją mimowolnie na widok gościa ogarnął, w końcu zapytała się, z kąd przychodzi i czego szuka. Dziewczyna rzekła, że idzie z daleka, bo już dni trzynaście jest w drodze. W nocy zmęczona nie odważyła się zasnąć na ziemi, lękając się zwierząt drapieżnych; więc wyszedłszy na wysokie drzewo przywiązywała się do gałęzi i tak zasnęła.

Na zapytanie, dla czego przysła, szczególniejszą dała odpowiedź. »Słyszałam w domu,« opowiadała, »że wy jakąś nową religią macie, co nie jest tylko dla mężczyzn lecz także dla kobiet i dziewcząt; tak więc chciałam się czegoś o tej sprawie dowiedzieć.«

»Nasza religia jest bardzo dobrą,« rzekła nauczycielka, »i chętnie ci o niej opowiem. Lecz ona wymaga, by człowiek był czystym tak na ciele jak na duszy swojej. Przeto musisz najprzód iść do wody i umyć się należycie. Gdy się oczyścisz i uczeszesz włosy, chętnie cię potem przyjmę do domu i nauczę rzeczy, o których dotąd pewnie nie słyszałaś. A więc przedewszystkiem idź do wody i umyj się!«

»Ja się mam myć?« zawołała z przerażeniem. »Nigdy, przenigdy! Moja matka, moja babcia, wszyscy moi przodkowie nigdy się nie myli, to i ja tego nie uczynię.« »W takim razie ja cię nie mogę do domu przyjąć,« rzekła nauczycielka.

Dziewczyna odeszła bardzo zasmucona, lecz następnego dnia znowu z tą samą prośbą wróciła i

tę samą odpowiedź otrzymała. Sprawa powtarzała się tak przez kilka dni, w końcu misyonarka, nie wiedząc co począć, innego postanowiła użyć sposobu. Wziąwszy duże zwierciadło z pokoju zawiesiła je w sieni. Dziewczyna przyszedłszy mimowolnie musiała w nie spojrzeć, co uczyniwszy cała przerażona na bok odskoczyła. Żadnym sposobem nie mogła pojąć, że to swój własny obraz ogląda. Sama siebie się przełękła. Od tej chwili nie wahała się więcej pójść do wody. Gdy się oczyściła i włosy uczesała, spojrziała znowu do zwierciadła, i tym razem z zadowoleniem krzyknęła, wołając: »Jaka śliczna!« Nie mogła uwierzyć, że to ona sama.

Nauczycielka zaczęła jej powoli tłumaczyć, że serce człowieka tak samo jest nieczyste, jak było jej ciało; że dusza nasza potrzebuje omycia, które nie woda lecz krew Syna Bożego za nas wylana do skutku prowadzi. Gdy jej nadmieniła, że »kto jest w Chrystusie, nowem jest stworzeniem,« uznało dziewczę powoli potrzebę takiego wewnętrznego oczyszczenia i z całego serca go zaprzagnęło. Taką koleją doszła do Chrystusa i jedynem jej było życzeniem, ziomkom swym ogłosić, co sama znalazła.

Tak z urodzenia my wszyscy jesteśmy do onej pogańskiej dziewczyny podobni, mianowicie »biedni, ubodzy, ślepi i nadzy,« Obj. 3. 17, tylko że tego sami uwierzyć nie chcemy. Módlmy się tedy, aby nam Pan Bóg oczy otworzył. Gdy prawdziwy stan duszy poznamy, tedy zaiste westchniemy wołając: »Serce czyste stwórz we mnie, o Boże!« Pan zaś na to odpowiada mówiąc: »Ja oczyszczę ich od wszelkiej nieprawości, którą grzeszyli przeciwko mnie.« Jer. 33, 8. — »Kiedyż się tedy oczyścisz na sercu?« Jer. 13, 27. »Krew Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, oczyszcza nas od wszelkiego grzechu.«

Czy Bóg wymaże me grzechy z swej księgi?

W każdej szkole jest księga, do której nauczyciel zapisuje wszystkie wypadki życia szkolnego. Gdy dzieci dobrze umieją lekcye i grzecznie się sprawują, wszystko to w tej księdze jest zapisane, lecz nie inaczej, gdy są niedbałe, leniwe, lub gdy

ich zachowanie na naganę zasługuje. Nie dziw tedy, że dzieci i nauczyciel z pewną bojaźnią na tę księgę patrzą.

To wyobrażenie pomoże dzieciom do wyrozumienia onej jednej prawdy, że wszystkie nasze czyny i nasze niedbalstwa w księdze Pana Boga są zapisane, a jak nauczyciel na końcu roku szkolnego wydawa dzieciom świadectwa, tak Bóg niebieski według księgi swojej sądzić nas będzie.

Było to w pewnej szkole. Nauczycielka słyszała, jak dzieci z sobą o jakimś złym uczynku małego Ewy N. rozmawiały. Nauczycielka się nad tem bardzo zasmuciła i powstawszy z krzesła poszła na miejsce, gdzie Ewa siedziała, i zapytała, czy to wszystko prawdą, co o niej mówią. Ta spiekła raka, ale nic nie odpowiedziała.

»Ewo!« rzekła nauczycielka; »powiedz prawdę. Pomnij na Boga, który cię widzi i w sercu twem czyta. Czy rzeczywiście wzięłaś pieniądze z kieszeni mamy?»

»Wzięłam!« rzekła z płaczem; »ja myślałam, że się mama nie dowie i chciałam sobie kupić cukierków.«

»Dla czegoś mamy nie poprosiła? Z pewnością nie byłaby ci odmówiła.«

»Ja ją prosiłam, nimem sama wzięła; ale powiedziała, że mi dziś nie może dać.«

»Ewo!« rzekła nauczycielka; »pomnij coś uczyniła; nie dosyć, żeś kradzież popełniła, jeszcze nieposłuszeństwem zgrzeszyła. Piękny to będzie zapis w księdze Pana Boga!«

»Czy to Pan Bóg w swej księdze zapisze?« zapytała z przerażeniem. — »Tak jest,« odparła nauczycielka.

»O biada mnie!« westchnęło dziecię, »jam o tem nie myślała. Cóż ja uczynię? Bóg tego pewnie nie wykreśli, nim mamie wyznam, a jakóż ja jej to powiem?«

»Moje dziecię! jeśli szczerze grzechu tego żałujesz, nie będzie ci trudną wyznać go przed mamą. Przeto idź odrazu i powiedz coś zrobiła. Niech potem mama postąpi jak zechce, albo cię ukarze albo odpuści.«

Po południu przyszedłszy do szkoły wyglądała bardzo smutna i zapłakana. »Czy wyznałaś swą winę przed mamą?« zapytała nauczycielka. »Nie,« odrzekła; »ja się boję kary.«

»Biedne moje dziecko,« odparła nauczycielka, »ty zniesz, czegoś nasiła; nie znajdziesz spokoju, aż swe sumienie oczyścisz. Mama musi dowiedzieć się prawdy; jeśli ty jej nie powiesz, to ja to uczynię. Rozważ sobie sprawę, czy ty czy ja mam ją uwiadomić.«

Gdy dzieci wychodziły ze szkoły, zatrzymała się Ewa jeszcze trochę w klasie a potem podszedłszy do nauczycielki rzekła: »Moja droga pani nauczycielko! ja postanowiłam u siebie, wyznać przed mamą swój grzech. Ale — czy go też Pan Bóg z swej księgi wymaże?«

»Widzisz Ewciu; jaką trwogę na siebie sprowadziłaś! Dla czegoś dałaś się uwieść do złego?«

»Pani mi nie powiedziała, czy też Pan Bóg me winy wymaże, a ja się tak boję. O, proszę mi powiedzieć!«

»Słuchaj,« rzekła nauczycielka, »co słowo Boże mówi: »Pójdźcie teraz, a rozpierajmy się z sobą, mówi Pan: Choćby były grzechy wasze jako szarłat, jako śnieg zbieleją; choćby były czerwone jako karmazyn, jak wełna białe będą.« Izaj. 1, 18. — »Odpuszczenie grzechów weźmie każdy, co weń wierzy.« Dzieje. 10, 43. — »Dzieci kochane! Czy możesz ufać Panu Jezusowi? Krew Jego oczyszcza nas od wszelkiego grzechu. Jeśli szczerze wierzysz, Bóg dla Chrystusa wymaże ten grzech z księgi swojej.« — Matka ukarała należycie córkę, która chętnie tę karę przyjęła, wierząc, że jej winę Bóg z księgi wymaże.

Cobykolwiek siał człowiek, to też żąć będzie. Gal. 6, 7.

Wstawszy tedy, pójdę do ojca mego i rzekę mu: Ojcze! zgrzeszyłem przeciwko niebu i przed Tobą!

Zmiłuj się nademną, Boże! według miłosierdzia Twego. Ps. 51, 2.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Podróż przez śniegi.

„**D**ziś przecie nie pójdziecie; za chwilę przyjdzie ogromny wiatr i śnieg. Lepiej wam zostać u nas do jutra.»

»Nie, kochany bracie, my musimy iść. Coś nas niepokoi, jakby głos jaki, który mówi, że nas w sąsiedniej wiosce koniecznie trzeba.»

Tak odpowiedzieli dwaj mężowie na zaproszenie przyjaciela, który ich koniecznie nie chciał puścić w drogę wśród burzy i śniegu. Byli to dwaj wysłańcy pewnego religijnego stowarzyszenia, jakich zwyczajnie ewangelistami nazywają. Podróżowali po miastach i wsiach Kanady, odbywając nabożne zgromadzenia celem wzniecenia głębszej religijności wśród ludu. Ci dwaj zwiedzali przedewszystkiem osady Indian, którym Ewangelią kazali.

Ciemne chmury zalegały niebo i nie było rzeczą bezpieczną puścić się w drogę, bo zima w Kanadzie jest bardzo surową. Płatki śniegu marzną w powietrzu i jak kryształ lodu spadają na ziemię. Gdziekolwiek wiatr mroźny oprze się o ciało, tam nabrzmiewa skóra i małe gruczółki się tworzą.

Dla ewangelistów lepiej było zostać, lecz poczuciem obowiązku pędzeni chcieli koniecznie w pobliskiej osadzie Indian stanąć przed wieczorem. Zaprzągnięto konia do sanek i jak najspieszniej pędzono naprzód. Jazda jednak nie szła bardzo prędko, wiatr huczał z przodu a śnieg tak gęsto padał, że na kilka kroków nie było widać przed siebie. Za chwilę ujrzeli podróżni jakąś postać stojącą wśród burzy jakby istny słup. Przybliżywszy się poznali, że to był człowiek, Indianin, który wyszedł na

ich powitanie i dosyć już długo czekał wśród mrozu. Przybywszy do wioski wyprzęgnęli konia i oddali pod opiekę Indian, sami zaś poszli za wodzem swym do skromnej niskiej chaty wieśniaka, ciesząc się, że znaleźli schronienie przed burzą. Wszedłszy do pokoju, znaleźli na barłogu w głąb izby starą kobietę, słabą i bliską śmierci, bo liczyła lat więcej niż sto. Obok słabej stali dwaj młodszy mężczyźni, Indianie, usiłując się umierającą w wierze Chrystusowej utwierdzić. Jeden z nich trzymał w ręku Biblią, cytując wyroki Boże, które potwierdzają, że dla pokutującego i wierzącego grzesznika jest zbawienie w Chrystusie.

»Bardzośmy niecierpliwie przybycia waszego czekali,« rzekł jeden z nich, powitawszy misjonarzy. »Modliliśmy się za babcię naszą, lecz ona jednak nie może odzyskać pokoju. Chodźcie teraz wy, a wytłumaczcie jej, jak dostąpić zbawienia!«

Pomodliwszy się gorliwie do Pana, aby tę duszę w ciemności błądzącą światłem swem oświecił, wzięli się podróżni w jak najprostszy sposób do głoszenia Ewangelii, zwiastując duszy pragnącej zbawienie, a obecni Indianie tłumaczyli słowa ich starszycy, która nie umiała innego języka jak swój macierzyński, t. j. indyjański.

Jakże gorliwie ta biedna niewiasta pochłaniała ich słowa, a należało się śpieszyć, bo pasmo życia się kończyło. Oby choć tak długo się snuło, aż dusza pragnąca na skale zbawienia stanie i w Chrystusie Jezusie uspokojenie znajdzie!

Gdy ewangelisci opowiadali o Chrystusie i śmierci jego, o zmartwychwstaniu i żywej mocy jego w sercach naszych skutecznej, rozjaśniało oblicze starszki i radość wewnętrzna olśniła jej

postać. W tej chwili jeden z nich uroczystym głosem przypomniał obietnicę Pana, która mówi: »Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Kto słowa mego słucha i wierzy onemu, który mię posłał, *ma* żywot wieczny i nie przyjdzie na sąd, ale przeszedł z śmierci do żywota.« Jan 5, 24. — Naraz trwoga z oka chorej znikła, albowiem Duch Święty prawdę słowa Chrystusowego w sercu staruszki utwierdził, tak iż spokojnie i z radością wyznała, że Chrystusa Pana za zbawcę swego przyjmuje i w Jego wierze odchodzić pragnie. Zamiast niepokoju radość i pokój napenił serce.

Dwaj ewangelistowie poznali teraz, dla czego w drogę wybrać się musieli, dziękując Bogu, że mogli duszy w ostatnim boju wskazać drogę do żywota.

F. W.

Biblia niewidomej.

W południowych stronach Francji była w pewnym miasteczku niewidoma dziewczynka. Do rąk jej dostała się biblia dla niewidomych, której litery były podniesione, jak zwykle dla niewidomych książki drukują. Dziewczynka nauczyła się czytać i tak słowo Boże pokochała, że się od niego oderwać nie mogła. Czytała w Biblii, kiedykolwiek miała chwilę czasu, bo niewidomi także mają swoje obowiązki. Czytała we dnie i czytała w nocy. Niewidomi nie potrzebują światła do czytania książek. Ona najsłodsze chwile na rozmowie z Panem Jezusem spędziła.

Za niejaki czas nowa klęska ją spotkała. Jakaś choroba włożyła się do rąk, tak iż palce stwardnęły i uczucia pozbawione zostały. Smutne było to dla niej doświadczenie, bo jedynego środka na-

uki pozbawioną została. Choroba wszelako nie ustawała, tylko coraz bardziej się wzmacniała; należało przypuszczać, że za krótki czas już wcale nie będzie mogła czytać Biblii.

Wziawszy ukochaną księgę do ręki, próbowała przeczytać niektóre znane jej ustępy, lecz ledwie się treści domyslić mogła. Palce nie czuły liter Biblii. Gorzko się rozplakała, myśląc, że się z księgą na zawsze pożegnać musi! Potem złożywszy ręce pomodliła się Bogu i przycisnęła Biblią do ust, chcąc ją na pożegnanie serdecznie ucałować. Lecz jakże miłej doznała niespodzianki, gdy przycisnąwszy wargi do liter uczuła ich podniesienie. Nowa myśl przyszła jej do głowy; nie mogąc czytać zapomocą palców, będzie próbowała zapomocą warg. Z początku jednakowoż nie była sprawa tak łatwą jak się wydawała, ale z czasem wskutek ustawicznych ćwiczeń nabyła wprawy i czytała Biblią wargami.

Chłopcy i dziewczęta! jakże wy szczerliwymi jesteście. Wam dał Bóg oczy zdrowe. Nie zaniedbujcie czytać Pismo święte, ono bowiem »jest pochodnią nogom moim a światłością ścieszcze mojej.« Ps. 119, 105.

Szukajcie.

Marynia siedziała u okna, jakąś zajmującą czytając książkę. W tem słyży głos matki, która woła: »Maryniu! jam sobie w drugim pokoju zapomniła napařtek; idź, przynieś mi go.« Córka oderwała się od książki, pobiegła do pokoju, spojrziała na stół, na okno i powróciła, tłumacząc, że tam niema napařtka. »Ale musi być,« odparła matka, »ja go tam przecieř zostawiłam. Idź tylko i szukaj.« Marynia trocheř wargi opuściła niechętna, że nie może dalej czytać, ale poszła. Spojrziała na łóęko, na krzesło, na podłogę i znów powróciła

zapewniając, że napařtka niema. Matka zniecierpliwiona woła, iż tam musi być, bo go miała w pokoju a ztąd go nie wyniosła. Teraz Maryni nie pozostało nic innego jak się wziąć do szukania. Przejrawszy stół i krzesła uklęknęła na podłodze i patrzyła, czy nie spadł i nie zatoczył się pod łóże lub gdzie do kąta. W króćce znalazła go pod stołem i odniosła do matki.

Gdy ludzie chcą jaką rzecz znaleźć, tedy jej należycie szukają. Oto jest człowiek, który stracił dukata, z jakąż pilnością go szuka i nie ustawa, aż znajdzie! W dalekiej Australii ludzie złota szukają. Nie leży ono na ziemi jak nasze kamienie, ale trzeba za niem kopać w ziemi i szukać go i piaski przesypywać; lecz ludzie największe trudności podejmują, byle tylko znaleźć, czego szukają. A czy ziemskie skarby więcej znaczą niż niebieskie? Szukający złota kopią niekiedy i przez sześć miesięcy, a jednak napróżno. Lecz my mamy obietnicę Pana, który mówi: »Szukajcie, a znajdziecie!« Mat. 7, 7.

Pewnego razu wracał kaznodzieja z wieczornego nabożeństwa do domu i słyszał, że ktoś już długo postępował za nim. W pierwszej chwili myślał, czy jaki łotr nie czatuje na niego, aż obróciwszy się ujrzał chłopca liczącego jakich lat dwanaście. Ten już całą drogę szedł za nim od kościoła, nie mając odwagi przystąpić do kaznodziei. A cóż miał na sercu? Prosił duszpasterza, aby się za nim pomodlił i jaśniej mu drogę zbawienia wytłumaczył. Ten chłopiec szukał *Jezusa* i znalazł go.

Pewien Indyjczyk znalazł przypadkiem jedną kartę Biblii, na której były słowa: »Tak Bóg umiłował świat, że syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny.« Jan. 3, 16. Jak się ta karta do rąk jego dostała, tego nie wiem, lecz ten jeden wyrok wystarczył, aby w sercu jego obudzić pragnienie za cudowną księgą, w której takie rzeczy są napisane. Puścił się w drogę i blisko sto mil przeszedł piechotą, aż się dostał do stacy chrześcijańskiej misyi i nabył księgę Biblii.

Czy wy także miłe dziatki, szukacie Pana Je-

zusa z taką gorliwością, jak ów Indyjczyk? Czy możecie wyznać o sobie i rzec: »Znalazłem Jezusa; On jest najlepszym moim przyjacielem?«

Czasem dzieci mówią, iż szukają Pana, tylko Go znaleźć nie mogą. Pozwólcie, że w tej sprawie kilka uwag dodam. Czyjaż w tem wina, że Pana znaleźć nie możecie, Jezusowa, czy wasza? Wszak Pan mówi, że »każdy, kto szuka, znajduje.« Łuk. 11, 10, a znowu: »Tego, co do mnie przyjdzie, nie wyrzucę precz.« Jan. 6, 37.

Może szukanie wasze nie było stałe, kochane dziatki! Słuchając słowa Jezusowego pomyślałście, jak chętnie chcielibyście zostać owieczkami Jego pastwiska. Możecie błagały, aby wam Pan grzechy odpuścił. Może serce pałało w was, gdyście słyszały w szkole i kościele, jako Jezus za was na krzyżu umarł, jako dzieci szuka i koło siebie zgromadzić pragnie. Postanowiłyście wiernie przy Nim stać. Ale między tem rozliczne rzeczy zaszły. Spotkałyście towarzyszy swoich, poszłyście z nimi się bawić, nastaly zadania szkolne i prace domowe, przyszły także inne myśli do głowy. Serce powoli ostygło, modlitwa stała się oziębłą, a nim niedziela przyszła, znowu byliście takie jak przedtem. Czy nie mówię prawdy? A więc tu czegoś niedostawa, mianowicie, żeście Pana z całego serca swego nie szukały. Przez usta proroka Jeremiasza r. 29, 13, mówi Bóg te słowa: »A szukając mię, znajdziecie, gdy mię szukać będziecie ze wszystkiego serca swego.«

Ale nie mniemajcie, iż tylko wy Jezusa szukacie; oto, Jezus także szuka was. »Albowiem przyszedł, aby szukał i zachował, co było zginęło.«

Szukajcie Pana, póki może być znaleziony; wzywajcie Go, póki blisko jest. Izaj. 55, 6.

Szukajcie najprzód królestwa Bożego i sprawiedliwości jego, a to wszystko będzie wam przydano. Mat. 6, 33.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.

Książnica Cieszyńska



Ida i wróblek.

„Wiejskie powietrze jest daleko lepsze dla waszego dziecięcia, niż wszystkie moje lekarstwa,» rzekł lekarz do niespokojnej matki, która go do dziecięcia swego wezwała.

Państwo Gordon mieszkali w wielkiem mieście stołecznem, byli bogaci i mieli tylko jedną córkę, imieniem Ida, dziewczynkę wątłej budowy ciała i bardzo słabego zdrowia. Rodzice byli gotowi ponieść wszelkie ofiary dla dziecięcia swego, lecz usiłowania ich nie wydawały owocu, mała Ida z każdym dniem chorobliwszą wyglądała.

»Ten doktor mi ustawicznie z wiejskiem powietrzem dokucza,» rzekła matka do męża swego, gdy w południe przyszedł do domu. »Nieraz mu mówiłam, iż wszyscy na wieś iść nie możemy, a Idy samej na wieś wyprawić nie mogę. Mówiłam mu, że w sierpniu do morskich kąpielí wyjeżdżamy, a on mi zawsze gada: dla Idy wieś lepsza!«

»Jeżeli tak,» rzekł kupiec, »to może na to znajdzie się rada. Wiesz, nasza Ewa, która dawniej u nas służyła, poszła za mąż na wieś, jest dziś zamożną gospodynią i zawsze o nas z wdzięcznością pamięta. Kto wie, możeby nam w swym domu jeden lub dwa pokoje dla Idy odstąpiła. Jeżeli to małej ku zdrowiu posłuży, moglibyśmy ją z naszą służącą na niejaki czas do jej domu wysłać.«

Rada męża podobała się pani Gordon; to też tego samego dnia udała się na kolej i pojechała do Ewy. Ta przyjęła swą dawniejszą panią jak najgrzeczniej i z największą ochotą dwa najlepsze pokoje dla Idy ofiarowała.

Czas wyjazdu oznaczono na czwartek; starsza służąca, dawniej piastunka Idy,

miała jej towarzyszyć i zajmować się opieką chorej. »Ja tam nie pójdę,» rzekła Ida do guwernantki, »ja tam nie wytrzymam bez ojca i matki!«

»Aleć kochanie,» rzekła guwernantka, »czyś zapomniała, o czemeśmy wczoraj rozmawiały? Modliłam się z tobą, aby nas Bóg nauczył czynić to, co On chce, a nie to, co my chcemy.«

»Tak jest, droga nauczycielko; zgola o tem zapomniałam. Nie jak my chcemy, lecz jako On chce, Jego woli się poddam.«

Rodzice Idy uczynili dla nauki i wychowania dziecięcia swego, co tylko mogli. Małą będąc umiała już czytać, pisać i rachować; zaczęła się uczyć muzyki i innych rzeczy, lecz o Panu Bogu i o religii nie wiele się dowiedziała. Dawniejsza guwernantka o te rzeczy nie dbała. Teraz dostała się pod opiekę panny N., gorliwej chrześcianki. Ta opowiadała jej wzruszonem sercem o miłości Bożej, o Jezusie Zbawicielu grzesznych, a Ida słuchała z zajęciem jej słów i między wszystkimi lekcyami najbardziej naukę słowa Bożego upodobała. Uroczę dla niej były to chwile, gdy guwernantka otworzywszy Biblię umiała serce uczennicy swojej zachwycić i podnieść ku Bogu.

Nadszedł czwartek; matka ubrawszy córkę swą wyjechała na wieś do Ewy, dokąd już naprzód wysłała służącą, aby dla Idy wszystko jak najlepiej przygotowała. Oddawszy ją opiece gospodyni, pożegnała się z dziecięciem i wracała do domu. Ida czując się zmęczoną skutkiem podróży nie miała ochoty rozpatrywać się po domie i gospodarstwie, które czysto i wzorowo było urządzone. Osobliwie naczynia do mleka były tak lśniące, że aż miło patrzeć. Ida poszła

spać i markotno jej było, że nie mogła ucałować ojca i matki i pożegnać się z nimi życząc »dobrej nocy!« Ukłękawszy obok wielkiego łoża, w którym jej zgotowano posłanie, pomodliła się, udała na spoczynek a spokojnie i słodko zasnęła.

Wczesnie rano ocuciwszy się, rozpatrywała się, gdzie jest, i tęskno jej było, że nikogo ze swoich nie miała koło siebie. Opiekunka wyszła przygotować dla niej śniadanie, aby się dłużej zatrzymała w łóżku. Okno pokoju było otwarte a świeże powietrze przyjemnie pachnęło. W tem »cierrp, cierrp,« odezwano się na okienku. Ida podniosła się na pościeli, i patrząc w stronę okna uśmiechnęła się wesoło, widząc ptaszka na oknie, który szukał odrobinek chleba. Gdy służąca przyniosła śniadanie, prosiła Ida, aby kilka odrobinek na oknie złożyła, bo pragnie widzieć ptaszynę. »Ach, to tylko wróbel,« rzekła służąca, lecz Ida i wróbla pragnęła widzieć, który kulejąc na jedną nogę z początku z obawą zbierał odrobiny, lecz coraz więcej nabywał otuchy. Ida wspomniała sobie, że w Piśmie świętem jest mowa o wróblu, lecz nie mogła odrazu przypomnieć wyroku. W końcu wzięwszy do ręki Biblią, odszukała go w Ew. Łuk. 12, 6 i 7: »Izali pięciu wróblików nie sprzedają za dwa pieniądze, wszakże jeden z nich nie jest w zapamiętaniu przed obliczem Bózem. Przetoż nie bójcie się; nad wiele wróblików wyście zaciejsi.« — »Bóg o wróblkach pamięta; On mnie nie zapomni,« ta myśl utkwiała jej w sercu i pamięci i dziwnie na młody umysł Idy oddziaływała. Co raz to więcej utwierdzała ją w wierze i miłości Boga i Zbawiciela, tak iż Ida całem sercem pokochała Pana. W miarę radości i szczęścia wewnętrznego powracała także cie-

leśnie do zdrowia i na piękną dziewicę wyrosła. Tak stało się prawdą, że Bóg o niej nie zapomniał. T.

Próżeń wszelkiej trwogi.

Ostatnie wiersze 91. Psalmu obfitą pociechę podawają wszystkim, którzy ufność swoją położyli w Bogu. Siedm ślicznych obietnic znajdują tam dla siebie, którzy »się w Panu rozkochali a imię Jego poznali.«

O zaprawdę, wiernyć jest Bóg, a co obiecał, pewnie wykona. Którzy w Nim ufają, nigdy pohańbieni ani opuszczeni nie będą. Mimowolnie przychodzi mi na myśl wiara pewnego chłopca, imieniem Józef, którego przed kilkoma laty na śmiertelnej pościeli widziałem. Choroba jego trwała bardzo długo i powoli wszystkie siły wycieńczyła. Wskutek tego było też usposobienie umysłu bardzo przygnębionem.

Pewnego razu przystąpiła matka do łoża chorego i czule się odezwiała, pytając: »Józefku; czy nie boisz się śmierci? Każdej chwili może cię Pan Bóg od nas zawołać.«

Józef spojrzał spokojnie na matkę i odpowiedział: »Nie, mamu; ja się nie boję. Ja się raduję, że umrę, bo będę z Chrystusem, a to jest daleko lepiej.« »Ale zkądże wiesz, moje dziecko, iż z Chrystusem będziesz?« zapytała matka. »Ponieważ Chrystus rzekł,« odpowiedział chłopiec, »*Tego, co do mnie przyjdzie, nie wyrzucę precz;*« a ja do Niego przyszedłem.«

Na słowo Pana można się spuścić. A ponieważ Józefek pokochał Zbawiciela i poznał imię Jego, przeto go Bóg od wszelkiej trwogi śmierci uwolnił a w ucisku mu pomógł. Bóg go wywyższyl

i między zbawionymi zgotował mu miejsce, gdzie go »długością dni nasyci i zbawienie swoje okaże.« Dobrze mały Józef uczynił, że Najwyższego za »nadzieję swoją i przybytek swój położył.«

Dzielne pacholę.

Było to przed kilkoma laty w pobliżu miasta Cincinnati w Ameryce. Pewien wiejski chłopiec liczący lat jedenaście wracał do rodziców z domu sąsiada, dokąd go ojciec w pewnej sprawie wysłał. Idąc spokojnie gwizdał sobie wesołą piosenkę. W tem obejrawszy się, pobladł z przerażenia. Gdy przed godziną tędy przechodził, było wszystko w porządku i ładzie; teraz mostu kolejowego nad rzeką nie widzi. Zawalił się i wpadł do wody. Od kilku dni panowały ulewę, wody rzeki wezbrawszy podmyły filary i most się zawalił. Na ten widok przeraziło się serce Jana, bo sobie wspomniął, że w tej chwili nadejść musi pośpieszny pociąg, jadący do Cincinnati! Cóż biedny ma zacząć? Wydrapał się w górę na groble kolei, sam nie wiedział jak, i pędził w kierunku, z kąd nadchodził pociąg, jak najspieszniej mógł. Ledwie trzy minuty upłynęły, słyszy zdala huk lokomotywy. W pociągu było kilka set osób, wszyscy się bawili rozmawiając z sobą, a nikt nie pomyślał, w jakim niebezpieczeństwie się znajdują. Może jedna chwilka, a wszyscy podróżni staną przed Bogiem. Kierownik pociągu stał na swem miejscu i z pewnym niepokojem patrzył przed siebie, wiedząc, że miejscami ulewę porobiły szkody, lecz co do mostu żadnych wiadomości nie było, przeto przypuszczał, że wszystko jest dobre. Przed samym mostem okre-

cała się droga, przeto nie widział niebezpieczeństwa. W tem ujrzał zdala coś czarnego między szynami. W okamgnieniu rozeznał postać człowieka, który obie ręce wyciągając w górę zdawał się dawać znak ostrzeżenia. Biedny Jan ujrzał tuż przed sobą pędzącą lokomotywę i ledwie przytomności umysłu nie stracił. Skoczył na bok, krzycząc i dając znaki, które kierownik od razu pojawiając puścił parę z przeciwnej strony, wszystkich hamulców użył i pociąg nad samą przepaścią zatrzymał. Skrzypnięcie hamulców przeraziło wszystkich podróżnych, lecz nim się spostrzegli, już pociąg stał i z przerażeniem oglądali niebezpieczeństwo.

Biedny Janek leżał obok pociągu na ziemi, drząc od stóp do głowy, i przeobraźnie płakał. Póki niebezpieczeństwo istniało, wszystkich sił dołożył; teraz do ostateczności wytężone nerwy nie mogły się uspokoić i o życie jego była obawa. Powoli jednak uspokoił się trochę, lecz przez kilka dni nie był w stanie żadnej pracy pełnić.

Można sobie wyobrazić, z jaką wdzięcznością podróżni o nim pamiętali. Ktokolwiek był w pociągu, nie zapomniał tej chwili, ani też chłopca, który ich z takiego niebezpieczeństwa ocalił.

Lecz Pan Jezus więcej uczynił dla nas, bo nas nie tylko z niebezpieczeństwa ciała lecz daleko więcej z niebezpieczeństwa duszy ocalił. Czy o tem pomnicie, przyjaciele młodzi, i za to Panu wdzięczni jesteście?

Chrystus dał samego siebie za nas, aby nas wykupił. Tytus. 2, 14.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Nr. 18.

Mały Kornelek.

Mały Kornelek.

Mały Kornelek był ślicznym i miłym dziećciem, liczył niezupełnie lat pięć. Łóżeczko swoje miał obok łóża matki i zawsze przy jej boku sypiał. Gdy matka wieczór kładła go do pościeli, ukłęknał Kornelek obok łóżeczka i złożywszy rączki modlił się za matką, która mu wyraźnie każde słowo przepowiadała. Gdy ukończył, w ten czas matka ukłękła obok Kornelka, w gorącej modlitwie poruczając dziećci swoje opiece Jezusowej.

Tego wieczoru, gdy matka powstała od modlitwy, objął ją Kornelek za szyję i ucałował, a oblicze jego dziwną radością jaśniało. »Mamo! mammo moja!« rzekł z uniesieniem, »jakże się cieszę, żeś Panu Jezusowi o mnie powiedziała! Gdy przyjdę do nieba, to mię aniołkowie wezmą na ramiona swoje i zainiosą do niego, a Pan Jezus powie: »To jest ten mały Kornelek, o którym mi matka jego opowiadała. Bardzo mię cieszy widzieć cię u nas. Nie prawda mammo, to ślicznie będzie!«

Oby wszystkie matki tak postępowały jak matka Kornelka i od dziećciństwa dzieci swoje prowadziły do Pana!

Jak się do nieba dostać?

Pewna mała dziewczynka, córka bogatych rodziców, chadzała każdego dnia na przechadzkę z nauczycielką swoją. Matki nigdy nie było przy niej, bo była zajęta zabawą, muzyką i rozlicznymi rozrywkami; dziecko zaś zupełnie oddała na opiekę nauczycielki, która dziewczynkę uczyła, zabawiała i na przechadzkę wyprowadzała.

Nauczycielka nudziła się przy swej wychowance, przeto ją całymi godzinami samej sobie pozostawiała. Dziewczynka widząc jak inne córki z matkami wychodzą, smutnie koło siebie patrzyła, bo z nią matka nigdy nie wychodziła, nigdy miłego słowa nie przemówiła ani do łona swego nie przytuliła. Nelka — takie było imię dziewczynki — miała piękniejsze szaty niż inne dzieci, lecz jak miłość macierzyńska oddziaływa, nigdy nie ukusiła. Na takie rzeczy matka nigdy czasu nie miała. Nelka czuła się niekiedy tak samotną i opuszczoną, że się jej łzy do oczu cisnęły.

Pewnego dnia wstała rano, ubrała się, wyszła z nauczycielką na przechadzkę, lecz czuła się zmęczoną i słabą. Naraz jej przyszła do głowy myśl, czy też dzieci umierają. Nie było trzeba długo rozmyślać, bo już nie jedną małą trumienkę widziała, która oczywiście dla dzieci przeznaczoną była. »Czy ja też nie umrę,« pomyślała. »Jakżeby było, gdyby mnie do takiej ładnej trumny złożyli? Lecz ja się nie chcę dostać do piekła! Nie! to byłoby strasznie. Ja się chcę koniecznie dostać do nieba! Lecz jakże się tam dostać? O gdyby mi tylko kto powiedzieć umiał, jak się do nieba dostać?«

Po południu znowu wyszła na przechadzkę z nauczycielką, lecz myśl o niebie nie dała jej spokoju. W pobliżu ujrzała pewną panią siedzącą na ławce, na twarzy jej znajdował się uśmiech łagodny, który dziecku nadał otuchy, że podeszła bliżej i spokojnie obok niej usiadła. Sąsiadka spojrzawszy na dziewczynkę od razu poznała, że jest chora, a kto wie czy nie śmiertelnie.

»Czy ci nie dobrze, moja kochana?« zapytała.

»Jakoś nie dobrze,« odrzekła dziewczynka. »Czy ja też nie umrę?«

»Ach! tak źle nie będzie!« odrzekła pani, pytaniem dziecka mocno wzruszona.

»O, ja wiem, że umrę! Gdyby mi tylko kto umiał powiedzieć, jak się do nieba dostać.«

»A czy nigdy do kościoła nie chodzisz, moja córeczko?«

»Niekiedy idę, gdy mię guwernantka na czas ubierze.«

»Czy się wieczór i rano nie modlisz?«

»Nie! nikt mię nie nauczył.« — »Jako? nikt cię nie nauczył?« zawołała pani.

»Nie! mamunia o takie rzeczy nie dba, a guwernantka mię nie uczy. Tak mi jakoś słabo; o gdyby mi tylko pani powiedziała, jak się do nieba dostać.«

»To nawet ani »Ojczenasza« nie umiesz?« — »Nie!«

»Czy mogę cię choć kilka słów nauczyć?« — »O, bardzo o to proszę!« odrzekła mała.

Sąsiadka nauczyła ją powtarzać słowa: »Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech;« a gdy te spamiętała, uczyła ją dalej: »Święć się imię Twoje.«

Na tem się dziś skończyła nauka. Nelka wróciwszy do domu czuła się bardzo słabą i żądała pójść do łóżeczka. Gdy ją rozebrano, uklękawszy na podłodze, po raz pierwszy w życiu złożyła ręce i modliła się: »Ojcze nasz, któryś jest w niebiesiech; Święć się imię Twoje. Amen.«

Potem położyła się i w kilka godzin później — umarła. Można sobie wyobrazić uczucie nauczycielki i matki, które biedne dziecię tak zaniedbywały, a teraz je widziały umarłe! Matki! troszczcie się o dzieci swoje!

W bezpiecznem zachowaniu.

Pewien oficer stał w bitwie na czele pułku swego i został wprowadzie nie śmiertelnie ale bardzo ciężko raniony. Kula trafiła go w usta i przeszła szyję. Leżąc we krwi wspomniął sobie, iż ma u siebie kilka dukatów, które nosił w worku na piersiach. Po bitwie przychodzili złodzieje, którzy umarłym i rannym wszystkie kosztowniejsze rzeczy zabierali. Oficer wiedział, co go czeka, przeto postanowił pieniądze swe zabezpieczyć. Z wyteżeniem wszystkich sił odwiązał worek od szyi, wydobyl dukaty, potem nabrał pełną garść krwi płynącej z ust i w ukrwawionej dłoni ścisnął mocno pieniądze, licząc na to, iż za chwilę ręka skostnieje a w zaciśniętej, ukrwawionej pięści nikt się dukatów domyslać nie będzie. W krótkce potem stracił przytomność i nie odzyskał jej, aż gdy go w szpitalu na łożu złożono. Z wielkiem wysileniem otworzyli skostniałą dłoń i znaleźli we krwi ukryte dukaty.

Oficer był w ten czas człowiekiem bezbożnym, lecz wszystkie te doświadczenia obudziły uśpione serce jego i do Chrystusa doprowadziły.

Kto w Chrystusa wierzy, jest podobny do onych dukatów; w krwawej dłoni Pańskiej jest zachowany. Gdy anioł Pański przechodził przez Egipt, zabijając wszystkie pierworodne, tedy Izraelici byli bezpieczni, ponieważ krew przylizana na drzwiach ocaliła ich od śmierci. Nic się im złego nie stało, ponieważ Pan rzekł, mówiąc: »A ujrawszy krew, minę was.« — Ktokolwiek wierzy w Chrystusa, o tym mówi Pan: »Nie zginie na wieki, ani go żaden wydrze z ręki mojej.« Jan. 10, 28. B.

On matkę swą kochał.

Przed kilku laty mieszkała w pewnym miasteczku uboga wdowa z małym synkiem swoim. Ona nie miała nikogo na świecie oprócz Pana Boga i dziecięcia swego, przeto je z całego serca kochała, a tak samo chłopiec kochał matkę swoją. Matka ciężko pracowała, aby dziecko nie cierpiało głodu, a chłopczyk znowu podrosłszy trochę pomagał matce, w czym tylko mógł. Biegając po ulicy sprzedawał gazety, przez co każdy dzień kilka groszy zarobił.

Naraz matka zachorowała i umarła. Można sobie wyobrazić żal biednej sieroty, gdy go najmilsze na świecie serce opuściło. Nie było poranku ani wieczora, w któryby nie poszedł na cmentarz i na grobie matki uklęknawszy gorliwie się nie modlił. Grób matki był mu na całym świecie najświętszym miejscem. Jedną rzecz go tylko martwiła; wszystkie groby naokoło miały pomniki z napisami, tylko grób matki nie miał pomnika. Chłopczyk postanowił w sercu swoim dniem i nocą pracować, aby tylko matce pomnik wystawił.

Dzień w dzień biegał z gazetami od rana aż do wieczora, kawałka chleba sobie nie życzył, każdy grosz składając, aby życzenie serca swego jak najprędzej wykonać. Pewnego dnia, gdy już kilkanaście groszy uzbierał, poszedł do pewnego kamieniarza oglądać pomniki. Nie mało się jednak zasmucił przekonawszy się, że najtańszy i najprostszy conajmniej dwa razy tyle kosztuje, ile dotąd uzbierał. Łzy stanęły w oczach chłopaka, bo nie mógł przenieść, że »mateczka« dotąd nie ma pomnika. Kamieniarz dowiedział się jego historii i uczuł litość z pocziwą sierotą. »Wiesz

co, mój chłopcze?« odezwał się do niego; »mam w składzie swoim zepsuty pomnik z marmuru. Nikt mi go nie kupi, bo się kawałek kamienia ukruszył. Jeżeli chcesz, to ci go za twe grosze sprzedam.«

Chłopiec zgodził się i złożywszy pomnik na taczkach zawiózł go z pomocą innego chłopca na cmentarz i na grobie matki osadził.

Po jakimś czasie przyszedł kamieniarz na cmentarz i pytał się odźwiernego, czy tam niema takiego pomnika? »O, jest,« odparł stróż; »każdego dnia przychodzi tu chłopiec i robi coś koło niego.« Kamieniarz nie mało się zdumiał, znalazłszy na marmurze następujący, trochę niezgrabnie wyryty napis: »Moja matka. Umarła tamtego miesiąca. Wszystkiem mi była i powiedziała, że mię czekać...« Oczywiście napis nie był jeszcze ukończony. Chłopiec sam go wyrył a dotąd roboty nie skończył. Za kilka dni był kamieniarz znowu na cmentarzu i ujrzał obok pomnika wykopany grób, równocześnie dowiedział się smutnej historii. Przed czterema dniami biegął chłopczyzna, sprzedawszy gazety, na grób swojej matki, by kończyć robotę. W drodze spłoszyły się czyjeś konie; zamysłony chłopak dostał się pod wóz i śmiertelnie został okaleczony. Odzyskawszy na chwilę przytomność rozplakał się, że nie może ukończyć roboty i w kilka godzin potem umarł. W skutek odezwy rozczulonego kamieniarza urządzili przyjaciele nieboszczyka między sobą składkę, z dochodu której wzniesli pomnik na grobie jego i położyli na nim krótki i treściwy napis: »On matkę swą kochał.«

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.



Czy wody niema?

W pobliżu miasta wśród cienistej alei stała stara pompa, z której już dawno nie brano wody. Przechodząc tedy pewnego dnia w lecie stanęliśmy u studni, bo dzień był gorący, a nam się okrutnie chciało pić. Próbowaliśmy naczerpać wody, lecz pompa jak skrzypi tak skrzypi ale wody ani kropki nie daje. Robiliśmy wszyscy, ile nam sił stało, pompując wodę, ale nadaremno; ani kropla nie wypłynęła. Oczywiście, że studnia zepsuta.

Posłano po studniarza, aby pompę naprawił. Ten przyszedłszy obejrzał ją ze wszystkich stron, próbował rączki i przekonał się, że wszystkie jej części były całe i nieuszkodzone. Zaczął więc na nowo pompować, lecz bezskutecznie. Pompa była tak zardzewiała, iż za najmniejszym poruszeniem skrzypiała, ale wody nie wydała. Cóż studniarz uczynił? Przyniósł wody w naczyniu i wlał z góry do wnętrza! Potem zaczął pompować. Studnia nie skrzypiała już tak bardzo, ale wody jeszcze nie wydała. Studniarz znowu z góry dolał i znowu dalej pompował, aż po jakimś czasie trysnęło kropli kilka, potem więcej a w końcu nieprzerwanym strumieniem czysta, świeża woda płynęła.

Zapytałem studniarza, co było przyczyną, że pompa nie wydała wody? »Nic innego,« odpowiedział, »tylko to, że jej dłuższy czas nie używano.« Nie będąc w używaniu zardzewiała i nie ciągnęła wody.

Przed jakimś czasem przyrównał pewien kaznodzieja modlitwę chrześcianina do zwyczajnej pompy. Gdy jej używamy a pilnie i pokornie modlimy się Panu, tedy błogosławieństwo Jego spływa na

nas jak strumień wody żywej; lecz gdy przez niejaki czas zaniechasz modlitwy i trochę się od niej odzwyczaisz, stanie ci się tak, jak owej studni; umysł zardzewieje, serce zubożeje; pompujesz, ale wody nie będzie. Przeto zważajmy, co mówi Apostoł w liście do Efezów 6, 18: »W każdej modlitwie i prośbie, módlcie się *na każdy czas* w duchu i około tego czuwając ze wszelką *ustawicznością*.« Przynajmniej dwa razy dziennie serdecznie do Pana zawołajmy, a bądźmy przekonani, że błogosławieństwo Jego spłynie na nas.

Studniarz wlał nieco wody w studnię. My także weźmijmy przyrzeczenia Boże i przynieśmy je przed oblicze Jego; wszak sam mówi według Izajasza 43, 26: »Przywiedź mi na pamięć; sądzmy się spolu.«

Pod pompą jest źródło z niewyczerpaną obfitością wody. Aż w naszym życiu ma się rzecz inaczej? Obfite zmiłowania, ojcowska miłość Boża są jak źródło obfite, które życie nasze utrzymuje. Z jego zapasów czerpamy, czerpamy modlitwą, jak sam rozkazał, mówiąc: »Proś, czego chcesz, a dam ci. 2. Kron. 1, 7.« i znowu: »Proścież, a weźmiecie, aby radość wasza była doskonała. Jan. 16, 24.« Błogosławieni, którzy pragną, nie ustawając. C.

Kłamstwo małej Anny.

Pewien chłopiec imieniem Alfred, syn zamożnych rodziców, obchodził swoje urodziny. Przy tej sposobności zaprosiła matka kilkoro dzieci z pokrewieństwa na kawę, po której im pozwolono bawić się w ogrodzie. Chłopcy i dziewczęta biegały wśród sadu, kryjąc się jedni przed drugimi

po kolei. W tem przyszła kolej na Alfreda, który miał się ukryć razem z małą swą kuzynką Anusią. W tył ogrodu stała stara strzecha, pod którą rozmaite graty składano. Dzieci weszły na obwisły dach i ukryły się za gałęzią orzechowego drzewa. Z tąd miały widok na ogród sąsiada, w którym prześliczne jabłka wisiały na drzewach. »Ach, co za śliczne jabłka,« krzyknęła Anusia; »aż mi ślinka idzie, takbym chciała jednego zakąsić. Nie śmiem nawet patrzeć w tę stronę, bo mię zaraz oskoma bierze.«

Gdy te słowa wyrzekła, uważał Alfred za swój obowiązek poczęstować kuzynkę jabłkami, przeskoczył przez płot i za chwilę wrócił niosąc trzy piękne jabłka dla Anusi.

»Ach, mój Alfredzie, jeżeli nas odkryją, cóż to z nami będzie? Wszak to ja temu wszystkiemu winna!«

»Nie bój się, Andziu, ja cię nie zdradzę, choćby mię odkryto,« odpowiedział Alfred.

To rzekłszy oddał jej trzy jabłka. Anusia zjadła prędko dwa a trzecie ostrożnie schowała w kieszy. Za chwilę przyleciała gromada dzieci, odkryły ich kryjówkę i odtąd wszyscy bawili się wesoło w ogrodzie aż do zmierzchu.

Następnego dnia przyszedł do ojca sędziwy ogrodnik sąsiada i doniósł, że widział syna jego kradnącego jabłka. Ojciec się nad tem bardzo zasmucił; wezwawszy Alfreda surowo go ukarał, ale z ust jego nie dowiedział się ani słowa, dla czego to uczynił. O Andziu wcale wzmianki nie było.

Po południu wziął ojciec kapelusz i łaskę i poszedł do domu brata swego. U drzwi spotkał służącego, którego się zapytał, czy Andzia jest w domu. Ta prawie w tej chwili wracała ze szkoły

i nie mało się zmieszala, widząc wujaszka z poważnie nastrojoną twarzą czekającego na nią. Sumienie jej mówiło, że to spotkanie będzie bardzo przykre.

»Anno,« rzekł poważnym głosem, »przykro mi słyszeć, iż Alfred wczoraj kradł jabłka z ogrodu sąsiada. Spodziewam się, żeś ty pewnie o tem nie wiedziała ani żadnego nie zjadła.«

Serduszek Anny mocno bić zaczęło, lecz dosyć stanowczo zabrała głos mówiąc: »Nie, wujciu, ja o niczem nie wiem.«

»To mię bardzo cieszy, moja kochana,« odparł wuj spokojnie; »ja byłem pewny, że ciebie przy tem nie było. Teraz daj buzi, a potem idź robić zadanie. Lecz nim odejdę, powtórz za mną słowa i powiedz: »Boże, Ty mię widzisz!« Niech ci Bóg pomoże zawsze na nie pamiętać, bo się przez to niejednej pokusy ustrzeżesz.«

Powoli i z wielkim niepokojem wypowiedziała Anna te słowa, a potem natychmiast cofnęła się do swojego pokoju robić zadanie, lecz jakoś nie mogła skupić umysłu. Wiedziała, iż skłamała, a słowa wyrzeczone: »Boże, Ty mię widzisz,« ustawicznie jej w uszach dzwoniły. Dzwoniły nie tylko tego popołudnia, lecz każdego innego, również każdego poranku i wieczora, przez wiele, bardzo wiele dni. Ach, czegożby nie dała, gdyby raz jeszcze mogła wszystko odmienić, gdyby raz jeszcze wrócił ów nieszczęsny uroczysty dzień, w który stała się pobudką, że Alfred siódme przykazanie przestąpił! Niestety, sprawa nie dała się odmienić, a wszelkie usiłowania zapomnieć zdarzenia były nadaremne.

Od onej chwili minęło lat dziewięć, gdy naraz cios niespodziany przeraził Anusię. Pewnego dnia dosiadł Alfred

koniu swego i udał się w drogę do sąsiedniego miasta. Naraz się koń spłoszył i stanawszy dęba zrzucił jeźdźcę na ziemię, który uderzwszy głową o kamień na miejscu się zabił. Anna strwożona pobiegła do domu wuja a widząc go we łzach nad ciałem syna, upadła mu do nóg i wśród gorzkich łez wyznała, jak przed laty dziewięciu ciężko skłamała. »Słowa twoje: Boże, Ty mię widzisz! prześladowały mię od tego czasu, gdziekolwiek się obróciłam. Ach, wuju kochany,« rzekła, »powiedz, że mi przebacysz. Nikt w świecie nie wie, co ja wycierpiałam, i jak gorzko onych jablek żałowałam. Ach, biada mnie, żem ich pożałowała.«

Biedna Anna; przez długie lata nie mogła zapomnieć grzechu swojego, a choć dziś serdecznie Pana pokochała i jest przekonana, że krew Chrystusa »oczyszcza nas od wszelkiego grzechu,« przecież ten grzech jeszcze obciąża jej serce, gdy pomni, jak owych jablek pożałowała, życzenie swe wynurzyła, kuzynka do grzechu pobudziła a serce swoje kłamstwem splamiła. O zaprawdę, straszna jest potęga grzechu!

Bogaty w wierze.

Na wschód od Australii w Południowym Morzu znajduje się wielka liczba niewielkich ale bardzo pięknych i urodzajnych wysp, których mieszkańcy jeszcze przed laty pięćdziesięciu byli poganami. Dziś zgola wszyscy są chrześcianami i członkami ewangelickiego kościoła. Angielscy misjonarze dostali się na te wyspy z początkiem bieżącego stulecia, a po długiej i zmuśnej pracy pozyskali pogan dla Ewangelii. Gdzie przed 60 laty ludożerstwo panowało, tam dziś stoją wioski i miasteczka, a krajowcy święcą dzień święty, jak rzadko gdzie w świecie czynią chrześcianie. Po-

między robotnikami w tej winnicy Pańskiej zajmuje pierwsze miejsce misjonarz William, który umarł przed laty blisko trzydziestu.

Pewnego razu przechodził drogą po jednej z tych wysp, gdy naraz z pod drzewa odezwał się głos wołający: »Bądź nam pozdrowiony, sługo Pana Boga, coś przyniósł światło w te ciemne kraje. My ci się nigdy za słowo zbawienia nie wywdzięczymy.«

Słowa te wyrzekł kaleka bez nóg, które w dosłownem znaczeniu strawiła choroba panująca w tych stronach, podobna do raka, a którą krajowcy nazywają »kokowi.«

William zatrzymał się i spojrzał na nieszczęśliwego pytając: »Cóż wiesz, mój przyjacielu, o słowie zbawienia?«

»Ja wiem,« odpowiedział, »że Syn Boży Jezus Chrystus za me grzechy na krzyżu umarł, aby mię zbawił a po śmierci do siebie przyjął do radości.«

»Czy się modlisz do Pana Jezusa?«

»Tak jest, gdy pielęgnuję ziemię i rośliny sadzę. Oprócz tego modlę się sam w domu trzy razy dziennie, a rano i wieczór z moją rodziną.«

»Gdy się sam modlisz, jakież słowa mówisz?«

»Mówię: o Boże! ja wielkim jestem grzesznikiem. Oby mię Jezus krwią swoją oczyścił i sprawiedliwością swoją przyozdobił. Duch Twój Święty, Panie, niechaj mię uczy, niech mię służy Twoim uczyni, a po śmierci przywiedzie do nieba.«

»Doskonała modlitwa! Któż cię jej nauczył i z wiarą chrześciańską zaznajomił?«

»Któż inny jak ty, nasz Ojciec duchowny?«

»Ja cię nigdy na nabożeństwach naszych nie widziałem.« — »Nigdy na nich nie byłem, bo mi choroba moja nie pozwala. Lecz zawsze pod tem drzewem siedząc czatowałem na ludzi, gdy z nabożeństwa wracali, i dowiadywałem się o nauce waszej. Jeden mi powiedział jedną rzecz, a drugi drugą, a z tych ułamków poskładałem sobie wiarę i modlitwę moją.«

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Jadu i matka jego.

W południowej części Azji znajduje się ogromny półwysep, Wschodnimi Indyami zwany. Ludność tamtejsza wyznawa po części religię mahometańską, a po części pogańską; chrześcianami są tylko w kraju mieszkający Anglicy i pewna liczba krajowców, których tamtejsza misja ewangelicka dla wiary pozyskała. W pewnej wiosce onego rozległego kraju znajdowała się chata, zamieszkała przez pogańską rodzinę, składającą się z ojca, matki i jedynego dorosłego syna. Młodzieniec przyszedł w styczność z chrześcianami, czytał Biblią, uwierzył w Chrystusa i chciał się dać ochrzcić. Pogańscy rodzice uczynili, co tylko mogli, aby go odwieść od tego zamiaru, boby woleli widzieć syna swego na marach niż chrześcianinem.

»Ostrzegam cię, mój kochany synu,« odezwała się matka; »ja nie przeżyję tego dnia, którego ty publicznie wiarę swą wyznasz i ochrzcić się dasz. Ja od hańby i zgryzoty umrę.« Słowa matki wywarły głębokie wrażenie na umyśle syna, bo szczerze rodziców swych kochał. Próbował im wytłumaczyć, jak głębokie znaczenie ma wiara chrześcijańska i jak daleko wszystkie zabobony pogaństwa przewyższa. Wywodami swymi nie osiągnął skutku. Owszem ojciec wpadłszy w gniew zagroził, że go z domu wypędzi i zupełnie się zaprze, bo nigdy nie dopuści, aby dom jego został religią chrześcijańską splamiony.

Matka próbowała łagodnemi słowy odwrócić syna od jego zamiaru i na lono pogaństwa nawrócić.

»Tego ja uczynić nie mogę,« odpowiedział łagodnie Jadu.

»A więc choć *potajemnie* służ swemu Bogu. Od czasu do czasu pójdziesz z nami do naszej świątyni na nabożeństwo, a w Biblii swojej czytaj sobie pokryjomu. Tak się nikt nie dowie, że chrześcijańskiego Boga wyznawasz, a my jak dotąd będziemy żyli spokojnie.«

»Bóg niebieski darował mi zbawienie,« rzekł Jadu ze wzruszeniem. »Jakże je mogę trzymać w tajemnicy i zapierać się Pana, służąc bałwanom?«

»Ale ja ci mówię,« rzekła matka, »tego samego dnia, którego się dasz ochrzcić, ja umrę, sama sobie życie odbiorę, a umierając na wieki cię przeklnę.«

Można sobie usposobienie biednego młodzieńca wyobrazić. Wyszedłszy w pole szukał samotności, aby na rozmowie z Bogiem odzyskał spokój duszy i znalazł drogę, na którą wstąpić. Szatan przemawiał do serca, aby się Pana zaparł. W cichości może służyć Bogu swemu, a niekiedy pójść z rodzicami do pogańskiej świątyni. Przez to się jeszcze Pana nie zaprze, a kto wie, z czasem może się uda przekonać rodziców i na chrześcijańską wiarę nawrócić. Takie pokusy przemawiały do serca, lecz z innej strony odzywało się słowo Chrystusowe, które mówi, że »kto się mnie zaprze przed ludźmi, tego i ja się zaprę przed ojcem w niebiesiech.« W końcu upadł Jadu na kolana gorąco się modląc, aby go Bóg oświecił i wskazał, co ma czynić. Powstawszy od modlitwy uczuł się wielce pocieszonym i pokrzepionym na duchu.

Kilka dni upłynęło, w których coraz mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że mimo najczulszej miłości i wdzięczności dla rodziców Pana się zaprzec nie może. Pewnego razu przyszło do rozmowy między nim i matką o tym

przedmiocie. Jadu zapewniał ją o swej miłości i wdzięczności synowskiej, ale jednak oświadczył, że się Pana swego zaprzeć i bałwanom służyć nie może. W tej samej chwili rzuciła się biedna matka na szyję syna i uściśnęła go z zapalem macierzyńskiego serca, wołając boleśnie: »Raz jeszcze, mój synu, pragnę cię uściśnąć miłością matki — a teraz cię w imię bogów moich przeklinam! Idź, bo już więcej nie masz matki, a ja nie mam syna.«

Słowa te przekruszyły serce jego aż do głębi; w końcu westchnąwszy ku niebu zawołał: »Ojciec mój i matka moja opuszczają mię, ale ty, Panie, przyjmiesz mnie! Sierotą jestem, miej litość nademną, miłosierny Boże!«

Następnego dnia, gdy postanowienia swego nie zmienił, wyklął go ojciec i wypędził z domu, surowo zakazawszy, aby nigdy więcej w progi rodzinne nie wrócił. Jadu poszedł, gdzie była nie wielka osada chrześcian, wyznał Chrystusa, został ochrzczony i wszedł do zakładu, w którym wychowywano młodzieńców indyjskich kształcących się na przyszłych kaznodziej i nauczycieli Ewangelii. Gdy go do urzędu duchownego wyświęcono, poszedł w północne strony Indyi i tam przez długie lata pracował jako misyonarz i kaznodzieja. Ewangelii Chrystusowej. Po upływie lat czternastu wrócił znowu do ojczyzny i odszukał swą wioskę rodzinną. Chatkę znalazł pustą, bo ojciec i matka od kilku lat spoczywali w grobie. Dowiadując się szczegółów ich życia usłyszał rzeczy, które go mocno ucieszyły. Matka jego w wierze Chrystusowej umarła. Nie mogła zapomnieć syna, którego wyklęła. Pamiętając o nim chciała się przekonać, co się w tych chrześcijańskich księgach

znajduje, które serce syna taką dziwną siłą ogarnęły. Wziąwszy do ręki Biblię czytała o miłości Chrystusowej; z coraz większem zajęciem czytała, aż się serce zagrzało i w końcu sama postanowiła wyznać wiarę Chrystusową, którą syn ukochany w innych krajach głosił. Nie raz z westchnieniem powrotu jego wyglądała, ale napróżno; tu na ziemi nie ujrzała więcej oblicza jego, ujrzy syna swego w królestwie niebieskiem. T.

Niezasłużona nagroda.

Było to w pewnym dalekim kraju na wschodzie. Koło ogrodu królewskiego, w którym prześliczne winogrona rosły, przechodziła często pewna uboga kobieta, której dziecię w domu leżało chore. Pewnego razu przechodząc tędy ujrzała ogrodnika i ofiarowała mu wszystkie swe grosze prosząc, aby jej dał koszyk winogron; chciałaby dziecięciu sprawić niespodziankę. Ogrodnik naturalnie odmówił, bo winogrona nie były na sprzedaż. Po kilka razy przychodziła, coraz większą sumę podając, ale zawsze napróżno. Pewnego razu była córka króla w ogrodzie, gdy niewiasta mimo przechodziła. Ogrodnik ujrawszy kobietę, zwrócił na nią uwagę królowej i opowiedział o jej życzeniach. »Moja kochana,« odezwała się królewska córka, »bardzo się mylisz, jeśli myślisz, że za pieniądze tych winogron dostaniesz. Ojciec mój nie jest kupcem, on winogron nie sprzedawa. Czyś nie wiedziała, że ten ogród królowi należy?« To rzekłszy wręczyła kobiecie duży koszyk najśliczniejszych winogron.

Powieść ta ważną naukę zawiera. Bóg niebieski nie jest kupcem lecz królem. Dziedzictwa niebieskiego nie można ku-

pić za pieniądze, ani sobie na nie jakimi pracami i usiłowaniami zarobić.

Pewien duchowny stanął jednego razu nad śmiertelnem łóżem bogatego człowieka, który się zapytał, czy też Bóg o wszystkich jego czynach pamiętać będzie, bo między innymi rzeczami zbudował kościół, który 150 tysięcy złr. kosztował.

»Czy Pan myślisz,« rzekł duchowny, »że Bóg żywot wieczny za 150 tysięcy złr. sprzeda?« Ten człowiek popełnił tę samą pomyłkę, co ona kobieta; myślał bowiem, że zbawienie otrzyma w zamian za pewne usługi, które uczynił. Zapomniał, iż Chrystus takowe przez krew swoją nabył a teraz za darmo, z łaski je daje. Któż byłby w stanie zapłacić cenę, któraby nieskończonej wartości krwi Pańskiej odpowiadała?

Piękna to jest rzecz, gdy serce w pokorze, wierze i miłości zupełnie siebie Chrystusowi odda. W takim razie wszystkie rzeczy odbiera w darze z Jezusowej ręki. Pewien kaznodzieja leżał na śmiertelnej pościeli, gdy przyjaciel jego wszedłszy do pokoju rzekł: »Drogi przyjacielu, idziesz po zapłatę za wszystkie wierne usiłowania twoje.« »O nie,« odparł umierający, »*po litość*« idę, bo litości Bożej jak najpodlejszy grzesznik potrzebuję.«

B.

Co dziecie działo.

W pewnem mieście miał ktoś odczyt przed licznem zgromadzeniem.

W ciągu tegoż wypowiedział zdanie, że »każdy człowiek ma jakiś wpływ na otoczenie swoje. Niech nikt nie mówi, iżby nie miał wpływu, bo każdy człowiek pewien rodzaj wpływu wywiera.«

Na przeciwnym końcu sali stał mąż-

czyzna dosyć skromnie ubrany, oczywiście był to jakiś ubogi wyrobnik. Na rękę trzymał małą córeczkę.

»Každy człowiek wywiera pewien wpływ, nawet i to dziecie,« powtórzył mówca, wskazując palcem na córkę wyrobnika.

»To jest istotną prawdą,« odpowiedział ojciec donośnym głosem.

Całe zgromadzenie obróciło się w tył spoglądając nań, lecz wyrobnik nie odezwał się więcej i mówca bez przerwy kończył swe wywody.

Gdy się zgromadzeni rozeszli do domu, przystąpił wyrobnik do niego i rzekł z uszanowaniem: »Mocno przepraszam, żem Panu przerwał: ale nie mogłem inaczej. Ja byłem pijakiem, a ponieważ mi się nie podobało samemu chodzić do karczmy, przeto zawsze to dziecie z sobą zabierałem. Pewnego wieczoru przybliżyłem się do karczmy i wielką wrzawę w niej usłyszałem. Dziecie się przelekło i zaczyna prosić: »Tatuniu, nie chodź tam!« — »Milcz, durniu,« odpowiadam, a ona coraz usilniej błaga, mówiąc: »Tatusiu, nie chodź tam!« — »A przestań, głupcze!« odparłem złośliwie, i w tem uczulem, jak gorąca łza na lice me padła. Tej chwili, mój Panie, ani kroku dalej postąpić nie mogłem. Natychmiast obróciwszy się poszedłem do domu i od tego czasu, dzięki Bogu, ani razu w karczmie nie byłem. Teraz jestem szczęśliwym człowiekiem, a wszystko to tej małej córeczce zawdzięczam. Przeto nie mogłem się wstrzymać, gdy Pan rzekł, że i ona ma wpływ. Tak tedy wybuchłem wołając: »To jest prawda, Panie, i ona ma wpływ.«

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Rozmowa w ogrodzie.

Było to pewnego wieczoru, słońce ogromnie przez cały dzień paliło i wszystkie kwiaty i trawki ogrodu nawpół zwiednięte chyliły swe główki ku ziemi. Mała Kasia porwała konewkę, napełniła wodą i pobięła podlewać kwiaty. Piękne geranie, goździki, sierotki pokrzepione wodą dziwnie odżyły tak miłą wydawając woń, jakby ogrodnicze podziękować chciały. Kasia krzątała się pomiędzy grządkami zwinna i wdzięczna, sama wyglądając jak kwiatek. Proste ubranie było jej pięknie do twarzy, a liczka rumiane czerwieniły się jak róże.

W młodej jej główce rozmaite myśli powstawały, a gdy je wypowiedziała, dziwowali się słuchacze, zkąd jej takie rzeczy do głowy przychodzą. Stając z konewką w ręku odezwała się naraz do matki: »Mateczko! Powiedz mi, dla czego małe dziewczęta nie mogą robić, co im się podoba? Wieczór muszą wcześniej iść spać, a rano wcześniej wstać. Każą nam robić to i owo, a my musimy posłuchać. Musimy nasze suknie pięknie uprzątać i wszystko w porządku utrzymywać. Jabym wolała robić, jak mnie się podoba, bawić się w ogrodzie a nie siedzieć i uczyć się. Na to będzie czas, gdy wyrosnę. Gdy będę tak wielką jak Zuzanna, to się potem będę uczyła porządku i pracy. Dla czegoż nie mogę tak czynić?»

»Mówisz, jak głupie dzieci gadają,« rzekła matka z uśmiechem. »Ja ci zaraz pokażę, dla czego każda dobra matka stara się od pierwszej młodości dzieci swoje do porządku przyzwyczajając i w posłuszeństwie wychowywać. Chodź teraz ze mną.« To rzekłszy wzięła Kasię

za rączkę i zaprowadziła do pewnej grządki w ogrodzie, na której młode roślinki wschodziły. Były jeszcze tak delikatne, że ledwie swe główki z ziemi podnosiły. Matka wskazawszy na taką roślinkę rzekła do Kasi: »Wyciągnij ją z ziemi.« Dziecko usłuchnęło; ujęło palcami roślinkę i z łatwością wyciągnęło.

»A teraz tę,« rzekła matka, wskazując na kwitnącą stokrotkę. Kasia pobięła z uśmiechem, uchwyciła roślinkę i wyrwała z ziemi, lecz już więcej musiała siły dołożyć, bo się korzenie mocno w ziemi trzymały. — »Teraz to spróbuj wyciągnąć,« rzekła matka, wskazując na chwast wyrastający z ziemi. Kasia ujęła roślinę rękami i zaczęła ciągnąć, ale napróżno. Tu było trzeba więcej siły wydać. Dziewczynka wysilała się, co mogła, krople potu płynęły jej z czoła, aż w końcu przecie wyrwała zielsko. Praca ta nie mało ją zmęczyła. Matka patrzyła na nią z uśmiechem, a gdy skończyła robotę, zaprowadziła Kasię do małego drzewka, rosnącego w ogrodzie i rozkazała, aby teraz to z ziemi wyrwała. Dziewczynka patrzy na matkę zdziwiona, ale przyzwyczajona słuchać rozkazu wzięła się do roboty. Ująwszy drzewko rękami zaczyna ciągnąć do góry, lecz ledwie niem ruszyła; tylko kilka suchych liści spadło na ziemię. O wyrwaniu z ziemi mowy nie było.

»Otóż widzisz, moje kochanie,« rzekła matka, »te małe roślinki potrafiłaś wydobyć, ale drzewka nie mogłaś wyciągnąć, bo już jest mocno zakorzenione. Tak ma się też rzecz z rozmaitymi niegrzecznościami i nałogami dzieci. Na początku, póki się dopiero zakorzeniają w sercu, można je wytepić; potrzeba tylko trochę czujności i troskliwości. Lecz gdy się korzenie tych namię-

tności utwierdzą w sercu, to potem nie łatwą jest je wykorzenieć, a często siła człowieka na to nie wystarczy, chyba że Bóg wszechmocny mocą swoją oczyści serce i złe namiętności w niwecz obróci.

»Teraz pojmiesz i zrozumiesz, dla czego cię przytrzymuję, abyś wcześniej wstawała, suknię swą czysto utrzymywała, prawdę mówiła, posłuszną była i grzecznie się sprawowała. Teraz jesteś młodą, przeto za pomocą Bogą wyrwam z serca twego wszelkie chwasty grzesznych nałogów i nie chcę pozwolić, aby w ogrodzie duszy twojej takie rzeczy rosły. Pan Bóg chce mieć serce twoje tak czystem jak ogród, w którym piękne kwiaty rosną; przeto w niem sadzę i zaszczepiam, co jest dobre i Bogu się podoba. Dziś te cnoty są jeszcze jak roślinki słabe, ale z czasem zmoćnieją i głębiej w sercu zapuszczają korzenie a potem wydadzą owoce, które się Ojcu w niebiesiech podobać będą. Czy rozumiesz teraz, dla czego ci te roślinki wyrwać kazałam?»

»Rozumiem, mameczko!« odrzekła Kasia. Matka ucałowała jej miłą twarzyczkę, a dziecko wesołe pobiegło do zajęcia swego.

P.

Modlitwa rybaka.

Ludność mieszkająca nad brzegami morza zgolał się wszędzie rybołówstwem trudni. Rybacy angielscy mają we zwyczaju, gdy idą w morze, uklęknąć na brzegu i opiece Najwyższego się porучzyć. Modlitwa ich jest krótka, ale treściwa. Modląc się te słowa mówią: »Strzeż mię, Panie Boże; łódka moja jest tak mała, a morze Twoje tak niezmierzone.«

Mysł i modlitwa są istotnie piękne.

Któż z nas czasami nie stał na brzegu, jeżeli nie morza, to przynajmniej kończącego się dnia, i nie patrzył ze wzruszeniem w niedoścignięte tajnie przyszłości? Dobrze tedy uczynimy, gdy wieczór i rano, póki żyjemy, tą samą modlitwą westchniemy do Boga.

»Strzeż mię, Panie Boże; łódka moja jest tak mała, a Twoje morze tak niezmierzone.«

»Łódka moja jest tak mała.« O prawdę, słabem jest to życie, tak pełnem trudów i pełnem błędów. Jedna nas deska od wieczności dzieli! Raz wichry zadną, a życie rybaka w morzu pogrzebane. Nikt nas oprócz Boga ocalić nie może; przeto każdy człowiek powinien się modlić, ze serca wołając: »Strzeż mic, Panie Boże!«

»Łódka moja jest tak mała,« a jednak nią wały życia miotają, kleski tego świata o nią uderzają, wichry ucisków i utrapienia, burze pokusy i nawiedzenia na nią nacierają.

»Strzeż mię Panie Boże,« bo siły moje na to nie wystarczą, bo „moja łódka jest bardzo mała.

»Strzeż mię Panie Boże, bo morze Twoje jest niezmierzone!« Droga ma daleka — jazda niebezpieczna — dni i lat nie mało. »Morze niezmierzone,« a jednak gdy Jemu serdecznie ufamy, »On burzę w ciszę obróci, tak że nawałności ucisków umilkną.« Ps. 107, 29.

»Strzeż mię Panie Boże; łódka moja jest tak mała, a Twoje morze tak niezmierzone.«

O niech ta modlitwa także nasza będzie, aż na drugim brzegu, tam „za morzem“ znajdziemy Jezusa. Jan. 6, 25., aż za oceanem miłości Bożej „ujrzymy ziemię daleką,“ Izaj. 33, 17., aż się podróż skończy, „a łódki nasze się roz-

weselą, że morze ucichło i że do portu
pożądanego przywiódł nas Pan.« Ps.
107, 30.

K.

Zgładzony grzech.

Czy wam się kiedy zdarzyło, żeście w książce
swojej albo na arkuszu czystego papieru
plamę zrobili? A jeżeli tak, czy mogliście
ją ztąd usunąć? Jeden albo drugi rzecz, iż był
w stanie to uczynić; ale się pytam, czy żadnego
śladu nie pozostało? Może był znak na papierze,
a niekiedy istna dziura pozostała, którąście wytarli
albo wyskrobali. Albowiem nie jest rzeczą możebną
usunąć plamę z białego papieru tak doskonale,
iżby żadnego śladu nie było.

Teraz wyobraźcie sobie cały arkusz tak zabrudzony i atramentem zlany, że prawie czystego
miejscu na nim niema. Jakaż dopiero trudność tak-
kowi oczyścić!

Taka karta papieru — to prawdziwy obraz
serca człowieczego w obliczu Boga. Może nawet
nie wiecie, iż ono tak samo jest splamione grze-
chem. Lecz przypuśćmy, iż wasze serce inaczej wy-
gląda. W każdym razie będzie podobne do białej
karty, na której choć jedna czarna plama istnieje.
Czy ją możecie wymazać? O, niestety, nie! Jedno
kłamstwo, jedno słowo plugawie, jeden zły uczynek,
jedna myśl grzeszna jest taką czarną plamą, a któż
chce powiedzieć, że jest wolnym od niej? A jeżeli
serce wasze splamione jest, jakże tę plamę usunąć?

Bóg mówi: »Nie wnijdzie do niego (do nieba)
nic nieczystego.« Objaw. 21, 27. A zatem niema dla
was nadziei, bo serce człowieka nie jest czyste,
lecz w rzeczywistości wygląda jak karta papieru
cała zabrudzona. »Boć różnicy nie masz. Albowiem
wszyscy zgrzeszyli i nie dostaje im chwały Bożej.«
Rzym. 3, 22 i 23.

Każda pojedyncza plama na onej karcie, każdy
tajemny grzech serca waszego jest zapisany w
księdze Najwyższego, a póki tam jest, brama nieba
się nie otworzy, przystępu do miasta Baranka Bo-
żego nie znajdziecie. Ale my wiemy, że Jezus przy-

szedł, »aby dał znajomość zbawienia ludowi jego
przez odpuszczenie grzechów ich.« Łuk. 1, 77.

Oto tedy jest sposób, jak tę plamę zgładzić! Krew
Jezusa Chrystusa ją zakryje, jeżeli ją na rachunek
śmierci Jego policzymy. Napróżno jej szukać, bo ją
krew Jezusa Chrystusa zakryła. »Jeżeliśmy wyznali
grzechy nasze, wierny jest Bóg i sprawiedliwy, aby
nam odpuścił grzechy i oczyścił nas od wszelkiej nie-
prawości.« 1. Jan. 1, 9. Odpuszczenie zatem jest
darem przez Pana nam danym, a naszą rzeczą jest
tylko przyjąć ten dar bez względu na to, co serce
czuje, i dziękować zań.

Człowiek może przez całe swe życie się usiło-
wać, aby go sobie swą pracą zarobił; a jednak
go nie dostąpi. Lecz jeżeli odpuszczenia serdecznie
pragniecie, tedy je dziś z ręki Jezusowej jako dar
łaski otrzymać możecie, albowiem Chrystus mówi:
»Tego, co do mnie przyjdzie, nie wyrzucę precz.«
Jan. 6, 37.

Są ludzie, co mówią: »Wierzę w odpuszczenie
grzechów,« lecz jednak nie wierzą, żeby ich własne
grzechy były odpuszczone.

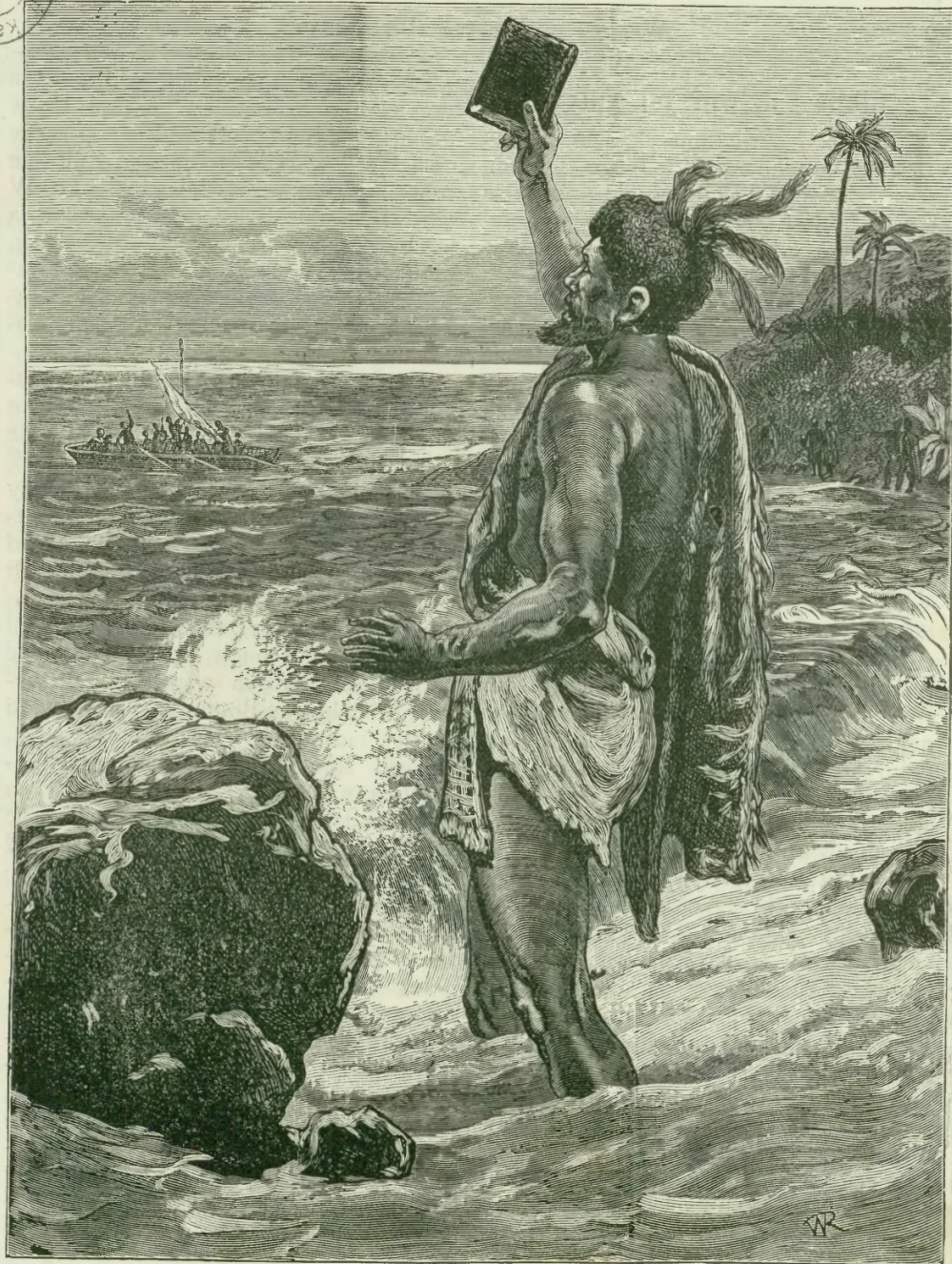
Pewnego razu spotkałem staruszkę, który mi
mówił, iż od lat dawnych prosi Pana Boga o od-
puszczenie grzechów swoich, ale jednak nie wie,
czy mu będą odpuszczone. Taki stan serca jest
rzeczywiście pożałowania godnym, lecz słowu Bo-
żemu nie odpowiada. Trzy są stopnie, które według
woli Bożej przejść powinniśmy, a te są:

1. Odpuszczenie i pokój serca. Rzym. 5, 1—2.
2. Pewność zbawienia, która się na obietnicy
Boga zasadza.
3. Radość wewnętrzna, która wynika z pewności
zbawienia.

Zbawiciel kochany stoi u drzwi serca i szuka
przystępu. W rękę swem przeklętem niesie od-
puszczenie, poświęcenie i pokój serdeczny. »Przetóż
dziś, jeżelibyście głos Jego usłyszeli, nie zatwar-
dzajcież serc waszych.« Żyd. 3, 7.

**Wszystkie opowiadania „Wesołego
poselstwa“ są prawdziwe.**

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Biblia i dziwny jej wpływ.

Pewien okręt amerykański płynąc po wodach Wielkiego Oceanu uderzył o skałę ukrytą pod wodą i natychmiast się rozbił. Załoga składająca się z kapitana i 22 majtków spuściła w morze łódź ratunkową, zabrawa z okrętu, co się zabrać dało, i szukała ocalenia z topieli. Biedni rozbitkowie spędzili na łodzi czternaście dni i czternaście nocy, zapasy żywności były wyczerpane a z żadnej strony ani okręt ani ląd się nie pokazywał. Nadzieja ocalenia coraz więcej znikła. Jeżeli w krótkim czasie pomoc nie nadejdzie, tedy albo z głodu i pragnienia pomrą albo ich wały morza pochłona. Umysły wszystkich były przygnębione.

W tem, przed południem piętnastego dnia zawołał jeden z nich: »Ład! patrzcie, to ład!« W oddaleniu zarysowały się brzegi jakiejs wyspy. Zwrócili łódź i ze wszystkich sił robiąc wiosłami płynęli ku brzegom, na których się śliczne palmy zieleniły. Lecz im bliżej przypłynęli, tem większy niepokój ogarniał serca. Cóż ich czeka na wyspie? Nie ulegało wątpliwości, mieszkali na niej ludzie; nawet pojedyncze postacie przesuwały się po brzegach. Ale jacy ludzie? Czy dzicy poganie? W takim razie nie wiedzieć, czy wysiąść na ląd, bo dzicy krajowcy niejednego już europejczyka upiekli i zjedli lub swym bałwanom w ofierze spalili. Lepiej byłoby znaleźć śmierć w topieli niż paść pod nożem lub maczugą dzikich. Inna rzecz, jeżeli na wyspie byli już misjonarze, bo w takim razie mogą nieszczęśliwi braterskie przyjęcie znaleźć u krajowców. Misya chrześcijańska przemienia dzikich na ludzi gościnnych.

Gdy o tem rozmyślali, widzą naraz jako jeden z krajowców puszcza się w wodę, gdzie było płytko, idzie naprzeciw łodzi i coś w rękę podnosząc radośnie woła: »Misyonarze! Misyonarze!« W rękę zaś podnosił księgę, pokazując ją przybywającym. Nie ulegało wątpliwości, tu im żadne niebezpieczeństwo nie groziło, bo tu już misya chrześcijańska pracowała a umysły dzikich do Pana nawrócone zostały.

Widząc to skinęli rozbitkowie na krajowców, dając znać na migi, aby im pomogli. Od razu rzuciło się w wodę kilku silnych mężczyzn, przeprowadzili łódź pomiędzy skały, a potem porwawszy osłabionych w silne swe ramiona, bezpiecznie ich na brzeg zanieśli. Pod troskliwą opieką krajowców wypoczęli sobie podróżni i czekali spokojnie, skoro jaki okręt przybije, aby się dalej puścili w drogę. Tu mieli sposób oglądać owoce, jakie misya wśród pogan wydaje, i dziękować Bogu, że się nie dostali między ludożerców, lecz między ludzi, których słowo Boże z ciemności pogaństwa na światłość dzieł Bożych wyprowadziło. Lecz jeszcze jedna radość czekała kapitana. Gdy się wywiadywał o nauczycielach, którzy ich na wiarę chrześcijańską nawrócili, usłyszał dziwną, niespodzianą wieść — jego własny, rodzony brat to uczynił. Bywszy pachołkiem wstąpił w służbę misyi ewangelickiej i na tej wyspie wśród zupełnie dzikich barbarzyńców osiadłszy światłość wiary chrześcijańskiej rozpowszechnił. Można sobie wyobrazić, z jaką radością powitali krajowcy brata ukochanego nauczyciela i dobroczyńcy swego; jak się serce jego rozszerzyło, gdy mu ze wszystkich stron dowody wdzięczności i czci okazywano!

A ona księga, pytamy, którą jeden z nich w dzień przybycia podnosił — cóż to była za księga? Czy na to pytanie trzeba odpowiedzi? Któraż księga rozpędza ciemności barbarzyństwa i grzechu a wydaje światłość, która ducha narodów oświeca? Jużci żadna inna jak Biblia. »Słowo Twoje jest pochodnią nogom moim i światłością ściesze mojej. Ps. 119, 105.« »Błogosławieni, którzy słuchają słowa Bożego i strzegą go. Łuk. 11, 28.«

W. T. S.

Nieco o drobnostkach.

Pewnego poranku prowadziła guwernantka dwie małe dziewczynki na przechadzkę. Gdy szły koło pewnego płotu, ujrzały ogromny arkusz papieru z rozmaitemi ogłoszeniami przyklejony na murze. Między innemi wpadło dzieciom w oko jedno słowo, mianowicie »drobnostka«.

»Cóż to jest drobnostka?« zapytała Zosia.

Nim guwernantka mogła odpowiedzieć, zabrała głos starsza siostra Marynia i zaczęła tłumaczyć, że drobnostki są to takie małe rzeczy, co nie wiele znaczą, a nieraz ich robić nie warto.

Zosia najprzód na te słowa zamilkła a po niejkiej chwili rzekła: »To są podobno takie rzeczy, które ja zrobić potrafię. Ja jestem dzieckiem i nie wiele mogę w czem pomódz, lecz »drobnostki« myślę, potrafię wykonać i być użyteczną.«

»Ja wolę wielkie rzeczy robić,« rzekła Marynia, »drobnostek ja nie lubię.«

»Lecz gdy wielkich rzeczy nie potrafisz robić, czy nie lepiej robić »drobnostki« niż nic?« zauważała Zosia.

»O, tak jest,« dodała guwernantka; »mój dziadus mnie także niegdyś uczył,

abym nigdy drobnostkami nie gardziła, a ja się nieraz przekonałam, jako miał słuszność.«

Wskutek tej rozmowy postanowiły obie dziewczynki, że nigdy w życiu »drobnostek« nie zaniedbają.

Od tej rozmowy minęło więcej niż lat dwanaście, obie dziewczynki wyrosły i obie zajmują piękne stanowisko na świecie. Ale co najpiękniejsze, trudno opisać, ile dobrego w swem życiu przez to zrobiły, że nigdy drobnymi rzeczami nie pogardziły. Niejedną łzę smutku osuszyły, niejednemu biednemu do chleba a zaniebdanemu na nową drogę żywota pomogły.

Sławny rzeźbiarz włoski Michał Anioł poprawiał pewnego razu jakąś drobnostkę na nowo ukończonym posagu. Gość przechodzący patrząc na pracę jego, pytał się, dla czego taką drobnostkę naprawia? »Ponieważ doskonałość z drobnostek jest złożona, a doskonała praca nie jest drobnostką,« odparł artysta i kończył swe dzieło.

Może temu lat 60; pewna mała dziewczynka dała misyonarzowi jeden grosz na misyą. Za ten grosz kupił misyonarz jeden mały traktat, czyli małą książeczkę, a wyjechawszy do Azji wręczył go naczelnikowi pewnego dzikiego, pogańskiego szczepu i dalej pojechał. Kacyk ucieszył się z tego daru, lecz nie umiał czytać, więc puścił się w drogę piechotą i przybył do innego miasta, odległego o 50 mil od jego ojczyzny; tam był misyonarz i przeczytał mu jego książkę. Kacyk nauczył się czytać, przyjął wiarę chrześcijańską, a wróciwszy do domu, wszystkich swych poddanych do Chrystusa nawrócił. To wszystko z jednego grosza powstało, a nie można rzec, żeby nawrócenie całego szczepu pogańskiego było »drobnostką«.

Topi się!

Przed kilkoma laty wysłała królowa Anglii kilka okrętów wojennych do Egiptu, ponieważ tam powstanie groziło a położenie Europejczyków było niebezpiecznem. Kapitan jednego z tych okrętów nazywał się Fremantle. Gdy się do ujścia Nilu zbliżali, trzeba było bardzo ostrożnie płynąć, bo morze na tem miejscu nie jest głębokie a okręt mógłby wpłynąć na mieliznę. Kapitan stał na pokładzie wydając rozkazy, a po jednej i drugiej stronie okrętu stali majtkowie ze sznurami w rękę, na których wisiały ołowiane kule, aby tym sposobem głębokość wody mierzyli.

Naraz ostry wiatr zawionął i jednego z majtków zerwał do wody. Tonący trzymał się sznuru, lecz okręt w swym pędzie wlokł go tak ostro, iż majtek nie mógł na powierzchnię wody wypłynąć i nie mając powietrza lada chwila musiał się udusić. Kapitan, widząc to, dał rozkaz do zatrzymania okrętu, co jednak w obec silnego ruchu jazdy na miejscu wykonać się nie dało. Ze służby okrętowej nie było nikogo, coby się czuł w stanie ratować majtkę, więc kapitan sam, widząc niebezpieczeństwo, skoczył w wodę i z narażeniem własnego życia szukał tonącego ocalać. Nie była to dla niego rzecz łatwa, ponieważ jako kapitan powinien był stać na posterunku swoim. Z jednej strony przemawiał obowiązek, z drugiej zaś litość nad nieśczęśliwym.

Po dłuższych usiłowaniach udało mu się porwać zdrętwiałego i na powierzchnię wody wydobyć. Tymczasem okręt zatrzymał się w biegu, łódkę ratunkową spuszczone w wodę a kapitan i majtek omdlały dostali się na pokład. W tem znowu stuknęły maszyny i okręt dalej popłynął.

Na widok kapitana, poświęcającego się dla majtki okrętu, cała załoga huknęła: »brawo!« Ze zdumieniem na niego patrzali, nie wiedząc czy więcej podziwiać bohaterski czyn, czy serce dobre naczelnika swego. Komenda wojskowa wyraziła mu pochwałę i podziękowanie, a królowa własną swą ręką na jego piersiach zawiesiła medal.

Nie mała, zaprawdę, była to sprawa; kapitan opuścił stanowisko swoje na okręcie i własne życie na niebezpieczeństwo naraził. Ktokolwiek się o tem dowiedział, z uwielbieniem odzywał się o nim. Lecz czemuż jest uczynek Fremantle'a w porównaniu z poświęceniem onego, który powiedział, »że przyszedł Syn człowieczy, aby szukał i zachował, co było zgineło.«

Pocziwy kapitan naraził życie swoje na niebezpieczeństwo, ale Pan Jezus daleko więcej dla nas uczynił. Kapitan uczynił to pod wpływem chwilowego wrażenia, ale Jezus wiedział od wieczności, co go czeka, a jednak rzekł: »Oto idę, abym czynił, o Boże! wolę Twoją!« Żyd. 10, 9.

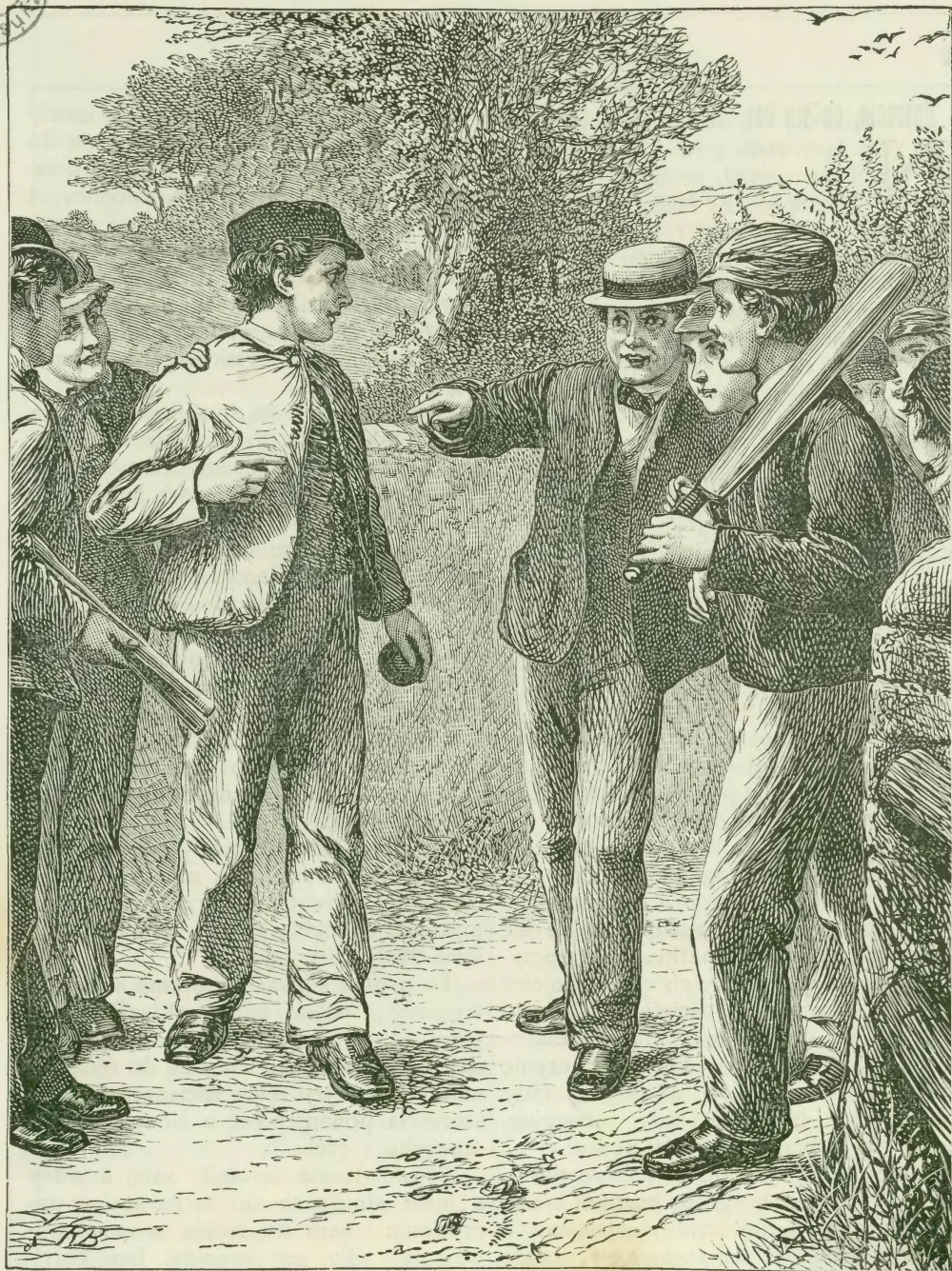
Kapitana czekało uznanie i oklaski od pierwszej chwili aż do końca, ale Pan Jezus innych rzeczy doznał; na niego wołano: »Strać, strać, ukrzyżuj go!« Żeglarze płynący po morzu przyzwyczaili się do wody i wałów, lecz czyste serce Pana Jezusa — jakżż odrazę musiało uczuć do grzechu i przekłństwa z nim połączonego! Jakże moje i wasze grzechy musiały czystą duszę Jego przynębić na Golgocie!

Największa jednak różnica zachodzi w tem, że co kapitan uczynił, dla obcego człowieka uczynił. Nie tak Pan Jezus; co On uczynił, to dla *was*, — to dla *mnie* uczynił. Filip. 2, 5—8.

Najwznioślejsze czyny ziemskie słyną przez czas nieśmiertelny, a w końcu przechodzą w niepamięć. Lecz co Chrystus zjedł, wieczną ma trwałość i na wieczne czasy słynąć nie przestanie. Na wieki wieczne trwać będzie pieśń dziękczynienia i tryumfu jego, ona pieśń zbawionych Pańskich, która mówi: »Odkupiłeś nas Bogu przez krew swoją ze wszelkiego pokolenia i języka ludu i narodu; i uczyniłeś nas Bogu naszymu królmi i kapłanami.« Obyśmy my także do śpiewu tego przyczynić się mogli, aby głosy nasze pieśń tę zanuciły najprzód tu, a potem tam przed Panem, w niebiesiech, wołając: »Godzien jest ten Baranek zabity wziąć moc i cześć i chwałę i błogosławieństwo.« Obj. 5, 12.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Patrzcie, on się boi, że się matka dowie!

Na łące stała gromadka chłopców i rozmawiali, że pójdą na wodę i będą jeździć łódką po jeziorze. Wszyscy się zgadzali, tylko Jan Torry się wzbraniał. »Patrzcie, on się matki boi; jak się jej fartucha trzyma, ani go na chwilę nie może opuścić,« rzekł jeden z pomiędzy starszych, szydząc z przyjaciela. »Ani na wodę nie chce iść z nami, aby się nie pogniwała,« odezwał się inny, a tak się wszyscy z kolei nasmiewali z Jana.

Ten będąc od nich starszym i silniejszym mógłby należycie ukarać złodźników, lecz tego nie uczynił, owszem wstrząsł głową i odparł spokojnie: »Tak jest, mój Pawle, Torry nie chce pogniwać swej matki.«

»Ale się ona nie dowie,« rzekł jeden z nich. »Chodź tylko, Janie; my jej nic nie powiemy.«

»Nie pójde, mój kochany,« odrzekł Jan stanowczo. »Ja jej obiecałem, że nigdy bez pozwolenia nie pójde. Ona twierdzi, że to rzecz bardzo niebezpieczna.«

»A głupstwo,« rzekł inny. »Tchórzem jesteś i basta. Odwagi ci brak!«

»Nazwij mię tchórzem,« odpowiedział Jan, »jeśli przez to rozumiesz, że się obawiam zasmucić matkę, bo rzeczywiście tego uczynić nie chcę. Gdy ojciec mój na śmiertelnej pościeli leżał, rzekł do mnie: »Janie! pamiętaj o matce swojej, a nie wstydź się nigdy czynić to, co ci rozkaże. Jeśli według jej rady postępować będziesz, tedy zobaczysz, że ci się dobrze powodzić będzie.«

Dużo musiał Jan od swych rówieśników wycierpieć, bo go na każdym kroku prześladowali i dokuczali mu, jak mogli. Mimo to nie dał się zachwiać i zawsze

według rady ojca postępował. Za krótki czas po owej rozmowie dostał się do pewnego sklepu za ucznia; tu robił takie postępy w powołaniu swoim, iż z czasem został naczelnikiem całego przedsiębiorstwa a w końcu jego współwłaścicielem. Gdy 50. rocznicę urodzin swych obchodził, urządzili na cześć jego obywatele miasta wielką uroczystość, na którą przedewszystkiem sędziwą matkę Jana zaprosili.

Dziękując za tyle dowodów szacunku i czci zakończył dłuższe przemówienie swoje słowy następującemi: »Przy tej sposobności z chlubą wyznać muszę, że wszystko powodzenie moje przedewszystkiem matce mojej zawdzięczam; ona mi była po Panu Bogu najlepszym pomocnikiem na świecie. Ona mię nauczyła miłować Boga i zawsze się w obec ludzi rzetelnie zachować, a te dwie rzeczy były fundamentem powodzenia mego.« A potem zwróciwszy się do matki swojej, sędziwej staruszki, która po prawej ręce jego siedziała, rzekł: »A tak jeszcze raz Panu Bogu za matkę moją dziękuję!«

Głośnie oklaski odezwały się ze strony całego zgromadzenia, a nim się jeszcze uspokoiły, powstała z krzesła poważna matrona i rzekła: »A ja Panu Bogu za syna mego dziękuję.«

Te proste słowa nieopisane wrażenie wywarły; nowa burza oklasków zagrziała, a gdy w końcu zaczęto opuszczać salę, cisnęli się wszyscy do sędziwej matki, aby jej rękę uścisnąć, takiego szczęścia powinszować a złożyć wyrazy szacunku i czci.

Zgromadzenie opuściło salę, a jeden z ludzi służących do stołu stał w zamysleniu i sam do siebie mówiąc powtarzał: »To jest prawda, Jan Torry

zawsze matkę swą kochał i nigdy się za to nie wstydził. On zawsze czynił, co mu rozkazała, i przez całe życie tak postępował.»

»Zkądże ty to wiesz?» zapytał go ktoś.

»Bośmy razem byli dziećmi i wspóleśmy wyrosli,« odparł zapytany, opowiadając o onem zdarzeniu na łące, jak go chcieli skłonić, aby razem z nimi wbrew woli matki pojechał na wodę, od którego czasu może jakich trzydzieści lat upłynęło. Potem zbierając talerze ze stołu sam z sobą dalej ciągnął rozmowę: »Może i ja miałbym się dziś lepiej, gdybym był nauk rodziców słuchał. Ja jestem »kelnerem,« a Jan Torry stoi na czele jednego z największych przedsiębiorstw miasta, a jednak razem byliśmy chłopcami. Jakaz to szkoda, że lata dziecinne nie wrócą nigdy. Gdybym raz jeszcze mógł swoje życie od dzieciństwa rozpocząć, tedy-bym pewnie nauk rodziców nie puścił na wiatr.«

Takie były rozmowy starszego sługi, lecz sam z nich już więcej korzystać nie mógł. Może z nich zechcą korzystać inni, którzy prawie te słowa czytają.

T.

Tak łagodnie wyglądał.

Było to w lecie, dzień był jasny i powietrze bardzo ładne. Powna guwernantka poszła w Londynie na przechadzkę ze synkiem, który jej opiece był powierzony. Prowadziła go za rękę i tak przesuwali się w stronę parku miasta przez ogromną ciżbę ludu. Gdy stanęli na rogu ulicy, taki garnał się tłum, że chłopca od guwernantki oderwano. Myśląc, że naprzód pobiegnie, śpieszyła za nim, lecz go nie

znalazła, bo chłopak w tył pozostał, na próżno się na wszystkie strony oglądając za nauczycielką. Stał na rogu ulicy spokojnie i czekał, skoro się zjawi. Tymczasem tysiące obcych ludzi mimo przechodziło, lecz nauczycielki nie było. Biednej dziecinie zrobiło się markotno, lecz się nie odważyła do nikogo przemówić. Naraz przechodzi sędziwy mężczyzna o białych włosach i łagodnych rysach twarzy.

Chłopiec podbiegłszy do niego rzekł: »Proszę, zaprowadź mię do domu.«

Mężczyzna spojrział na dziecię z uprzejmością i zadał kilka zapytań, na które niestety dziecko odpowiedzieć nieumiało. Wziął je za rękę i poszedł szukać domu rodziców.

»A gdzież przebywasz?» zapytał.

»U mamy,« brzmiała krótka odpowiedź.

»Na której ulicy jest wasze mieszkanie?»

»Ja nie wiem.«

»Jakże ta ulica wygląda?»

»Przy niej jest ogród, w nim krzaki, a potem szeroki plac.«

Nie mało trzeba było domysłów, nim miejsce znaleźli.

»Nauczycielka poszła a mnie samego zostawiła; lecz mama w domu pewnie na mnie czeka,« tłumaczył po drodze opiekunowi.

Gdy w końcu do domu trafili, znaleźli wszystkich w ogromnej trwodze, guwernantka płakała a matka ogromną trwogę przechodziła. Można sobie wyobrazić radość, z jaką chłopaka powitano i opiekunowi podziękowano.

Ten gdy odchodził, jednej rzeczy tylko pragnął się dowiedzieć, mianowicie co chłopca pobudziło wśród tylu przechodniów prawie do niego się odezwać. Na zapytanie matki rzuciło się jej dzie-

cię na szyję i zakrywszy głowę rzekło: »Bo ten pan tak łagodnie wyglądał.«

Tak nas, dzieci miłe, Jezus drogą naszą prowadzi. On jeszcze daleko łagodniej wygląda, przeto mu spokojnie zaufać możemy.

Moja srebrna łyżka.

Było to w Chinach. Do domu pewnej europejskiej rodziny wstąpił misyonarz i miał dłuższą rozmowę z gospodynią o rzeczach wiary i nabożeństwa. Nie łatwą jest rzeczą dla chrześcian żyjących w rozproszeniu w pogańskich krajach widzieć u siebie duchownego; przeto gdy się sposobność nadarzy, wynurzają przed nim serce swoje i szukają jego rady. Gdy misyonarz rozmawiał z matką o drogach Bożych i jako Bóg modły nasze wysłuchiwa, przystąpiła do niego naraz córeczka domu, czerstwa i zdrowa, lecz trochę subtelną, jak zwyczajnie dzieci europejskie w gorących krajach wyglądają, i rzekła do niego: »Panie! ja także jestem niespokojną.«

Misyonarz uśmiechnął się i wstąpił z nią do osobnego pokoju, pytając o przyczynę zaniepokojenia. Dziewczynka odpowiedziała: »Mam guwernantkę, którą bardzo kocham, a ona nas jutro opuszcza. Ja się tak gorąco modłę do Pana Boga, aby u nas została, ale nie wiem, czy też Pan Bóg modły me wysłucha.«

Misyonarz zastanowił się na chwilę, a potem spojrzawszy na kredens, w którym były talerze, filiżanki, noże i łyżki, rzekł: »Gdyby twój mały braciszek przyszedł do ciebie, i prosił o nóż z tego kredensu, czybyś mu go dała?« — »O nie,« odrzekła, »boby albo siebie okaleczył albo krzesła porzwał.« — »Ale

gdyby cię usilnie prosił?« — »Przecież bym mu noża nie dała!« — »A to byś nic nie uczyniła, żeby go zaspokoić?« — »Dałabym mu co innego, n. p. tę srebrną łyżkę!« — »Otóż widzisz, tak też Bóg z tobą postąpi. Ześle ci inną nauczycielkę, która cię także będzie kochała.«

Na te słowa uspokoiła się mała i ufała Bogu, że wszystko dobrze uczyni. Po upływie dwu miesięcy przybył misyonarz znowu do ich domu. Gdy go dziewczynka ujrzała, pobiegła na powitanie wołając: »Już mam srebrną łyżkę!« Misyonarz nie zrozumiał zrazu, co to znaczy, bo mu ostatnia rozmowa wyszła z pamięci, gdy córeczka naraz prowadzi za rękę swą nową nauczycielkę mówiąc: »To jest moja srebrna łyżka, jak Pan mówiłeś; a ja ją bardzo kocham. Za kilka dni po odejściu guwernantki zesłał ją Bóg do nas.«

Ewangelią widzieć.

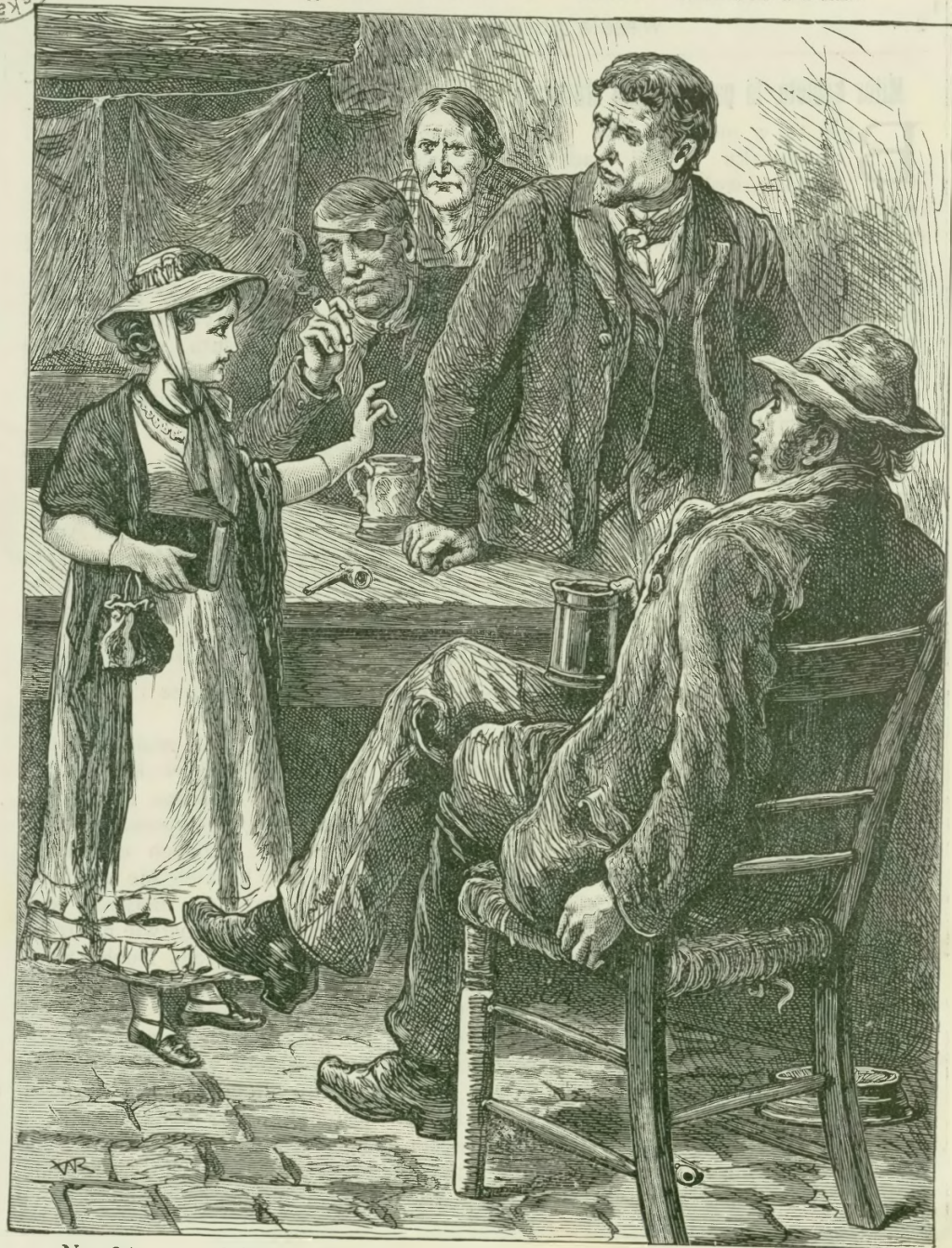
Czy słyszałeś już kiedy kazanie Ewangelii?« zapytał się misyonarz pewnego Chińczyka.

»Nie, Panie,« odpowiedział, »ale je widziałem. Znam pewnego człowieka, który był istną zgrozą dla całego sąsiedztwa. Niekiedy był jak zwierzę wściekłe, bo palił opium. Lecz gdy religia Jezusowa serce jego ogarnęła, zupełnie się odmienił. Teraz jest łagodny i nie popada w gniew, również palenia opium zaprzestał. Tym sposobem na własne oczy widzę, że religia i nabożeństwo wasze musi być dobre.«

Tak niechaj świeci światłość wasza przed ludźmi. Mat. 5, 16.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Milcz kobieto, ta panienka ma słuszość!

Było to w niedzielę. W pewnem miasteczku Anglii zadzwoniły dzwony, wołając ludzi na nabożeństwo do kościoła. Ze wszystkich stron schodzili się mężczyźni, niewiasty, dzieci. Między innemi wpadała w oko pewna postać młoda, pełna wdzięku, która w tym samym kierunku kroczyła. Była to dziewczynka piętnastoletnia; w rękę trzymała Biblią i kancyonał, albowiem w tych stronach ludzie idąc do kościoła biorą z sobą także Biblią. Dziewczyna miała na sobie czystą, białą sukienkę, na głowie lekki słomiany kapelusz, a jej miła, świeża twarzyczka jak pączek róży zakwitała.

Szła na dół ulicą w kierunku kościoła. W pobliżu stało kilka obdartych, zaniedbanych chat, w których mieszkali ludzie lekkomyślni i bezbożni. Nieraz, gdy w kościele odbywały się śpiewy, słyszeć ztąd było hałas i krzyki rozpustnej zgrai, tak mężczyzn jak niewiast, którzy nie tylko godziny nabożeństwa lecz całą niedzielę na pijatykach i zwadach spędzali. Najbardziej zaniedbaną była chata niejakiego Jakóba Morris, człowieka znanego z rozpusty i pijaństwa. Gdy Anna — takie było imię wymienionej dziewczynki — koło chatki Morris'a przechodziła, słyszała z wnętrza krzyki i bluźnierstwa, które jej serce przerażały. Stała na chwilę u drzwi, a gdy hałasy nie ustawały, spojrzała w górę, westchnęła do Boga, a potem odważnym krokiem wszedłszy do chaty, stanęła przed kilku dosyć dziko wyglądającymi ludźmi, którzy siedząc u stołu palili fajki, pili piwo, kleli i bluźnili. Ci widząc przed sobą pięknie ubraną dziewczynkę, z Biblią w rękę, z pewnym wyrazem

smutku i zdziwienia na twarzy, zmieszali się w pierwszej chwili i nie wiedzieli, co powiedzieć. Nigdy podobnych odwiedzin nie mieli.

Anna spojrzawszy na nich rzekła: »Czy nie słyszycie, że do kościoła dzwonią? Pójdźcie na nabożeństwo i módlcie się Bogu!«

»A idź mi ztąd precz! ty głupia błaznico,« odezwała się z tyłu żona Morris'a, kobieta nie mniej zepsuta i podła niż jej małżonek; »ja cię nauczę chodzić po szynkach i odmawiać gospodzkim gości!«

»Milcz kobieto!« odparł jej małżonek; »ta panienka ma słuszość. Ja idę do kościoła, a komu wola, to proszę za mną.« To rzekłszy, powstał od stołu, zdjął kapelusz z klinka i ruszył za Anną. Po raz pierwszy od lat trzydziestu wspomniął sobie znowu na niedzielę i na dom Boży. Towarzysze jego poglądali po sobie zdziwieni, nie wiedząc, co począć i co powiedzieć. W końcu jeden za drugim brali kapelusze i ruszyli za Morris'em.

Ludzie w kościele nie mało się dziwowali, widząc taki niezwykły orszak. Anna szła naprzód, skromna i pokorna, jak zawsze, a za nią postępowali Morris i towarzysze jego, których od niepamiętnych czasów w kościele nie widziano. Od tej chwili nie było niedzieli, którejby Morris'a na nabożeństwie nie było. Pan Bóg serce jego przez Ducha Świętego odmienił. A gdzie serce nowe, tam też życie nowe następuje. Dotąd był dom jego zbiorowiskiem najpodlejszej zgrai, istną jaskinią zbójców, o czem już zewnętrzny nieporządek świadczył. Powoli odmieniła się postać domu, a życie mieszkańców stało się innem. Chatka Morris'a wyglądała czysto i schludnie, zgrai w niej żadnej nie cierpiano; klątwy

i hałasy ustały a porządek, spokój, bo-
jażń Boża i nabożeństwo zajęły miejsce.
W końcu i żona Morris'a się nawróciła.
Ludzie patrząc na to dziwowali się nad
zmianą życia mieszkańców, a gdy się
Morris'a zapytano, jak się to stało, tedy
przed wszystkimi otwarcie wyznał, że
Bóg dziecięcia, bo młodej dziewczynki
użył za narzędzie do nawrócenia jego.
Przez lat czterdzieści służył Morris Panu,
a licząc lat blisko 90 został do niego
odwołanym. Lecz w ciągu tego dłu-
giego czasu nie było niedzieli, w którejby
z wdzięcznością nie pamiętali o uczynku
Anny. Tak Bóg jej użył za narzędzie
do nawrócenia grzesznika. Czy i między
nami nie może tak być? Z ust niemo-
wiątek może sobie Pan Bóg zgotować
chwałę.

E. P.

Pójdźcie!

Pójdźcie! « To jest pierwsze słowo
Pana Boga do nas. On mówi:
»Pójdźcie do mnie wszyscy,
którzyście spracowani i obciążeni, a Ja
wam sprawię odpocznienie.« »Kto pra-
gnie, niech przyjdzie.« — »Jeżeli kto
pragnie, niech do mnie przyjdzie a pije.«
Lecz dzieci rzadko należą do tych, co
pragną lub są »obciążeni«; życie ich
jest pełne światła i jasności. Przeto Pan
Jezus osobno dzieci zaprasza, mówiąc:
»Dopuszczcie dziatkom przychodzić do
Mnie.« On chce mieć wszystkich około
siebie, starych i smutnych, wesołych i
młodych; przeto do każdego człowieka
odzywa się, mówiąc: »Pójdźcie do mnie.«

Nasamprzód On do nas przyszedł;
nie został w niebie, tam nas do siebie
wołając. Nie, owszem sam przyszedł na
ziemię, sam opuścił chwałę, którą miał
w niebieszech, opuścił spokój i szczęście

wieczne a przyszedł na ziemię, by nędzy
i ucisków ukusił. Teraz będąc w niebie
woła nas: »Pójdźcie.« Jezus nie stoi
w wysokiem oddaleniu od nas, woła-
jąc: »Pójdźcie!« Nie, on dobrze wie,
co nas boli; wie, co jest być dziecie-
ciem i jak dziecię myśli i czuje. Jezus
z doświadczenia zna każde usposobienie
dziecięcia i woła: »Pójdźcie!« On nas
nie zmusza, owszem do woli zostawia,
czy chcemy przyjść lub nie. Cóż tedy
uczynisz?

Przed bardzo dawnymi czasy oznajmił
Bóg ludowi, że spuści z nieba potóp
na ziemię, a nikt śmierci nie ujdzie,
tylko ci, co wejdą do korabia, który
miał Noe zbudować. Sto lat i dwadzieścia
budowano arkę, przeto nie brakło lu-
dowi czasu dowiedzieć się o grożącym
sądzie Pańskim tudzież o sposobie, jak
ujść zginienia. Pan wołał: »Pójdźcie do
korabia!« A iluż ich przyszło? Ledwie
osób kilka, które z topieli ocalały.

Jeszcze jeden dzień sądu nadejdzie,
nie przez wodę lecz przez ogień. »Albo-
wiem ziemia i rzeczy, które są na niej,
spalone będą.« 2. Piotr. 3, 10. Bóg
was ostrzega i wskazuje sposób oca-
lenia. Chrystus arka nasza; w Nim bez-
pieczni jesteśmy. Bóg nas woła: »Pójdź-
cie do tej arki!« O dziecię kochane,
pójdź do Jezusa! Czy chcesz przyjąć to
wezwanie i do Niego przyjść? W ten
czas wszelka radość i błogosławieństwo
czeka cię u Pana!

Ptaszek w kłopotcie.

Czy widzieliście już wróbla? — »Nie jednego,
ale tysiące!« — Oto wam opowiem, co
się jednemu przed kilkoma tygodniami przy-
dało. Powracając z pola chciałem wstąpić do domu
sąsiada. Drzwi były zamknięte, lecz z pokoju sły-

szaleł szelest, o którym nie wiedziałem, z czego pochodzi. Czekałem, aż sąsiad przyszedł do domu, a potem razem słuchaliśmy, co to może być. Otworzywszy drzwi ujrzeliśmy wróbla, który przez okno wleciał do pokoju, lecz teraz napróżno szukał dostać się na dwór. Latał od okna do ściany, od ściany do okna; ale napróżno. Gdyśmy weszli do pokoju, jeszcze więcej się spłoszył i dopiero zaczął na wszystkie strony latać. Niekiedy tak uderzył o szybę, żeśmy myśleli, iż pęknie, albo że sam nieżywy padnie na ziemię. Wszelkie nasze usiłowania złapać go i na wolność wypuścić speliły na niczem. Wezwaliśmy na pomoc służącą i w trzech szukaliśmy złapać ptaszynek, ale napróżno. Wróbel spłoszony uderzył w końcu tak silnie głową o szybę, iż zemdlał i jak nieżywy upadł na ziemię. Włożyłem go trochę do zimnej wody, aby się opamiętał. Za chwilę przyszedłszy do siebie próbował się z ręki mej wydobyć, lecz był tak słaby, iż w końcu wszelkiej próby zaniechał, spokojnie czekając, co się z nim stanie. Gdy sobie zwierzątko trochę odetchnęło, wyniosłem je na dwór, otworzyłem dłoń i puściłem na wolność. Wróbel na chwilę się nie ruszył, nie wierząc, żeby tak łatwo odzyskał wolność, której wszystkimi usiłowaniami nie był w stanie osiągnąć. W końcu się poruszył, spojrzał w około i furknawszy w górę wesoło poleciał i usiadł na drzewie.

Tak, kochane dzieci, słuchaliście mojej historii; ale nie myślcie, że na tem chcę skończyć. To był tylko tekst, że tak powiem; teraz nastąpi jego zastosowanie.

Wróbel się sam dostał w kłopot i niebezpieczeństwo, a zwłaszcza przez swą własną winę. Podobno kwiaty stojące w oknie go zwały, lubo w pokoju nie miał nic do szukania. Tym samym sposobem ma się rzecz z grzesznikiem.

U Jezajasza proroka czytamy r. 53, w. 6: »Wszystcyśmy jako owce zbłądzili, każdy na drogę swą obróciliśmy się.« Równie u Ozeasa r. 13. w. 9. czytamy: »Zginienie twoje z ciebie, o Izraelu.«

Pewien misjonarz odezwał się do dzieci w szkole, mówiąc: »My pewnie nic nie mamy, co-

byśmy nazwać mogli swoim. Albo czy mamy co takiego?« Ostatniemi słowy zwrócił się do małej dziewczynki, która wywodów jego uważnie słuchała. »O, mamy!« odrzekła, »nasze grzechy są naszą własnością.«

Tak się prawdziwie rzecz ma; nasze grzechy są naszą własnością, a między potępionymi musi każdy przed sobą wyznać, że przez własną winę dostał się do piekła. Grzesznikami jesteśmy a grzesznik żaden królestwa Bożego nie odziedziczy. Cóż tedy uczynimy? Spójrzjmy na ptaszkę, a uczmy się od niego.

Wróbel się prędko spostrzegł, w jakim niebezpieczeństwie był, przeto zaczął latać w prawo i lewo pragnąc się dostać na wolność. Lecz łatwiej jest wpaść w zło niż się z niego uwolnić.

Patrz, jak biedna ptaszyna szuka wolności. Od ściany leci do okna, od okna do ściany; nieraz silnie uderzyła o szybę, aż się skaleczyła, słowem wszystkich dróg próbowała, tylko nie tej, która do wolności wiodła. A nie inaczej ma się rzecz z grzesznikiem. Gdy Duch Święty oświeci serce i przekona nas, że na drodze do wiecznego potępienia jesteśmy, tedy człowiek najprzód sam siebie ratować próbuje.

»Muszę się poprawić, abym się stał dobrym chłopcem i dobrą dziewczynką, w ten czas mię Pan Bóg pokocha i zbawi,« tak powiada u siebie niejedno dziecko. Potem się usiłuje poprawić i nieraz się zdaje, że się sprawa udała. Niejeden krok został uczyniony ku lepszemu. Ale za niejaki czas wszystko dobre przedsięwzięcia upadną, a jakim serce było przedtem, takim jest potem. Wróbel samego siebie nieuwolnił. Tak się też człowiek nie wyrwie sam z więzów grzechu, ale kto inny musi go ocalić. A tym jest Jezus, Zbawiciel nasz. On nas szuka jak przyjaciel nasz, nie uciekajmy tedy przed Nim jak wróbel przed wybawcą swoim.

Chrystus stał się nam mądrością od Boga i sprawiedliwością i poświęceniem i odkupieniem. 1. Kor. 1, 30.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Powieść cioci.

Prawie każdego dnia po południu przychodziła ciocia Ewa do dzieci brata swego i zawsze coś pięknego opowiadała lub jakąś zabawkę przyniosła. Nie dziw tedy, że ledwie się na progu zjawiła, już ją dzieci radosnym okrzykiem witały i prowadząc do pokoju prosiły, aby im znowu coś pięknego opowiedziała.

»Proszę, ciociu; proszę! znowu nam opowiedz taką powiastkę, jak wczoraj,« wołały dzieci, prosząc, skacząc, nalegając, aż Ewa nie mogąc się oprzeć obiecała to uczynić, pod tym warunkiem, że cicho i grzecznie będą słuchały. Anna jako najstarsza stanęła poważnie obok cioci, wspierając się na jej ramieniu, wały Willuś usiadł na podłodze i oparł głowę o kolana Ewy, a Kasia i Helenka usiadły na kanapce z wielką uwagą słów jej słuchając.

»O czymże mam opowiadać?« zapytała ciocia. »O, proszę,« rzekła Anna, »opowiedz nam znowu taką powiastkę, w której pewna nauka jest zawarta. Takie się nam najlepiej podobają.«

»Jednego razu przechadzała się pewna pani po pięknym swoim ogrodzie. Słońce świeciło, kwiaty kwitnęły a cichy, łagodny wietrzyk wionął od północy łagodząc skwar słońca, które mocno przypiekało. Naraz wietrzyk się podniósł i dziwnym szelestem zaszumiały gałązki i kwiaty. Pani zrozumiała, że to była chwila, w której drzewa i rośliny z sobą rozmawiały. Stanąwszy na miejscu wytężyła ucho, aby zrozumieć, co z sobą mówią.

»O jak to ślicznie,« nadmieniła Kasia, lecz Anna stanowczo zawołała: »Cicho!« i ciocia znowu ciągnęła dalej:

»W tem słyszy, jak pewne stare nacyllone drzewo słabym i drżącym głosem powiada: »Kwiateczki! kwiateczki! otrząśnijcie z siebie wszystkie gąsienice.«

»Dla czego?« odezwało się kilka kwiatów naraz, bo kwiaty są jak dzieci; one także za każdym napomnieniem muszą się pytać: »Dla czego?«

Stare drzewo odpowiedziało: »Jeżeli ich z siebie nie otrząśniesz, to was ogryzą i zjedzą.« Na te słowa zaczęły kwiaty i krzaki trzęść sobą, aż wszystkie gąsienice na ziemię zleciały.

Na jednej grządce pośród ogrodu stał piękny krzak róży, a na nim kilka prześlicznych kwiatów żółtego koloru kwitnęło. Była to jedna z najwspanialszych ozdób ogrodu. Róża usłyszawszy przestrogę drzewa bardzo się przelekła i cała się trzęsąc zgola wszystkie gąsienice zrzuciła na ziemię, tylko jedna na niej pozostała. Ta była taka pstra i piękna i tak się róży bardzo podobała, że postanowiła jej nie zrzucić, bo jedna gąsienica przecież nie zaszkodzi, a do tego tak piękną była i pstrą, aż miło na nią patrzeć. »Ja tej jednej przecie nie otrzęsę na ziemię,« rzekła u siebie; »tylko tę jedną zachowam.«

Drzewo usłyszawszy te słowa, zawołało mówiąc: »Nie czyn tego; ta jedna wystarczy, aby cię zniszczyć.« Lecz róża odrzekła: »Patrzaj, jak piękne, czerwone ma odzienie, jakie czarne oczy, a jak delikatne i zwinne nóżki! Ja ją sobie potrzynam, ta jedna mi nie zaszkodzi.« Drzewo potrząsało głową niezadowolone, lecz róża na to nie zważała i gąsienicę do łona tuliła.

Po upływie kilku dni poszła pani znowu do ogrodu popatrzeć się na różę. Lecz jakże się zdziwiła znalazłszy ją zupełnie zmienioną. Każdy listeczek był

nagryziony i wszystka jej piękność w niwecz obrócona. Wyglądała nawpół umarła, tyle tylko pozostało życia, że nad własną głupotą zapłakać mogła. Łzy jej kropkami na podartych listkach wisiały. »Ach biada mnie, biada,« tak narzekała; »ja nie myślałam, żeby jedna gąsienica, a to tak piękna, tyle mi złego wyrządzić mogła!«

Tak, moje dzieci, ma się rzecz z grzechem. Jeden grzech, gdy go pokochacie, jest w stanie duszy waszej równą szkodę wyrządzić, jak ta jedna gąsienica uczyniła róży. Gdy chłopiec niegrzeczne słowa mówi, albo ze złymi chłopcami obcuje lub złe książki czyta; gdy dziewczę tylko zabawki lubi, zakazane rzeczy czyni lub ustawicznie swą ładną twarzyczkę w zwierciadle ogląda i stroić się lubi, to także taką niebezpieczną gąsienicę do łona swego tuli, a ten jeden ukochany grzech może jej większą szkodę na duszy i ciele wyrządzić, niż gąsienica róży uczyniła. P.

Wybawiony.

Czy próbowałeś już kiedy, kochany czytelniku, wyobrazić sobie znaczenie słowa Jezusowego, które mówi, »że będzie radość przed anioły Bożymi nad jednym grzesznikiem pokutującym?« Przed kilkoma laty wyobrażałem sobie, iż rozumię znaczenie tych słów i odczuwam takowe, lecz następujący wypadek, który na własne oczy widziałem, jeszcze mi je lepiej objaśnił.

Bawiłem prawie w miasteczku N. Pewnej nocy zbudził mię ze snu zgiełk na ulicy; słyszę, ludzie biegną tam i sam, krzyczą i pędzą do podwórza gospody, w której mieszkałem, szukając

drabin, a przeraźliwy okrzyk: »Pali się!« doszedł uszu moich. Wskoczywszy z pościeli ubrałem się i śpieszę na ulicę; tu widzę, w sąsiedztwie duża, kilkupiętrowa kamienica stoi w płomieniach. Domu nie można było ocalić, chodziło o to, aby jak najwięcej rzeczy uratować. Na najwyższym piętrze pojawiły się dwie twarze, blade jak ściana; była to młoda matka, mająca na ręku nowonarodzone dziecko, liczące dwa dni. Schody się zawaliły i nie było sposobu dostać się na górę. Mężczyźni biegli tam i sam, kobiety widząc młodą matkę w tak okropnem położeniu drżały i mdlały z przerażenia. W końcu udało się przywiązać dwie drabiny jedną do drugiej i tym sposobem najwyższego piętra dosięgnąć. Przystawiono drabinę do okna, a pewien młody mężczyzna pobiegł w górę, ujął lewą ręką truchlejącą matkę, która trzymała dziecko, i ostrożnie, pozwoli zstępując ze szczebla na szczebel dostał się z niemi na ziemię. Droga była niebezpieczną, bo każdej chwili mógł równowagę utracić. Gdy szczęśliwie dostał się na dół, wydobył się z każdego serca okrzyk radości i odetchnienia; kobiety płakały od wzruszenia, jedna drugiej rzucając się na szyję.

Radość była przed Bogiem nad matką i dzieckiem ocalonemi z płomieni. A taką musi być radość w niebie, gdy dochodzą wieści, że ten, ze owa ocaleni zostali od śmierci straszniejszej i od ognia, który nigdy nie gaśnie. Ja nigdy więcej wybawcy ich nie widziałem, ale mogę rzec, że go z całego serca pokochał. Ten człowiek swe własne życie naraził, aby innych ratował. O ileż więcej muszę miłować Tego, który mię nie tylko wybawił, lecz dla wybawienia mego życie swe ofiarował! Jezus za

mnie umarł, aby przed anioły Bożymi była radość w niebie. Kochane dziatki! Niech się każde z was doświadcza, czy się anieli w niebie nad zbawieniem waszem radują, albo czy jeszcze w płonącym domu bawicie? Zbawiony czy nie? — toć jest pytanie najgłówniejsze w świecie!

Jakóż się dostaniesz do nieba?

Pewien Jegomość idąc drogą przez wioskę spotkał dziewczynkę, której różowa twarzyczka nader mile wyglądała, a z pod słomianego kapelusza patrzyło oczu dwoje, tak wdzięcznie i wesoło, jakby samem szczęściem pałały. Podróżny mimowolnie stanął i do niej się odezwał. Okazało się, że droga obydwóch w tym samym kierunku prowadziła; przeto idąc z sobą rozmawiali. Dziewczynka poczytała sobie to za nie mały honor, że z poważnym mężczyzną prowadziła rozmowę, przeto chętnie na pytania jego odpowiadała.

»Jakże się nazywasz, moja mała towarzysko?« zapytał podróżny. — »Moje imię jest Kasia,« odpowiedziała. — »Czy też pilnie do szkoły uczęszczasz?« — »Każdego dnia, gdy jestem zdrową,« odrzekła z uśmiechem, który świadczył, że jest z siebie zadowolona. — »Czy macie także naukę religii?« — »Mamy,« odpowiedziała, »uczymy się bardzo pięknych rzeczy o niebie.« — »A czy sobie też w domu pomyślisz kiedy o niebie?« pytał dalej podróżny. — »O, bardzo często,« odrzekła. — »Czy się spodziewasz przyjść niegdyś do nieba?« — Twarz Kasi jeszcze bardziej zajaśniała radością i obróciwszy się do towarzysza rzekła: »Tak jest; ja chcę dostać się do nieba, gdy umrę.«

»A jakże się Kasia chce dostać do nieba?«

To zapytanie ją nieco zmięszało, ale za chwilę zastanowiwszy się, odpowiedziała: »Jeżeli nigdy nie skłamię, nigdy niegrzeczną, nigdy pyszną nie będę, to się pewno do nieba dostanę.«

Oko podróżnego zachmurzyło się nieco i długo patrzył w stronę zachodzącego słońca, nim się no-

wem pytaniem do dziewczynki odezwał. W końcu znowu zaczął rozmowę.

»A czy też zawsze jesteś dobrą, kochana Kasiu?«

Oblicze dziewczynki zachmurzyło się nieco, podobno dla tego, że jej towarzysz tak smutnie wyglądał. Milczała chwilę, a w końcu rzekła: »Nie zawsze, mój Panie!«

»A czy zawsze prawdę mówisz?«

Dziewczynka spuściła jeszcze głębiej oczka i wargi czerwone się ścisnęły; po chwili milczenia rzekła: »Nie prawie zawsze!«

»A czy Kasia nigdy nie jest pyszną?«

Znowu zamilkła. Przypomniało się jej, jak prawie dziś rano z pewną wyniosłością patrzyła na dzieci sąsiada, które nie miały tak czystych i pięknych fartuszków jak ona. A na swój ładny kapelusik patrząc mieniła się pewnie być daleko lepszą od Zosi, która z odkrytą głową chodziła po słońcu. Jeszcze więcej spuściła czoło do ziemi i stłumionym głosem odpowiedziała, mówiąc: »Niekiedy i ja jestem trochę pyszną, mój Panie!«

Podróżny odwrócił oczy od słońca i położywszy rękę na ramieniu Kasi rzekł: »A więc, moja Kasiu, jeżeli niekiedy jesteś pyszną, a nie zawsze prawdę mówiłaś, ani też zawsze dobrą nie byłaś, tedy się do nieba dostać nie możesz.«

Znowu nastąpiła chwila milczenia, w której twarzyczka wesołej dziewczynki bardzo posmutniała. W końcu się podróżny znowu odezwał, mówiąc uprzejmie. »Widzisz, moja córko, przez to, żeś jest dobrą i nigdy nie kłamiesz, nigdy się nie wynosisz, trudno ci będzie dostać się do nieba. Lecz Bóg jest dobrotliwy; on miał Syna Jedyne, jednorodzonego, a tego za nas wydał. Wiesz, kto on jest?« — »Wiem,« odrzekła dziewczynka, »Jezus Chrystus, Zbawiciel nasz.« — »Otóż,« ciągnął dalej podróżny, »ten sam Jezus wszystko to za nas wypełnił i karę za grzechy nasze sam na się wziął. Jeżeli w Chrystusa wierzysz i Jego kochasz, to On cię zaprowadzi do nieba.«

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Pomyłka Anny.

Blisko milę od miasta stała skromna chatka, w której mieszkało trzech ludzi, ojciec, matka i jedyna córka, licząca może lat jedynaście. Byli to ludzie ubodzy i ciężko na chleb pracować musieli. Po niejakiem czasie matka zachorowała i od tej chwili stało się położenie rodziny daleko trudniejszym.

Pewnego dnia wyszedł ojciec, jak zwykle, do roboty a matka wyprawivszy Annę po lekarstwo do miasta sama w domu została. Dziewczynka kupiła lekarstwo w aptece i wracała do domu. Dzień był gorący, droga daleka i pełna kurzu. Anna czując się zmęczoną usiadła obok drogi na parkanie i spoczywała.

W tem ujrzała w oddaleniu chmurę kurzu, która się coraz więcej przybliżała. W pięknej karecie znajdowały się trzy osoby; najstarsza z wybladłym obliczem otoczona była poduszkami i bardzo nędznie wyglądała. Widać było, że już od dawna choruje, a kto wie, czy jeszcze wróci do zdrowia. Obok cierpiącej matki siedziała dziewczynka w pięknem ubraniu i z troskliwością na nią patrzyła. Z przeciwnej strony siedziała służąca, która się jedynie opieką chorej zajmowała.

»Ach jaka szkoda,« rzekła u siebie zmęczona Anna, »że moja mama nie jest żoną pana barona, a ja jego córką. Mogłybyśmy sobie kareta wyjeżdżać, mama miałaby służącą i takby w krótkce wróciła do zdrowia.«

Wypocząwszy nieco puściła się znowu w drogę a nie myśląc o niczem jak o karecie i onych paniach przybyła do domu, gdzie spotkała jedną z sąsiadek. Ta widząc rano, że dziewczę do miasta

poszło, przysła chorą odwiedzić i posłużyć, w czem było potrzeba.

»O mamol« rzekła Anna; »ja całą drogą o tem myślałam, jakby to dobrze było, gdybyś była panią baronową. Wyjeżdżałabyś na spacer i pewnieby ci się zdrowie wróciło.«

Matka spojrzawszy na sąsiadkę uśmiechnęła się i rzekła: »Ja nie jestem tego zdania, moje kochanie! Pani baronowa jest bardzo chora i jak słyszę nie mało się śmierci boi. Ona ma wszystko, czego człowiek może dostać za pieniądze, ale przytem czuje się nędzną, bo za krótki czas podobno trzeba będzie opuścić ten ziemski świat, a o przyszłym świecie nigdy nie myślała. W zamku, jak słyszę, wyglądają wszyscy bardzo ponuro i ani chwili radosnej nie mają. Ja dziękuję Bogu, że mi dał poznać Zbawcę mego i z całego serca pokochać Pana. Ja się nie lękam ani się trwożę; jeśli mię Jezus dzisiaj zawoła, to wiem, że do Niego pójdę i u Niego znajdę mieszkanie w niebie. A tak, moja Anno, nie dziwuj się nad tem, iż wolę być raczej żoną robotnika i ubogą kobietą niż panią baronową.«

»O, tak jest, mamol,« odrzekła Anna; »u nas jest ubogo, ale nie ponuro; ty nas zawsze uczysz, jak wszystko staranie nasze winniśmy wrzucić na Pana i ufać w Nim, gdyż On ma pieczę o nas. A ja też wolę być twojem dziećciem niż córką pani baronowej, choćbym w tak pięknej karecie jak ona jeździła.«

Ta prosta rozmowa wydaje świadectwo, jak daleko więcej znajdujemy szczęścia i radości nawet w ubogiej i nędznej chacie, gdzie Chrystus mieszka, niż w pałacach bogaczy, gdzie wiary i miłości jego nie znają. Może być w

domu chłodno i głodno, mogą klęski życia serce przygnębiać; jeżeli tylko choć jeden z członków rodziny Chrystusa kocha, choć jedno oblicze pała radością, jaką wiara jego serce napawa, tedy w miejscu takim ponuro nie będzie. »Jam jest światłość świata,« mówi Pan; a gdzie ta światłość serce oświeca, tam jej promienie jaśnieją na zewnątrz i wszelką chmurę trosk rozpędzają. Przeto też apostoł napomina nas, mówiąc: »Radujcie się zawsze w Panu, znowu mówię radujcie się. Nie troszczcie się o żadną rzecz, ale we wszystkim przez modlitwę i prośbę z dziękowaniem żądości wasze niech będą znajome u Boga. Filip. 4, 4 i 6.«

T.

Nieprawości nasze.

Czy zastanowiliście się już kiedy nad tem, co Bóg uczyni z grzechami i nieprawościami naszymi, gdy je odpuści i zupełnie zgładzi? Rzeczy te są godne zastanowienia.

»A jak daleko jest wschód od zachodu, tak daleko oddalił od nas przepęstwa nasze.« Ps. 103, 12. Jak daleko to jest? Często nawet premią za najlepszą odpowiedź wyznaczyłem, lecz rzadko kiedy dostateczną otrzymałem.

Wracając z ziemi świętej jechaliśmy po Śródziemnem Morzu. Przyjaciół mój nadmienił, mówiąc: »Dziwna to rzecz; płyniemy ku Zachodowi. A gdybyśmy ustawicznie tak dalej płynęli, naokoło ziemi, tobyśmy się znowu znaleźli na wschodzie!«

»Nie tak!« odparłem; »idąc na zachód zawsze mielibyśmy zachód *przed sobą*; do zachodu słońca nigdy nie dojdziemy, bo niema na świecie miejsca, któreby jako granicę zachodu uważać

można. A tak samo gdybyśmy w przeciwnym kierunku, ku wschodowi szli, płynęli lub lecieli, nigdybyśmy wschodu nie znaleźli, bo on równie granicy niema.«

Może się ludziom uda kiedyś do północnego lub południowego bieguna ziemi dotrzeć, ale wschodu i zachodu nie znajdzie nikt. Ztąd też Bóg mówi, że jeżeli dziecięciem jego jesteś, grzechy twoje zarzucone będą od ciebie tak daleko, jak »daleko jest wschód od zachodu.«

Teraz oglądajmy, co Bóg mówi według Micheasza r. 7., w. 19: »Wrzuci w *głębokość morską* wszystkie grzechy nasze.« Bóg uczynił morze; on lepiej wie od nas, jakie w niem przepaści istnieją, które są daleko głębsze niż najwyższe góry ziemi. Nie jest rzeczą łatwą zmierzyć te przepaści, najcięższych kruszców żeglarze używają, aby je spuścić do głębi morza. Nie łatwą też jest wyciągnąć sznur napowrót z wody, ponieważ ciężar jej jest nieopisany. A ciężar grzechów naszych jest istotnie także niemały; przekonał się o tem Pan Jezus, gdy je na sobie uczuł w ogroju i niósł na Golgotę. Gdy je Bóg zatem w tak niezgłębione otchłanie zarzuci, to możemy być pewni, że ich ztąd żadna potęga wroga nie wydobędzie.

Teraz popatrzymy się na słowa Jeremiasza r. 31, w. 34: »Grzechów ich nie wspomnę więcej.« My nie możemy zapomnieć, gdy nam kto co złego uczynił. Możemy próbować, ale się przekonamy, że te rzeczy znowu powstaną w pamięci.

Brat pewnego króla wszczął bunt; król mu odpuszczył, ale rzekł: »Ja Ci odpuszczam, ale zapomnieć nie potrafię nigdy.« Bóg jest wszechmocny. On jest w stanie zapomnieć, owszem obiecał,

że grzechów naszych nie wspomni nigdy. Wielkie to tedy błogosławieństwo, gdy możemy rzec, że nieprawości nasze zgładzone są. Oby tak też było! B.

Dla czego Anna ojca swego kochała?

Biedna dziewczynka! Wszystko uczyniła, aby mieszkanie jak najlepiej przyozdobić, lecz była to praca zgoła bez skutku. Ściany były czarne, zakopcone od dymu, podłoga tak zabrudzona, iż mimo najszczerszego usiłowania nie można jej było wyczyścić. Kilka pozostałych szyb w oknach umyła, lecz nie było ich dużo, bo większa połowa okien zalepiona była papierem lub zatkana szmatami. Najczystej wyglądał przypiecek, bo go Anusia każdy dzień czyściła, choć często nie wiedziała, z kąda wziąć kawałek drzewa lub węgla na opał, gdyż ojciec rzadko kiedy kilka groszy oszczędził.

Było to pewnego poranku. Anna wstała wcześniej i krzątała się koło pieca; czyściła garnki, zapaliła ogień, mały kociołek napełniła wodą i zaczęła gotować śniadanie. Wszystko to czyniła cicho i spokojnie, aby ojca ze snu nie obudzić. Potem wymiotła pokój, wyczyściła sprzęty, nakryła jak mogła stół i przygotowała śniadanie dla ojca. Nie spostrzegła przytem, że dwoje przymrużonych oczu na nią patrzyło. Ojciec ocknąwszy się przypatrywał się krzątaniu dziecięcia, lecz udawał, że śpi. W końcu odezwał się, wołając: »Anno!«

»Zaraz, ojcze!« odezwała się trochę przerażona.

»Cóż cię pobudza tak uprzątać pokój i gotować śniadanie dla ojca, który jest pijakiem?«

»Ponieważ cię kocham, mój drogi ojcze!«

»Ty mię kochasz, Anno?«

»Kocham,« odrzekła łagodnym głosem; »nikogo już nie mam, kogobym kochała.« Przytem zakręciła się iza w jej oku, bo sobie wspomniła, jak wszystko inaczej wyglądało, póki kochana mameczka żyła, która się o nią troskliwie starała i przed niejednym okrucieństwem ojca obroniła. Ach, jakże to dawno, odkąd ją sierotą pozostawiła.

»Aleć Anno!« rzekł ojciec, podnosząc się z pościeli, na którą wczoraj wieczór padł w ubraniu, pijany, »czy ty rzeczywiście mię kochasz?«

»Nie mów tak, ojcze; ja ci mówię, że cię szczerze kocham.«

Nastało milczenie; ojciec nie przestawał przypatrywać się dziecku, które się pilnie krzątało, aby wśród nędzy jak najschludniej urządzić mieszkanko. Z twarzy było widać, że jest zamyślony. W końcu się odezwał:

»Moje dziecko; jakżebyś ty miała kochać takiego nieszczęśnika ojca i »oźralca«. Ja żonę wbitem do grobu, dom zniszczyłem i dziecię zabijam. Jakże mnie kochać?«

Anna stanęła w milczeniu i patrzyła na ojca, Głos jego stał się łagodnym i rzewnym, w całej postawie widać było wzruszenie, a w oku błysło jakby iza wzruszenia. Po chwili rzekła, sama rozrzwinięta:

»Ach, kochany ojcze; gdy mameczka umierała, rzekła mi, abym cię zawsze kochała i co tylko mogę, dla ciebie uczyniła; abym ci służyła i nigdy cię nie opuściła. Mameczka mówiła, że ty kiedyś przestaniesz pić i będziesz trzeźwym, a potem się znowu będziem dobrze mieli.«

Podczas tych słów rzuciły się Annie z oczu łyzy strumieniem i ledwie była w stanie te słowa wymówić.

Nie mniejsze wrażenie wywarły na ojca. Zerwał się z barlogu i drząc na całem ciele ujął Annę za rękę i uroczystym odezwał się głosem, wołając:

»Pomóż mi, mój Boże! Nigdy już więcej tej trucziny nie tknę?« I rzeczywiście dotrzymał słowa. Taki był skutek miłości dziecięcia. Do nędznej chaty zawitało szczęście. Oby miłość Boża każdego grzesznika równie zwyciężyła! B.

Brzydkie pijaństwo, ono niszczy ciało,
Niszczy sumienie, rozum, duszę całą.
Cześć, imię dobre i szczęście w rodzinie
Zupełnie ginie.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.



Skrucha Stasia.

Niedaleko wioski był przesłiczny staw, po którym chłopcy często łódką jeździli. W szczególności Staś, najstarszy syn dziedzicznego pana, ustawicznie lubił przebywać na wodzie i jeździć łódką po stawie. Przepływał się od jednego brzegu do drugiego i takiej nabył wprawy w wiosłowaniu, że do celu zamierzonego zawsze łódką trafił. Matka mu nieraz przykazywała, aby się nie puszczał na wodę, lecz ta zabawa taki nań powab wywierała, iż mu nie był w stanie się oprzeć. Osobliwie w ostatnich tygodniach dużo czasu spędził na wodzie; matka bowiem zachorowała, służba była częścią jej opieką częścią zaś pracą koło gospodarstwa zajęta i nie było nikogo, coby Stasia pilnował.

Pewnego poranku, prawie gdy się Staś wybierał na staw, zawołała go służąca z osobna i powiedziała, że się matce znacznie pogorszyło; podobno w krótko nastąpi śmierć. Biedny chłopczyzna, niedawno utraciwszy ojca, posmutniał bardzo na tę nowinę i pragnął pójść do pokoju matki, aby ją oglądał; ale ponieważ lekarz surowo zakazał, aby nikogo nie wpuszczono, musiał się u drzwi pokoju zatrzymać. Tam stojąc rzewne wylewał łzy. Żał mu było matki, ale co go jeszcze więcej bolało, była ta okoliczność, że ostatnimi czasy tak często jej rozkaz przestąpił i tak dużo czasu na stawie spędzał. Pragnął przed nią winę swą wyznać i o przebaczenie prosić. Ale kto wie, czy ją jeszcze za życia zobaczy, aż ją ujrzy, jak widział ojca leżącego w trumnie. O gdyby tak być miało, gdyby nie mógł uzyskać przebaczenia matki —

nigdyby więcej pokoju sumienia nie znalazł.

Wyszedłszy do ogrodu długo chodził smutnymi myślami zajęty, aż mu naraz jakaś nowa myśl do głowy przyszła. Pobiegł do domu, wydobyl z torby tabliczkę i usiadłszy prędko następujące słowa napisał: »Staś był bardzo nieposłuszny i często czółnem po stawie jeździł. Teraz bardzo prosi mamę o przebaczenie. Jakże mi żal, żem mamę zasmucił i był nieposłusznym. Jeżeli mi mama przebaczy, proszę to zmasać z tabliczki; będzie mi to znakiem przebaczenia.« Potem poszedł do drzwi pokoju, w którym leżała chora, i czekał, aż wyjdzie służąca. Gdy za chwilę wyszła, przystąpił do niej po cichu, podał jej tabliczkę i poszepnął do ucha, aby ją matce przedłożyła.

»Ja nie wiem, czy ona będzie mogła to czytać, bo jest ciężko chora,« rzekła służąca, »lecz czekaj na chwilę.«

Biedny Staś stał przede drzwiami i każda chwila mu się wiecznością wydawała; tak niespokojnie czekał odpowiedzi. Po upływie kilkunastu minut otwarły się drzwi; »sst« szepnęła służąca i podając Stasiowi tabliczkę rzekła cichym głosem: »Mama przeczytała.«

Z jakąż ciekawością porwał tabliczkę i jak się ucieszył, widząc, że wszystko było zmasane. Po obu stronach była tak czysta, że ani śladu nie zostało. Jakby mu kamień spadł z serca, tak mu się teraz lekko zrobiło. Matka odpuściła! Nie potrzebuje nadmieniać, że mu teraz ani na myśl nie przyszło iść na staw. W następujących tygodniach dużo czasu spędził bez nadzoru, ponieważ choroba matki nie ustawała, ale ani jednego razu rozkazu jej nie zapomniał. Po upływie niejakiego czasu matka pozdrowia-

wszy pochwaliła syna swego, który od onej chwili na każde jej skinienie troskliwie zwał.

Wspomnijcie sobie, kochane dzieci, na ten wypadek, gdy w liście do Rzymian r. 5, w. 1 te słowa czytacie: »Będąc usprawiedliwieni z wiary, pokój mamy z Bogiem, przez Pana naszego Jezusa Chrystusa.« Jeśli wam się trudną wydaje, wyobrazić sobie, co to znaczy mieć pokój, to przypomnijcie sobie położenie Stasia, jakie było przed odpuszczeniem a jakie po odpuszczeniu winy jego. Gdy mu powiedziano, że matka śmiertelnie zachorowała, nie mógł znaleźć pokoju sumienia, aż otrzymał pewność, że mu odpuściła. Grzech jego stanął między nim i matką. Tak samo grzech nasz napelnia serce niepokojem i trwogą przed Bogiem, ponieważ Duch Święty wydaje świadectwo, że nie mając odpuszczenia, kary Bożej ująć nie możemy. Lecz jakże tego dostąpimy? Tekst nasz pięcioma słowy na to odpowiada, a mianowicie: »Przez Pana naszego, Jezusa Chrystusa.« »On boleści nasze własne nosił. On zraniony jest dla występków naszych, starty jest dla nieprawości naszych.« A gdy z serca naszego brzemień winy zniknie, tedy nową radością i spokojem dusza oddycha. »Błogosławieni, których odpuszczone są nieprawości, a których zakryte są grzechy.« Rzym. 4, 7.

H. B.

Zbawiciel woła.

„**A** zawoławszy Jezus dziecięcia, postawił je w pośrodku ich.«
Mat. 18, 2.

Jak się to dziecię nazywało, nie wiemy. Chłopak był podobno wśród uczniów Pańskich, przeto na zawołanie stanął

przed Panem. Nabożeństwa i kazania nasze są najczęściej dla dorosłych ludzi, przeto dzieci tyle nie zajmują. Lecz gdyby ów chłopiec był w domu został, nie byłby wezwania Pańskiego usłyszał. Nie wiemy, kiedy nas Pan wezwie; przeto dobrze uczynimy, gdy zawsze będziemy na pogotowiu.

To dziecię odrazu przyszło, gdy je Pan zawołał. Opuściło wszystko, czem się zajmowało, i szło do Jezusa. Przecz i my tak nie czynimy? Nieraz was wolano; przyjaciele was wzywali, pieśni nasze wzywały, kazania wzywały, abyśmy do Jezusa poszli. A co więcej, sam Pan Jezus nas wzywał, bo czy słowa jego nie odezwały się czasem w sercach waszych, mianowicie słowa jego: »Pójdźcie do mnie,« i »Dopuszczcie dziatkom przychodzić do mnie?« A więc tylko wierz, iż cię Pan sam wzywa do siebie, i rzeknij z ochotą: »Oto, Panie Jezu, idę do Ciebie.«

Jeźlibyśmy nie przyszli, gdy nas woła, to może być, że nas już nigdy więcej nie zawoła. »Ponieważem wołał, a nie chcieliście.« — »Tedy mię wzywać będą, a nie wysłucham.« (Przyp. S. 1, 24, 28.)

Widziałem niegdyś dziewczynkę na śmiertelnej pościeli leżącą. Często ją przedtem wzywał Pan do siebie, lecz na wezwanie jego nie zwała. Teraz smutnie było słuchać jej jęków i narzekania, gdy wołała: »Ach mamę moją; jakież ciemności mię ogarniają! Ach jak ciemna jest ma droga!« Lecz jeżeli wezwania Jego usłuchnicie i ochotnem sercem do Pana przyjdziecie, tedy się sprawdzi, co pisze apostoł do Rzymian 8, 30: »Które powołał, te też usprawiedliwił, a które usprawiedliwił, te też uwielbił.«

Błoga to rzecz »być usprawiedliwio-

nym.« Wszelka plama grzechu będzie zgładzoną, a wszystko to dla nas uczyni Pan. Co zaś »uwielbienie« jego znaczy, tego usta moje wysłowić nie mogą; tego się dowiemy, »gdy się Chrystus, on żywot nasz pokaże, tedy i wy z Nim okażecie się w chwale.« Kol. 3, 4.

Dług wdowy.

W pewnem miasteczku Szkocyi mieszkała uboga, bogobojna, pracowita wdowa. Po mężu, z którym tylko krótki czas żyła, nie odziedziczyła nic oprócz znacznego długu, który potajemnie zaciągnął, obróciwszy pieniądze na wódkę i rozpustne życie. Biedna kobieta nie była obowiązana płacić długów, o których wcale nie wiedziała, lecz nie chciała, aby ktokolwiek ucierpiał szkodę przez jej męża, przeto je na siebie przyjęła. Regularnie płaciła procent na każdy termin, lecz mimo najszerszego usiłowania nie była w stanie zarobić tyle, żeby część długu upłaciła.

Pewnego razu otrzymała list od swego wierzyciela, w którym ją tenże w uprzejmych słowach do siebie zaprosił. — »Czegóż on po mnie może żądać?« rzekła zaniepokojona. »Staram się procent zapłacić, jak mogę; kto wie, może mi kapitał wypowie.« Po dłuższym namyśle postanowiła nie iść do niego ani na list nie odpowiadać. Gdy termin nadszedł, przesała procent, lecz o liście nie zrobiła wzmianki. Za niejaki czas drugi list podobnej treści otrzymała i równie jak z pierwszym postąpiła.

Tak i wy, miłe dzieci, otrzymaliście nie jeden list, który dobre rzeczy zwiastował. Czy niema wśród nich także podobnego, jakim się Zbawiciel odzywa do dzieci, mówiąc: »Dopuszczcie działkom przychodzić do mnie, a nie zabraniajcie im.« Mark. 10, 14.

Możeście tak samo postąpiły, jak mówi Pan Jezus: »A wždy do mnie przyjść nie chcecie, abyście żywot miały.« Jan. 5, 40.

Wierzyciel wezwał wdowę jeszcze kilka razy do siebie, ale napróżno; nie poszła. W końcu

wysłał jednego z przyjaciół swoich, aby ją do przybycia nakłonił. W skutek uprzejmych słów posła postanowiła pójść do wierzyciela, niech już będzie jak chce. Dwa lata się wzbraniała i procent płaciła, lecz nareszcie postanowiła usłuchać wezwania. Gdy do domu pana Anderson wstąpiła, nogi pod nią drżały i wyglądała blada jak chusta. Anderson przyjął ją uprzejmie, podał krzesło i zaczął się o wszystkie szczegóły jej życia wypytwać. Powoli nabrała zaufania i wynurzyła przed nim całe serce swoje.

Czy i wy, miłe dzieci, postąpiliście według słów Boga, który powiada: »Pójdźcież teraz, a rozpierajmy się z sobą.« Izaj. 1, 18. Nie wzbraniajcie się uczynić według słowa jego, albowiem sam mówi: »Choćby były grzechy wasze jako szarłat, jako śnieg zbieleją; choćby były czerwone jako karmazyn, jako wełna białe będą.« Izaj. 1, 18.

Gdy się tak nawzajem porozumieli, wydobył Anderson z biurka swego zapis długu nieboszczyka, i w oczach wdowy zdarł go na kawałki. Tak w jednej chwili pozbyła się wszystkiego długu, który jej po mężu pozostał. Lecz na tem nie koniec. Z biurka swego wydobył pieniądze, które mu jako procent od dwu lat, t. j. od czasu odebrania pierwszego listu, regularnie wypłacała, i oddał je na powrót w ręce zdumionej. Tak szczodroblivy wierzyciel uczynił. Zdumiona wdowa uznała teraz, jak wielki błąd popełniła, iż się odrazu na wezwanie jego nie stawiała. Dużo byłaby sobie trósk i kłopotów oszczędziła.

Pan Bóg nas także do siebie zaprasza. Błogosławieni, którzy od razu na wezwanie jego przychodzą, bo się przekonają, że miłosierdzie jego niebios sięga, i dużo sobie kłopotów serca oszczędzą. Obyśmy to tylko uwierzyli i gdy Pan wzywa, do Niego śpieszyli!

Panie! miłosierdzie Twoje niebios sięga, a prawda Twoja aż pod obłoki. Ps. 36, 6.

A wždy do mnie przyjść nie chcecie, abyście żywot mieli. Jan. 5, 40.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.



Bohater na polach misyi.

Minęło lat więcej niż siedmzieści. W pewnej wiosce Szkocyi znajdował się chłopak, którego serce było niespokojnie; skromne życie wieśniaka zaczęło mu się niepodobać. W porozumieniu z matką swoją postanowił szukać sobie pracy w dalszych okolicach. Ponieważ od dzieciństwa nader lubił kwiaty, przyjął wezwanie pewnego ogrodnika w sąsiednim mieście, aby wstąpił do służby w jego ogrodzie. Tu postanowił zaskarbić sobie jak najwięcej znajomości botaniki i ogrodnictwa.

Gdy z domu wychodził, odezwała się matka jego, mówiąc: »Robercie, mój synu, o jedną rzecz cię proszę. Przrzecz mi, że każdego dnia będziesz czytał w Biblii, rano i wieczór!«

Robert Moffat był młodzieńcem szerego serca, cokolwiek przrzekł, tego dotrzymał; na to można było się spuścić. Lecz sprawa, o którą matka prosiła, nie przemawiała do jego serca, przeto chciał ją pominąć milczeniem. Matka jednak nie dała się odprawić; owszem tak długo nalegała na syna, aż jego przrzeczenie uzyskała. Wiedziała dobrze, iż się na słowo jego spuścić może. Moffat rozpoczął powołanie swoje i z wielką sumiennością je wykonywał.

Pewnego wieczoru, było to w lecie, ukończywszy pracę swoją wyszedł trochę na przechadzkę. Przez cały dzień pilnie w ogrodzie pracował, uczuł tedy potrzebę odetchnąć trochę i między ludźmi się zjawić. Gdy przeszedł przez most, ujrzał naraz ogromny papier przyklepiony na słupie. Było to ogłoszenie pewnego misyjnego zgromadzenia, które się w mieście odbyć miało. »Zgroma-

dzenie misyjne« — te słowa tak padły Robertowi w oko i utkwily w sercu, że się od nich wcale nie mógł oderwać. Nie było to nic nadzwyczajnego, ponieważ się zgromadzenia misyjne w wielu miejscach Anglii odbywały, a to, którego ogłoszenie czytał, odbyło się już przed dniami kilkoma. A zatem wcale nie było można wziąć w niem udziału. Lecz słowa te tak jakoś uderzyły umysł młodzieńca, że się żadnym sposobem nie mógł od nich oderwać. Stał i czytał i z miejsca się nie ruszył, aż w końcu cała gromada ludzi otoczyła go, dziwiąc się, co na tej karcie znajduje, że się całkiem od niej oderwać nie może. W tej chwili Duch Boży poruszył serce jego; tu poznał pole, na którym miał spędzić życie swoje w służbie Chrystusowej. Robert Moffat został misyonarzem.

Na północnych brzegach rzeki Orango w południowej Afryce rozszerza się płaszczyna wielka i piaszczysta; ziemia nie jest bardzo urodzajna, w szczególności gdy deszcze rzadko przechodzą. Okolica jest zamieszkała przez murzynów, należących do szczepu Hottentotów, umysłowo najbardziej rozwiniętych między murzynami. Do nich udał się Moffat i tam misyjną pracę rozpoczął. Po długich usiłowaniach nauczył się języka krajowców i pozyskał ich zaufanie. Powoli zbudował kaplicę, zawiesił na niej dzwon, a ilekroć zadzwoniono, zbiegała się napół dzika ludność murzyńska, oglądać dziwo, którego jeszcze nigdy nie słyszała. Taką koleją wabił do siebie pojedynczych krajowców, uczył ich uprawiać ziemię, budować chatki, czytać i pisać, a przy tej sposobności opowiadał o Bogu wielkim, który niebo i ziemię stworzył, i o Chrystusie Synu Bożym, który nas odkupił. Gdy potem sam

ukłękawszy na kolana, głośno się za nimi do Boga modlił, tedy serca onych dzikich dzieci przyrody jakieś dziwne, uroczyste uczucie nabożeństwa i bojaźni Bożej ogarniało. Praca Moffata postępowała powoli ale stale naprzód.

Naraz zaszły trudności nieprzewidziane. Nastąpił rok bardzo suchy; od kilku miesięcy nie było deszczu. Afrykańskie słońce paliło dzień w dzień i wśród skwaru jego prawie wszystka roślinność wyginęła. Wyschła trawa, wyginęło zboże, a nawet liście na drzewach uwieźdło. Wskutek tego wyginęło bydło a między ludźmi panował głód. Wszędzie widać było wynędzniałe postacie krajowców, ślaniające się na nogach; nie mając innego pokarmu żywili się korzonkami drzew i jaszczurkami i gadzinami leśnymi. W tem uciśnieniu uciekli się do krajowego wieszczka, czyli czarownika, jacy się w Afryce »robieniem deszczu« zajmują. Czarownik próbował wszelkich sposobów, ale napróżno, ani kropla deszczu nie spadła. Oświadczył więc, aby wiary w swą sztukę nie zachwiać, że musi jakaś przeszkoda istnieć, która deszcz odpędza, a tą jest dzwon na kaplicy misjonarza! Na darmo deszczu czekają; nie będzie go, póki ci burzyciele pokoju w kraju przebywają. — W skutek tego postanowiono wypędzić Moffata i przyjaciół jego, a gdyby dobrowolnie ustąpić nie chcieli, użyć gwałtu i zabić ich.

Kacyk miejscowy przybrał do siebie kilku odważnych, dziko wyglądających murzynów, a ci wszyscy uzbrojeni oszczepami wyruszyli do Moffata, aby go z miejsca wypędzić lub zabić.

Kacyk oznajmił żądanie ludu, domagając się, aby natychmiast opuścił ich kraj, bo inaczej na miejscu zabity zo-

stanie. Moffat mu spojrzał odważnie w oczy i rzekł spokojnie: »My was nie opuścimy. Wasze groźby nie wypędzą nas; tylko tem więcej jest nam was żal, bo nie wiecie, co czynicie. Jeżeli koniecznie chcecie nas się pozbyć, tedy gwałtu użyć musicie, bo serca nasze są z wami. Mię możecie zabić lub chatkę mą spalić, ale to wiem, że żonie i dzieciom żadnej krzywdy nie wyrządzicie. Co do mnie, to postanowiłem, że od was nie pójde.«

To rzekłszy otworzył surdut i stał spokojny i niewzruszony. — »Tu mię przebijcie, jeżeli chcecie,« mówił do nich dalej spokojnym głosem, wskazując na pierś swoją. »Gdy mię zabijecie, w ten czas towarzysze moi będą wiedzieli, że z miejsca swego ustąpić muszą.«

»Ci ludzie,« rzekł kacyk, zwracając się do towarzyszy swoich, »mają chyba nie jedno życie, ale dziesięć. Tak się śmierci nie bać — tego jeszcze nie widziałem. Musi coś być w tem, co o nieśmiertelności opowiadają.«

Meżne wystąpienie Moffata nie tylko mu życie ocaliło, lecz zjednało taką powagę w oczach murzynów, iż go odtąd wszelką czcią i poszanowaniem otaczali i najgłębsze zaufanie do osoby i nauki jego powzięli. Za niejaki czas spadł obfity deszcz, ziemia się bujnie zazieleniła i piękne plony wydała. W tej samej mierze pojawiały się owoce pracy Moffata, a gdy roku 1883 odwołał go Pan, cała okolica oplakiwała śmierć jego. W obec niego wypełniło się słowo Chrystusa, który do wiernego robotnika swego mówi: »To dobrze, sługo dobry i wierny! nad małym byleś wiernym, nad wielkim cię postanowię; wnijdź do radości Pana Twego. Mat. 25, 21.«

J. B.

Bogaty czy ubogi w „skarby niebieskie”?

W pewnym szpitalu w Ameryce leżał ciężko ranny żołnierz, który dniem przedtem na polu bitwy odniósł śmiertelną ranę.

»Przyjacielu!« odezwał się z cicha duchowny stojący u łóżka jego, »nie długo już pomaszujemy, dziś jeszcze ukończymy marsze.«

»Tak prędko już staniemy? Czy namioty rozbijemy?»

»Tak jest, przyjacielu!« odparł duchowny. »Marsz się kończy, za chwilę odezwie się trąbka dająca znak do spoczynku.«

»Czy może Pan chce przez to powiedzieć, że się mój koniec bliży i że w krótkce umrę?»

Duchowny skinął głową na znak potwierdzenia.

»Dobrze, mój Panie,« rzekł konający, »ja jestem przygotowany. Niech się stanie wola Boża, ja pragnę być z Chrystusem, Zbawicielem moim.«

Potem odzywając się do dwóch kobiet, stojących we łzach koło łóżka jego rzekł: »Siostro moja, ciociu moja, nie płaczcie nademną. Weźmijcie ten pierścień i oddajcie go napowrót mojej narzeczonej. Spodziewałem się, że w krótkce przystąpię z nią do ołtarza. Stało się inaczej; idę do Chrystusa i tam się znowu po niej jakim czasie zobaczymy.«

Ten żołnierz był gotów iść do spoczynku, albowiem wiedział, że co do spraw niebieskich wszystko było uporzędowane.

*

O tym samym czasie inny podobny wypadek się zdarzył.

Pewien pobożny człowiek odwiedził jednego z najzamożniejszych gospodarzy

kraju Illinois. Po obiedzie zaprowadził gospodarz gościa do najwyższego pokoju domu swego, aby mu swe gospodarstwo pokazał. Jak daleko na wszystkie strony oko sięgało, wszystkie grunta były jego własnością.

»Ile morgów Pan ma?» zapytał gość.

»Czterdzieści tysięcy, a wszystkie uprawne.«

»Jakaż wartość może mieć ta ziemia?»

»Dwa miliony dollarów,« odrzekł właściciel, »a wszystko ja sam zarobiłem. Dziesięciu szelągów nie miałem w kieszeni, gdym tą pracę rozpoczął.« To mówiąc spojrzął koło siebie z wyrazem zadowolenia i dumy.

»To rzadki widok,« odpowiedział gość, »bo na prawdę, jest się czemu przypatrzeć. Pan kazałeś mi spojrzeć na wszystkie strony a nigdzie granic posiadłości Pańskiej dojrzeć nie mogę. Teraz pozwól Pan jedno zapytanie. Zechciej *wzgorę* spojrzeć, co też *tam* Pan posiadasz?»

»Ach,« rzekł gospodarz, a lzy mu w oczach stanęły, »*tam* podobno bardzo jestem ubogim.«

Gość usiłował się zwrócić serce jego do Pana i nakłonić je, aby skarby swoje Panu poświęcił. Czy usiłowania jego wydały owoc, nie wiemy; ale jedno wiemy, nie długo się z majętności swoich radował, bo nim rok upłynął, odwołał go Pan. Łukasz opisuje r. 12, 16—21 los człowieka, »który sobie skarbi skarby, a nie jest w Bogu bogaty.« Przeto pytam się ciebie, miły czytelniku, czy jesteś bogaty albo ubogi w skarby niebieskie?

T.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.



Pierwiastki.

Przed kilkoma laty założono w Anglii związek, którego członkowie przyjmują na się obowiązek, każdy dzień pewien oznaczony ustęp Pisma świętego przeczytać. Związek rozpowszechnił się w szczególności pomiędzy młodzieżą i ma dziś wielką liczbę członków we wszystkich krajach kuli ziemskiej, dla których wydaje karty we wszystkich językach. W polskim języku także takie karty istnieją i między młodzieżą dużo zwolenników słowa Bożego znajdują.

Janek i Anna należeli do związku i sumiennie ustępy Pisma świętego każdy dzień czytali. Jeżeli czego zrozumieć nie mogli, to im to matka wytłumaczyła. To wspólne czytanie Pisma tak jakoś dzieci do matki przywiązało, iż w oczach dzieci była mama najprzedniejszą po Panu Bogu istotą na świecie. Janek często powtarzał przed Anną, że niema nikogo na świecie jak mama.

W ogrodzie rodziców miały dzieci osobne grządki dla siebie; tam sadziły roślinki, pielegnowały kwiaty i jedno przed drugim chciało się jak najtroskliwszym okazać ogrodnikiem. Oprócz tego wyznaczył im ojciec w cieplarni swojej dwa niewielkie zakątki, gdzie mogły hodować te kwiaty, które zimnego klimatu naszego wytrzymać nie mogą. Stały tam dwie doniczki, jedna była własnością Janka a druga Annie należała. W nich rosły dwa śliczne krzaczki poziomkowe. Przed kilkoma tygodniami zakwitły pięknym białym kwiateczkiem, a gdy śnieżyste listeczki opadły, zostały piękne żółtawe tarcze, które powoli w śliczne jagody wyrosły. Te prawie dojrzewały, a było ich razem sześć.

»Mamuniu,« rzekł Janek, »jutro będzie u nas wielka gościna! Ani nie zgadniesz, co będziemy mieli! Nasze poziomki ślicznie dojrzały, a jutro je zerwiemy. Ty dostaniesz dwie, Andzia dwie a ja też dwie. To będzie gościna, aż ślinka do ust idzie, bo to pierwsze nasze poziomki. Na grządkach dopiero kwitnąć zaczynają.«

»O, ja się tak cieszę,« dodała Andzia; »mama nie uwierzy, jak ślicznie nasze jagody wyrosły. Mama musi pierwsza swoje zjeść, potem my dopiero naszych skosztujemy.«

»A jeżeli tego nie uczynię,« rzekła matka, tuląc do siebie Janka, siedzącego na jej łonie, podczas gdy Anna obok niej stała; »jeżeli swoich poziomek nie zjem, czy was to będzie martwiło?«

»Jakto, mama naszych poziomek nie chce?« zapytał Janek ze zdumieniem. »One takie piękne, a my je dla mamy wyhodowali.«

Starsza Anusia rozumiała, że mama co innego ma na myśli; jej uśmiech nie był bez znaczenia. Przeto się odezwała, mówiąc: »Już to mama jakieś inne ma zamiary; proszę nam powiedzieć, dla czego nie chcesz jeść naszych poziomek?«

»Bo to są pierwiastki,« odrzekła, »pierwsze owoce tego roku.« — Anna spojrzała na mamę ze zdumieniem, prawie dla tej samej przyczyny życzyły sobie dzieci, aby je mama zjadła. Co najlepszego miały, chciały dać matce.

»Czy nie wiecie,« mówiła dalej, »że w dawnych czasach ludzie pierwiastki owoców swoich Panu Bogu ofiarowali? Pierwszy owoc ogrodu i roli, pierwsze jagnięta trzody zaniesli do domu Bożego, aby je Panu oddali w ofiarze. W naszym kraju też miejscami ludzie

tak czynią, że pierwszy owoc pracy swojej na chwałę Bożą obracają. Wiecie, miłe dziecieczki, ojciec wasz zawsze tej zasady przestrzega; pierwsze zyski z przedsiębiorstwa swego na chwałę Bożą obraca. Przeto myślę, że i wy według jego przykładu postąpicie.«

»Aleć mamó,« rzekł Janek, »jakże Panu Bogu kilka poziomek podarujemy?»

»Kto wie?« odrzekła matka, »może się i na to sposób znajdzie. Pan Jezus powiedział: cobyściekolwiek uczynili jednemu z tych najmniejszych, którzy w mię wierzą, toście mnie uczynili.« W domu szewca na tamtej ulicy leży jego córka na śmiertelnej pościeli i każdego dnia wyczekują końca; tak blada i wynędzniała wygląda, bo już kilka miesięcy na suchoty cierpi. Cóż powiecie na to, jeśli ja dla niej swoje poziomki odstąpię?»

»Ale mamó,« rzekł Janek, »dwie jagody jej nie pomogą.« »O, ja też swoje dam,« odezwała się Anna z wesołym obliczem! »To i ja dam,« dodał Janek, i nuż się brali przygotować śliczny koszyczek. Wysłali go wewnątrz liściem, na nie włożyli poziomki, które w tem zielonem otoczeniu prześlicznie wyglądały. Dzieci niósły koszyk naprzemian, idąc z matką do chorej dziewczynki. Gdy jej wręczyły dar, rozjaśniło się wynędzniałe oblicze chorej i serdecznem spojrzeniem zań podziękowała. Wzięła potem jedną jagodę po drugiej do ust i zjadła. Jakże ją ten dar ucieszył, a co więcej, zgoła pokrzepił na ciele. Cały dzień o niczem innem nie mówiła, jak o pięknych jagodach i uprzejmych dawcach, co je przynieśli. Dzieci pożegnały chorą uszczęśliwioną, że dobry uczynek uczyniły, a gdy w kilka dni później umarła odprowadzano na cmentarz, cieszyły się

w duchu, że jej ostatnie chwile uprzyjemniły. Pan Jezus przyjął ofiarę dzieci z upodobaniem. P.

Moja matka się modliła.

Było to w lutym roku 1861. Na Północnem Morzu okropna burza szalała, tak iż koło samej Anglii coś przeszło ośmdziesiąt okrętów rozbiła. Pewien okręt kupiecki znajdował się w wielkiem niebezpieczeństwie; był blisko skalistego brzegu i każdej chwili mógł się rozbić o skały. Na brzegu stało dużo rybaków, pragnących nieść pomoc nieszcześliwym, lecz nie było sposobu puścić się na wodę wśród burzy. Naraz okropny huknął wiatr, porwał okręt i rozbił go o skały. Z wody sterczały tylko maszty, a na ich szczycie kilku majtków trzymało się na powierzchni wody wyglądając ocalenia. Szumiące bałwany nie pozwalały jednak przybliżyć się do nich. Nie było innej rady, jak zapomocą rakiety rzucić ku nim linę ratunkową. Lecz nim przygotowania poczyniono, nachylił się jeden maszt i wszystkich, co się go trzymali, w morzu pogrzebał. Gdy w końcu rakietę świsnęła w powietrzu, upadł maszt drugi i nie było więcej kogo ratować. Rybacy smutni ciągną linę z wody i spostrzegli, że się coś w niej zawikłało. Za chwilę poznali, co to było, mianowicie ciało człowieka, jak się okazało, jednego z młodych majtków okrętu. Wydobywszy na brzeg próbowali utopionego przywrócić do życia, co się rzeczywiście po jakimś czasie udało. Młodzieniec odzyskawszy przytomność patrzył obłędniawo naokoło siebie, pytając się: »Gdzie jestem?« — »Tu jesteś, mój chłopcze!« — »Gdzież jest

kapitan?« — »W morzu utopiony!« — »A sternik?« — »Także utopiony.« — »A załoga?« — »Wszyscy się potopili, mój chłopcze; ty jeden zostałeś ocalony!«

Przez kilka minut stał młodzieniec jakby bezprzytomny, nie mogąc ochłoniąć z przerażenia. W końcu podniósł obie ręce w górę i z wielkiem wzruszeniem zawołał: »Moja matka się za mną modliła! Moja matka się za mną modliła!«

Potem upadł na kolana na piasku przesiąkłym wodą, zakrył twarz rękoma i płakał jak dziecko.

Wieść o tym wypadku rozeszła się prędko naokoło, a ktokolwiek ją usłyszał, rozczulony był nad wdzięcznością młodzieńca i wiernością obietnicy Boga, który prośb matki łaskawie wysłuchał.

Młodzieńca zabrano do domu i po kilku dniach, gdy powrócił do zdrowia, do domu matki jego odesłano.

Skazany żołnierz.

Podczas wojny roku 1870 skazano pewnego żołnierza na śmierć i już związanego na miejsce rozstrzelania prowadzono. W tem nadszedł pewien duchowny w towarzystwie jakiegoś staruszka, a widząc skazanego pyta się o przyczynę kary. Dowódca oddziału wyjaśnił, że poległego żołnierza obrał, za co po pruskiej stronie karę śmierci ogłoszono. Domyślając się w obcym duchownego wezwał go, aby żołnierza na śmierć przygotował. Pastor przemawiał do niego poważnymi słowami, lecz skazany uporczywie milczał, tylko wielkie łzy toczyły się po licach jego. »Czy jesteś przygotowany na śmierć?« zapytał pastor. »Nie, nie jestem, ani o to nie dbam; lecz mam żonę i dzieci w domu; a cóż te poczną, gdy mię rozstrzelą?«

Gdy tak mówił i gorzko płakał, wystąpił staruszek towarzyszący pastrowi i rzekł: »Mój przyjacielu, bardzo mi cię żal. Ja nie mam ani żony

ani dziecięcia. Serce me dawno pojednało się z Bogiem; śmierci się nie lękam, bo mi jest tylko upragnionym gościem. Wiesz co, ja umrę miasto ciebie. Ja nic przez to nie stracę, ale dużo zyskam; przeto chętnie swe życie za ciebie oddam.«

Wszyscy naokoło dziwowali się nad tym wnioskiem, a przywódca widząc, że to nie żart lecz szczere poświęcenie, rzekł do staruszka: »Mój Panie, ja nie mam prawa przyjąć twej ofiary, lecz chodźmy do obozu, przedstawię sprawę generałowi.«

Wrócili się tedy, a po drodze cieszył staruszek skazanego żołnierza, mówiąc mu o Chrystusie Zbawicielu grzeszników. Przyszedłszy przed generała przedłożyli mu sprawę. Ten pytał się staruszka ze zdumieniem, czy zamiar jego rzeczywiście jest szczerym.

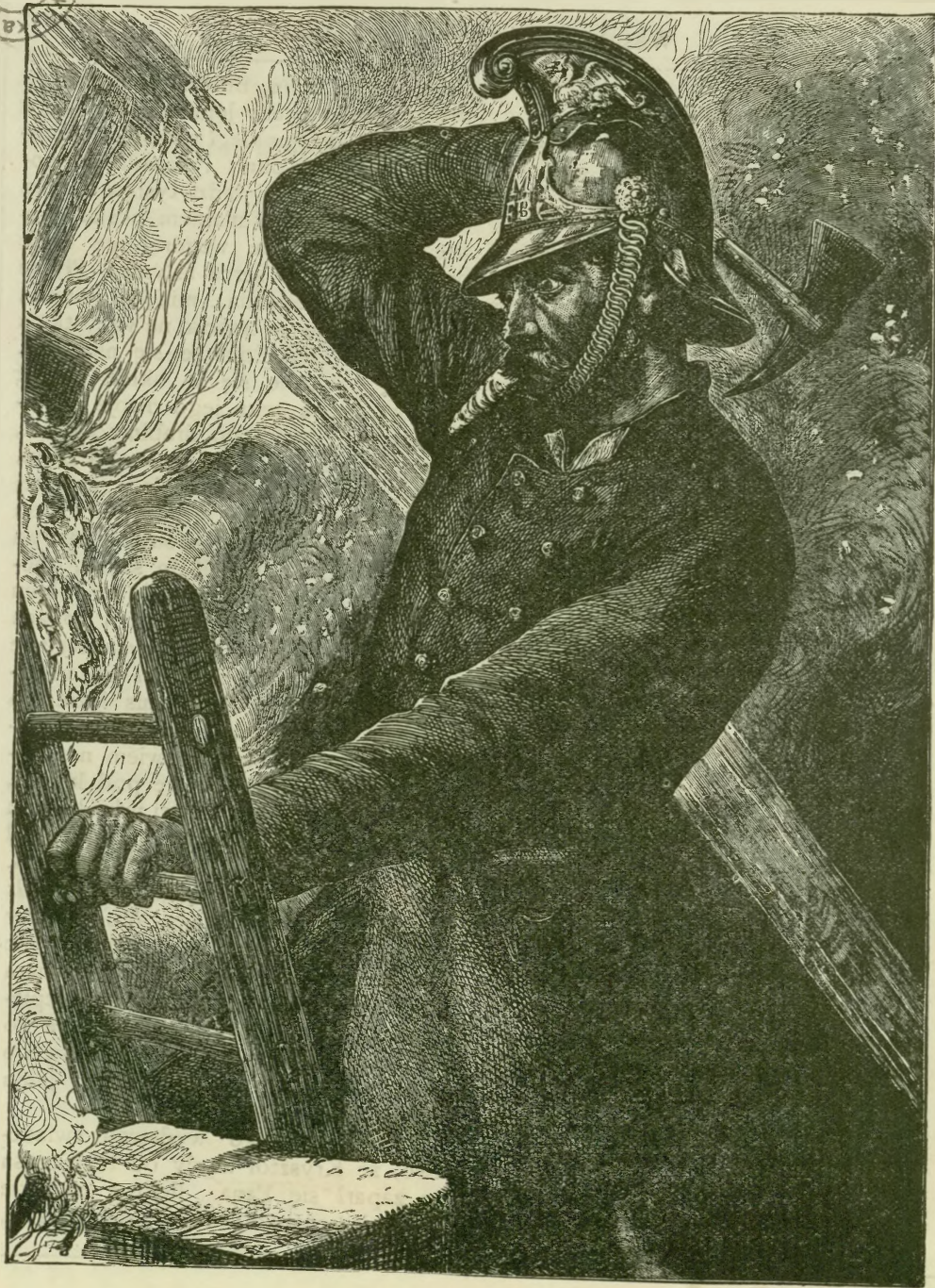
»Tak jest,« odpowiedział. »Nie lękam się śmierci, bo się przez nią do Chrystusa dostanę, do którego oddawna iść pragnę. Ja chętnie swe życie położę na okup za życie tego biednego żołnierza. Prawo nie żąda śmierci dwóch ludzi; moja śmierć wystarczy.«

Generał zdumiony nie wiedział, co począć, i przedłożył sprawę Następcy tronu, który długo nad nią rozmyślał. W końcu rzekł: »Prawo nie pozwala mi przyjąć twej ofiary. Lecz jedno mogę uczynić; mogę skazanego ulaskawić a życie jego tobie darować, zamiast twoje odbierać.«

Można sobie wyobrazić, jak stwożony żołnierz dobroczyńcy swemu serdecznie dziękował i ofiary jego nigdy nie zapomniał! Lecz Jezus dla nas więcej uczynił, On nie tylko życie swoje ofiarował, lecz je rzeczywiście za nas położył.

A tak, miłe dziatki, jeśli w Jezusa nie wierzycie, w tem samym położeniu co on żołnierz jesteście. Człowiek dla grzechu swego związany idzie na stracenie, lecz Jezus przystępuje do nas i mówi: »Oto, ja życie swoje za cię położyłem.« — Wierząc w Chrystusa, on was z więzów szatana uwolni. »Nie masz w żadnym innym zbawienia, albowiem nie masz żadnego imienia pod niebem danego ludziom, przez którebyśmy mogli być zbawieni.« Dzieje A. 4. 12.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.



Wiara strażnika.

Londyńska straż ogniowa liczy w gronie swych członków niejednego bohatera, który w chwili wielkiego niebezpieczeństwa nie wahał się poświęcić swe życie dla ocalenia bliźnich. Na szczególniejszą pamiątkę zasługuje czyn Krysztofa Benn, albowiem pokazuje, jak dziwnymi drogami Pan Bóg ludzi do siebie prowadzi. Było to w nocy. Do stacyi straży ogniowej dochodzi hasło, że na pewnej ulicy wybuchnął pożar i w okamgnieniu, raz, dwa, trzy — ludzie, konie, maszyny stoją w pogotowiu. Odzywa się trąbka i pochód pędzi, co tylko może, na miejsce pożaru. Jedną z najwyższych kamienic znajdują w płomieniach. Przystawiają drabiny, kierują sikawkami, wyłamują drzwi, otwierają okna, bo przedewszystkiem trzeba mieszkańców ocalić. Jedną rodzinę po drugiej wynieśli z domu i muszą się śpieszyć, bo ogień już na dachu a za niedługo wieża domu runie. W tem słychać pogłoskę, że na najwyższym piętrze, pod samym dachem, zostawiono dzieci nieocalone. Czy mają zginąć w płomieniach? Największe grozi niebezpieczeństwo. Lada chwila runą dachy, bo się już przebijają płomienie, a wewnątrz domu tyle jest dymu, że oddychać nie podobna. »Któż się odważy ocalić dzieci?« woła naczelnik; lecz sprawa jest zgola nie do wykonania. Niejeden strażak spogląda w górę, lecz widok niebezpieczeństwa i myśl o własnej rodzinie wstrzymuje krok jego. — »Kto ma wiarę w Boga?« woła po wtóre naczelnik. »Kto bohaterskiego czynu dokaże?«

»Ja pójdę!« rzekł Benn. »Jeżeli mam wiarę zachować życie, to ją też znajdzie

poświęcić je Panu. Bracia! jeżeli mi Bóg wrócić pozwoli, tedy Jemu służyć będę.«

To rzekłszy, pobiegł wzgórze po drabinie, wyłamał okno i wpadł do pokoju. Na dole stoi ludzi tysiące i taka cisza panuje, jakbyś makiem posiał. Każde oko zwrócone wzgórze, nie wiele brakuje, by bicie serca usłyszeć. Płynie sekunda za sekundą, minęły minuty, jedna — druga — trzecia, na wszystkich twarzach głęboki maluje się niepokój. W tem pokazuje się w oknie postać strażaka, a na ręku jego dwoje ocalonych dzieci. Zszedł po drabinie na dół, na wpół opalony, i stanawszy na ziemi, zachwiał się i upadł zemdląły, a w tej samej chwili zawałyły się dachy. Dzieci nie ucierpiały żadnej szkody. Gdy po jakimś czasie powrócił do siebie, opowiadał o przygodach swoich. W pokoju było tyle dymu, że po rękach i nogach postępował. W tem słyszy dwa dziecinne głosy, starszy chłopiec rzekł do młodszego: »Karolku, Pan Jezus idzie; ja wyraźnie kroki jego słyszę. On ma pieczęć o ciebie i mnie, albowiem nas kocha. Schowaj tylko głowę pod koldrę, bo się udusisz!« Tak dzieci wśród dymu mówiły. Krysztof porwał je, przytulił do siebie i szczęśliwie z płomieni ocalił.

Zatem zwróciwszy się do dzieci rzekł: »Patrzcie, kochane dzieci, oto te rany dla was odebrałem; lecz tego za nic w świecie nie żałuję, bo wasza wiara moją utwierdziła. Wyście w niebezpieczeństwie Panu Jezusowi ufali, a ja go też w ten czas za Zbawcę i Pana swego obrałem. Odtąd z wami razem Jemu służyć będę.«

Towarzysze jego wydawali świadectwo, że Krysztof nigdy od tego czasu nie zaparł się Pana. Ilekroć na jakie niebezpieczeństwo musiał się narażić,

zawsze Chrystus był hasłem i obrońcą
jego. ————— G.

Gdzież jest twój dom?

Jadąc po Morzu Śródziemnem siedziałem na pokładzie, przypatrując się fali i grzejąc się w promieniach słońca. Jeden z majtków okrętu bawił w pobliżu; z nim wdalem się powoli w rozmowę.

»Cóż Pan zaczniesz, gdy staniemy u brzegu? Czy jeszcze dłużej zostaniesz na okręcie?«

»Tego jeszcze nie wiem,« odpowiedział. »Mam w Nowym Yorku kilku przyjaciół, a ojciec mój pisał mi niedawno, iż tego włóczenia po świecie już dosyć; trzebaby się gdzieś stale osiedlić. Najlepiejbym zrobił, gdybym do ojca poszedł.«

»A zatem ojciec kocha Pana; czy nie?«

»Jużci mię kocha, bo mię kochał i będzie kochał; sam mi pisze, żeby mu było bardzo przyjemnie, gdybym do domu wrócił.«

»To bardzo pięknie! Ja się w tem samem położeniu znajduję,« rzekłem. »Mój ojciec mię też kocha, kochał i będzie kochał, a równie mi pisze, jak bardzo się ucieszy, gdy się do domu dostanę.«

»A gdzież Pański dom jest?« zapytał majtek nieco zdziwiony.

»W niebie,« odrzekłem; »tam jest mój wieczny dom a ojcem mym jest Bóg. On syna swego dał, aby mi drogę do nieba zgotował. Lecz cóż Pan musisz uczynić, aby się do domu do ojca dostać?«

»Ja muszę albo za jazdę zapłacić, albo przyjmą służbę na okręcie i służyć jak majtek.«

»Co do tego,« rzekłem, »to jest różnica między nami, bo mnie ani płacić

ani służby majtką pełnić nie trzeba. Za mnie Pan Jezus wszystko zapłacił. On za mnie umarł na krzyżu i śmiercią swoją zgotował mi drogę do ojca. Sam bowiem powiada, mówiąc: Jamci jest droga, prawda i żywot; żaden nie przechodzi do Ojca, tylko przez mię. — Cóż Pan o tem myślisz?«

»O czym?« zapytał majtek.

»O tem, co Pan Jezus uczynił, iż dla nas na krzyżu umarł, On sprawiedliwy za nas niesprawiedliwych, aby nas do Boga zaprowadził?«

»Co myślę? Myślę, czy On też za mnie umarł, bo wiem, że jestem niesprawiedliwym. Tak Pan mówiłeś, nie prawda?«

»O nie ja to mówię, lecz mówi Bóg, a słowo Jego jest jako skała, której nic wzruszyć ni zachwiać nie może.«

»Sprawiedliwy za niesprawiedliwych,« powtarzał u siebie młodzieniec. Oby słowo Boże do każdego serca dziwnie trafiło!

Urodziny Stasia.

Mały Staś obchodził swe urodziny, liczył w tej chwili lat siedm i dwie godziny. Ojca w domu nie było, bo gdzieś daleko odbywał podróż, lecz pewnie nie zapomniał napisać do Stasia i powinszować na urodziny. Listu dotąd nie było, lecz każdej chwili musiał nadejść, bo nie podobna, żeby ojciec zapomniał. Chłopak z niecierpliwością czekał listonosza, skoro list od ojca przyniesie. Tymczasem mijała chwila za chwilą a listu nie było. Małemu Stasiowi stawały lzy w oczach.

Nauczycielka tłumaczyła to tak, iż ojciec chce Stasia uczuć cierpliwości; mama kazała czekać cierpliwie, a słuchająca także cieszyła, iż list nadejdzie,

byle tylko kilka godzin miał cierpliwość. Wszyscy mówili o *cierpliwości*. Im dobrze tak mówić, gdy dziś urodzin nie mieli. Lecz Staś ma urodziny, a listu od ojca niema i niema. Siedział tedy u okna i wyglądał, skoro się listonosz pojawi. W tem przyszło mu na myśl, że nauczycielka też musi niekiedy mieć cierpliwość z nim, gdy się lekcyi dobrze nie nauczył; a nawet mameczka musi mieć cierpliwość, gdy dzieci niekiedy robią hałas i t. d.

»O czym myślisz, Staśku?« zapytała nauczycielka, spostrzegłszy poważną minę chłopaka.

»O cierpliwości,« odparł chłopczyzna.

»Czy już też kiedy o Panu Jezusie rozmyślałeś, jak cierpliwie mękę i urągania znosił i życie swe za nas ofiarował? On zaprasza nas do siebie i mówi: »Chodźcie do mnie wszyscy!« a jednak jak długo i cierpliwie musi czekać na nas, nim jeden lub drugi wezwanie Jego przyjmie i do Niego przyjdzie.«

Staś zastanowił się nad cierpliwością Jezusa, którego dziecinne sercem pokochał, a gdy o Panu i cierpliwości jego z nauczycielką rozmawiał, otworzyły się drzwi, wstąpił listonosz, podał paczkę listów Stasiowi a między temi był też list od ojca.

A tak, dzieci kochane, nie bądźcie niecierpliwemi. Gdy was niecierpliwość ogarnia, wspomnijcie sobie na Pana Jezusa, jak długo i jak cierpliwie na was czeka i od Niego uczcie się cierpliwości.

Za jaką cenę dostąpię zbawienia?

Pewien misyonarz bawił długie lata między nawpół dzikimi szczepami Indyan w Północnej Ameryce. Opowiadał o Chrystusie, zbawicielu naszym i zachęcał, aby srogie swoje obyczaje

porzucili i serce Chrystusowi oddali. Pewnego dnia nader usilnie i wzruszającemi słowy wzywał słuchaczy do nawrócenia, a Duch Boży niejedno dzikie serce poruszył, iż postanowili szukać królestwa Bożego.

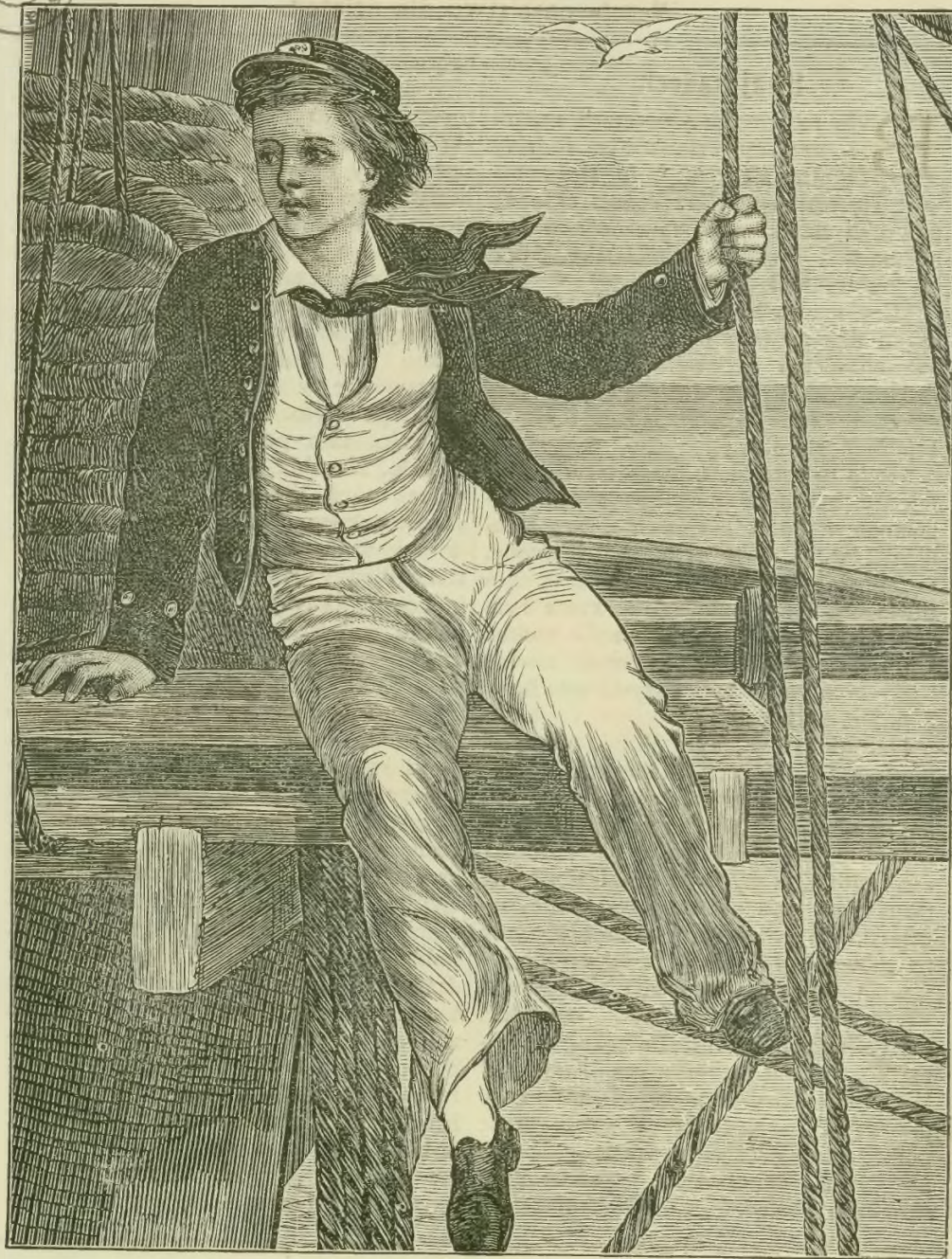
Gdy wieczór wracał misyonarz do namiotu swego, spostrzegł, że ktoś za nim idzie. Okazało się, iż to był naczelnik onego szczepu, kacyk wielkiego znaczenia między Indyanami, który także słuchał jego kazania. Prowadził z sobą ślicznego konia. Przyszedłszy do namiotu misyonarza, stanął dumnie u progu, jak na wodza przystoi, i objawił swoje życzenie. Przyszedł *kupić zbawienie*, które misyonarz tak gorąco zalecał. Najśliczniejszego konia swego za nie ofiarował. Misyonarz uśmiechnąwszy się tłumaczył mu, że zbawienia kupić nie można; ono jest darem, który wierzącemu Bóg dawa za darmo, z łaski swojej, dla zasługi Jezusa Chrystusa.

Kacyk posmutniał, spuścił głowę i odszedł do domu, lecz następnego poranku znowu wrócił w towarzystwie pięknego młodzieńca. »To jest mój syn pierworodny; ja go bardzo kocham, lecz go-tów jestem dać go za zbawienie,« odezwał się do misyonarza, spodziewając się, że mu za tę cenę sprzeda takowe. Misyonarz znowu musiał odmówić, co kacyka bardzo zasmuciło. Zaczął więc wydobywać z kieszeni wielkie sztuki złota, ofiarując je w dodatku do syna, aby cenę podwyższył; ale to też nie pomogło, misyonarz zawsze tłumaczył, że zbawienia za żadną cenę kupić nie można, bo je Bóg za darmo dawa szukającym. Zrozpaczony kacyk rzucił się do nóg jego wołając: »To proszę mnie wziąć, bo więcej dać nie mogę, a nie odmawiać zbawienia, aby się moje tęskne, stroskane serce uspokoiło. Ja samego siebie za nie ofiaruję.«

— »Ofiary Bogu przyjemne duch skruszony; sercem skruszonym i strapieniem nie pogardzisz o Boże!« rzekł misyonarz do wzruszonego kacyka. »Tę ofiarę Pan Bóg przyjmuje, innej nie żąda. On ciebie szukał i serca twego; gdy Mu je ofiarujesz, radością i zbawieniem je napelni.«

A cóż co do ciebie, kochany czytelniku? Czy ty oddałeś Bogu serce swoje? Czy zechcesz oddać Mu je w tej chwili? Bóg ciebie szuka; innej ofiary przyjmą nie zechce!

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.



Dwaj kadeci.

Było to wieczór; zmierzch zapadł i wszyscy członkowie rodziny Piotra siedzieli koło stołu bawiąc się rozmową. Trzej jego chłopcy przytulili się do ojca, zawisnęli mu na kolanach i prosili o powiastkę, jakie im często lubił opowiadać.

»Czy ma to być powieść o chłopcu czy o dziewczynce?« zapytał ojciec. — »O chłopcu!« jednogłośnie odpowiedzieli. — »A więc słuchajcie!« rzekł ojciec i zaczął opowiadać historią o dzielnym Haroldzie.

»Było to przed laty może trzydziestu; między majtkami pewnego okrętu wojennego znajdował się chłopiec, imieniem Harold. Gdy wstępował w służbę, pożegnała go matka jego, bardzo cnotliwa i pobożna niewiasta, która była wdową. »Synu mój kochany!« rzekła, »nigdy się wiary nie zapieraj, zawsze bądź wiernym, przedewszystkiem Bogu a potem ojczyźnie.«

Harold był wiernym Bogu, zaraz od pierwszego dnia pobytu swego na okręcie. Pierwszego wieczoru uklękawszy na ziemi modlił się, nim szedł na spoczynek. »My mu damy się modlić,« zawołało kilka szyderczych głosów; »od razu zapal jego ostudzimy!« W tej samej chwili wylali garnek zimnej wody na głowę jego. Harold krzyknął z przerażenia, a towarzysze jego w śmiech! »Widzicie dzieciaka? Myśli, że siedzi matce na fartuszu! Poczekaj, niewiniatko, my cię nauczymy się modlić!« W tem jeden z nich łagodnymi słowy przystąpił do niego, niby przez litość pomagając się osuszyć. Zacznie ocierać po twarzy i grzbiecie i szyderczymi słówkami obsypywać W rzeczywistości

nabrał do ręki tęgiego pieprzu, który »kajeńskim« nazywają a który na wilgotnem ciecie okropnie pali. Harold wyskoczył jak szalony i nie wiele brakowało, żeby oprawcy swemu wyciął policzek, lecz mu naraz przyszły na myśl słowa 1. listu ap. Piotra 2, 23: »Gdy cierpiał, nie groził.«

To był początek jego cierpienia, nie koniec; najwięcej dokuczał mu pewien towarzysz, którego »Czarnym Piotrem« zwano. Nie nadarmo miał to imię, bo rzeczywiście w tym chłopcu coś szatańskiego było. Gdzie o jaką psotę chodziło, tam pewnie Piotra nie brakowało. Harolda prześladował, jak najgorzej mógł. Nie nazwał go inaczej jak »świętoszkiem« lub »pieściuchem«, tak iż mu w końcu ten przydomek został. Biedny Harold nie znalazł spokojnego kąta; gdy się chciał pomodlić, musiał wyleźć wysoko na maszt, co też często czynił i za każdym razem dziwnie pokrzepiony wracał do roboty.

Pewnego dnia, gdy okręt płynął po morzu, zachmurzyło się niebo i okropna burza szalała. Żagle okrętu podarte na szmaty świstały w powietrzu i co chwila się zdawało, że główny maszt siłą wichru złamany upadnie na pokład. Kapitan przystąpił do Piotra i rozkazał mu wybiegnąć na maszt, gdzie pewien żagiel zwinąć wypadało. Piotr spojrzaj w górę, pobladał jak chusta i nogi pod nim drżały jak liść osikowy. Gębą i językiem był ogromnym zuchem, ale gdy czynem należało udowodnić męstwo, był tchórzem, jakich mało. Tak często bywa, że najwięksi tchórze najgorzej gardlują. Harold widząc trwogę Piotra, przystąpił pokornie do kapitana i prosił go, aby mu pozwolił wyręczyć Piotra. On zna to miejsce dobrze, bo je jeszcze wczoraj

dla własnej przyjemności zwiedził. Kapitan spojrział uprzejmie na chłopca, lecz nie chciał zezwolić na prośbę jego, wiedząc jak niebezpieczną jest ta droga. Gdy jednak Harold prośbę swą powtórzył, nie sprzeciwiał się dłużej. Chłopczyzna dostał się na miejsce bezpiecznie, wykonał rozkaz kapitana i znowu powrócił, jakby nic nie zaszło. Kapitan spojrział nań z upodobaniem, bo dopiero trzy miesiące służył na okręcie, a dokonał rzeczy, przed którą starsi truchleli.

W tem Piotr wystąpił z ukrycia, uściśnął rękę Harolda i rzekł: »Pobożnym jesteś ale nie pieściuchem. Opuść mi, co ci kiedy złego wyrządziłem i nie odmawiaj swojej przyjaźni!«

Harold odpuścił przeciwnikowi swemu, a tenże widząc piękny przykład bogobojnego młodzieńca zastanowił się nad sobą i postanowił wstąpić w ślady jego.

Czy wiecie, miłe dzieci, rzekł ojciec, kończąc historią, kto był onym bogobojnym kadetem? To wuj wasz, Harold, którego kochacie. A onym Piotrem, pierwotnie tak lekkomyślnym a potem nawróconym — to ja, ojciec wasz! Szanujcie wuję waszego i naśladowajcie przykładu jego! — T.

Wyrok z Pisma na ścianie.

„Ach, miła sąsiadko, przyjdź do nas popatrzeć się na mego męża; jest chory, leży w łóżku, ale sobie rady nie wiem. Gniewa się, krzyczy i klnie nieznosnie.« Te słowa rzekła Anna, żona pewnego rozpitego wyrobnika do sąsiadki swojej, Katarzyny, bardzo pocziwej i pobożnej niewiasty. Ilekroć ją jaki smutek gnębił, zawsze u niej szukała pociechy. A »dobra Kasia«, jak ją nazywano, umiała zawsze ze skarbu serca pobożnego podać jej słowo za-

chęcenia i pokrzepienia. Do domu jej przybyć nie miała wielkiej chęci, bo mąż Anny znany był z wściekłości i grubiaństwa, którego najlepiej z daleka unikano. Wszakże usilną prośbą wymogła na Kasi, że obiecała przybyć do ich domu.

Pewnego dnia wybrała się nie bez trwogi serca. Przyszedłszy do domu, znalazła drzwi otwarte. Zapukała do pokoju, lecz żadnej odpowiedzi nie było. W końcu otworzywszy drzwi wstąpiła, lecz nigdzie żywej duszy nie spotkała. Już miała wracać, gdy jej przyszło na myśl, zostawić im przynajmniej wyrok ze słowa Bożego na pamiątkę. Na stole ujrzała kawalek kredy; tę wzięwszy napisała takowy na drzwiach, prawie naprzeciw łóżka, na którym przed chwilą chory leżał.

»Kobieto! zkądże się to wzięło!« krzyczał z wściekłością rano mężczyzna, ściskawszy żonę za ramię, aż sine plamy zostały. Anna, nawpół śpiąca otworzyła oczy, nie wiedząc, o co chodzi i co owe »to« znaczy, aż sama ujrzała na drzwiach wyrok Biblii, którego wczoraj nie spostrzegła.

»Szczerze zapewniam, ja nie wiem,« rzekła, »już ci to chyba Pan Bóg napisał, bo ja nikogo u nas nie widziałam.«

Po upływie kilku dni spotkała sąsiadkę i od niej dowiedziała się, co zaszło. Tak się tajemnica wyjaśniła. Kasia cieszyła stroskaną Annę, iż Bóg jeszcze wszystko na dobre obróci. —

»Anno! przeczytaj mi, co to tam napisane?« — Anna czytała: »Tak Bóg umiłował świat, iż Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny.«

»Czy to tak jest? Przeczytaj jeszcze raz!«

Anna przeczytała po raz drugi a mąż jej spoważniał i mocno się nad temi słowy zastanowił.

»Anno! jeszcze raz mi to przeczytaj!«
 Żona po trzeci raz powtórzyła wyrok, każde słowo wymawiając z naciskiem.

»Teraz dosyć,« rzekł mąż spokojnym głosem, po którym było znać, że go te słowa zastanowiły. Za chwilę odezwał się łagodnie, mówiąc: »Anno! siadź sobie trochę i odpocznij. Ja się już czuję lepiej na siłach i nie chcę cię tyle fatygować. Tyś już dosyć koło mnie wycierpiała.«

Od tego dnia zaczęło się nowe życie w chacie wyrobnika. Kłatwy i krzyki ustały a na ich miejscu pokój, miłość i bojaźń Boża zapanowała. Słowo o miłości Bożej trafiło do serca i błogosławione zrodziło owoce. Odtąd już Anna nie potrzebowała żalić się na wściekłość męża swego, lecz Bogu dziękowała, że się zupełnie czuła szczęśliwą.

Urodziny Elżbiety.

Było to w niedzielę, na niebie świeciło słońce i majowa woń napawała powietrze. W wiosce odezwały się dzwony, wołając mieszkańców do kościoła na nabożeństwo. Dużo ludzi szło do kościoła, tylko Elżbieta jeszcze nie była ubrana. Dziś obchodziła urodziny swoje, licząc prawie lat 18. Dziewczyna zdrowa, rumiana i miła umiała sobie zjednać serca rodziców i całego otoczenia swego; wszyscy ją kochali. Nie lubiła się spóźnić idąc do kościoła, lecz dziś trzeba było oglądać prezenta i pięknie się ubrać, bo to dzień urodzin, a gdy dziewczyna liczy lat osiemnaście, toby się chciała pokazać przed światem. W końcu ukończywszy ubiór pobiegła i nie mało się zmięszała, widząc, że się o pół godziny spóźniła. W kościele wszystkie miejsca były zajęte. Elżbieta czekała, aż przestali śpiewać, a potem gdy pastor czytał Ewangelię od ołtarza, wsunęła się cicho, bez najmniejszego szelestu do świątyni.

Ledwie wstąpiła, słyszała słowa ewangelii św.

Łuk. 13, 16. »A ta córka Abrahamowa, którą był związał szatan oto już osiemnaście lat, azaż nie miała być rozwiązana od tej związki w dzień sabatu?«

Słowa te dziwnie trafiły jej serce; Duch Święty przez nie przemawiał. »Szatan ją związał oto już osiemnaście lat« — mówiła u siebie, »to jestem ja. Jam dziś osiemnasty rok ukończyła, a to pewnie czuję, że nie służę Bogu. A jeżeli nie Bogu, toć chyba szatanowi służę i jego niewolnicą jestem.«

Z kazania, które nastąpiło, prawie nic nie słyszała, bo jej ustawicznie w sercu brzmiały słowa: »Szatan ją związał, oto, już osiemnaście lat.« Nabozęństwo się zakończyło, ludzie wracali do domu; Elżbieta jeszcze została w kościele, pragnąc serce wzburzone ukoić modlitwą, lecz pokoju nie znalazła. Powróciwszy do domu, udała się do swojej izdebki, lecz wszystkie podarunki, które otrzymała, nie były w stanie przywrócić spokoju. Ustawicznie brzmiały w uszach słowa: »Szatan ją związał, oto już osiemnaście lat.« W końcu upadłszy na kolana gorąco modliła się Bogu, aby się zlitował, wyrwał ją z więzów grzechu i szatana, aby jej serce uwolnił od próżności a wiarą i miłością swoją napełnił.

Podczas modlitwy trafiły do duszy zaćmionej jak promień słoneczny słowa Ewangelii: »Azaż nie miała być rozwiązana od tej związki? O, by i mą duszę raczył Pan rozwiązać!« Serce zaćmione coraz to więcej się rozjaśniało, a wiara w Onego, którego imię jest Mocny, dziwnym spokojem napełniła duszę. Jezus przyszedł, aby zwiastował pojmanym wyzwolenie i aby wypuścił uciśnione na wolność.« Łuk. 4, 18. W dawnych czasach rzekł do chorującej: »Niewiasto! uwolnionaś od niemocy twojej.« On włożył na nią ręce a zarazem rozprościła się i chwaliła Boga. »A gdy onej niewieście tak uczynił Pan, przecżże nie miałby i mnie wysłuchać?« Tak tedy jego pomocy wzywała i jemu z całego serca ufała. Dzień urodzin stał się dla Elżbiety dniem urodzenia dla życia nowego, bo od tej chwili Duchem Bożym posilona całem sercem służyła Panu!

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.



Ja wcale zapomniałam.

„Czy się też to dziecko kiedy ze swej bezmyślności wyleczy?” westchnęła matka z pewnem żalem i oburzeniem nad córką swoją, Kasią, która o wszystkim zapominała, co jej rozkazano. Matka kazała przynieść jaką rzecz; córka pobiegła lecz zabawiwszy się czemś nie wróciła do mamy. Matka idzie szukać Kasi i pyta, dla czego żądanej rzeczy nie przyniosła. „Ach, ja wcale zapomniałam,” była jej odpowiedź. Matka każe robić zadanie szkolne, aby nauczyciel nie musiał się gniewać. Kasia, przychodząc do szkoły nie przynosi zadania, a gdy nauczyciel pyta o przyczynę, tedy dziewczynka spuszcza oczy do ziemi i powiada: „Ja wcale zapomniałam.” Matka każe pilnować młodszych dzieci. Kasia bawi się na chwilę z niemi, lecz wkrótce wybiega na dwór i czemś innem się zajmuje. Tymczasem Karolek upadł na ziemię i okaleczył się. Matka rozgniewana wymawia Kasi jej nieposłuszeństwo, a ta z kwaśną miną odpowiada: „Ja zapomniałam.” Ta bieżmyślność i brak pamięci ogromnie rodziców martwiły; cóż zacząć z dzieckiem, które na każde napomnienie jedną tylko ma odpowiedź: „Ja zapomniałam.” Pewnego razu została Kasia za to srogo ukarana. Rzecz miała się tak.

Kasia otrzymała od cioci bardzo pięknego młodego kanarka. Sama go pielęgnowała, karmiła i bawiła się z nim. Ptaszek się tak oswoił, iż na jej rękach lub głowie usiadał, z nią się pieścił a nawet z jej ust dziobał ziarenka konopia, które Kasia wargami trzymała. Kanarek był jej najmiłą zabawką; latał po pokoju a gdy z klatką nadeszła, furknął

w nią i kąpał się w filizance wody. Kasia nadzwyczaj lubiła zwierzęta. Naraz spodobała się jej młoda kotka, którą u sąsiadki widziała, i tak długo prosiła, aż ją w podarunku otrzymała.

„Uważaj na kanarka,” rzekł ojciec, „aby ci go kotka nie zagryzła.” Kasia naturalnie ślubowała troskliwość i przyrzekła, że nigdy nie zostawi klatki otwartej, gdy z pokoju wyjdzie. Z początku dotrzymała swego przyrzeczenia; zawsze z poranku oczyściła klatkę, nalala kanarkowi wody, a dopiero gdy go w niej zamknęła, wyszła z pokoju. Pewnego dnia jednak zdarzyło się inaczej. Wypuściła kanarka z klatki i zaczęła ją czyścić. W tem coś na dworze zaszło; wybiegła więc z pokoju, lecz nie wróciła od razu. Na dworze ją coś zajęło, zaczęła się innemi rzeczami bawić, tak, iż całą godzinę do kanarka nie wróciła. Naraz przychodzi Karol, niosąc w rękę martwego ptaszka. Kilka piórek miał wyrwanych a na szyi zakrwawioną ranę; nogi skostniałe odstawały od ciała. Podczas nieobecności Kasi przyszła kotka i zagryzła ptasze, które mając klatkę otwartą, wyleciało z niej i po podłodze skakało.

Można sobie smutek Kasi wyobrazić, gdy ulubienca swego ujrzała martwego! Rozplakała się z żalu, lecz lzy jej ptaszęcia wskrzesić nie zdołały. Ojciec powróciwszy do domu surowo niedbałą dziewczynkę wylajał; lecz ona skruszona nie miała innej odpowiedzi, jak tę jedną: „Ja wcale zapomniałam.” Możeby za krótki czas o stracie swojej zapomniała, gdyby nie ojciec, który jej bardzo przykłą niespodziankę sprawił. Wziął ptasze i zaniósł je do pewnego rzemieślnika, który się trudnił wypychaniem zwierząt. Ten tak ślicznie wypchał jej ulubienca,

iż wyglądał jak żywy. Stał na gałazce i zdawało się, że lada chwila otworzy dzióbek i zanuci piosenkę. Lecz ojciec na tem nie zakończył; owszem poszedł do drukarza i pięknymi czcionkami kazał wydrukować napis, który kanarkowi zawiesił koło szyi. Ktokolwiek wstąpił do pokoju, mimowolnie ujrzał wypchanego kanarka a na szyi jego czytał słowa: »Zginałem, bo Kasia zapomniała.« Biedne dziewczę bardzo się za to wstydziło i wszelkich dokładała starań, aby swą bezmyślność przezwyciężyć, co się też rzeczywiście udało. Jej usiłowania, a przede wszystkim łaska Boża, o którą się modliła, pomogła przezwyciężyć wadę, która jej i rodzicom dużo zmartwienia sprawiła.

T.

Orełownik nasz.

Chrystus jest, który umarł, owszem i wzmartwychwstał, który też jest na prawicy Bożej, który się też przyczynia za nami.« Rzym. 8, 34.

Oto niby cztery stopnie czynów Jezusowych, a co jeden to wyższy. Na którymkolwiek staniemy, z każdego nowy otwiera się widok zachęcający człowieka, aby w Chrystusie Panu mocne zaufanie położył. Pierwszym stopniem jest, że umarł za nas. Lecz gdyby w grobie pozostał, nie wiedzielibyśmy, czy ubłagalna Jego ofiara u Boga przyjęta została. Przeto drugi stopień następuje, mianowicie, że wzmartwychwstał, tak iż w żyjącym Zbawicielu ufność swą pokładamy, takim, który mówi: »Ja żyję, i wy żyć będziecie.« Jan. 14, 19. Trzecim stopniem do zbawienia naszego jest, że siedzi na prawicy Bożej we wszelkiej mocy i chwale swojej, gotując nam miejsce i sposobiąc nas przez Ducha

Świętego, abyśmy dla nieba byli sposobni.

Jezus umarł za nas i wzmartwychwstał i wstąpił na niebiosy! Czegóż jeszcze więcej się spodziewać? A jednak miłość Jego nieprzebrana jeszcze dalej idzie. Chrystus się przyczynia za nami. Chrystus się modli za nas. Nam się wydaje, że Chrystus aż nadto dla nas się poświęcił, gdy był na ziemi; wszak za nas cierpiał i za nas umarł. W niebie więc inne sprawy Go zajmują, nie myśli o nas i nędzy naszej. A jednak rzecz się ma inaczej. On nawet w niebie myśli o nas, pokąd tu żyjemy; myśli o nas jak Ojciec o kochanych swych dzieckach rozmyśla i modli się za nami aż do końca, jako każdego z nas umiłował aż do końca. (Jan. 13, 1.) Tak »zawsze żyjąc orełduje za nami.« Żyd. 7, 25.

Pomyśl o tem, kochane dziecię, co to znaczy: Jezus się dzisiaj za ciebie modli! Tyś może nie dużo o Nim myślało, możeś Jego serce kochające lekomyślnie zasmucilo; możeś modlitwę swoją pobieżnie zmówiło. Lecz mimo to wszystko Jezus każdego czasu modli się za ciebie!

Czy chcesz się o tem przekonać? Przeczytaj, co mówi w ostatniej modlitwie swojej na ziemi: »A nie tylko za tymi proszę, lecz i za onymi, którzy przez słowo ich uwierzą w Mnie.« Jan. 17, 20. A zatem, jeśli w Niego wierzysz, Jezus modli się także za ciebie, jak się modlił za Piotra mówiąc: »Jam prosił za tobą.« Łuk. 22, 32.

Dwie bramy.

U wejścia do jednej z bardzo ciasnych ulic pewnego wielkiego miasta można dziś jeszcze czytać napis

neco wypłwiała i zatarty, który brzmi tak:

»Tędy nie wolno przenosić ciężarów.«

Podobno tak było w dawniejszych stuleciach, bo brama jest niska a ulica wązka, i należało się obawiać, aby ruch nie został zatamowany lub się jakie nieszczęście nie stało.

W ostatnich latach dużo tędy przeszło ludzi, niosących ciężary, nie tylko zewnętrzne, które dźwigali na głowie, lub rękami nieśli, ale przedewszystkiem ciężary wewnętrzne. Były to brzemiona serca i duszy, które często człowieka bardziej przygniatają i chylą ku ziemi niż zewnętrzne ciężary, bo zaprawdę najcięższe dla człowieka są one brzemiona, których oko nie widzi.

Kochany czytelniku! Czy na twem sercu nie ciąży brzemień grzechu, który nie jest odpuszczonym? Czy droga życia nie wygląda ciemno i ponuro, a niema światła, coby ci świeciło; niema ręki, coby cię wiodła, ani też głosu, coby cię zachęcał? Duszo stroskana, czy nie należysz do tych »obciążonych«, których Pan Jezus do siebie zaprasza?

Inna jeszcze jest brama; a przez nią także powinniśmy, ba musimy wejść, jeźli inaczej pokój duszy i odpocznienie znaleźć pragniemy. Tam ten sam znajduje się napis, mianowicie:

»Tędy nie wolno przenosić ciężarów.«

Jest to ona złota »brama żywota«, owa ciasna brama, która prowadzi do nieba. Obok niej stoi z przeklętą ręką i wdzięcznem obliczem Pan i Zbawiciel nasz, wskazując na onę wązka drogę, wiodącą do żywota, a na przechodniów idących woła, mówiąc: »Pójdźcie do mnie wszyscy, którzyście spracowani i obciążeni, a Ja wam sprawię odpocznienie!« Mat. 11, 28.

Gdy dusza obciążona do bramy żywota się zbliża, tedy Jezus zdejmuję z niej brzemień i wolną wypuszcza w radości. Czy i twe brzemień, miły czytelniku, zostało już kiedy przez Pana odjęte? Czy nogi twoje przekroczyły onę ciasną bramę a idą dalej po »wązkiej drodze«, która do żywota wiecznego prowadzi?

O słuchaj głosu miłego Jezusa, a brzemień serca u nóg Jego złoś! Nie frasuj się w duchu, nie dźwigaj ciężaru, lecz bierz, co Chrystus podawa swoim, mianowicie odpocznienie duszy, które obiecał tym, co go szukają. Potem wesoły pójdiesz drogą swoją, cokolwiek cię na niej w życiu spotkać może. A choćby ścieżka zdawała się trudną, choćby doliną cienia i śmierci przechodzić musiałeś, Jezus jest z tobą, On cię nie opuści.

Dziecię życzyło sobie umrzeć.

Pewien znany kaznodzieja w Londynie donosi o następującym wypadku.

Pewnego razu wezwano go do łóża młodej dziewczynki. Usiadłszy obok chorującej, miał z nią następującą rozmowę: »Czegóż sobie życzysz, moje dziecko?« — »Mój Panie, tak się cieszę, żem raz jeszcze mogła pożywać Wieczrę Pańską, nim umrę.« — »Zdaje ci się, że umrzesz? Czy nie wolałabyś raczej wyzdrowieć?« — »O nie; ja chcę umrzeć!« — »A dla czego?« — »Od tej chwili, jak Pana Jezusa pokochałam, usiłowałam się zawsze nakłonić ojca mego, aby ze mną szedł do kościoła. Ale on nie chce. Tak sobie myślałam, gdy umrę, to Pan przecież będzie miał kazanie na moim pogrzebie, a ojciec mój też przyjdzie za trumną. W ten czas będziesz Pan miał sposobność odezwać się do niego słowem Ewangelii. Ja jestem gotową umrzeć nie jeden raz lecz i sześć razy, byle tylko mój ojciec choć raz słowo Boże usłyszał.«

Zyczenie chorej się wypełniło, bo słowa córki tak ojcu do serca trafiły, iż odtąd szukał i znalazł Pana.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



„Jeszcze raz spojrzę.“

»Rudolfku! nie chodź tam. Daj rąkom spokój, bo cię za palce porwą!« ostrzegał Karol młodszego brata, gdy byli na brzegu morza i ujrzeni duży kosz z rakami. Rybacy je ułowili i trzymali w koszu. Dzieci garnęły się do niego, zdjęte ciekawością, a najzuchwalszym był Rudolf.

Na wezwanie brata odszedł od kosza, w którym były dwa ogromne raki; ale za chwilę znowu powrócił, mówiąc u siebie: »Jeszcze raz spojrzę.«

W tem przyłączyło się do niego kilkoro dzieci, które także ciekawie na kosz patrzyły, bojąc się jednak przybliżyć się do niego. Te podziwiałały odwagę Rudolfa. Aby się przed nimi tem więcej popisać, wsunął rękę przez szparę do kosza, drażniąc dużego raka. Ten naraz porwał go za dwa palce i nagle ścisnął kleszczami. Rudolf w krzyk, bo ogromny ból cierpiał. Otrząsa raka, lecz to nie pomaga; próbuje rękę wyciągnąć z kosza, ale na próżno, bo szpara za ciasna. Nim przyszli ludzie i nożyce raka otworzyli, były dwa palce zupełnie zsiniałe. Lekarz wezwany musiał je odjąć.

Biedny kaleka patrząc na szczątki obciętych palców narzekał boleśnie, mówiąc: »Ach, czemuż nie odszedłem, gdy mię Karol wołał! Chciałem jeszcze raz spojrzeć, a potem na miejscu zostałem, a teraz mam zamiast dziesięciu palców tylko ośm. Na swoje nieszczęście wróciłem się »raz jeszcze spojrzeć.«

Dawna to historia, ale się zawsze powtarza; myśmy jej wszyscy doznali! Zamiast stanowczo oprzeć się pokusie, »chcemy jeszcze raz spojrzeć,« a potem

zostajemy na miejscu, zamiast wprost uciekać.

Pewien chłopiec złapał ptaszka i trzymał go w klatce. Potem wystawił z klatką w ogrodzie, gdzie ptaszyna pięknie śpiewała. Inny ptaszek ciągle nadlatywał, słuchając śpiewu. Pewnego dnia odchylił chłopiec wieko od klatki, gość przyleciał, powoli wszedł do klatki od wiedzic towarzysza, wieko zapadło i zamknęło go w niewoli. Niewielka ciekawość smutne może spowodować skutki.

Dlatego nas Jezus przestrzega, mówiąc: »Czujcie a módlcie się, abyście nie weszli w pokuszenie.« F. T.

Okropna burza.

»Żle z nami Panie,« rzekł jeden z podróżnych na okręcie zwanym Londyn. »Ogień wygasły, maszyny stanęły. Wody cisną się do okrętu; my już do pasa w wodzie jesteśmy.«

»Ja to przewidywałem,« odparł zagadnięty; »dla mnie to nie jest niespodzianką.« — »Główny żagiel rozwinąć!« rozkazał kapitan, pod którego opieką było więcej niż 200 podróżnych. — »Za-raz, Panie,« odezwały się głosy majtków. Posłuszni rozkazowi wspięli się na maszty, rozwijając żagle z wytężeniem ostatecznych sił, bo się od zmęczenia ledwie na nogach utrzymać zdołali. Kapitan Marcin wiedział, że to jedynym mógł być ratunkiem, ponieważ okręt spoczywał na falach jak kawał drzewa. Maszyny stanęły, na pokładzie był potop, a kawałki połamanych masztów kołysały się na wszystkie strony, miotane wiatrami.

Gdy okręt roku 1866. po pierwszy raz wyjechał z portu, jakże inaczej wyglądał jak teraz! Był nowy, piękny, aż się serce śmiało. Gdy się wybierał w podróż do Australji, garnęli się wychodźcy, co w dalekim świecie szczęścia próbować pragnęli. Teraz także na tej znajdował się drodze, także dużo prowadził wychodźców, lecz jakże ich serca były ściśnięte, gdy zaczęto gadać o »niebezpieczeństwie.« »Czy okręt wytrzyma tę okropną burzę?« Każde serce biło z trwogi tak mocno, jakby pierś ludzką rozsadzić miało.

Ledwie rozwinięto żagiel, gdy nową siłą oparły się wiatry i na same szmatki go rozerwały. Tylko z jednej strony został kawał wisieć, reszta z wiatrem poszła. Ludzie stali u pomp, pracując nad siły, ale jednak wody wyczerpać nie mogli, bo morze falami okręt zalewało. Z poranku nowy podniósł się bałwan i taką siłą uderzył o okręt, że ster oderwał i unióś w morze; oprócz tego z tyłu wybił znaczny otwór do wnętrza okrętu. Woda falami przezeń się lała i każdej chwili musiała porwać okręt na dno morza. W kajucie byli wszyscy podróżni, drżąc i modląc się w tej okropnej chwili. W tem przybył kapitan z pobladłą twarzą, zmęczonym krokiem i stanął przed nimi.

»Czy jest jeszcze dla nas jaka nadzieja?« zapytali niespokojnie wszyscy. »Przyjaciele moi!« odrzekł zasmucony; »znika z każdą chwilą. Niema nadziei ocalenia okrętu.«

Zgromadzenie przyjęło ten wyrok w milczeniu. Tu, ówdzie przyciskała matka, w cichości lży lejąc, niemówię do serca swego, tam trzymał małżonek w ścisłem objęciu swą pobladłą żonę; tu ojciec

zgrupował około siebie całą swą rodzinę, aby w chwili śmierci koło niego była, tam się przyjaciele na drogę żegnali, a gdzie niegdzie widać osobę klęczącą nad biblją otwartą, w której na ostatnią godzinkę szukała pociechy. Ale nieładu albo rozpacz nikt nie widać. Zkądże to pochodzi?

Od północy prawie, gdy nadzieja ocalenia znikła, odbywał pastor zboru Metodystów, na okręcie obecny, zgromadzenie modlitwy w największej sali, a całą załogę brała w niem udział, tak podróżni jak służba. O, jak gorliwie modlono się teraz. Była to modlitwa w obliczu śmierci. Tu jeden, tam drugi zaczął odczuwać niebezpieczeństwo, w jakim dusza jego się znajdowała. Powstawszy tedy, szedł do pastora, prosząc, by razem z nim się pomodlił. Wszystkim tym życzeniom stało się zadość.

Przez cały poprzedni dzień chodził ten mąż Boży między obecnymi, wzywając każdego, kto nienawrócony, aby u Jezusa szukał zbawienia. »O Panie, Boże! daj z łaski swojej, aby ktokolwiek nie jest nawrócony, nawrócił się teraz!« Niejedno serce spojrzało do Pana, u Niego szukając zbawienia duszy. Wielu ich w tej chwili się nawróciło. A tak stosunkowo cisza panowała, u jednych cisza serc Bogu oddanych, u drugich milczenie cichej rozpacz.

A łódzie ratunkowe? Cóż z temi? Niestety, niektóre pozrywały wały, a inne prawie na nic się nie zdały.

»Mój Panie,« rzekł kapitan do sternika swego, »wsiądź do tej łodzi i próbujcie się ocalić. Może wam się uda spotkać gdzie okręt.«

»Proszę, Kapitanie, chodź i ty z nami!« odparł na to sternik. »Nie, mój przyjacielu,« rzekł dzielny kapitan; »ja z okrętem moim pójdę do głębi; ale tobie życzę, aby cię z innymi Bóg ocalić raczył.«

»Weźmijcie mię z sobą! weźmijcie mię z sobą,« krzyczy pewna pani; »cały swój majątek, pięćdziesiąt tysięcy, wam daję.« To rzekłszy, chce skoczyć z krawędzi okrętu, ale naprzód. »Sześćdziesiąt tysięcy za miejsce dla mnie!« woła w rozpacz lekarz okrętowy. Ale nie stety, już miejsca nie było; dziewiętnaście osób skupiło się razem w niewielkiej łodzi. »We wschodnim kierunku!« woła kapitan na pożegnanie, a z okrętu słyszeć jeszcze głos inny, ostatnie wezwanie sługi Bożego, który napomina, wołając: »Sposóbnie się stanąć przed Panem Bogiem!« Potem się okręt nachylił, wody zaszumiały i cała załoga, licząca dusz 220, razem z okrętem zatonała w morzu. Łódka szczęśliwie popłynęła dalej, aż w kilka godzin spotkali okręt, który rozbitków wszystkich ocalił.

My wszyscy płyniemy łodzią do wieczności. Czy Chrystus jest z nami? Jeźli On z nami, nie trzeba się lękać, bo ani burze ani wały wody nam nie zaszkodzą.

H. H.

Bóg ma pieczę o was.

Pewien Jegomość szedł ulicą miasta; naraz przystąpił do niego chłopiec, prosząc o jałmużnę. W pierwszej chwili chciał go Pan odprawić, lecz w obliczu chłopca było coś takiego, że się odrazu nim zainteresował.

»Na co ci krajcar?« zapytał Jegomość.

»Kupię sobie chleba,« odrzekł chłopczyna.

»Czy nie miałeś dziś co jeść?«

»Nic nie jadłem, Panie!«

»Chłopcze, czy ty prawdę mówisz?« zapytał Pan, badawczem okiem patrząc mu do twarzy.

»Nie, Panie. Ojca już nie mam, dosyć dawno umarł.«

»Gdzież matka twoja?«

»Wczoraj wieczór umarła. Proszę pójść ze mną; ja Panu pokażę.«

Ujawszy chłopca za rękę, poszedł z nim, dokąd go malec prowadził. Przyszli w ciemną, nędzną uliczkę na końcu miasta; tam stanęli przed nędzną budą, którą rzeczywiście nie można było nazwać chatką. Otworzywszy drzwi, wprowadził Pana do pokoju, wskazując na matkę, która umarła leżała na barłogu.

»Oto moja matka, Panie!«

»Któż był przy niej, gdy umierała?« zapytał Jegomość do głębi wzruszony.

»Nikt, jak tylko ja.«

»Czy matka nic nie rzekła, gdy miała umierać?«

»O, rzekła, Panie. Powiedziała do mnie: »Bóg będzie miał pieczę o ciebie, moje drogie dziecię.«

Prędzej niż sama w śmierci pomyślała, nagroził Bóg jej wiarę, zesławszy człowieka, który dla sieroty najczulsze serce okazał. Jegomość bowiem był uczniem Jezusa, a do tego miał dosyć dóbr tego świata. Biedny chłopczyna znalazł w nim ojca, który się we wszystkim o sierotę starał.

W Piśmie świętem jest Pan Bóg ojcem sierot nazwan. On obiecał, że nigdy nie opuści człowieka, co w Nim mocno ufa; a dobra jest ufać obietnicom Jego

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Odnowienie starej łodzi.

Zielone świątki nadeszły. Rybak H. myślał sobie, że może w tym czasie przybędą goście, zwiedzający okolice, i byłaby sposobność zarobić sobie nieco grosza urządzaniem wycieczki na morze. Szkoda tylko, że łódź jego tak stara, niezgrabna; kto wie, czy kto zechce nią pojechać. Postanowił zaradzić nie dostatkowi, o ile się dało. Zreparował okręt, zamazał smołą, pomalował farbami i niebawem łódź wyglądała jak nowa. Co to takie malowanie nie robi, pomyślałem u siebie, gdy starą łódkę w nowej szacie ujrzałem. Wszelako ludzie na tem się spostrzegli i nie bardzo mieli ochotę robić nią wycieczki na morze. Woleli wsiąść do nowej, niż zreparowanej.

Pewna mała dziewczynka uczyła się u mamy, jak załatać dziurę w szacie. »To tak jak z nami,« rzekła poważnie. »Z Marynią miałyśmy spór. Ja go załagodziłam, tak jak tę dziurę poprawiam.« Takie poprawienie jest bardzo dobre. Lecz jest pewien rodzaj poprawiania, przed którym bardzo ostrzegam, mianowicie reparowanie starego serca. Szatan to bardzo poleca i cieszy się, gdy taką robotę widzi. Bóg mówi chłopcom i dziewczętom, że »najzdradliwsze są serca ich nadewszystko i najprzewrotniejsze,« Jerem. 17, 9. Ale szatan szepce, mówiąc: »Ja was nauczę, jak je poprawić.«

Boże leczenie jest zupełnie inne. Bóg nic nie wspomina o reparowaniu starego serca, przeciwnie. On nowe serce ofiaruje. »I dam wam serce nowe.« Ezech. 36, 26. Dawid pragnął takiego serca, przeto się modlił, mówiąc: »Serce

czyste stwórz we mnie, o Boże.« Czy nie chcecie te proste słowa sobie przywłaszczyć i o serce czyste się modlić?

Nie chcielibyście wyjeżdżać na morze poreparowaną łodzią, choćby jak dobrze wyglądała. Nie próbujcie także dostać się do nieba o swem starem sercu, choćby na zewnątrz było poprawione. Pomnijcie na słowo Pańskie, które mówi: »Jam jest ten, który się badam nerek i serc.« Objaw. 2, 23. Jego to proście, by wam dał nowe serce, jak obiecał; a dziękując za nie, będziecie w stanie wyznać, mówiąc: »Wielką radość spsobisz w sercu mojem.« Ps. 4, 8. Tak będę szczęśliwy, mając »serce nowe«.

F. E. T.

Wprost do Jezusa.

Odbывała się wielka uroczystość wojskowa. Wysłańcy różnych mocarstw połączyli się z obywatelami kraju, uczcić szlachetnego monarchę w dzień jubileuszu panowania jego. W pośród zgromadzenia zerwał się niewielki chłopiec, wołając głośno: »Gdzie jest cesarz? Ja chcę widzieć cesarza!«

Wśród zgromadzenia było znać niepokój. Policja zerwała się, by przywrócić ład. Lecz nim na miejscu stanęli, powstał pewien pan w wspaniałym ubraniu i wystąpił naprzód w tę stronę, z której głos się odezwał, mówiąc: »Ja jestem cesarz; czego chcesz po mnie?«

Chłopczyk nie myślał o żadnym darze, ani też w sercu nie czuł potrzeby jakiej pomocy; on tylko chciał widzieć swego monarchę, któremu takie hołdy składano; chciał poznać Pana, którego kochał i w życiu miał słuchać.

Głośne okrzyki się odezwały. Lud zgromadzony umiał to ocenić, że wielki monarcha wśród hołdów narodu zstąpił z tronu swego, zważając na głos błagalny dziecięcia. Jego czyn uprzejmy i słowa łagodne, któremi do chłopca się odezwał, świadczyły o sercu królewskiej dobroci; a tę mu naródomal nie wyżej jeszcze poczytał, niż inne świetne czyny jego rządów.

»Jakżeś dostąpił odpuszczenia grzechów?« zapytał pastor pewnego człowieka, którego Pan Bóg do siebie nawrócił.

»Ja wprost do Pana Jezusa poszedłem,« odrzekł zapytany.

Czy ziemski monarcha miałby być łagodnym dla małej dziecińcy, a Pan zbawienia i chwały wiecznej miałby nie słuchać wołania swych dzieci? Gdy był na świecie, wołał On dzieci do siebie, mówiąc: »Dopuszczcie im przychodzić do Mnie, a nie zabraniajcie!« Czy myślicie, że teraz, gdy jest w chwale swojej, nie woła ich więcej? Któż zechce, powstawszy, śpieszyć do Pana na wezwanie Jego? Niech nikt nie stanie między Nim a wami! Niech nikt nie zagradza drogi do Niego! Jemu wynurzcie, czego serce pragnie; we wszystkich sprawach »wprost do Jezusa.«

Niewidomy Jakóbek.

Było to w mieście Glasgow w Anglii. W pewnej dzielnicy miasta, gdzie bardzo biedna ludność przebywa, znajduje się niewielki kościół, a obok niego stary budynek, na którego murach nie policzone imiona są napisane. Pewien związek dobroczynny urządził tam przytulisko dla biednych, opuszczonych i

zaniedbanych dzieci całej okolicy. Tam je zwabiają, dadzą im jeść, przyodziejają je; tam te dzieci spędzają cały dzień od rana aż do wieczora wśród zabaw i nauk, a gdy wieczór nastaje, idą na nocleg do swych rodzinnych, zaniedbanych mieszkań, aby nazajutrz znowu powróciły. Więcej niż sto biednych dzieci znajduje tam dziennie opiekę, utrzymanie i naukę.

Była między nimi pewna dziewczynka najgorszych obyczajów, odporna, nie-dbała, okropna psotnica. Gdzie jaka wrzawa, tam była pierwszą; jaka psota w szkole, była jej pobudką. Nauczyciel nie wiedział sobie rady; przestrogi, groźby, kary nic nie pomagały, a do tego na towarzyszeki swoje nader zgubnie oddziaływała. Nauczyciel nie wiedząc, co począć, zagroził, że skoro jeszcze coś takiego się zdarzy, obije ją i wypędzi precz. Wszelkie inne środki były bezskuteczne. Za krótki czas znowu jakaś psota. Emma ją wymyśliła, a do wykonania przybrała sobie sześć towarzyszek, nie lepszych od siebie.

»Wy wszystkie, siedm razem, wy-nijdziecie na ganek,« rzekł nauczyciel, »tam będziecie stały, aż karę wyznaczę.«

Ze spuszczoną twarzą, odpornem obliczem, wyszły na miejsce. »Wiecie, moje dzieci, co te psotnice znów uczyniły,« rzekł nauczyciel, zwracając się do całej klasy. »Na jakąż karę zasłużyły? Jakże je mam ukarać?«

Pewien chłopiec powstawszy, zawołał, mówiąc: »Niech im to pan nauczyciel jeszcze przebaczy!«

»Chętniebym przebaczył,« rzekł nauczyciel, »gdyby było można. Lecz wiecie, ile razy już to przebaczyłem,

a wszystko nic nie pomogło, tylko jeszcze gorzej się zachowały. Dziś przebaczyć nie śmiem. Zagroziłem karą i muszę słowa dotrzymać, chyba, że które z was zechce dobrowolnie ponieść karę za nie!»

«A, to nie!» odrzekł chłopczyna, który za przebaczeniem przemawiał. «Czy znajdzie się kto, co zechce karę przyjąć na siebie?» zapytał.

Nastała cisza, tak iż zgoła bicie serca słyszeć było. Po niejakej chwili słyszeć było poruszenie w pewnym kącie klasy. W jednej z ostatnich ławek siedział mały Jakóbek. Dotąd o nic się nie troszczył, kreśląc na tabliczce niewyraźne znaki. Teraz podniósł się powoli i macając naokoło, wyszedł z ławki na ganek przed nauczyciela. Twarz miał spokojną i łagodną, a nikt nie wiedząc, nie byłby poznał, że mały chłopczyna jest niewidomym.

«Ja chcę tę karę przyjąć na siebie!» rzekł, stanąwszy przed nauczycielem. Serce tegoż poruszyło się na widok biednego, nie mogąc pogodzić się z myślą, żeby jego ukarać miano. Chciał go od tego zamiaru odwieść.

«Czy wiesz Jakóbk, do czego się głosisz? Tu o cielesne ukaranie idzie. Ty chcesz się dać obić?»

«Chcę!» było ścisłą odpowiedzią.

Podniesiono trzcinę i kilka razy ją wymierzono. Zatem bez krzyku, nawet poruszenia podniósł Jakóbek oblicze swoje, pytając się: «Czy to już dosyć?»

«Dosyć,» rzekł nauczyciel. Chłopczyna spokojnie, jakby nic nie było, szedł do swojej ławki, zacisnąwszy zęby, aby po sobie nie dał znać boleści.

«Idźcie na swe miejsca!» rzekł nauczyciel do siedmiu paskudnic, które,

na ganku stojąc, patrzyły. «Jakóbek poniósł karę na miejscu waszem. Coście dotąd złego nabroili, jest przebaczone; za przyszłe przestępstwa same odpowiecie.»

Dziewczyny poszły, lecz nie na swe miejsca. Szły przed Jakóbka, który znowu kreślił znaki na tablicy, i ze łzami w oku jedna za drugą szepnęły, mówiąc: «Dziękuję, Jakóbk! Dziękuję, Jakóbk!»

Ten podniósłszy głowę, rzekł cichym głosem: «Niema o czym mówić, byleście się tylko do Pana Jezusa naprowadzić dały.»

Po zakończeniu nauki znaleziono Emmę w przedpokoju klasy zatopioną we łzach. Na zapytanie odpowiedziała: «Nie dla Jakóbka płaczę, lecz nad grzechem moim boli mnie serce.»

Czyn miłościwy biednego chłopaka stał się jej obrazem czynów Chrystusa. Odtąd poznała i uwierzyła, jak On za nią samą dał się ukarać. Miłość Chrystusa weszła w jej serce, a dzięki charakter odpornej dziewczyny dziwnie przemieniła.

«Wszystcyśmy jako owce zbłądzili; każdy na swą drogę obróciliśmy się; a Pan włożył nań nieprawości wszystkich nas.» Izaj. 53, 6. Czyż temu wierzymy, młodzi przyjaciele? Czy wierzymy temu w zastosowaniu do siebie? A czyśmy też rzekli: «Dzięki Ci, Panie?»

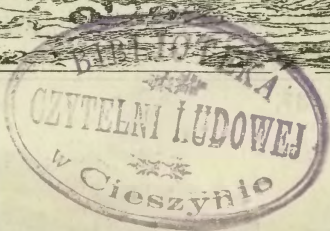
O

On niemocy nasze wziął na się, a boleści nasze własne nosił. On zraniony jest dla występków naszych, a sinością jego jesteśmy uzdrowieni. Izajasz 53, 4—5.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa” są prawdziwe.



Wesołe poselstwo dla dzieci.



Wycieczka.

»Do widzenia! Do widzenia!« odezwowało się kilkanaście dziecinnych głosów, gdyśmy pewnego pięknego poranku w lecie urządzili wycieczkę łodzią do ogromnych wapiennych skał, sterujących z wody w pobliżu brzegu pewnej prowincyi angielskiej. Czując potrzebę zmiany powietrza, wezwałem przyjaciela swego, aby nam na tej wycieczce towarzyszył, i puściliśmy się w drogę. Morze było spokojne, z tyłu łodzi łagodny wionął wiatr, przeto jazda była rozkoszną a usposobienie młodzieży nad miarę wesołe. Wycieczka, a szczególnie po wodzie, jest dla dziatwy szkolnej zawsze upragnioną. Przybywszy na miejsce, zaśpiewaliśmy dziękczynną pieśń, a potem każde z dzieci brało się do zaspokojenia głodu, który na morzu dawa się odczuć, i zajaśniało zakąski.

Popołudniu naraz uspokoiło się powietrze, tak, iż najmniejszy wietrzyk nie wionął. Dla łodzi żaglowej nie najlepsze to widoki do jazdy. Taka cisza w powietrzu bywa zwiastunem burzy, lecz i sama w sobie utrudnia jazdę. Właściciel łodzi oświadczył przed nami, że jeżeli się do siódmej wieczorem do domu nie dostaniemy, to wogóle dziś wracać nie można. Po chwili powietrze jeszcze było spokojniejszym, więc opuściwszy miejsce wycieczki wsiedliśmy w łódź i próbowali dostać się na morze. Ponieważ wiatru wcale nie było, musieliśmy wiosłami robić, co u większej łodzi zawsze jest trudną i zmudną pracą. W ciągu dwóch godzin ledwieśmy kawał drogi upłynęli. Nadeszła godzina siódma, a z nią na fali pojawiło się

pluskanie i szelest; morze dopływało, fala wracała jak zawsze z wieczora. Prąd wody porwał nas i zaniósł powoli do brzegu, od któregośmy odbili. Wszelkie usiłowania wiosłami się fali oprzeć, były bezskuteczne. Nic innego nie pozostało, jak wysiąść na brzeg i na skałach wapiennych pod szczerem niebem przenocować. Nie dziw tedy, że młodszym dzieciom zanosilo się na płacz. Był między nami chłopiec ośmioletni; temu najwięcej było markotno, myśleliśmy, że się od płaczu nie wstrzyma. Wtem ktoś rzekł do niego: »Rudolfku! Jeżeli prawdziwie Jezusowi ufasz, to tu na tem miejscu jesteś tak bezpiecznym, jak w łóżeczku w domu.«

»Dobrze! Wiem o tem i tak też uczynię!« To powiedziawszy, ukląkł na ziemi, pomodlił się, a zwinawszy surdut, położył się na nim, okrył się płaszczykiem i tej chwili zasnął, śpiąc tak spokojnie jak w swem łóżu w domu.

Chłopcy i dziewczęta! Wy wszyscy chcecie być dobrmi dziećmi i pocziwie siebie prowadzić. Powiedzcie mi, czy bylibyście w stanie, w obliczu śmierci zachować sobie serce spokojne, jak apostoł Paweł, gdy pisał słowa: »Wiem, komum uwierzył i pewienem, iż On mocen jest tego, czego mi się powierzyl, strzedz aż do onego dnia.« 2. Tym. 1, 12. Czy mógłibyście rzec, jak mały Rudolf: »Wiem o tem i tak też uczynię?« Czy potraficie potwierdzić czynem, że prawdę mówicie?

O dzieci nasze, któreście dotąd nie są nawrócone, wy się wśród ciemności znajdujecie. Łódka żywota waszego słaba, a wały morza potężnie się piętrzą. Oto wśród ciemności stoi Pan Jezus i obiecuje być waszem światłem.

Wyście drogę utraciły, On chce wam być wodzem. On chce u steru łodzi waszej stanąć i w stronę nieba ją poprowadzić. Jezus chce być waszym Zbawicielem. Przyjmijcie Go w łódkę serca swego, a potem bieg wasz będzie bezpiecznym. — Następnego dnia dostaliśmy się do domu szczęśliwie. *G. B.*

Anieli się radują.

Pewnej niedzieli po nabożeństwie dla dzieci zostało jeszcze kilkunastu chłopców przy mnie dla rozmowy. Czytaliśmy prześliczny 15. rozdział ewangelji św. Łukasza, a ja zadałem zapytanie, co o aniołach wiedzą? Jeden odrzekł, że aniołowie są bardzo piękni; drugi, że są czysti i święci, trzeci mniemał, że bardzo dużo wiedzą, a znowu inny, że są bardzo szczęśliwi. — »Cóż myślicie,« rzekłem, »czy anieli mogliby też jeszcze być szczęśliwsi?« W tym względzie były zdania podzielone; jedni mniemali, że to być nie może, inni zaś możliwości nie zaprzeczali. »Czy może sami jesteście w stanie uczynić aniołów szczęśliwszymi?« zapytałem. — »Nie, to być nie może,« odrzekli; już sama myśl o tem niedorzecznością się wydawała. Lecz gdyśmy wymieniony rozdział ponownie przeczytali i omówili, nie wydawała się sprawa tak zupełnie niemożliwą, owszem zaczęli przypuszczać, że sami są w stanie aniołom radości przysporzyć.

Ktoś może czuć się szczęśliwym; inny czuje się zachwyconym. Aniołowie są zawsze szczęśliwymi, poniekąd daleko więcej, niż sobie wyobrazić możemy. Ale Pismo mówi: »że będzie radość przed anioły Bożymi.«

»Kochany czytelniku młody! czy sam zechciałbyś powiększyć szczęście aniołów Bożych?«

Było to w świątyni Jeruzalemskiej w godzinie nabożeństwa. Wśród zgromadzonych widać człowieka dumnego, jak modlitwę zmawia; był to faryzeusz. Ale któż tam stoi w pokornej postawie u samych drzwi prawie, a oczu swoich nie chce podnieść wzgóre? To celnik skruszony, człowiek bardzo grzeszny i znenawidziany. Nie mało ma grzechów na swem sumieniu i wie o tem dobrze, bo zgola się lęka wstąpić na to miejsce. Serce jego jest mocno skruszone; poznać to po głosie przerywanym łkaniem, jak woła mówiąc: »Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu!«

W tej chwili posel niebieski się wznosi lotem błyskawicy do tronu Jehowy, duchom zbawionym niosąc wiadomość: »Grzesznik pokutuje; zaś się jedna dusza znowu narodziła!« Wiadomość ogarnia zastępy niebieskie, wielką radością serca napawając. Więc biorą swe harfy i w uniesieniu śpiewają pieśń nową na chwałę Pana. Albowiem »jest radość przed anioły Bożymi.«

Pewnego wieczoru po nabożeństwie stała przedemną mała dziewczynka jedenastoletnia i gorzko płakała. »Dla czego płaczesz, moje lube dziecię?« — »O, ja taka grzeszna,« odpowiedziała; »ja dotąd Jezusa nie kochałam.« Czytaliśmy poprzednio historią o miłości Jezusowej, który za grzeszniki siebie na śmierć wydał. Tego wieczoru uczuła to w sercu, że grzeszy, kto Pana prawdziwie nie kocha. Zbawiciel pewnie odpuścił jej winy i nową miłością serce napoił. Czy tego wieczoru nie była radość przed anioły w niebie? Czy

lzy pokuty miłej Maryni nie znaczyły więcej niż perły kosztowne i drogie kamienie? Modlitwa dziewczynki była muzyką dla duchów niebieskich. Ludzie są zdania, że dziecko za młodem było do pokuty. Gdy celnik błagał odpuszczenia grzechów, to rozumieją — ale dziewczynka jedenastoletnia? A wszakże i ona bez grzechu nie była; Jezus zaś powiada, że »będzie radość przed anioły Bożymi nad jednym grzesznikiem pokutującym.«

Pokuta dziecięcia ma swoje znaczenie. »Cóżby było ze mnie, gdybym na owem nabożeństwie nie była?« tak sama mówiła. Lata minęły, a Marynia jeszcze Zbawiciela kocha. Zapytaj się w domu i jej rodzinie, tam ci powiedzą, że jest dla domu jak promień słońca, co błogosławieństwo z sobą przynosi. Ojciec i matka, bracia i siostry odczuli wpływ błogi dobrego dziecięcia, co tak całym sercem Chrystusa kochało. A nie dziw, bo sama pisze w liście swoim, mówiąc: »Ja po dziś dzień Kocham i całym sercem trzymam się Chrystusa. Do Niego się modłę, aby mi pomógł w ściślejszej jeszcze społeczności z sobą przebywać!«

A tak, dzieci miłe, i wy możecie przysporzyć szczęścia aniołom Bożym. Możecie jeszcze o tem nie myślały, ale to pewna, że jesteście w stanie.

Czy tylko źli ludzie mają pokutować? Czy dzieci także przeróżnie nie grzeszą? Widziałem chłopaka pięcioletniego; oczy pałały, lica raka spiekły, bo go matka jego na złym uczynku zdybała. On grzeszył i wiedział, że nieprawość czyni. Widziałem dziewczynkę równego wieku, jak nogami deptała, fartuszkem płonąca zakrywając twarz, ponieważ koniecznie

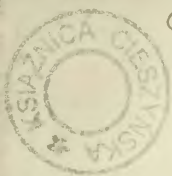
matki nie słuchała. O, jak to brzydko, gdy się dzieci złością! Jak brzydkim jest gniew i odporność dziecka, a ileż to dzieci tak się zachowuje! Gdybyśmy tak wszystek gniew dzieci zebrali i wszystkie narowy i odporne słowa i złe uczynki na jedną kupę złożyli — czy widząc ten obraz mógłbyście rzec, że dzieci nie grzeszą?

Na nabożeństwo przyszło dziewcząt dwoje. Po ukończeniu rzekł pewien Jegomość: »Jakże, miłe dzieci, podobają wam się nasze zgromadzenie?« Ledwie był w stanie te słowa powiedzieć: »Czyście niespokojne, nie będąc dziećmi Chrystusowemi?« Obie od razu wybuchnęły płaczem. Nastąpiła rozmowa, w której Jegomość wskazał im drogę do Pana Jezusa. Potem ukląkłszy modlił się z nimi. Dzieci oddały serce Chrystusowi i były szczęśliwe.

Chcąc być szczęśliwymi, do Chrystusa Pana musicie się udać i w pokucie serca grzechy swoje złożyć. Grzech sprawia łyż, bolesne łyż. Pokuta także do łyż pobudza, lecz łyż pokuty w radość się przemieniają.

Mówiliśmy o aniołach i radości ich; lecz jeśli, lepiej się przypatrzmy, to się przekonamy, że Chrystus, Pan nasz najwięcej się cieszy. Jego serce zawsze pełne jest miłości, pełne litości w obec grzeszników błędzących wśród pokus. Pasterz znalazłszy owieczkę swoją zwołał przyjaciół i sąsiadów, mówiąc: »Radujcie się ze mną, bom znalazł owcę, która zgineła.« Tak Jezus zwoła aniołów nieba, aby z nim wspólnie się radowali, gdy grzesznik błędzący w pokucie serdecznej znajdzie Zbawiciela. B. B.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.



Wesołe poselstwo dla dzieci.



Na ryby!

W pobliżu domu moich rodziców płynęły dwa strumyki. Na brzegach rosło dużo trawy i wierzbiny, a w wodzie mnóstwo igrało rybek, mniejszych i większych, które łowić było wielką nam uciechą. Nieraz wracając do domu przyniosłem spory koszyk ułowionych ryb, nad czym się moja dobra mateczka zawsze radowała. Może nie będzie od rzeczy pomówić nieco o mych doświadczeniach przy łowieniu rybek.

Pewnego dnia udałem się znowu do potoka razem z przyjaciółmi mymi, Pawłem i Jerzym. Każdy z nas uzbrojony był w przyrządy do łowienia. Tak chcieliśmy odwiedzić zwawych mieszkańców wody i przygotowaliśmy wszystkie narzędzia w tem przekonaniu, że z wielką zdobyczą wrócimy do domu.

Wędki nasze zaopatrzyliśmy gałeczkami zrobionymi z chleba przesiąkniętego cukrem, co rybom zawsze dobrze smakuje. Zarzuciwszy je w wodę czekaliśmy cierpliwie, skoro się korek przywiązany do sznuru poruszy; ale napróżno. Na tę łakotkę ryby nie poszły. Zmieniliśmy wabidło. Zamiast chleba daliśmy na wędkę tłustego robaka, ale i to nie pomogło. Próbowaliśmy znowu innych rzeczy — wszystko na próżno. Ani jedna rybka zwabić się nie dała. Byliśmy w kłopotach. Jeszcze jednej, ostatniej rzeczy próbujemy, gdy naraz zaczyna się korek ruszać. Piękny pstrąg połknął łakotkę z wędką i za jednym pociągnięciem sznuru leżał na trawie. Tak znaleźliśmy potrawę, na którą ryby chciwie napadały, i w krótkiej chwili mieliśmy spórą liczbę nałowionych rybek.

Czy pomyśleliście kiedy o tem, jak zręcznym rybakiem jest szatan, my zaś jesteśmy głupimi jak rybka? W przeciągu jednego dnia kładzie przed nami różne pokusy. Wszystkie bardzo ładnie i powabnie wyglądają, ale w ukryciu jest ostry hak, który duszę rani. W pierwszej chwili go nieraz nie spostrzegamy, lecz on tam jest, a wcześniej czy później ostrze jego boleśnie odcujemy, jeżeli damy się zwabić. Pan Jezus rzekł, mówiąc: »Czujcie a módlcie się, abyście nie weszli w pokuszenie.« Na to ja zaś o tych rzeczach mówię, abyśmy tem więcej czuwali, mając się na pieczy przed pokuszeniem.

Gdyśmy łowiąc ryby spostrzegli, że ryby na jedną ponętę nie idą, cóżemy uczynili? Odrzuciliśmy ją i użyliśmy innej. Tak samo ma rzecz się z pokuszeniem. Co jednych chłopców i dziewczęta nęci, n. p. piękne ubiory, to innym może być obojętniejszem. Szatan umie najlepiej poznać słabość serca i tego pokuszenia używa, które się wydaje najskuteczniejszem. On zna słabe strony natury naszej i wie doskonale, który grzech kogo najwięcej owładnie.

Idąc na szczupaki przywiązaliśmy do wędki niewielką rybkę, ale tak, że wędkę z hakami wcale było widać. Czy szczupak tak głupim, żeby na nią poszedł? Pewnie, że tak jest. Jest to bowiem tak żarłoczne zwierzę, iż na żadne niebezpieczeństwa nie zważa.

W słowie Bożem określone jest niebezpieczeństwo niejednego grzechu w tak jaskrawych kolorach, że nie jest podobną takowe zapoznać, a jednak z jakąż to chciwością rzuca się nań świat. Wśród mych czytelników nie będzie może dużo takowych.

Na inne ryby innego sposobu używałem. Przywiązałem do dobrze zamaskowanego sznuru taki mały haczek czysty jak srebro, i rzuciwszy wędkę do wody czekałem, co będzie; a długo niekiedy trzeba było czekać, aż się rybka pojawiła. Tak też szatan czyni; nie kusi nas do grzechów nader oczywistych, bo prosta myśl o nich serce przeraża; lecz delikatnym sposobem nas wabi. Pewnego razu poszedłem na ryby ze starym rybakiem, bardzo doświadczonym. On miał wędkę dużą i trochę niezgrabną, ja zaś miałem małą, bardzo delikatną. W jednej i tej samej byliśmy łodzi. On nie złowił nic, a ja pełne naczynie do domu przyniosłem. Tak was dziś proszę, miejcie się na pieczy przed delikatnymi grzechami; przede wszystkim przed myślami i żądzami serca, które się do grzechu odnoszą. O tych człowiek myśli, że są niewinne, a jednak w nich wielkie jest niebezpieczeństwo. Tu każdodziennie trzeba się modlić, wołając: »Niech będą przyjemne słowa ust moich i rozmyślania serca mego przed obliczem Twojem.« Psalm 19, 15.

Po stawach i kałużach okolicy naszej chodzą niekiedy chłopcy z fiolkami, jak na obrazie widzicie, i łowią małe rybki, niosąc je do domu. Na te nie trzeba ani wędki ani wabidła. Jaką taką szmatę do wody wrzucisz, już się rybki na nią rzucają i w nią się zagryzą, tak iż za jednym pociągnięciem kilka ich naraz ułowić można. Te są podobne do małych dzieci, które za rozrywkami idą. Zabawy same w sobie nie są grzeszne ani niebezpieczne, ale jednak mogą tak ogarnąć serce, że je zupełnie zajmą i od Pana Boga i od pełnienia obowiąz-

zków oderwą. Miejcie się przed nimi troskliwie na pieczy.

Czy mniejsze czy większe grzechy was wabią, czuwajcie nad sobą, abyście nie dali się zwabić. Wyznacie je Bogu i dostacie odpuszczenia Jego; lecz pamięć tego w sercu pozostanie.

Pewnego razu złapałem szczupaka na wędkę. Nim go z wody wyrwałem, przekąsił mi sznur i z hakiem w paszczy uciekł do wody. Można się spodziewać, że odebrawszy taką nauczkę nie pójdzie więcej na wędkę rybaka, ale ją zdala ominie. Ale gdzież tam! Ja go później jednak wędką złowiłem. Miał w paszczy hak dawny i tak nędznie wyglądał, że nie było warto go ugotować.

Tak mnie się wydaje, jakbym w uścich swoich miał bodziec raniący; jest to wspomnienie słów i uczynków niesprawiedliwych, które już bardzo dawno popeliłem.

Ale jeszcze słowo o innym rybaku. On siecią pracuje, a nie ostrą wędką. Zarzuca sieci w morze ludzkości, a ryby złowione wybiera w naczynia, wkładając je w wody strumienia żywota, aby nie w ciemności i niebezpieczeństwie, lecz w wolności i zbawieniu się znajdowały. Tego bym nazwał »dobrym rybakiem.« Czy wiecie, kogo mam tu na myśli? Jezusa Chrystusa, Pana naszego. Czy już jesteście przez Niego złowione? Daj Boże, byśmy się wszyscy w sieciach Ewangelji znaleźli; wtenczas zaprawdę będziemy bezpieczni od ostrej wędki innego rybaka, który ustawicznie zguby naszej szuka.

G. B.

Tak Bóg umiłował świat, że syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny. Jan 3, 16.

Nieustraszony.

Było to podczas bitwy na morzu. Kapitan okrętu wojennego podziwiał spokój i nieustraszoną pewność jednego z chłopców służby okrętowej. Nie bojąc się śmierci podawał wystrzały do rąk żołnierzy, którzy potem dawali ognia. Przy tem widać było na jego twarzy tak łagodny uśmiech, jakby tu o zabawkę jaką chodziło. Nic mu spokoju odebrać nie mogło. Po ukończeniu bitwy wezwał go kapitan do siebie, mówiąc: »Powiedz, Wilhelmie, czy nie bałeś się śmierci w ciągu ostatnich dwunastu godzin?« »Nie, Panie,« rzekł chłopiec śmiało i spokojnie. »A dlaczego nie?« zapytał kapitan. »Bo przed bitwą byłem z Bogiem moim na sam prawie przez godzinę, a Jego opiece duszę mam poruczyłem.«

»Na sam z Bogiem swoim; to być nie może,« odparł kapitan; »tyś przecie zawsze był na pokładzie.«

»Tak jest, Panie,« odrzekł chłopiec; »a jednak z Bogiem mym byłem. Byłem z Nim pod osłoną mojej czapki.«

Tak jest, moi mili; każdy człowiek może być z Bogiem na sam i modlić się do Ojca w niebiesiech w skrytości. Nie potrzeba na to samotności zewnętrznej, skupienie umysłu na to też wystarczy. Wszystko jedno, gdzie jesteśmy i co czynimy; choćbyśmy nawet w towarzystwie byli, to serce w cichości możemy wnieść wzgórze i Ojcu w niebie siebie poruczyć. A rzeczywiście, tego nam potrzeba. Łada drobnostka może być przyczyną wielkiego nieśczęścia. Na wycieczce w góry możemy się potknąć i okaleczyć. Kamień w swym

locie może nas uderzyć. Słowem, każdej chwili trzeba nam duszę swą poruczyć Bogu. W pokusach, w niebezpieczeństwie jedno spojrzenie, jedno westchnienie do Pana Jezusa przyniesie pomoc.

Jedno wzniesienie serca do Boga może sprowadzić od Niego zdroje błogosławieństwa na duszę naszą. E. T.

Przyjacielskie słowo.

Pozwól, kochany, młody czytelniku, że się do ciebie przyjacielskim słowem odezwę. Życzę ci, abyś był szczęśliwym, prawdziwie szczęśliwym, póki jesteś młodym. A wierzaj mi, nikt inny jak Jezus cię nie uszczęśliwi. Znam dużo dzieci, które wszystko mają, czego tylko serce sobie życzyć może, a jednak nie są szczęśliwe; przeciwnie znam także kilka biednych dzieci, co ledwie suchym chlebem się żywią, a przy tem są tak szczęśliwe i tak wesołe, aż miło patrzeć.

Tam w sercu waszem jest pewien dziwny, tajemniczy głos. Gdy tak w pokoju jest cicho i ciemno, a najmniejszego szelestu nie słyszeć, to wtenczas ów głos do nas przemawia, a nigdy zupełnie w sercu nie zamiera. Jeżeli nie jesteś owieczką Chrystusa albo też o tem pewności nie masz, to się nie uczujesz w sercu swem szczęśliwym, bo cię żalnością głos ten napawa.

Ale dziecięciu, co Jezusa kocha, głos ten wewnętrzny istną radość sprawia, czystą radością serce napawa. Dusza dziecięcia szczerze się raduje, bo jej głos wewnętrzny zwiastuje pokój. W miłości bowiem niema bojaźni.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



„Jam ucieczką twoją.“

»Uważaj na swą kuzynkę,« rzekła pani Pierson do syna Karola, wkładając na plecy dziewczynki ciepłą wełnianą chustkę »Mieście się na baczności, bo fala prędko wraca,« dodała.

Anna W., córka kupca w Londynie, była w odwiedziny u cioci swej na wsi, mieszkającej tuż nad brzegiem morza. W pobliżu wioski wznosiły się nad wodami ogromne pokłady kredy, a w nich było dużo jam i jaskiń, w których rozliczne skorupy zwierząt morskich leżały.

Pod wpływem morskiego powietrza zaczęły się powoli blade lica Anny rumienić; pobyt w tem miejscu nadzwyczaj korzystnie na jej zdrowie oddziaływał. Pewnego dnia wybrał się Karol na wycieczkę do jaskini nad brzegiem morza i Anna mu towarzyszyła. Stąpawszy na miejscu zbierali rozliczne ciekawe rzeczy, skorupy zwierząt, rzadkie kamienie i co na brzegach morza znaleźć można. W jaskini także spędzili chwilę. Potem się wybrali w drogę do powrotu.

»Zrobiło się później, niż mi się wydało,« rzekł Karol, spoglądając na słońce, które zachodnich kresów nieba dochodziło. »Trzeba nam się bardzo śpieszyć.«

Światło dzienne zaczynało słabnąć, a z dali dochodził złowrogi szum fali dopływającej. Ścisnąwszy wargi ujął Karol kuzynkę za rękę i co mogli kroczyć, śpieszyli naprzód. Biedna dziewczynka zmęczona drogą ledwie tchu dopadła.

»Ach Karolu! Czy musimy tak śpieszyć? Odpocznijmy na chwilę!« Chłopiec znając się na niebezpieczeństwach morza, wskazał na pewną skałę, mó-

wiąc: »Tam musimy do pięciu minut być, bo nas inaczej fala zaskoczy.« Wiatry wionęły, a dzieci biegły przeciwko nim, co sił starczyło. Za chwilę stanęli u pewnej skały, Anna usiadła na piasku, oświadczając, że koniecznie iść nie może. Karol prosił, nalegał; ona wstawszy wlokła się jeszcze kilka kroków naprzód, potem się potknąwszy z okrzykiem boleści upadła na ziemię. Karol był w rozpacz, Anna sobie trochę nogę zwichnęła.

»Czy nie możesz iść?« zapytał stroskany. — Próbując stanąć rzekła: »Nie mogę,« i upadła na piasek. Z ostatecznem wyęzieniem sił udało mu się zanieść Annę do pewnej skały. Tam ją osadził; sam zaś biegł na brzeg szukać pomocy.

Anna siedziała na wpół zemdląca, lecz w kilka minut otworzywszy oczy ujrzała falę tuż u nóg swoich. Zaczęła krzyczeć, lecz znikąd odpowiedzi nie było. Śmierć oczywista na nią czekała. Ujrzała przed sobą nieco wyższą skałę, więc z największem wysileniem po jednej nodze skacząc dostała się do niej; ale to miejsce nie było bezpieczne. Fala je za chwilę także ogarniała. Jeszcze minut kilka, a potem niechybna groziła śmierć. Anna położywszy głowę na dłoniach gorzko płakała. Nie wiedziała dotąd, co to znaczy ufać Zbawicielowi, który może duszę ocalić, ale też i ciało. W przerażeniu serca zaczęła się modlić, wołając głośno: »Ojczy nasz, któryś jest w niebiesiech!« A z góry od Pana przysłała odpowiedź kojąca serce, mówiąc: »Gdy pójdziesz przez wody, ja będę z Tobą.« Izaj. 43, 2. Po małej chwili, gdy już myślała, że ją fala zerwie, usłyszała głosy wołające: »Anno,

gdzie jesteś?« Naraz głowa mężczyzny przesuwająca się przez skały. »Prędko, prędko,« krzyknęła dziewczynka. Mocnymi ramionami ujął ją żeglarz, przeniósł przez wodę i sterczące skały i nim się spodziała, była w łóżeczku u cioci Pierson. Następnego poranku siedząc u stołu, rzekła jej ciocia: »Widzisz, kochanie, jak cię Pan wybawił. On, co ciało nasze ocala od śmierci, i duszę naszą wybawić pragnie. Czy go nie chcesz przyjąć do serca swego?« Słowa cioci znalazły przyjęcie. Anna się opiece Chrystusa oddała.

L. O.

Co Marya obrała.

Chłopcy i dziewczęta lubią czasami wybierać, co im się podoba. Ojciec lub matka rzeką: »Możecie sobie obrać, czy chcecie iść tam lub ówdzie, czy chcecie mieć takie lub inne szaty, taki lub inny kapelusz. Same sobie obierzcie.« Dzieci bardzo lubią to czynić. Czasami jednak nie robią dobrego wyboru. Później poznawszy rzecz lepiej, żalują tego, mówiąc: »Bardzo mi żal, że to obrał, że to obrała.« To wszystko są rzeczy nie wielkiej wagi, a zły wybór może dać się jeszcze zmienić, lub choćby się nie dał, to nie ma w końcu tak wielkich następstw. Lecz inna jest rzecz, gdzie chodzi o ważne sprawy żywota. Tam jest nader ważną, czy mądry i dobry zrobimy wybór, albowiem ze złego bardzo smutne skutki wyniknąć mogą.

W dziesiątym rozdziale ewangelii św. Łukasza czytamy o niewieście, co bardzo dobry i bardzo ważny wybór zrobiła, albowiem zaprawdę w porównaniu do niego wszystkie inne rzeczy zgoła

nic nie znaczą. »Marya dobrą część obrała, która od niej odjęta nie będzie.«

Otóż chciałbym z serca zapytać się młodych czytelników moich, czy i oni zrobili taki wybór jak Marya? Krocie młodzieży widziałem, co ten sam wybór zrobili, ale jeszcze ani jednej duszy nie spotkałem, któraby tego pożałowała.

Zbawiciel nasz to »dobrą częśćką« nazywa. A cóż tedy nią jest? Jezus, Pan nasz sam!

W wierszu 38. czytamy, jako Go Marta do domu swego przyjechała; lecz choć ją Jezus miłował (Jan. 11, 5), to jednak się zdaje, że serce Marty tak było innymi rzeczami zajęte, że tam nie dużo zostało miejsca dla Pana. Czyście już też wy, młodzi czytelnicy, Pana Jezusa do serca przyjęli?

Może się lękacie, że to nie będzie wcale dobra częśćka, któraby serce zaspokoila; wyobrażacie sobie niekiedy, że wybór taki nie będzie przyjemnym, ba nawet niedobrym. Lecz pamiętajcie, to szatan was łudzi. On wam przedstawia, że chrześcijanie prawi, to ludzie bardzo nieprzyjemni i niesmaczni. Oni poważnie chodzą, ponuro wyglądają, strasznie dziwnie mówią — jednym słowem, że to wybór nieodpowiedni. Czy wybór taki możemy nazwać »dobrą częśćką?«

Niekiedy młodzi ludzie powiadają, ilu to rzeczy musi człowiek się zaprzec, gdy chce być chrześcijaninem. Otóż to znowu takie kłamstwo, podsunięte człowiekowi przez satana. W rzeczywistości chrześcijanin prawdziwy odbiera dużo, ale nic nie traci.

Gdybyście mieli fałszywą koronę, a ktośby wam za nią szczerego dukata dawał, czybyście się namyślali go przy-

jąc? Albo gdybyście mieli kupę pospolitego kamienia, a ktośby wam za nią chciał dać dyament wartości 20,000 koron, czybyście mówili, że to niekorzystny handel? Chętnie dalibyście fałszywą monetę i kupę kamienia, bo te rzeczy dla was wartości nie mają. Czemże jest świat cały w porównaniu do Pana Jezusa? Kto więc ma Jego, ten nieograniczone bogactwa posiada.

Czy obraliście tę »czastkę dobrą«? Jeżeli dotąd nie, to się śpieszyć trzeba, albowiem nie wiemy, jak długo do tego będzie sposobność. Jeżeli w dzieciennym wieku to uczynisz, długo podobno możesz służyć Panu.

Niedawno temu przemawiałem w szkole, gdzie dużo dziewcząt Jezusowi służyć postanowiło. Czytaliśmy rozdział wyszczególniony, a gdyśmy ostatni wiersz czytać mieli, prosiłem dziewczęta, aby każda, która Pana Jezusa pokochała, zamiast Maryi swoje własne imię czytała. Wzruszającą było słyszeć, jak Anna, Kasia, Ewa, Zuzanna »dobłą czastkę obrała«. Czybyś i ty także, dziecko kochane, mogło na tem miejscu swe imię położyć? A jeżeli nie, pamiętaj, że w wielkim niebezpieczeństwie jesteś! »Jednego potrzeba!« Łuk. 10, 42. »Jednoć nie dostaje.« Mark. 10, 21. A jeżeli tego nie mamy, do królestwa Bożego wniknąć nie możemy. *Ż. S.*

O miłości matki.

W czasie kopania złota w Kalifornii wybrał się pewien człowiek z Anglii na pole kopania. Powoli zaczęło mu się powodzić i przysłał pieniędzy dla żony i dziecięcia, wzywając ich, aby za nim poszli.

Dostali się szczęśliwie do Nowego Yorku, a tu kupili bilety na jeden z najpiękniejszych okrętów, które utrzymywały połączenie między Atlantykiem i Wielkim Oceanem. Kilka dni płynęli, gdy naraz rozległ się krzyk na okręcie: »Pali się! Pali się!« W wnętrzu okrętu były składy prochu do strzelania, wskutek czego największe niebezpieczeństwo groziło. Kapitan wiedział, że skoro się płomienie do prochu przybliżą, okręt musi pęknąć na kawałki, przeto wydał rozkaz, aby łodzi ratunkowe spuszczone.

Gdy się to stało, rzucili się podróżni jeden przed drugim, by się do łodzi dostali. Silniejsi odpychali słabszych, pozostawiając ich samym sobie. Gdy ostatnią łódź spuszczone, prosiła matka, aby także ją z dziećmi zabrano. Miejsca było mało, przeto żeglarze zgodzili się przyjąć jedną osobę, nie obie. Cóż matka uczyniła? Czy skoczyła w łódź opuszczając dziecię? O, nie. Przycisnęła synka do serca swego, długim pocałunkiem z nim się pożegnała i podała go żeglarzom, wołając: »Jeżeli się do ojca dostaniesz, powiedz mu, że ja umarłam, aby ciebie ocalić.« Syn dziś jeszcze żyje pomnąc na miłość matki swojej, która się samej siebie zaparła. Wielką zaprawdę była to miłość, lecz słabym tylko jest ona obrazem tego wszystkiego, co Chrystus Jezus dla nas uczynił.

Syn Boży życie swoje ofiarował i odkupił nas od przeklestwa, sam stawszy się za nas przekleństwem. Gal. 3, 13. Nie lekceważmy przeto miłości Jego, lecz ufajmy Onemu, który za nas umarł.

Dzieci kochane, czy tak czynicie? Czy z całego serca Jezusowi Panu ufacie? *M.*

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



„Odpuścił obydwo.”

Pewnego letniego poranku rzucało słońce promienie swe przez okno do pięknie ozdobionego pokoju i w świetle jego wszystko olśnione wyglądało. Na dworze kwitnęły kwiaty i cudownym wdziękiem zdobiły świat Boży. Życie to jednak nie odbijało się na bladej i posępnej twarzy młodej dziewczyny, która leżała cierpiąca na kanapie w pobliżu otwartego okna. Twarzyczka była piękną, lecz w rysach było coś tak smutnego, co poświadczało, że właścicielka nie była szczęśliwą.

Prawie temu miesiąc, jak się Elly wybrała na wycieczkę, która już dawno była przygotowana. Zdawało się, że wszystko jej życzeniom odpowiada, a jednak niektóre przyjaciółki zauważyły, że Elly musi nie czuć się szczęśliwą. Na tej wycieczce to było, że konie powozu, w którym Elly siedziała, spłoszyły się i uciekły. Nikomu się nic złego nie stało, tylko dziewczyna wypadła na ziemię. Nie złamała sobie kości, ale jednak ciężkich wstrząśnień doznawszy musiała odtąd spoczywać na kanapie.

Spójrzj do tego samego pokoju o miesiąc później, a przekonasz się, jak się wszystko zmieniło. Słońce już tak nie świeci, ani kwiaty nie kwitną, ale w pokoju wszystko milej wygląda; a nade wszystko jaśniej oblicze dziewczyny. Jeszcze jest bladą i chorowitą, jeszcze choroby nie przezwyciężyła, ale jakiś pokój, jakaś szczęśliwość i zadowolenie odbija się w rysach jej twarzy. Pewna ciocia staruszka weszła do pokoju i usiadłszy obok kanapy rzekła: »Bardzo mi przyjemnie widzieć cię wesołą, moje kochanie, a jeszcze milej, że masz obok

siebie Biblią otwartą. Podobno szczęśliwość twoja pochodzi z tego, coś czytała?»

»Tak jest, ciociu!« odrzekła. »Czytałam prawie o ukrzyżowaniu Jezusa i zdumiałam się, jak wielką musiała być miłość jego, że za nas grzesznych tak straszną śmierć podjął. Bardzo mi do serca przemawia ten wiersz, który mówi: My go miłujemy, albowiem On nas pierwszej umiłował.«

Elly życzyła sobie mieć pewność zbawienia i wszystko czyniła, aby być pobożną. Odwiedzała biednych, chodziła na nabożeństwa, czy to w niedzielę czy wśród tygodnia się odbywały, i rozmaite inne rzeczy czyniła, aby się Panu Bogu przypodobać. Lecz Duch święty poruszył jej serce i poznała, że sama w tym względzie z własnej siły nic uczynić nie zdoła. Do Pana Jezusa się więc udała, a to jak słaba i grzeszna dusza, u Niego szukając odpuszczenia grzechów i pokoju serca. Modlitwa jej dziwnie była wysłuchana. Spokój i radość ogarniają duszę. Te doświadczenia nadały jej wyraz szczęśliwości i zadowolenia, lubo zawsze jeszcze na kanapie spoczywała.

* * *

Pewnego dnia w lipcu — dzień był gorący — idąc przez pole pomyślałam u siebie: »Biedna nasza Emma! Jak duszno musi być w jej pokoju. Dziś pewnie będzie bardzo niespokojną i nie-szczęśliwą.« Poszedłam odwiedzić chorującą. Ciężkie było jej cierpienie, nie do uleczenia! Śmiertelnie chorowała. Chatka była bardzo ubogą, a w pokoju nędznie i nieczysto.

Przybliżywszy się do chatki spostrzegłam, że chora siedziała na dworze u

drzwi chatki, w starem krześle z poręczami. »Jakże ona będzie narzekała na dzisiejsze upały,« pomyślałam u siebie. Podeszłam z cicha, że mię nie spostrzegła. Gdym obok niej przemówiła, obróciła do mnie swą bladą twarzyczkę, na której uśmiech łagodny spoczywał. »Bardzo twego przybycia pragnęłam,« odpowiedziała. »Nie mogę sobie wspomnieć ostatnich słów pieśni, któreś mi we środe powiedziała. Ustawicznie mi na myśl przychodzą, a jednak sobie teraz wspomnieć nie mogę.«

»Ach coś Ty, Panie miły, wycierpiał bez miary, To wszystko zawiniły mych grzechów ciężary. Spójrzyj na mnie nędznika, com na gniew zasłużył. A pociesz mię grzesznika, bym łaski Twej użył« — przypominałam Emmie. W wierze ukrzyżowanego Zbawiciela swego znalazła spokój duszy.

Po dłuższej rozmowie religijnej wracałam od niej, uszczęśliwiona w sercu, że ten kwiat wędzący tem pięknie zakwitał dla królestwa Bożego. Tu przypomina mi się wyrok Ewangelji św. Łukasza, rozdziału 7.: »A gdy oni nie mieli czem zapłacić, odpuścił obydwo.« Obie przyjaciółki moje w bardzo były odmiennych stosunkach, jedna zamożna a druga uboga; lecz gdy nie miały, czem Panu zapłacić, On obydwo odpuścił.

F. T.

Opowiadanie majtka.

Było to w zimie. Wieczór był mroźny a ja siedziałem w pokoju przyjaciela, w którego domu odbywały się zgromadzenia misyjne. Na kominku palił się ogień, oświecając blaskiem swym znaczną bibliotekę gospodarza i dając

rozpoznać zewnętrzny zarys dosyć znacznego teleskopu, czyli narzędzia, używanego do oglądania niebieskich ciał. Przyjaciel mój zajmował się badaniem przestworza i niejedną noc spędził na obserwowaniu księżyca i gwiazd. Często mi opowiadał o cudach przestworza i ogromnej wielkości ciał niebieskich, które nam się przedstawiają jak maleńkie dżamenty lśniące się na ogromnej przestrzeni nieporuszonego, błękitnego morza. W rzeczywistości są to kule niepojętej wielkości, pędzące przestworzem ogromną szybkością, a to z łoskotem, o którym nawet pojęcia nie mamy.

Tego wieczoru mówiliśmy z sobą o rzeczach bliższych, nas dotyczących. Przypominaliśmy sobie chwile naszej młodości, gdyśmy wspólnie do szkoły chodzili, odnawialiśmy wspomnienia doświadczeń szkolnych, po części radosne a po części smutne, a tak doszliśmy do tego wniosku, że gdybyśmy z dzisiejszem doświadczeniem jeszcze raz owe czasy mogli przeżyć, lepiejbyśmy ich użyli Bogu na chwałę, bliżnim ku dobru.

»Opowiem ci o najszlachetniejszym uczynku, jaki w życiu widziałem,« rzekł mój przyjaciel, »jeżeli cię to interesuje.«

»Pewnie mię interesuje,« odrzekłem; »musi to być w każdym razie coś nadzwyczajnego.«

»Gdy byłem chłopcem,« rzekł mój przyjaciel, »chodziłem do szkół w mieście W. i muszę wyznać, że do najlekko-myślniejszych uczniów należałem. Uważałem to znakiem męstwa i dziarskości, porządnie zakląć i zuchwale sobie postępować, a nieraz takie bluźnierstwo rzekłem, że aż współuczniowie się przezrazili. W zakładzie był pewien chłopiec,

mój ścisły przyjaciel, ale w tych rzeczach nigdy ze mną nie szedł; przeciwnie usiłował się szlachetniejszy wpływ na mnie wywrzeć i do lepszych rzeczy mię nakłonić. Nieraz nawet ostrem słowem skarcił mię za moje zuchwalstwo. Nazywał się Jerzym. W naukach dziwnie postępował, lecz także w zabawach i ćwiczeniach gimnastycznych rej wodził, a uczynku nieprzystojnego nigdyśmy u niego nie widzieli ani też rozpustnego słowa z ust jego nie słyszeli.

• Pewnego poranku, gdyśmy się zgromadzili w kościele do ранней modlitwy i takową ukończyli, chcieliśmy się rozjechać, każdy do swej klasy. Dyrektor staruszek wezwał nas jednak, abyśmy się jeszcze na chwilę w kościele zatrzymali; ktoś chce do nas kilka słów przemówić. To rzekłszy, wyszedł, a z nim razem wszyscy nauczyciele. Nie mało byliśmy ciekawi, co to znaczy i kto będzie przemawiał. Ku powszechnemu zdumieniu naszemu powstał naraż Jerzy z miejsca swego, wstąpił na katedrę, z której prawie co dyrektor ustąpił, i rzekł głosem dźwięcznym, w którym jednak pewne wzruszenie się objawiało, mówiąc: »Koledzy moi i przyjaciele! cięży mi niecoś na sercu, a to tak bardzo, że nie mogę inaczej, jak to wypowiedzieć. A to jest ta sprawa: My tak żyjemy, jakby nie było nad nami Pana Boga, który nas stworzył i w miłości swojej nas zachowuje. Ja co do siebie, serdecznie chcę lepszym zostać młodzieńcem, a jeżeli kto z was ma także zamiar odwrócić się od swego lekkomyślnego życia, to go proszę, aby się ze mną połączył. Zawiążemy sobie wielki związek biblijny, w którym bę-

dziemy budowali się na słowie Bożem i modlili się wspólnie regularnie do Pana.«

• Myśmy tak byli zdumieni, że ani jednemu nie przyszło na myśl się rozśmiać, albo jakkolwiek uwagę wypowiedzieć! Co zaś do mnie, to słowa Jerzego tak mię poruszyły, że pierwszy postanowił do niego przystąpić i po jego zostawać stronie. Sześciu nas do niego przystało. Tak utworzyliśmy między sobą związek modlitwy, a ja tego samego dnia serce me Jezusowi oddałem, a nie tylko ja, lecz myśmy wszyscy tak uczynili.

• Jerzy jest dziś znanym pastorem w pobliżu Londynu, a trzech z nas jest także w służbie Chrystusowej. Pytam się, czy nie był to uczynek mężny, wystąpić przed całą klasą lekkomyślnych chłopców i tak do nich przemówić?«

• Zaprawdę, że był,« odpowiedziałem. • Kto zna młodzież szkolną i jej usposobienie, ten chętnie przyzna, że było to postanowienie nie lada, przed nią wystąpić i w ten sposób się odezwać.«

Powieść żeglarza mocno mię wzruszyła, i raz jeszcze pomyślałem u siebie, jaka to szkoda, że już w latach dzieciństwa po stronie Pana nie stanąłem. Ale czytelnicy moi są jeszcze młodzi; jeżeli tylko od razu zechcą swe serce Jezusowi oddać, to w młodości i w późniejszych latach nie mało mogą zdziałać dobrego Panu na chwałę, bliźnim ku dobremu, a sobie ku błogosławieństwu tak w doczesności jak też w wieczności. Dajże to, Paniel

Ch.

Dałem wam przykład, abyście, jakom ja wam uczynił, i wy czynili. Jan, 13, 15.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



BIBLIOTEKA
CZYTELNI LUD
w Cieszynie

Ulubieniec ojca.

Stasiek nie dorósł jeszcze do wysokości złocistej pszenicy, którą w pobliżu chaty żał ojciec, gdy go matka w południe wyprawiła z obiadem do ojca. A nic też Staśkowi się tak nie podobało, jak iść na pole i szukać ojca, gdy z sierpem w ręku zginał się do ziemi, ścinając zboże pięknie dojrzałe. Przybiegał do ojca z uśmiechniętą twarzą, pewnym tego będąc, że go »tatusz« serdecznie uściska i ucałuje.

Stasiek życzył sobie być już dużym chłopcem, aby mógł sierp trzymać i pomagać ojcu, tudzież jak ojciec sam znosić ciężar dnia i upalenie. Czasami mu się wydawało, że mały chłopiec na nic nie przyda. Niekiedy ojciec usiadłszy na ziemi wziął go na kolana, obsypał kwiatem czerwonym maku i niebieskich bławatków i pieścił się z »ulubionym chłopcem«, jak go nazywał. Zawsze jednak się cieszył, gdy ujrzał zdala jasną sukienkę i wesołą twarzączkę chłopaka. Gdy ojciec zjadł obiad i do chusteczki zawiązał naczynia, pobiegł znowu Stasiek do domu, opowiedzieć »mamie«, co tam ojciec robi.

Gdy widzę chłopca, jak idąc polem a potem uliczką do domu wraca, różne mi myśli przychodzą do głowy. Myślę o wielkiem żniwie tego świata, i o onych wielu robotnikach Pańskich, co na rozlicznych polach misji pracują. Oni także znoszą ciężar, upalenie, a równie jak żenicy pokrzepienia pragną.

Otóż będzie pole, gdzie małe dzieci mogą pomagać. Nie mogą być żeniami, to prawda; na to są za małe, choć drobną rączką mogą zbierać kłosa, tu jeden, tam drugi, aż cały snopek pilnie

uzbierają. Lecz w innym kierunku mają sposobność niesienia pomocy. Na pierwszym miejscu wymieniam modlitwę, którą ręce słabnące pokrzepiają.

Na drugim wymieniam rozliczne zachęty, których dzieci małe udzielić mogą słowem uprzejmem, czynem poświęcenia i wierną pamięcią o tych, co pracują. Każde dziecko może niekiedy przynieść zachętę lub przynajmniej próbować, jakby zasililo robotników Pańskich, którzy na polach żniwa Jego pracują.

E. T.

Fałszywy pociąg.

Razu jednego byłem na pewnej stacyi kolei żelaznej w Londynie, czekając na pociąg. Wtem przychodzi jakiś duży i stary mężczyzna o bardzo posępnych rysach twarzy, ustawicznie narzekając: »Mój pociąg! Mój pociąg! Czy jest to mój pociąg?« Tak był roznerwowany, że ani na chwilę nie mógł się uspokoić. Urzędnik objaśnił mu, kiedy jego pociąg nadejdzie i gdzie mu wysiadać trzeba. Lecz to go nie uspokoiło; owszem ustawicznie narzekał, wołając: »Mój pociąg!« Wtem przybyło dwóch młodych ludzi na stacyę, a gdy starszek znowu zawołał: »Czy jest to mój pociąg?« rzekł jeden z nich, mówiąc: »Tak jest, tak jest. To ten pociąg.« Starowina rzucił się do niego, gdy tymczasem nowo przybyły śmiał się z cicha, mówiąc: »To jakiś dureń; nie mówi, dokąd chce jechać, tylko woła: czy to mój pociąg?« Śmiał się przy tem na głos, uważając to za wielki żart, że starego człowieka do fałszywego pociągu wyprawił. Ja skoczyłem za nim, tłumacząc mu, że ten pociąg jedzie do R., a on mówił,

że chce jechać do K. Z biedą byłem w stanie wydobyć go stąd, bo pociąg już z miejsca ruszać zaczynał. Staruszek aż płakał ze wzruszenia, mówiąc: »Śpieszę do łoża umierającej córki mojej; a gdybym był do fałszywego pociągu wsiadł, jużbym jej więcej żywcem nie zastał.«

Próbowałem cieszyć go, lecz się przekonałem, że pociecha słowa Bożego dotąd obcą mu była. Wręczyłem mu książeczkę, pod tytułem: »Stań mocno na skale!« W tej chwili jego pociąg nadszedł, a ponieważ ja także w tę stronę, choć nieco bliżej, jechałem, wsiedliśmy razem do powozu. W drodze się trochę uspokoił i rzekł do mnie, mówiąc: »Pan byleś bardzo uprzejmym dla mnie. Wezmę tę książeczkę i zachowam sobie na pamiątkę uprzejmości Pańskiej.« — Ja prosiłem, aby w niej czytał, gdy się pora nadarzy. On wydobywszy okulary, przewracał z uwagą karty książeczki i zaczął czytać. Po chwili mu w oczach stały łzy i toczyły się po licach jego, ja zaś w cichej modlitwie westchnałem do Boga, aby pragnącą pociechy duszę łaską swą oświecił.

»Czy Pan także na tej skale stoi?« zapytał mnie po chwili. »Tak jest,« odrzekłem. »Ja nie mam innej, o którąbym się wsparł. Na tej skale jedynie jest człowiek bezpiecznym i nie potrzebuje lękać się upadku.« Potem czytał zwolna przytłumionym głosem, jakby u siebie o tem rozmyślał, wymawiając zdania: »Do serca Jego tak łagodnego wszyscy stroskani przytulić się mogą. On w głębi odczuwa słabości nasze. On w wszystkich kłopotach o nas ma staranie; serca zranione goi, zasmuco-

nych i stroskanych cieszy. O, zaprawdę, niema innej skały jak Bóg, skała nasza, On Pan wszechmocny i wiecznie niezmienny, pełen uczucia i litości szczególnej dla wszystkich ludzi, co się do Niego sercem uciekają.«

»O, tak jest,« rzekłem, »On chętnie poniesie utrapienie Pana, jeżeli je tylko na Niego włożysz. On Pana zasłoni od wszelkiej klęski, jeżeli na tej skale chcesz szukać schronienia.«

Na twarzy jego ujrzałem uśmiech łagodny wśród łez; potem rzekł, mówiąc: »Córeczka moja na tej skale stoi. Ona jest szczęśliwszą daleko odemnie. Ja już dziś bardzo postarzałem i potrzebuję koniecznie podpory. Ja się też pewnie na tej skale oprę. Marynia moja ucieszy się z tego.«

Gdyśmy na mojej stacyi stanęli, powstałem, chcąc wysiąść. Staruszek ujął i uściśnął mą dłoń, na pożegnanie powtarzając słowa: »Ja na tej skale opierać się będę, ja tak podpory mocnej potrzebuję. Dziękuję Panu za jego uprzejmość.« Oblicze jego się promieniło, widziałem, że słowa z serca pochodziły.

Ten miły wypadek nasuwa mi myśl, ile to ludzi nietylko do fałszywego pociągu wsiada, lecz na fałszywych drogach się znajduje. Cóżemy dotąd dla nich uczynili, aby ich nawrócić? O, nie zaniedbujmy obowiązku swego! Porą do tego jest chwila każda, jest ta terazniejsza, a miejsce stosowne, gdziekolwiek jesteśmy. B. G.

Szukajcie Pana, póki może być znaleziony, wzywajcie go, póki blisko jest. Izaj. 55, 6.

Jam Pan, który cię leczę. 2. Mojż. 15, 26.

Jednej brakuje!

Było to wieczór, niebo było czarne. Chmury ciężarne zalegały ziemię. Pasterz przewidywał burzę i zawczasu owieczki do owczarni prowadził. Nie przestawał wołać, szukać i napędzać, aż je powoli na bezpiecznym miejscu zgromadził. Naraz mignęła błyskawica, huknęły pioruny i lał deszcz jak z cebra. Owce się skupiły jedna koło drugiej, drżąc na całym cieple tuliły się na bezpiecznym miejscu, gdy tymczasem na dworze szalała burza, a huk piorunów na całym niebie się odbijał.

Czemuż oblicze pasterza posępne? Dlaczego w oku łza współczucia błyska? Liczy owce; tu jedna gromadka, rodzice a przy nich jest jagniąt dwoje. Dwoje ich tylko, a ma być troje. Jednego brakuje!

A wszakże uczynił, co tylko był w stanie. Na górach są ślady krwi płynącej z nóg; na wszystkie strony wołał za owieczką swoją straconą, wabił, prosił, nawet płakał, wszystko nadaremno; jednak jej niema.

Niebaczna poszła za trawką, kwiatami, nie mając poczucia o niebezpieczeństwie. Gdy się pasterz zbliżał, podskoczywszy dalej pobiegła, bawiąc się wesoło jak jagnię swawolne. Niebo było jasne, powietrze łagodne. Jak było przeczuwać, że burza nadchodzi? Owieczka myślała, że głosy pasterza wcale są zbyteczne.

A teraz było zapóźno. Biedne jagniątko, jak ci będzie zimno! Naokoło ciemno, błyskawice światłem przerażają oko, a wśród burzy tobie śmierć niechybna grozi.

Miły czytelniku, czy masz rozumienie

tego obrazu? Jezus twym pasterzem, a owczarnią niebo. On przewiduje okropną burzę, która na ten świat niechybnie uderzy — burzę zagniewania sprawiedliwego Boga i Pana! Nim zaś nadejdzie, idzie pasterz wierny, wabiąc i wołając owieczki do siebie, aby w bezpiecznej owczarni jego schronienie znalazły. Tam ich nie dosięgnie żadna zła przygoda, bo w jego opiece będą bezpieczne. On wzywa, przestrzega, nawet łzy wylewa. Lecz dużo jest dzieci, co na to nie dbają. Ojciec i matka, bracia i siostry, wszyscy z sobą razem idą do owczarni, jednego tylko, jak się często zdarza, wśród nich brakuje, może to dziewczynki milej i wesołej, może chłopaczka jasnookiego!

Gdy tymczasem przyjdzie niebieski pasterz obejrzeć swą trzodę i zobaczy stratę, czy nad tem mocno nie musi boleć? Wszystkie ocalone — jedna zgubiona! O dziecię kochane! Ty przecie nie będziesz tem jednym zgubionem z całej rodziny. Oto, bracia, siostry, jeden po drugim Chrystusa obrali; matka i ojciec od dawna Jemu ze serca służą — przecie ty jedno stojisz obojętne? Czy myślisz może, że na to dość czasu? Nie odkładaj sprawy, aż będzie zapóźno! Oto, właśnie teraz, gdy słońce świeci, a kwiat młodości ślicznie zakwita, słuchaj pilnie głosu Zbawiciela swego, który cię do siebie zaprasza, mówiąc: »Jam jest drzwiami, kto przez mię wnijdzie, zbawiony będzie.«

E. P.

Błogosław, duszo moja, Panu, i wszystkie wnętrzności moje świętemu imieniu Jego. Psalm 103, 1.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Jakób i Zuzia.

Jakób i Zuzanna należeli do tych dzieci, o które się prawie nikt nie troszczy, bo też niewiele kto o nich wiedział. Wyrosli w małej chatce u biednych rodziców w górach Szkocyi, a gdy nieco podrosli, najęto ich do pasenia bydła na wielkich przestrzeniach górskich i po »padołach« kraju. Od maja do października bywali z bydłem na górach, a w ciągu tego czasu ani o szkole ani o nabożeństwie w kościele mowy nie było. Rośli jak dziczki w lesie. Na obrazku widzimy ich, jak z sobą rozmawiają pewnego gorącego dnia, gdy tymczasem było w oddale-
niu się pasie.

A jednak pomiędzy temi dziećmi dużo jest zdolnych i pocziwych dusz, którym warto zająć się co do nauki religji, a to nie tylko w górach Szkocyi, lecz prawie po wszystkich okolicach ziemi. Dzieci zamożniejszych rodziców doznawają wszelkiej troskliwości co do wychowania, a o te biedne, co nikogo nie mają, mało kto dba. Oby związki chrześcijańskie i na takie dzieci oko zwróciły i zajęły się religijnem wychowaniem ich. Jezus Zbawiciel i onych szuka, byle się tylko o Nim dowiedziały.

Było to w lecie, w popołudniowej godzinie. Idąc na góry przybyłem niepostrzeżenie prawie, gdy Jakób i Zuzanna z sobą rozmawiali. Chłopiec natychmiast skoczywszy na nogi, urządził dla mnie siedzenie na trawie, dziewczynka wystęła je zielen, na którym chustkę rozpostarła. Usiadłem jakby na tronie, a z prawej i lewej usiedli pastuszkowie. Zaśpiewaliśmy najprzód nabożną pieśń o Boskim pasterzu, co

owieczki szuka. Potem przeczytaliśmy dziesiąty rozdział Ewangelji św. Jana o dobrym pasterzu, który życie za owce poświęcił. Wyobrażałem sobie, że prawie te podobieństwa najlepiej przemówią do serca młodych pastuszków, którzy w podobnym zajęciu stoją. W końcu zwróciłem myśli ich na psalm 23. i wyznanie psalmisty, który mówi: »Pan jest pasterzem moim, na niczem mi nie zejdzie«

Radzę wszystkim przyjaciółom młodzieży, aby w modlitwie i w usiłowaniach nie zapominali o tych chłopcach i dziewczynkach, co od dzieciństwa w ciężkiej pracy stoją.

C. S.

Pójdę do ojca mego!

»Niel! Ja nie chcę!« krzyknął mały Herbert, cały czerwony od gniewu jak rak, rzucając w górę zaciśnięte pięście. Tak stał w pokoju ojca swego, odporny przeciw rozkazom jego.

»Czy nie poprosisz o przebaczenie?« odezwał się poważny głos ojca. — »Nie,« odrzekł Herbert z największym uporem. — »A więc od razu do swego pokoju! Nie ruszysz się thąd, aż mię przeprosisz!« — W pierwszej chwili Herbert chciał się sprzeciwić rozkazowi ojca; lecz gdy ujrzał oko jego łagodne i tak żałośnie nań poglądające, namyślił się i poszedł. Był to chłopiec nie zły, lecz dziwnie porywczy do gniewu i niekiedy bardzo odporny.

Przyszedłszy do pokoju, który »komorą Herberta« zwano, rzucił się na podłogę i strumień gniewu ze siebie wylał. Już po schodach w górę szedł z wielkim trzaskiem, uderzył drzwiami, aż cały dom zadrżał, a w samotności

wrzeszczał jak na różnie Twarzyczkę miał ładną, lecz ona teraz strasznie wyglądała burza wewnętrzna we wszystkich rysach się odbijała. Liczył lat trzy-naście i ślicznie wyglądał. Gdy się gdzie pokazał, mówili chłopcy: »Patrzcie, jaki ładny; szkoda tylko, że taki złośnik!« Ojciec Herberta przebywał w Indyach, matka zaś wcześniej umarła; przeto był w opiece w domu pewnej cioci, bardzo dobrotliwej lecz słabej osoby, która go ogromnie rozpieściła i na wszystkie psoty pozwalała. Ojciec wróciwszy do domu, wziął go pod komendę; lecz chwili nie było, w którejby chłopiec się nie sprzeciwiał.

W pół godziny później siedział w swym pokoju patrząc przez okno. Twarz miał zachmurzoną, brwi w gniewie ściśnięte, a lica rozpalone rumieńcem pały. Na trawniku przed domem skakał ładny piesek, którego mu ojciec przywiózł z Indyi.

»Tego ci ojciec dał!« szepnął w sercu jego głos tajemniczy. Potem podniósł oczy, gdzie na trawniku pasł się mały konik. »Tego ci także ojciec podarował,« szepnął ten głos cichy. Herbert się odwrócił, jakby nie chciał słuchać, i z oburzeniem odezwał się, mówiąc: »Ja o to nie dbam! Ja go nienawidzę.«

Na kościele dwunasta wybiła godzina. Pora obiadowa. Herbert wydobył z kieszeni zegarek, aby się przekonać, czy dobrze idzie. Spojrzał nań i znowu usłyszał głos serca, który się pytał: »Któż ci dał zegarek?« Herbert nic nie odpowiedział, lecz patrząc na zegar pograżył się w myślach. Potem sam z sobą rozmawiał, mówiąc: »On mi go dał, do tego strzelbę; on wszystko daje, czego potrzebuje. Trzeba się poddać i o prze-

baczenie prosić. Tak się mi do niego mówić nie godziło. Ale czemuż staję mi w drodze i rozkazuje? Dlaczego nie mam robić, co mi się podoba?« Potem się podniósł, a w pamięci jego odnowił się obraz niedawnych doświadczeń.

Na łożu leży w gorączce chłopiec. Ktoś co chwilką przychodzi do łoża, poprawia poduszki, ochładza policzki i skłania się do nich. Nocami siedzi sam jeden u łoża, czuwając troskliwie na każdym oddechu chorującego. U łoża klęczy na kolanach i woła do Boga, by raczył wysłyszeć modlitwę ojca i przenieść kielich gorzki od dziecięcia. Widzi jak w oku pała mu łezka, co spada na rękę chorującego, paląc go w dowód miłości ojcowskiej. Któż to tak czule o nim pamiętał? Nikt inny jak ojciec. Wszystkie te rzeczy mu się przypominały i serce chłopca mocno poruszyły. Porwał się z miejsca, mówiąc do siebie: »Pójdę do ojca mego!« — Pobiegł po schodach, wszedł do pokoju, ujął rękę ojca i ucałował, mówiąc: »Przebacz mi, ojczek!« Tej samej chwili zawisł mu na szyji.

Krótkimi słowami podaję obraz, który się w świecie tak często powtarza. Czy to nie obraz miłości Bożej? Podobieństwo o synu marnotrawnym ją wyobraża.

Czy wina Herberta była większą lub mniejszą, nic nie stanowi. On obraził ojca. Naokoło widział tyle dowodów jego dobroci, a mimo wszystko tak się zachował! Lecz gdy sobie wspominał, jak go ojciec kocha, rozczulił się w sercu i wstał do pokuty.

Czy wiecie, dzieci, żeście przeciw Bogu zgrzeszyły? Żeście woli Jego odpornemi były? Czy macie cokolwiek, jaką rzecz potrzebną czy jaką zabawkę, coby od Boga nie pochodziła? Czyście nie wi-

działy miłości jego, jak Syna swego za was wydał? Jak płakał o was krwawymi łzami, gdyście się w chorobie grzechu znajdowały i śmierć wam groziła?

Pomyślcie tylko, pomyślcie o tem! Ja wcale nie wątpię, że się do Boga całkiem nawrócicie i odpuszczenia błagać będziecie, jeżeli tylko trochę się zastanowicie. Szatan nigdy nie chce, abyście myślały. On wie, że was utraci, gdy tylko trochę się zastanowicie. Dlatego zachęca was do zabawy, mówiąc: »Patrzcie, jak tam słońce świeci. Czy nie chcecie się bawić? Pocóż siedzieć w domu i myśleć o rzeczach, co nie są na czasie? Z tem zaczekajcie, aż będziecie chore, lub na śmiertelnej pościeli spoczyniecie. Po cóż się teraz myślami trapić?«

Nie zwlekajcie! Od razu się nad tem w sercu zastanówcie! Pomyślcie o tem, jak was Bóg miłuje a jak wy go prawie nie miłujecie. Ja nie wątpię o tem, że w końcu rzeczenie: »Ja wstanę, a pójdę do Ojca mego!«

Czy On was przyjmie? Nikt o tem nie wątpi. Czy ojciec Herberta od siebie odrzucił? Nie; on byłby śpieszył na powitanie, gdyby był wiedział, jakie serce syna myśli ogarniały. A czy Bóg mniej kocha swoje grzeszne dzieci niż ojciec Herberta? Chodźcie więc w imieniu Pana Jezusa, Bóg chętnie was przyjmie. A będzie radość przed anioły w niebie nad każdym dziecięciem pokutującym

E. T.

Promień światła na wodzie.

Podczas podróży do Indyj siedziałem pewnego wieczoru w kajucie na okręcie i bardzo mi było niedobrze, ponie-

waż morze było wzruszone. Jazdę na morzu nie łatwo znośiłem. Naraz słyszę krzyk: »Majtek wpadł do wody!« Wy-skoczyłem na nogi, nademną słyszę hałas jak od stąpania ludzi; lecz czując się słabym, nie poszedłem na pokład. Nie było mi przyjemną widzieć dużo ludzi. Lecz jednak chciałem uczynić nieco dla ocalenia tonącego. Ale co? Wziąłem swą lampę, poszedłem do okienka kajuty i tak ją trzymałem, aby światło jak najlepiej dochodziło na zewnątrz, a to jak najbliżej okrętu. Po upływie minuty lub dwu słyszę okrzyki: »Ocalony!« Postawiłem tedy lampę na zwyczajnem miejscu.

Następnego dnia się dowiedziałem, że gdyby nie moja lampa, to trudnoby majtkę ocalono wśród ciemności. Światło mej lampy padło prawie w to miejsce, gdzie się znajdował i ułatwiło jego ocalenie.

Sługa Chrystusowy, nie poddawaj się rozpaczcy ani nie myśl w dniach osłabienia, jakobyś do niczego nie był użytecznym. Spoglądając do Pana podnoś światło wzgóre, światło wiary i cnoty, aby je ludzie widzieli, a w dzień zmartwychwstania radością ci będzie usłyszeć głos Pański, mówiący: »To do-brze!« tudzież się dowiedzieć, żeś nie-świadomie tę lub ową duszę ocalił od śmierci.

Niema w żadnym innym zbawienia, albowiem niema innego imienia pod niebem danego ludziom, przez którebyśmy mogli być zbawieni. Dzieje 4, 12.

A jeżeli się wam zda źle służyć Panu, obierzcie sobie dziś, komubyście służyli; ale ja i dom mój będziemy służyli Panu. Jozue. 24, 16.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Ocalony ptaszek.

Było to w zimie. Dzień był pogodny, słońce świeciło, ale jednak dosyć ostro marzło. Cała okolica pokryta była śniegiem, który jak w mrozie bywa, znacznie szeleścił pod nogami. Mała Elzunia, licząca lat sześć, wyszła na przechadzkę ze swą guwernantką i jak czerstwe dziecko, dobrze ubrane, biegła naprzód o kilka kroków. Naraz stanęła na miejscu, patrząc na ziemię i wołając żałośnie: »Ptaszek! Biedny ptaszek leży na ziemi całkiem skostniały. Nic się nie rusza; pewnie nie żywy.« Tymczasem guwernantka nadszedłszy spojrzała nań i rzekła: »Kto wie; może tylko przeziął. Spróbujmy, czy w ciepłym pokoju nie odżyje.«

Mała Elzunia podniosła go z ziemi, obwinęła w chustkę, utuliła w futerku i zaniósła do domu. Tam ogrzewano ptaszynę i pielęgnowano ją, aż powoli rzeczywiście dała znak życia. Nim Elzunia poszła spać, mogła z przyjemnością patrzeć, jak ptaszek wesoło podskakiwał w klatce. Rano, gdy wstała, milej doznała niespodzianki, bo ptaszek pięknie w klatce zaśpiewał. Odtąd, gdy słońce zaświeciło, zawsze piosnkę nuci. Z początku bardzo mu się dobrze w klatce podobało, ale za niejaki czas zaczął tęsknić za wolnością i bił o kratka, szukając wyjścia, ale napróżno. Gdy wiosna nastała i śniegi stopniały, podwoiła się jego tęsknota za wolnością. Elzunia czując z nim litość, otworzyła okno i drzwiczki od klatki. Ptaszyna patrzyła naokoło, naraz wyszedłszy z klatki furknęła do ogrodu. Usiadłszy na gałązce, zanuciła piosenkę tak wdzięczną,

wesołą, jakby malej opiekunce dziękowała za ocalenie i za opiekę.

Matka Elzuni słuchając śpiewu mówiła córeczce, jako Pan Jezus przyszedł na ten świat, umierające grzeszniki ocalić od śmierci duszy. Jako ten ptaszek dziękuje Elzuni i przed światem głosi, że znów się czuje szczęśliwym, wesołym, tak Pan Jezus lubi, gdy dzieci Jemu za to dziękują, co dla nich uczynił. Ile też będzie wśród czytelników takich, co mogą rzec: »Rozraduje się serce moje w zbawieniu twojem; będę śpiewał Panu, że mi dał wiele dobrego.« Psalm 13, 6.

Ach, dużo jest takich, co nie pamiętają na dar zbawienia, ni się z niego cieszą. A jak śpiew ptaszyny budził radość w sercach słuchaczy, tak życie szczęśliwe i radości pełne Pańskiego dziecięcia innych, do naśladowania Jezusowego zachęca.

»Oto, Jakóbie, sąsiedzi mówią, żeś teraz zupełnie innym człowiekiem,« rzekł pastor do jednego ze swych zborowników. »Powiadają, że teraz jesteś zawždy wesołym i zadowolonym.«

»Tak jest, duchowny Ojczel! Bóg dziwne rzeczy ze mną uczynił. Dawniej marudziłem, dziś w Bogu się cieszę. Pan mi objawił, co dla mnie uczynił, a ja myśląc o tem, nie mam więcej czasu marudzić. Wielkie to rzeczy uczynił Pan ze mną.«

Było to na szczycie pewnej wysokiej góry w Szwajcaryi. Dwóch młodzieńców stało, oglądając się naokoło wśród wielkich dzieł Bożych. Jeden z nich rzekł z naciskiem: »Ja się w Panu radować będę.« — W godzinę później był martwym; potknął się, upadł do przepaści. Pan go wziął do siebie. On chciał Panu służyć tu — Bóg go we-

zwał do służby przed tronem swoim. Błogosławieni, którzy się radują w Panu i zawsze są gotowi na jego wezwanie

F. T.

W czekaniu na odpowiedź.

»O cokolwiekbyście, modląc się, prosili, wiercie, że weźmiecie, a stanie się wam.« Marka 11, 24.

Czy nie jest to śliczna obietnica, przyjaciele moi? Czy trzeba się pytać, kto tak mówi? Pan nasz Jezus Chrystus. Jak te słowa mówi, tak je też wypełni. On nie jest jak ludzie, co przyrzeką a nie robią. On nigdy słowa nie złamie. Gdy w Biblii czytacie, spamiętajcie sobie wszystkie obietnice Pana; one na każdej karcie są rozsiane jak gwiazdy na błękitach. Spamiętajcie sobie i rozmyślajcie nad nimi, bo one dla was są napisane.

A cóż ta wyżej wymieniona znaczy?

Oto, młoda ma przyjaciółka, Anusia, mieszka na przedmieściu w ślicznej chateczce, okrytej bluszczem. Przed chatą jest piękny ogródek, a w nim prześliczne zakwitają róże. Od półgodziny stoi dziecko przed domem, patrząc wzdłuż drogi, jakby kogo wyczekiwało.

Czeka rzeczywiście na listonosza, wyglądając listu od brata swego, który się na przeciwnej stronie kuli ziemskiej, w Nowej Zelandyi, znajduje. Daleka to droga po ciemnobłękitnych wodach Oceanu. Dostyc już dawno, obszerny do niego napisała list, prosząc o jaki upominek z dalekiego świata. Teraz się spodziewa takowego. Gazety doniosły, że okręt pocztowy powrócił z tych krajów, przeto Anusia wstała bardzo rano i wygląda przyjscia listonosza. Piękna pogoda pozwala bawić na wolnem po-

wietrzu. Czy się dziwujecie, jeśli ujrawszy listonosza z dala zaklaśnie w dłonie i pobiegnie naprzód? Zaprawdę, nic w tem dziwnego, bo byście wy także równie uczynili.

A tak, miłe dzieci, wy pewnie wiecie, że tak samo macie Brata w obcym kraju. Czy Go nie znacie? On sobie życzy, abyście przed Nim serce otworzyły i wypowiedziały, czego wam potrzeba, czy to rzecz wielka, czyli też drobnostka. Nie wątpię o tem, wielu z was tak czyni. Używacie na to cudownego telegrafu, co prędko życzenia wasze Jezusowi podawa, mianowicie modlitwy. Nie trzeba czekać godziny ani minuty, aż słowa wasze do Niego dojdą. Pierwej, niż zawołacie, On was już słyszy. Czy też od Niego wyczekujecie odpowiedzi, jak Anusia czyniła? Jeśli nie, to Panu ubliżacie. Proście więc Pana, aby was nauczył modlić się nie wątpiac, a czy wcześniej czy później odbierzecie odpowiedź pełną łaski i prawdy.

Będąc grzesznymi i niemądrymi, często o nieprawie rzeczy prosimy. Wtenczas Bóg łaskawy nie odpowiada. Pewnego razu szedł chłopiec drogą razem z swym ojcem na przechadzkę. Za miastem ujrzeni pewną roślinę ślicznie kwitnącą. Miewają ją miejscami w ogrodach, choć jest jadowitą, bo prześlicznie kwitnie. Chłopiec prosił ojca, aby mu kilka gałązek ułamał, bo sam był za małym, aby je dosięgnąć. Ojciec rzekł: »Niel!« Chłopiec powtóre prosił, a ojciec znowu odpowiedział: »Niel!« Chłopiec jeszcze gorliwiej po trzeci raz błagał, a znowu usłyszał: »Niel!«. Czy chcecie ojca za to ganić i nazwać surowym? Nikt tego nie robi, bo żaden ojciec

nie chce zatruć dziecka. Tak samo Ojciec w niebiesiech czyni. Nie da nam tego, co zaszkodzić może, choć go serdecznie o to prosimy.

Ale dzieci miłe, jednej On rzeczy nigdy nie odmówi, gdy w Jezusowym imieniu o nią prosimy, to jest — zbawienia. Czyście już o nie prosili? A jeśli jest chłopiec lub dziewczynka, co tego dotąd nie uczynili, to wam powiadam: proście o nie dzisiaj! Idźcie spokojnie na miejsce samotne, padnijcie na kolana i módlcie się, wołając: »Ojcze niebieski, odpuść mi winy, daj sercu pokoju, poświęć duszę moją, abym był Twoim, dla Jezusa Chrystusa i dla śmierci Jego.« Czy chcecie tak uczynić? Nie wątpię o tem. Wtenczas tylko wierzcie, a jesteście zbawione. Tak, miłe dzieci, każdego dnia czynicie, żądności serca Panu Jezusowi przedkładając. Wystosujcie niejeden telegram do Niego. Odwołujcie się na obietnice Jego. Oni jest wiernym i dotrzyma, co obiecał. Niech wam błogosławi i niech wiarę waszą dziennie umacnia. A gdy do domu się dostaniecie, wtenczas z radością się przekonacie, że nie chybiło ani jedno słowo.

„Weźmij mię, Panie Jezu!“

Andzia była miłym, serdecznym dzieckiem, najmłodszem w łonie pewnej chrześcijańskiej rodziny.

Pewnego dnia przybył do domu przyjaciel ojca; w rozmowie omawiano rozmaite rzeczy, między innemi mówili »o przyjsciu Pana Jezusa,« gdy w okamgnieniu zapłoną niebiosa a zbawieni Pańscy uniesieni zostaną do chwały królestwa Bożego.

Tego wieczoru dostała się Anusia o zwykłej godzinie do swego łóżeczka, lecz koło dziesiątej się obudziła. Patrząc naokoło spostrzegła, że starszej siostry, co obok niej sypia, niema w pokoju.

»Kasiu! Kasiu! gdzie jesteś?« woła małeńka, nie chcąc być samą w pokoju; lecz żadnej odpowiedzi nie było. Dziecię zaniepokojone woła jeszcze głośniej: »Kasiu! Kasiu!« ale napróżno.

»Pewnie Pan Jezus przyszedł i wziął z sobą Kasię, a mnie zostawił,« żaliło się dziecko z płaczem, a wybiegłszy z łóżeczka pobiegło do sypialni matki.

»Jesteś tu, mameczko?« wołało ze łzami. Nie było odpowiedzi; w pokoju niema nikogo. Wybiegłszy do jadalnego pokoju tak samo nikogo nie znalazło.

»Pan Jezus przyszedł, a mnie zostawił,« narzekala boleśnie Anusia. Duże, ciepłe łzy płynęły po jej policzkach, gdy naraz upadła na kolana, modląc się i błagając: »Panie Jezu, weźmij mnie, proszę o Panie, weź też i mnie!«

W kilka minut powróciła Kasia i wszyscy członkowie rodziny. Andzia dostała się do ciepłego łóżeczka, gdzie ją Kasia łagodnymi słowy do snu uspokajała.

Nim się ze snu obudziła, wyszli wszyscy członkowie rodziny przed dom na trawnik, oglądać śliczne zjawisko północnej zorzy. Szelest odchodzących obu dźił podobno małeńką i nabawił trwogi. Oto wytłumaczenie całego zajścia.

Modlitwa dziecka została wysłuchaną; Pan Jezus przyjął młodziutkie serce, Jego szukające. Anusia wyrosła na poważną panią i w swym zawodzie wiernie służy Panu.

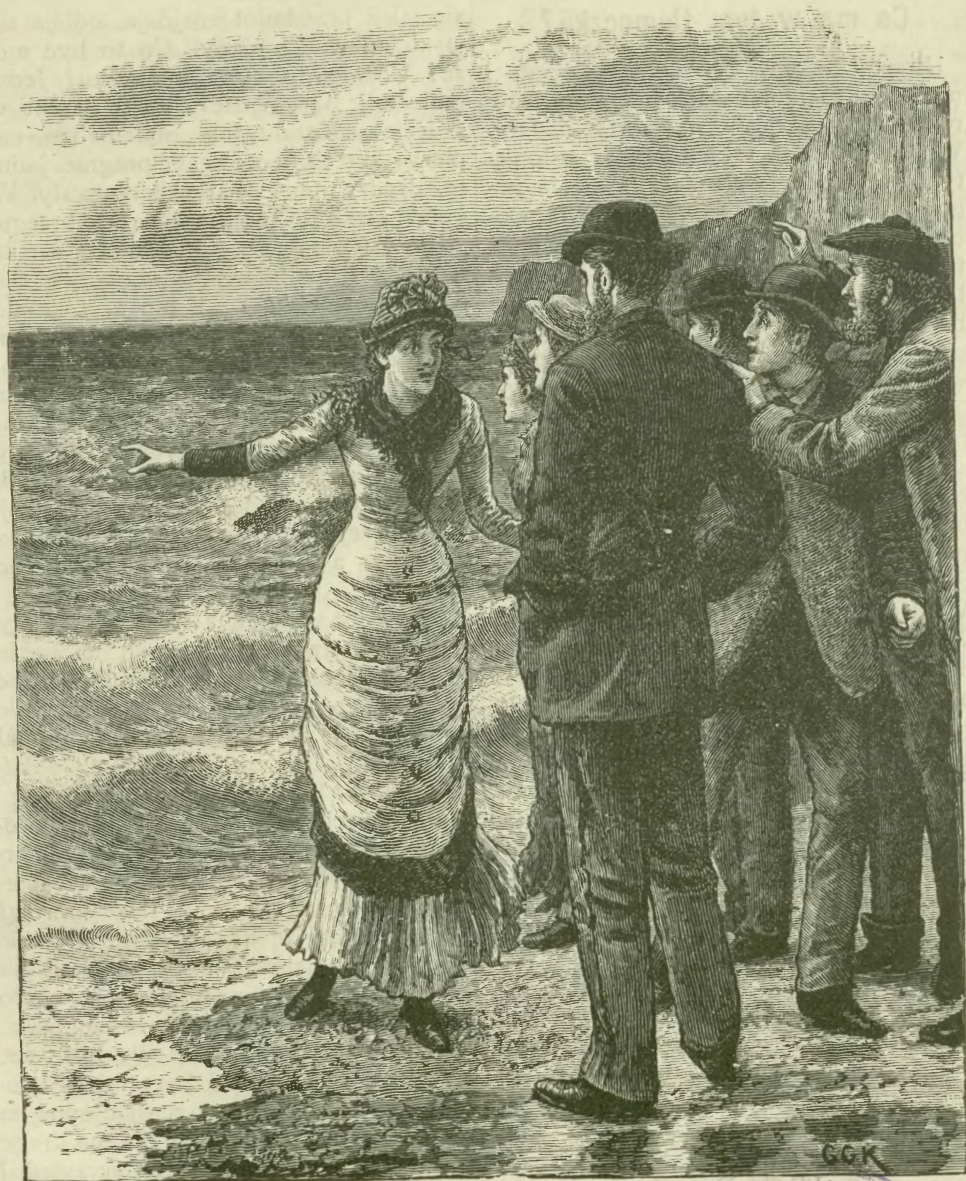
C. C.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.



CZII 789

Wesołe poselstwo dla dzieci.



67 = Nr. 48.

Co ma w tym tłumoczku?



Co ma w tym tłumoczku?

Brzegi Szkocji są bardzo skaliste i mnóstwo mają morskich przystani, któreby się doskonale na porty nadały. Widok morza z takich miejsc osłoniętych jest nader wspianiały w czasie pogody, lecz strasznie się przedstawia podczas nawałności. W pobliżu jednej z takich przystani jest miasteczko S. Kilka lat temu, pewnego poranku okropna burza szalała. Na brzegu morza zgromadziło się dużo osób z miasta, ponieważ ktoś dostrzegł, że niedaleko brzegu jakiś obcy okręt w wielkim jest niebezpieczeństwie. Na chwilę zniknął, to znów się pojawiał; rozpoznać było okręt żaglowy. Czy się utrzyma? Czy znikąd biednym pomoc nie nadejdzie? Straszna rzecz patrzeć, jak ludziom śmierć grozi, a jednak nie być w stanie dopomódz! W gromadce na brzegu byli ludzie odważni, chętni nawet własne życie narażać — lecz łodzi ratunkowej nie było; a zwyczajną łodzią puścić się na wody znaczyło tyle, co na niechybną rzucić się śmierć. Patrzą więc rozdrażnieni, co dalej będzie. W tem okropna fala uderzyła okręt, i znikł im z oczu, pewnie z załogą poszedł na dno morza! Czy wszyscy zginęli? Czy przecie choć jedna dusza ocalała? Patrzą ze wzruszeniem; w tem się z wody ramię podnosi, to znowu raz drugi i tak regularnie. Widać, ktoś pływa w kierunku brzegu! Czy się utrzyma nad wodą, czy go fala rzuci do głębi? Widać, mężczyzna, młody i silny dobija się do brzegu. Lecz koło pasa jest otoczony chustką, a do niej ma jakiś »węzelek« przywiązany. Widać, można to wszystko rozpoznać, bo czerwony kolor chustki, w której

się jakiś przedmiot znajduje, odbija się jasno od wód i piany. Co to być może? Cóż ma w tym tłumoczku? Jedni mniemali: »pieniądze«, które sobie w świecie uzbierał. Inni mniemali: »papier«, okrętu, które ocalić pragnie. Jedni te, drudzy inne wynurzali domysły. W końcu nieszczęśliwy dopłynął do brzegu, gdzie go wszyscy zgromadzeni z wielką troskliwością otoczyli, starając się dopomódz, w czym i jak mogą. Okazało się, że ocalony pochodził ze Szwecji, był jeszcze bardzo młodym człowiekiem, służył jako majtek na okręcie handlowym, który z dalekiej podróży wracał z towarami w ojczyste strony. Wszyscy zatopili, z całej załogi on jeden ocalał. Przed kilkoma miesiącami wśród najśliczniejszej pogody wyjechali ze Stockholmu — a teraz taki był powrót do domu.

Lecz cóż w tym tłumoczku, który już długo uwagę ciekawych na siebie zwracał? Rozbitek zaczął rozwiązywać węzły jeden po drugim. Gdy wszystkie rozwiązał, a było ich sporo, rozwinął chustkę i oczom zgromadzonych pokazała się — Biblja.

Od dzieciństwa zajmował się młodzieniec badaniem Słowa Bożego, »skarbiąc sobie skarb, który jest w niebiesiech.« Wszystkie inne rzeczy wolał utracić, tylko tę księgę pragnął ocalić lub sam z nią zginąć. Na kartach Biblii były ślady, które świadczyły, jak często jej używano. Na wstępie była modlitwa, ręka ojca wypisana, a w tyle był opis, że Biblja pochodzi od Brytańskiego towarzystwa, a ojciec puszczając syna na dalekie wody pragnął mu dać na drogę ten skarb, chociaż przez to skrzywdził inne swe dzieci.

Przyjaciele młodzi, miejcie Słowo Boże w uszanowaniu! Gdy się w drogę wybieracie, zabierzcie je z sobą; gdy się spać kładziecie, niech ono pod głową waszą spoczywa. Wszędzie z Słowem Bożem obcujcie, a bądźcie pewni, Bóg z Wami będzie.

C. C.

Patrzcie! Oglądajcie się!

Pismo święte zachęca nas na niejednym miejscu do bacności. »Patrzaj, człowieczel abyś nie upadł.« Nie mówi: »pedź«, ale mówi: »Patrzaj!« Nie mówi: »Chodź, albo stój«, lecz mówi: »Patrzaj!« Od bacności i patrzenia nie mało zależy.

Pewien chłopiec miał śliczny scyzoryk, który mu wujaszek podarował. Pewnego dnia poszedł do lasu i tam go zgubił, nie spostrzegłszy straty aż w domu. Bardzo się nad tem umartwił, bo nie tylko szkodę poniósł, lecz także wstydzić się musiał z powodu swej nieostrożności. Kto wie, o czem myślał, zamiast na swoje rzeczy uważać. Gdy przyszedł do domu, zlał go ojciec i surowo rozkazał, aby natychmiast wróciwszy się, szukał scyzoryka. Po dłuższem szukaniu udało mu się odnaleźć go pod drzewem, gdzie siedział. Troskliwie się rozpatrując, znalazł scyzoryk.

Okręt pocztowy zbliżał się do brzegu. Od kilku dni panowała niepogoda; niebo było chmurami okryte, a w nocy ani jedna gwiazdka nie świeciła. Nie było można dokładnie rozpoznać, gdzie się znajdują. Morze było bardzo niespokojne. Troskliwie rozpatrywano się naokoło i na wszelkie szczegóły zważano, jednak nie było można dokładnie

określić, gdzie się znajdują. Na maszcie w koszu stał majtek, patrząc troskliwie przed siebie, czy jakie niebezpieczeństwo nie grozi; trąbą okrętową dawano znaki, aby się z okrętem nie zderzono. Wtem majtek na strażę zawołał, mówiąc: »Skały przed nami!« Sternik z wysileniem zwrócił bieg okrętu i dalej płynęli. Noc nastawała. Kapitan troskliwie badał mapy morza, bardzo niespokojny, albowiem według wszystkich obliczeń latarnia morska musiała gdzieś świecić, a blasku jej znikąd widać nie było. Wtem majtek na strażę zawołał: »Światło!« W oddaleniu mignął blask, jakby gwiazdki. Od razu wszelka ustała obawa; teraz wiadano, gdzie się znajdują. Pilne patrzenie ocaliło okręt i załogę jego.

Pismo święte mówi: »Oglądaj się, patrzaj!« Na kogo? Gdzie? Dlaczego? »Obejrzyjcie się na Mnie, abyście byli zbawieni!« Któż to tak mówi? Czy Mojżesz? Nie! On mówi: »Nie mogę wchodzić i wychodzić!« Czy Dawid? Nie! On mówi: »Ciało moje i serce moje ustało.« Czy Salomon, król znakomity? Nie! On mówi: »Nie kładźcie ufności w książętach!« Czy Jan? Nie! On mówi: »Który idzie za mną, wyprzedził mnie!« Czy Paweł? Także nie! On mówi: »Jam jest najmniejszy wśród apostołów.« A więc któż tak mówi?

Mojżesz odpowiada: »Moc moja i chwała moja Pan, bo mi się stał zbawieniem.« Dawid odpowiada: »W Panu pokładam nadzieję swoją. On jest skałą serca mego i działem moim na wieki.« Jan odpowiada: »Oto baranek Boży, który gładzi grzech świata.« Paweł odpowiada: »Wszystko mogę w Chrystusie, który mię posłał. Wszystko po-

czytam sobie za szkodę dla zacności znajomości Chrystusa Jezusa, Pana mojego.« A zatem to »Mnie« do Pana, Króla i Zbawiciela naszego się odnosi »Obejrzyjcie się na Mnie, abyście byli zbawieni.«

A ktokolwiek kiedy na Niego się oglądał, może potwierdzić, iż obietnica Pańska prawdziwą była. On nas może zbawić od grzechów naszych, albowiem »krew Jego oczyszcza nas od wszelkiego grzechu.« On nas może zbawić od potępienia, bo w godzinie śmierci do każdego pokutującego grzesznika powiada: »Zaprawdę, dziś będziesz ze Mną w raju!« On nas wybawi od trwogi i żalu, albowiem powiada: »Pokój Mój wam ddam.« On nas wybawia od smutku, rozpacz, mówiąc nam: »Dostycie masz na łasce Mojej.« On z samotności, z sieroctwa wybawia, gdy nas mili nasi opuszczają, albo w sieroctwie pozostawiają, albowiem mówi: »Ja cię nie opuszczę, ani cię odrzucę.«

Ach, jak nader wielki jest ten nasz Zbawiciel! Na ileż to rzeczy, kochane dzieci, jużście w świecie się oglądały! A one wszystkie was oszukały. Wszystkie też w przyszłości zawiodą serce, ale Jezus nigdy! Błogosławioną jest tedy rzecz, mieć Zbawiciela, na którego wszędzie można się oglądać. »Obejrzyjcie się na Mnie, abyście byli zbawieni.« Izaj. 45, 22.

Nie pisz tam!

»Nie pisz wszędzie po twojej tabliczce!« rzekła Jerzemu starsza siostra Marya w tej chwili, gdy z nim lekcję języków rozpoczynała. »O, to nic nie

znaczy,« odparł braciszek, »ja to od razu zmażę.«

»Nie pisz tu!« rzekł ojciec synowi swemu, który djamentem pisał na szybie od okna. »Dlaczego, ojcze?« zapytał chłopiec. »Bo tego zmazać nie potrafisz,« rzekł ojciec.

Niektórzy chłopcy i dziewczęta myślały, że dni i lata ich są jak tabliczka, co na niej napiszesz, możesz łatwo zmazać. Ale się w tem mylą. Czy się wam kiedy zdarzyło, żeście każdy dzień pisali, czego zmazać nie można? Gdybyście o tem pomyśleli, inaczej byście postąpili. Niedawno daliście matce szorstką odpowiedź. Ta się w sercu jej zapisała i dużo boleści sprawiła. Ilekroć na to wspomni, krwawi się jej serce. Tego wymazać nie możecie.

W szkole poszepnięliście sąsiadowi nieco do ucha. Myśl ta wkradła się do serca i stała się pobudką do złego uczynku. Tego zmazać nie możecie

Złajaleś braciszka ostro a niewinnie. On śpi już w mogile, a ilekroć na swe słowa wspomnisz, serce ci się ścisza. Nie możesz tego wymazać. Przeto bądźmy uważnymi, abyśmy nie czynili, co się zmazać nie da. E. P.

Ktoby mię wyznał przed ludźmi, wyznam Ja go też przed ojcem moim, który jest w niebieszech. Mat. 10, 32.

Pójdźcie do mnie wszyscy, którzyście spracowani i obciążeni, a Ja wam sprawię odpocznienie. Mat. 11, 28.

Bliski jest Pan tym, którzy są skruszonego serca. Psalm. 34, 19.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Życzenia Elzuni.

»Wujaszku! czy mogę otrzymać pierwsze dojrzałe poziomki z ogrodu Roberta? Proszę bardzo o nie!«

»Cóż ci po nich, dziecko?« zapytał wujaszek łagodnie, głaskając miłą twarzyczkę dziewczynki i usuwając włosy, które się mile z pod kapelusza wysuwały. — »Chciałabym je zjeść,« odrzekła bez namysłu dziewczynka. — »To bardzo samolubna prośba, moje kochanie,« odrzekł wuj z powagą; »ja myślałem, że jakie inne miałaś zamiary. Może chciałaś je komu podarować?«

»Ach, wujciu!« odparła Elzunia wcale niezmiészana; »sprawa ma swoje znaczenie. Kto jaki pierwszy, ale najzupełniej pierwszy, owoc z czego zje, ten może sobie nieco życzyć, a to życzenie pewnie się wypełni. Ja tyle mam życzeń, przeto cię proszę, wujciu, spraw to tak, abym pierwsze poziomki z grządkki Roberta otrzymała.«

»Tyle masz życzeń, moja mała? A czegoż sobie tak bardzo życzysz?« zapytał wujaszek, usiadłszy na trawniku i przytuliwszy dziewczę do siebie.

»Ja sobie różnych rzeczy życzę, wujaszku! Tobie też mogę o nich powiedzieć, bo ty się nigdy ze mnie nie śmiejesz, jak inni czynią,« rzekła dziewczynka. »Ja sobie najprzód życzę, abym była bogatą, ale bardzo bogatą.«

»Bogatą?« zapytał wujaszek nieco zdumiony. »A na cóż ci bogactwa?«

»Bo to bardzo przyjemnie być bogatą. Miałabym śliczną kamienicę, dużo służby koło siebie, piękną karecię i śliczne konie, a dla siebie małego wroniego konika i uprząż ze srebra. Potem mógłabym rozdawać prezenta, ko-

mubym chciała. Tobie, wujciu, dałabym bardzo piękny podarunek.« To mówiąc uściśnęła jego ręką dłoń z wyrazem dzieciennego zaufania.

»A oprócz bogactwa, czegożbyś sobie jeszcze życzyła, kochana Elziu?« — »Chciałabym być bardzo piękną,« odrzekła bez namysłu; »tak piękną, żeby wszyscy ludzie na mnie z podziwieniem patrzali i mnie kochali. Jabym chciała, aby ludzie o mnie mówili i mnie sławiali; wtenczas dałabym się każdego tygodnia fotografować, rozumie się, zawsze w innej, nowej sukni, bo inaczej nie byłoby to tak ładnie.«

»A więcej co jeszcze?« zapytał wujaszek nieco smutnym głosem, co nie uszło uwagi dziewczyny.

»Bogactwo, piękność — czy jeszcze co więcej, kochanie?«

»Chciałabym być bardzo mądrą, wujciu, bo piękność i bogactwo nie zgadzałyby się z głupstwem. Jabym chciała wszystko umieć i wszystko bardzo doskonale wykonać. Chciałabym jeździć na koniu, śpiewać, bawić się zręcznie, umieć kilka języków, rysować, malować, jednym słowem zdumienie budzić u ludzi tem wszystkim, co umiem.«

»A więcej, co jeszcze?« zapytał wuj głosem, po którym znać było, że bardzo posmutniał.

»Chciałabym być jak najszczęśliwszą,« odrzekła, lecz spojrzawszy na wuja i widząc, jak poważnie wygląda, uciszyła się nieco. W końcu dodała, mówiąc: »Tobie się moje gadanie nie podoba, wujaszku; czy tak?«

»O to mniejsza, co ja myślę,« rzekł; »tylko o to chodzi, czy twoje życzenia są mądre? Ty chcesz być bogatą, kochanie, i myślisz, że potem będziesz

szczęśliwą. Znam ja człowieka bardzo bogatego, może najbogatszego w świecie. Tego się zapytano, czy przy swem bogactwie jest szczęśliwym? »Ach nie,« odpowiedział, »pieniądze nikogo nie uszczęśliwią; przykrości, choroby i śmierci niemi nie przekupisz.« Z innej strony znam kobietę, biedną i ubogą; ledwie na kawałek chleba zarobić zdoła. Gdym się zapytał, jak się jej powodzi, odrzekła mówiąc: »Ja się czuję zupełnie szczęśliwą, jak tylko człowiek szczęśliwym być może.« Tak widzisz, Elziu, pieniądze człowieka nie uszczęśliwią. A co do piękności, moje kochanie! Czy przez nią twe życie byłoby weselsze? Znasz historią królowej Maryi. Piękną była, to prawda; z podziwieniem na nią patrzano, lecz czy była dobrą, czy była szczęśliwą? Siedm dni liczyła, gdy na nią spadła korona Szkocyi. Sześć lat liczyła, gdy ją z królewiczem Francyi zaręczono. W siedmnastym roku była jego żoną. Po jego śmierci wróciła do kraju, panując nad nim lat siedm, a potem ośmnaście lat spędziła w więzieniu, aż pod toporem kata skonała! Piękną była, serca zachwycała, poeci na nią pieśni układali, malarze jej obrazy malowali — ale czy szczęśliwą była, to inna sprawa.«

Elzunia słuchała, lecz nic nie mówiła.

»A co do mądrości, to wątpię, czy ona zadowoli serce mąlej Elżbiety. Niedawno czytałem historię życia najmądrszego człowieka na świecie. Nie było mu równego; gdy jakie zdanie wypowiedział, to ludzie pękali od śmiechu. Choć świat o nim myślał, że jest najszczęśliwszy, on w pismach swoich wspomina, mówiąc: »Najzupełniej nie-szczęśliwym się czuję.« Mądrość i podziw całego świata go nie zadowolili.

»Więc moje życzenia uważasz za głupie?« zapytała nieco posmutniała Elza. — »Nie,« rzekł wuj, »ale za bardzo samolubne. Wtenczas, me dziecię, będziesz szczęśliwą, gdy nie o sobie, ale o innych pamiętać będziesz. Poświęć swe siły służbie Pana Boga i bliźnich swoich, to ci daleko więcej przysporzy szczęścia i spokoju, niż wszelka chwała i okazałość.« Na razie Elza nie zrozumiała nauk wujaszka; lecz ziarno w sercu zasiane, w latach późniejszych owoce wydało. *E. P.*

Córka stróża.

Przy końcu nabożeństwa dla dzieci, któreśmy w pewnem miasteczku mieli, wezwałem dzieci, aby te, które się grzechu swego pozbyć pragną, zostały jeszcze po nabożeństwie na miejscu. Będziemy z sobą poufnie mówili. Lecz wszystkie wyszły i zdawało się, że ani jedno nie wróci.

Po upływie kilku minut otwarły się po cichu drzwi, weszła mała dziewczynka i usiadła z tyłu. Za nią wsunęła się inna, potem znów chłopiec, aż ich może dwanaście przybyło. Z twarzy każdego z tych dzieci widać było, że im coś na sumieniu dolega. Między niemi przypominam sobie małą dziewczynkę, liczącą lat siedm. Ojciec jej był stróżem. Twarz miała smutną i na zapytanie odpowiedziała, że ją jej grzechy bardzo niepokoją. Tyle rozlicznych złych czynów pamięta, choć liczy lat siedm, i pragnie wiedzieć, jak się ich pozbyć.

»A cóż ty myślisz, co trzeba uczynić?« zapytałem. »Cóż ja wam mówiłem? Czy rzekłem, że musisz, powiedzmy, miesiąc nad grzechami swemi

gorzko płakać, a ich żałować? Czy to powiedziałem?« — »Nie!« rzekła stanowczo.

»Czy powiedziałem, że się Panu Bogu będziesz podobała, ponieważ żal czujesz, żeś źle czyniła? Mówiłem tak do was?« zapytałem dalej. — »Nie!« odpowiedziała.

»Może powiedziałem, że Bóg wam odpuści, jeżeli się gorliwie będziecie modliły?« — »Także nie!« rzekła. — »To wam chyba rzekłem, że się musicie poprawić, a nigdy więcej nic złego nie czynić, to wam potem może Pan Bóg odpuści.« — »Nie!« odpowiedziała. — Cóż jej tedy miałem powiedzieć? Czy miałem rzec, jak ktoś inny powiedział, że taka mała dziewczynka tego nie rozumie? Niech zaczeka, aż podrośnie; potem o takich rzeczach mówić będziemy. I takiego zdania nie wynurzyłem. Powiedziałem, że płacze i żale grzechu nie zgładzą; że zmagawanie modlitw jej nie pomoże, a choćby w przyszłości ani jednego grzechu nie popełniła, to tem także grzechów już popełnionych nie zmieni ni zgładzi. Pan Bóg zaś z grzechami nikogo do siebie do nieba nie przyjmie. Cóż tedy uczyni? — »Jeżeli ty sama nie jesteś w stanie,« rzekłem do dziecięcia, »grzechów swych się pozbyć, to kto inny może to uczynić, jeżeli do niego z ufnością przyjdiesz — Pan Jezus Chrystus, Zbawiciel nasz!«

On przyszedł na świat, aby grzeszniki zbawił; a dzieci małe i ludzie dorośli równym sposobem są grzesznikami. 1. Tym. 1, 15. Rzym. 3, 23.

Opowiedziałem, jako »krew Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, oczyszcza nas od wszelkiego grzechu.« 1. Jan. 1, 7;

a »przez imię Jego weźmie odpuszczenie grzechów każdy, co weń wierzy,« Dzieje A. 10, 43. Prosiłem ją także, aby się natychmiast Panu Jezusowi poruczyła, bo trudno kiedy znajdzie się pora tak sposobna, dobra, przyjąć Go do serca.

Onego wieczoru dziecię swe serce Panu oddało, wierząc, że krew Jego na krzyżu przelana grzechy jej zgładziła. Ilekroć później w życiu ją spotkałem, zawsze jej oblicze się promieniło pewnością swego pojednania z Bogiem.

Pewnego dnia spotkał mnie ojciec dzieczeni i opowiadał o córce swojej. Matka jej rzekła: »Idź moje dziecię, umyj sobie ręce!« Usłuchała od razu, ale dodała, mówiąc: »Serce me jest czystsze niż moje ręce, bo je Pan Jezus krwią swoją oczyścił.«

Czy dzieci nasze, które to czytają, mogą także wyznać, że je Pan Jezus krwią swoją oczyścił?

Gdybym wam polecił umyć oblicze, a wy nie wierzyacie, że tego potrzeba, to tylko zwierciadło przed wami postawię, a gdy zobaczycie twarz swą oplamioną, natychmiast biegniecie, aby ją umyć. Jeżeli zaś które nie chce uwierzyć, że jemu umycia Pańskiego potrzeba, niech weźmie do ręki zwierciadło Boże, Biblią świętą, a niech się przekona, że »najzdradliwsze jest serce nadewszystko i najprzewrótniejsze,« Jer. 17, 9.; ono koniecznie umycia potrzebuje. Jezus jedynie może je oczyścić J. S.

Choćbym też chodził w dolinie cienia śmierci, nie będę się bał złego, albowiem ty zmną. Psalm. 23, 4.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Proszę.

»Daj mi buzi, moje dziecko! Daj mi buzi, Aneczko!« nalegała pani H. przyszedłszy w odwiedziny do cioci Malgorzaty. Usiadłszy w kuchni chciała koniecznie zwabić do siebie jej dwie córeczki, z których jedna się bojaźliwie kryła za suknią mamy, druga zaś od ważniejsza zbliżała się nieco więcej do gościa, zdjęta ciekawością.

»Pocałuj tę panią, Aneczko,« rzekła do niej matka. — »Nie, aż powie «proszę!» rzekła małeńka, a to z taką powagą, jak jaka królowa. Gdy pani rzekła »proszę«, przybliżyła się do niej, podawając buzi do pocałowania. Lękliwa Marynia widząc, co się stało, nabrała odwagi i także podniosła buzię do pocałowania.

Patrząc na tę scenę, pomyślałam u siebie: »Tu widziałam niecoś, o czem wszystkim moim młodym przyjaciółom opowiedzieć muszę. Bardzo prosta i piękna nauka jest w tej małej scenie zawarta. Ileż w życiu przez to tracimy, gdy o zasady prostej uprzejmości i grzeczności nie dbamy. Słówko »proszę« da się tak łatwo wymówić, a tak łatwo także zapomnieć. Ono niejedną trudność przewycięży i mnóstwo nieprzychylnych spojrzeń złagodzi. Chciałabym wiedzieć, ile też młodych chłopców rzecze »proszę«, gdy mówią do młodszej siostry, ba nawet i matki! Są tacy chłopcy, co u siebie myślą, że siostry, matki i czeladź są tylko na to, aby im rozkazywali. Może myślicie, że to jest znakiem mężkości i dziarskości, gdy chłopiec z góry się odzywa, jakby jaki komendant. Mylicie się, bo to jest tylko brakiem wychowania.

Myślę, że trudno kto pragnie być dzielniejszym niż był książę Wellington. On jest ideałem dla każdego chłopca angielskiego. Ten gdy był chorym i bliskim śmierci, prosił o trochę herbaty. Sługa stojący obok łoża podał mu filiżankę, pytając się: »Czy Pan zechce się napić?« »Proszę«, była odpowiedź księcia, a oraz ostatnie były to słowa.

Piękną było widzieć, jak ten mąż potężny, co armiom rozkazywał, co narody zwyciężył, na śmiertelnej pościeli grzeczności nie zapomniał, a to nie wobec żony albo matki, lecz wobec sługi. O ileby też pożycie z bliźnin było przyjemniejsze, gdybyśmy jednego słowa »proszę« nie zapominali. Pamiętajmy o tem; a czy na początku czy na zakończeniu przemówienia swego, zawsze z grzecznością dodajmy »proszę«. E. P.

Kosztowna perła w trojkiej oprawie.

Dzień był gorący. Nad płaszczyznami Wschodnich Indyi świeciło słońce skwarne, pałace, że pod jego wpływem wszystko wędnęło. Cała okolica była jak pustynia. Jeżeli się gdzie trawka lub listek zielenił, kurczył się, wędnał jak istne siano. Dla warg wypalonych nie łatwą było znaleźć kroplę wody. Przez pewien pagórek szło czterech ludzi, niosąc lektykę ściśle zamkniętą, by skwarne powietrze do wnętrza nie doszło. Taki jest sposób podróżowania w owych okolicach. W lektyce siedział misyonarz, który w pobliżu miał nabożeństwo.

Biedni krajowcy dokładają siły, by umówioną nagrodę otrzymać, a podróżnego u celu stawić. W tem zaszła

przeszkoda. Jeden z niosących dostał naraz kurczów i w wielkich bolach zwił się po ziemi. Podróżny opuścił lektykę idąc do chorego, którego znalazł w stanie opłakanym. Choroba niechybnie była śmiertelną; w kilku minutach miał zakończyć życie.

»Musa,« rzekł do niego, »czego się spodziewasz dla siebie w wieczności?« Misyonarz myślał, że ciemne jakieś będzie miał pojęcia o żywocie przyszłym. Krajowiec na chwilę nic nie odpowiedział, bo atak choroby pomieszał mu myśli. Za chwilę spojrzawszy na europejczyka, rzekł słabym, ale zrozumiałym głosem: »Krew Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, oczyszcza nas od wszelkiego grzechu.«

Nie mało zdumiał się misyonarz. Postanowił zostać przy umierającym, aż ducha wyzionie i modlić się nad nim. To też za chwilę opuścił ziemię i trudy świata, by z ręki Pana odebrać koronę żywota. Mając się w dalszą wybierać drogę, spostrzegł misyonarz, że umarły w skostniałej dłoni jakąś rzecz trzyma. Otworzył palce i znalazł papier, na którym były w krajowym języku wypisane słowa: »Krew Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, oczyszcza nas od wszelkiego grzechu.« Była to karta indyjskiej Biblii, bardzo już zmięta i używana, widać, nieboszczyk ją wszędzie ze sobą nosił. Czy miał o chrześcijaństwie wyraźne pojęcie, trudno ocenić; ale to pewna, najkosztowniejszą prawdę jego wiedział.

Skromna lecz schludna wznosi się chata, a przed nią ogród. Okno jest otwarte, a przez nie łagodny powiewa wiatr, poruszając bieluteńkimi jak śnieg firankami. Przed oknem winna macica

latorośle rozkłada a na błękitnem niebie słońce mile świeci. Za firankami stoi łoże, a na niem leży chora, najstarsza córka gospodyni domu, od kilku tygodni złożona chorobą. Prawie oczy przymrużyła i zdaje się zasypiać, gdy w tem młodsza, dziesięcioletnia siostrzyczka wpada do pokoju, niosąc bukiet kwiatów, które na łące dla chorej Maryni uzbierała. Matka grozi ręką, dając znaki, aby się cicho zachowała, bo chora śpi. Ale już za późno. Marynia otworzywszy oczy ujrzała kwiaty i z radością w sercu je odebrała, cisnąc do twarzy te miłe dzieci pory wiosennej. Bukiet był otoczony kawałkiem papieru, który Marynia troskliwie odwiija, czytając: »Krew Jezusa Chrystusa, Syna Bożego, oczyszcza nas od wszelkiego grzechu.« Słowa te tak dziwne wywarły wrażenie, że nim dziewczyna z choroby powstała, już całem sercem oddała się Chrystusowi, a Jemu służy w powołaniu swoim aż po dziś dzień.

Wspaniały pałac, a w nim piękny pokój. Wszędzie dostatek, ba wielkie bogactwo. Na łożu swem leży biskup kościoła i walczy ze śmiercią. Życie jego pełne szlachetnych czynów, które pełnił w służbie Zbawiciela swego; teraz się nachyla ku wieczorowi. Obok łoża kapłan klęczy na kolanach, zmagając modlitwy za umierającego. Spoglądając na biskupa, chce go pocieszyć w ciężkiej godzinie.

»Pomnij, mój Panie, ile to dobrego za życia zrobiłeś, ile łez cierpienia osuszyłeś, ile miłosierdzia ludziom okazałeś!« powiada duchowny. — »To wszystko teraz ani mię nie cieszy ani uspokoi,« rzekł umierający.

»Pomnij na budujące kazania twoje,

któremiś przez lata serca zachwycił i do Jezusa i wiary unosił.

»Prawda,« rzekł biskup; »ale w tej chwili i to mnie sprawia pociechy serca.«

»A więc pomnij na to,« rzekł kapłan dalej, z wolna i z naciskiem każde słowo wymawiając, »pomnij, co mówi słowo Chrystusowe, że »krew Jezusa Chrystusa oczyszcza — nas — od wszelkiego grzechu.«

Na te słowa rozpromieniło się oblicze chorego i rzekł: »A, to jest prawda; tego mi potrzeba. W tem dla mnie pociecha ze wszech miar słodka. Tysiące razy te słowa czytałem, lecz nigdy z nich takiej jak teraz pociechy nie doznałem. Krew Jezusa Chrystusa — oczyszcza — nas — od wszelkiego — grzechu.« To mówiąc skonał i zasnął spokojnie.

Młodzi przyjaciele, czyście pomyśleli, jaka w tych słowach pociecha zawarta?

L. O.

Co dziecię myślało.

Bardzo śliczne dziecię o miłej twarzy, liczące może jakich lat pięć, wybiegło do sieni przed kilkoma dniami. Na głowie miało ładny kapelusik, w rękę trzymało piłkę, zupełnie gotowe bawić się w ogrodzie.

»Ja myślę, kochanie, baw się ty tu w sieni, bo tam na dworze strasznie słońce piecze.« — »O, nie, mamuniu! pozwól mi, proszę, bawić się w ogrodzie, bo mi to zawsze daleko przyjemniej.

»A to dlaczego?« zapytał mężczyzna, siedzący u okna! To rzekłszy podniósł małą wzgórę, do siebie przytulił i pieściotliwie na łonie osadził.

»Ja wolę być w ogrodzie,« rzekła dziewczynka, tuląc miłą główkę do boku wujaszka. »Tam niema powały między Jezusem a mną.«

Kochane ty dziecko! Jak prostą twą wiarą, jak czystą twą miłością! Wiedząc, że Jezus za nią się poświęcił i ją szczerze kocha, czuła się szczęśliwą przed Nim się znajdować i zawsze pod okiem Jego przebywać.

My wtedy tylko czujemy się w stanie przebywać przed Panem i społeczność Jego znosić możemy, gdy mamy pewność, że grzechy nasze są nam odpuszczone, tudzież między nami a Bogiem naszym wszystko tak istnieje, jak być powinno. Wiecie, gdy Adam zgrzeszył przeciw Bogu, to się skrył przed Nim, albowiem chciał, żeby była powała, oddzielająca Boga od grzesznika. Z tego powodu skrył się wśród sadu. Nam jest powiedziano, że w dzień sądu Pańskiego wszyscy niewierzący i niepokutujący krzykną na skały i góry ziemi, aby na nich padły, i na pogórki, aby ich zakryły.

Chciałbym też wiedzieć, ile pośród czytelników naszych znajdzie się takich, co także »nie lubią mieć między sobą a Panem powały?«

Czy chcielibyście zaniechać nieprawości, myśląc o tej prawdzie, żeście wprost przed Panem, a oko Jego wszędzie was widzi? Pomyślcie o tem, a jeżeli czyn jaki lub uczucie jakie dzieli was od Boga, z Jego pomocą je przeomagajcie!

E. T.

Błogosław duszo moja, Panu, i wszystkie wewnętrzności moje świętemu imieniu Jego. Psalm 103, 1.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.



Wesołe poselstwo dla dzieci.



W bezpiecznym miejscu.

»Patrz tylko, Helciu, co to jest?» rzekła Zosia do przyjaciółki swojej, gdy przyszły do jadalni i na chwilę czekając koło stołu stały.

»Ja nie wiem, co ten szelest znaczy,« odrzekła Helena, patrząc w stronę okna, skąd pochodził.

Dziwny ztąd szelest dochodził uszu, jakby coś o okno uderzało i znowu odlatywało, lub coś podobnego się działo.

Przystąpiwszy bliżej ujrzały motylka o pstrych kolorach, znajdującego się u okna wewnątrz pokoju. Ustawicznie bił o szyby w oknie, jakby chciał ulecieć a nie mógł. Za każdym uderzeniem o szkło się cofał, a znowu próbował dostać się na zewnątrz. Znajdował się w ogromnej trwodze, bo z pola wróbel nań napadał, chcąc go porwać i połknąć. Oczywiście motyl nie widział szkła i lękał się dostać się w dziób wroga, a wróbel także nie widział szkła i każdej chwili chciał zjeść motylka. Helcia i Zosia patrzyły z zajęciem na te wyścigi, a przy nich stała mała Ewa, którą ten widok mocno zajmował. W końcu dziewczyny postanowiły położyć koniec strachom motyla i wypłoszyły głodnego wróbla.

Wiedziały dobrze, jak i my wiemy, że się motylkowi nic stać nie mogło, ponieważ go szkło osłaniało. W podobnym położeniu znajdują się serca, które Panu ufają. Między nimi i grożącym niebezpieczeństwem stoi Pan Jezus i broni ich. Szatan ustawicznie na nas naciera, spodziewając się, że przecie nadejdzie chwila niebacznosci, w której bezpieczne opuścimy miejsce i w jego szpony wpadniemy. Może mu się wiedzie

jak onemu wróblowi; nie widzi, że nas obecność Jezusa zasłania. Jak to być może, nie umiem wytłumaczyć, ale to wiem, że się często, nawet o tem nie wiedząc, w położeniu onego motylka znajdujemy. Jesteśmy obawą tam i sam miotani; szukamy ochrony z tej i owej strony, a nie pamiętamy, że nam moc szatana zaszkodzić nie może, albowiem nas Chrystus od niego zasłania. On powiedział, mówiąc: »Owce moje nie zginą na wieki, ani ich żaden wydrze z ręki mojej.« Jan. 10, 28.

Czy Pan obietnicy swej nie dotrzyma? Mieszkajmy w Nim, a bezpieczni będziemy na zawsze, choćbyśmy nawet zaslabli w wierze.

E. P.

Okręt na mieliznie.

Było to w sobotę popołudniu w miesiącu listopadzie 1880. Mielśmy w domu zgromadzenie nabożne, na którym wszędnosci młodzież była obecną. Przemawiał jeden, przemawiał drugi; w tem powstał pewien kupiec, znany z religijności, i prosił o słowo. Chciał i on nieco do zgromadzonych powiedzieć, a mianowicie o pewnem zdarzeniu z własnego życia. Zabrawszy głos, opowiadał, jak następuje.

Kilka lat temu, byłem w służbie pewnego handlowego domu w Londynie. W tej samej służbie był pewien kapitan okrętu, człowiek młody, szczery, niezrównanej pilności i wytrwałości w pracy. Niejedną już odbył podróż w dalekie kraje i zawsze wrócił szczęśliwie, przywiózłszy dużo kosztownych towarów. Oszczędzał każdy grosz, którego nie musiał koniecznie wydać. Najprzedejniejszym życzeniem jego było, nie tylko

prowadzić okręt w stanowisku kapitana, lecz własny okręt posiadać.

W ciągu kilku lat zaoszczędził znaczną sumkę, resztę pożyczył u kilku przyjaciół, tak iż był w stanie własny okręt, o którym marzył, sobie zbudować. Towarzystwa okrętowe ustawicznie prawie z sobą współzawodniczą, choć nie w złem tego słowa znaczeniu. Jedno nad drugie usiłuje się jak najlepsze posiadać okręty, które szybko płyną i podróżnym jak najlepsze utrzymanie dadzą. Okręt zamówiony przez naszego przyjaciela miał się najlepszymi zaletami odznaczać, miał co do szybkości wszystkich inne okręty przewyższać.

Pewnego dnia przybył kapitan do mego bióra, mocno rozdrażniony i rzekł: »Za niedługo was opuszczę; gdy przyszła jazdę ukończymy, będzie mój własny okręt gotowy.« Złożyłem mu moje powinszowania, jak najpomyślniejszego życząc powodzenia we wszystkich przedsięwzięciach jego.

Po upływie jednego roku znowu widziałem przyjaciela mego. Okręt jego był ukończony, załoga uzupełniona. Przyszedszy do mnie, wezwał mię, abym poszedł na miejsce budowy, obejrzeć sobie okręt gotowy. Poszedłszy z nim, podziwiałem piękny statek, a potem pozeznaliśmy się. Okręt zjechał w wodę i okazałe płynął Tamizą. Na pokładzie stał kapitan, przy nim jego synek i dziecięciu majtków, w całości dwanaście osób. »Prawie teraz pora po nasze towary!« zawołał na rozstaniu, a to były ostatnie słowa, które z ust jego słyszałem. Okręt dostawszy się na otwarte morze rozpoczął swą pierwszą i — ostatnią jazdę.

Tej samej nocy ogromna powstała

burza. Okręt opierał się przez niejaki czas jej sile, ale w końcu rozmaite uszkodzenia poniósłszy nie był już w stanie iść swoją drogą, zaczynał się nachylać, aż potężny wał wody porwawszy go na mieliznę rzucił. Tam osiadł. Z pobliskiego brzegu ujrzał stróż wodny, co się stało, i natychmiast wyprawił łódź ratunkową, by rozbitków ocalić. Nie łatwą było dobić się do miejsca; wały morskie wyglądały to białe jak śnieg od szumiącej piany, to znowu czarne jak atrament wśród ciemności nocy. Ale w końcu barka dostała się na miejsce i szczęśliwie zabrała załogę okrętu. Ostatnim przybiegł synek kapitana, szukając z majtkami razem ocalenia. Na pokładzie osiadłego okrętu tylko kapitan jeden pozostał.

»Chodź, kapitanie!« zawołał przewodnik łodzi ratunkowej. »Nie pójdę,« odrzekł; »ja na moim okręcie choć sam zostanę.« — »Czyś oszalał? Tu żaden okręt się nie ostoi.«

»Ja na mym okręcie zostanę, bo jemu ufam,« odrzekł kapitan. »Jest całkiem nowy. Belki jego są mocne, powały silne; on burzę wytrzyma i znowu spokojnie popłynie po wodzie. Jutro rano przywieziesz mych ludzi do mnie napowrót.«

Po raz drugi, trzeci nalegali nań, aby okręt opuścił, ale napróżno; nie usłuchnął i na okręcie pozostał. Nie było czasu się zatrzymywać; więc łódź ratunkowa odplynęła i szczęśliwie do lądu przybiła. Rozbitków ocalonych troskliwą opieką otoczono.

Nastał poranek. Gdy dzień zaczęło, patrzali stróże przez najlepsze szkła w stronę mielizny — lecz ani śladu okrętu nie było — zatonął w głębi. Wsiedli

na łódkę, przybyli na miejsce. Z okrętu śladu nie pozostało, tylko na mieliźnie znaleźli martwe ciało kapitana, które wały wodne na piaski rzuciły. Okrętowi swemu zaufał i w tem zaufaniu życie utracił. Dużo miał ufności, lecz się odnosiła do łodzi, co nie była w stanie oprzeć się burzy.

A tak, dzieci mojej czy wy w ratunkowej łodzi jesteście? Jak on okręt nowy tak i wy możecie rozpocząć podróż wśród pięknej pogody życia; ale przyjdą burze, zjawia się skały i złudne mielizny, a ciało i duszę utracić możecie. Czy w rękę Jezusa jesteście bezpieczne? Bezpieczne podczas nawałności życia, bezpieczne także wśród burzy śmierci? On was dziś woła do barki swojej! Jeszcze miejsce jest. Chodźcie przyjaciele, a w opiece jego bezpieczni będziecie. *G. B.*

Jezusa kochać.

Drodzy moi mali przyjaciele i małe przyjaciółki, czy wy też Jezusa kochacie?

On was szczerze kocha. On was tak kochał, że życie swe ofiarował, aby was zbawił. On srogą karę za grzechy wasze poniósł. On was i teraz tak bardzo miłuje, że w ciągu dnia każdego ani jednej chwili nie ma, w której by o was nie pamiętał ani się starał. On mówi: »Miłością wieczną umiłowalem cię.« Jerem. 31, 3, to znaczy, że was od samego początku umiłował i aż do końca miłować nie przestanie. Jan. 13, 1.

O, zaprawdę, cudowna to miłość!

Ten sam Jezus pyta się was teraz: »Czy miłujesz Mnie?« Jan. 21, 17. »Czy powiecie: »Tak jest.« albo czy: »Nie?«

Ja się spodziewam, że Mu powiecie, jak Piotr powiedział: »Panie, ty wszystko wiesz. Ty wiesz, że Cię miłuję!«

Niedawno, idąc ulicą miasta, spotkałem dziewczynkę o dużych ciemnych oczach, do której rzekłem: »Jakże, moje dziecię, czy ty też kochasz Pana Jezusa?« — »O, tak jest,« rzekła, »ja Go próbuję kochać, ale znajduję, że to rzecz nie łatwa.«

»Czy też próbujesz kochać swą mamczkę?« zapytałem?

»O, nie; mamczkę ja prawdziwie kocham. Na to próby nie trzeba.« — »Jakże to być może?« zauważyłem. — »Bardzo prosto!« odrzekła; »ona mię kocha i od dawna mię kochała, kiedy ja jeszcze kochać nie umiała.«

»Otóż, moje dziecię,« odpowiedziałem; »tak samo ma się rzecz z Panem Jezusem. Tylko że On jeszcze daleko więcej cię kocha niż matka twoja. On cię kochał, kiedyś ty jeszcze o Nim nie myślała. Gdybyś ty tak chciała powtarzać u siebie tę szczerą prawdę, mówiąc: »Jezus mię kocha,« tobyś za niedługo była w stanie dodać: »Ja Jezusa kocham,« albowiem my Go miłujemy, iż On nas pierwej umiłował.« 1. Jan. 4, 19.

Wierny jest Bóg, przez którego jesteście powołani ku społeczności Syna Jego Jezusa Chrystusa, Pana naszego. 1. Kor. 1, 9.

Jako ma litość ojciec nad dziećmi, tak ma litość Pan nad tymi, którzy się go boją. Psalm. 103, 13.

Radujcie się zawsze w Panu, a znowu mówię, radujcie się. Filip. 4, 4.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Szlachetny żywot.

Sto lat dobiega, jak z pewnej kaplicy wyszedł orszak weselny, gdzie młoda para złączyła się ślubem. Serca obecnych pałały radością, ale też i żalem, bo młoda para miała się wkrótce pożegnać z ojczyzną, w dalekie puszczając się okolice, do kraju Burma w Wschodniej Azji, aby tam wśród pogan służyć Jezusowi. Podróż przez morze była bardzo długa i bardzo przykra, lecz w końcu misyonarz Judson i małżonka jego stanęli na miejscu i w mieście Rangoon się osiedlili.

Z początku pobyt musiał być przykrym. Ani jednej znajomej twarzy nie ujrzeli, języka krajowego nie umieli, na dziwnych obyczajach wschodu się nie znali; nie dziw tedy, jeżeli sobie nieraz westchnęli za ojczyzną. Ale Bóg był z nimi. Choć trudności wielkie były na przeszkodzie, jednak powoli otwarła się droga, iż błogosławioną pracę w winnicy Pańskiej rozpocząć mogli.

Dwanaście lat pracy spędzili na miejscu; miewali chwile rozczarowania, gdy się wydawało, że wszystka ich praca jest bez owocu, ale też chwile cudownej zachęty w ich usiłowaniach. Powoli się języka nauczyli, domek wystawili i szkołę dla dziewcząt w nim otworzyli. Praca się zdawała być ustaloną, serca misyonarzy pałały radością i chwałą Boga.

W tem niespodzianie zawrzała burza. Wojna burmańska wybuchła, a na misyonarzy amerykańskich padło podejrzenie, że są szpiegami na korzyść wrogów.

Było to dnia 8. lutego 1824; małżonkowie Judson siadali do stołu, gdy naraz

do pokoju wpada oficer burmański z kilkoma żołnierzami.

»Król cię przed się woła!« krzyknął oficer na Judsona, którego jeden z ludzi natychmiast mocno skrępował powrozem. »Nie czyń tego,« krzyknęła żona misyonarza, »ja ci dam pieniędzy.« »Bierzcie ją także,« rozkazał oficer, »ona też jest obcą.«

Tej pogroźki wprawdzie nie wykonali, lecz biedna pani Judson nie małej trwogi doznała, widząc jak jej męża odprowadzono do więzienia, z którego prawie nikt już nie wracał. Tam go wrzucili do ciemnego lochu razem z innymi europejczykami, tak związanego, że mu tchu brakło. Żonę zaś w domu otoczono strażą dziesięciu dzikich, ukrutnych żołnierzy.

Aby los męża i towarzyszy jego nieco złagodzić, posłała pani Judson znaczną sumę pieniędzy przełożonemu więzienia, który ją chętnie przyjął. Niestety, w kilka dni potem posłał król żołnierzy, by wszystką majątność rodziny zabrano. Ci nalegali na panią Judson, aby wyznała, ile pieniędzy naczelnikowi więzienia dała. Biedna, nie wiedząc, co począć, powiedziała prawdę. Król natychmiast wysłał żołnierzy, którzy przełożonemu więzienia pieniądze odebrali. Ten wpadł w gniew i wściekłość. Chciał się za to zemścić na europejczykach i wszystkich stracić. Pani Judson wybrawszy się poszła do niego, błagać litości dla swego małżonka i towarzyszy.

»Dlaczegoś skarbnikowi króla powiedziała, ileś mi pieniędzy dała?« krzyknął z wściekłością.

»On się surowo zapytał; cóż miałam czynić?« odpowiedziała. »Miałas powiedzieć, żeś nic nie dała; za to byłbym

się z więźniami dobrze obchodził. Teraz ja nie wiem, co z nimi zrobić.»

»Ja nie mogłam skłamać! A choćbyś swym nożem mi był zagroził, ja prawdę powiedzieć musiałam.»

Żona naczelnika siedziała przy boku męża, słuchając z zajęciem, co rozmawiali. W końcu rzekła do męża swego: »Ona prawdę mówi; cóż innego miała uczynić? Ja lubię takie postępowanie, co prostą drogą idzie. Nie gniewaj się na nią.» Od tej chwili stała się przyjaciółką pani Judson.

Dwadzieścia i jeden miesiąc musiał misjonarz spędzić w więzieniu. W końcu miasto Rangoon zostało zdobyte i pokojowe układy rozpoczęto, w których Judson grał rolę pośrednika i tłumacza. Gdy pokój zawarto, zaczęła żona jego wskutek doznanych cierpień słabować, aż ją Pan żywota do siebie powołał.

A. Ż. B.

Ileż lat muszę mieć?

»Mameczko,« rzekła mała dziewczynka; »mameczko! ileż lat muszę mieć, gdy mogę kochać Pana Jezusa?«

Rozumna matka odpowiedziała: »Ileż lat musisz mieć, moje kochanie, gdy mnie możesz kochać?« — »Ale, mameczko, ja cię zawsze kochałam, ja cię kocham i zawsze kochać będę.« To rzekłszy przytuliła się do mamy i serdecznie ją ucałowała. »Aleś mi mameczko na moje zapytanie nie odpowiedziała.«

Matka odpowiedziała innem zapytaniem, mówiąc: »Ileż lat musisz mieć, gdy siebie samą możesz powierzyć opiece mojej?«

»Ja to zawsze czyniłam,« odrzekła

i znowu na wargach matki zawisnęła.

»Ale mi też teraz powiedz, co chcę wiedzieć.« To rzekłszy, usiadła na łonie mamy i mocno jej szyję objęła rękami.

»Ile lat musisz mieć,« odparła matka, »gdy chcesz to czynić, czego ja życzę, abyś czyniła?«

Dziewczynka zgadnawszy, co matka myśli, szepnęła z cicha, mówiąc: »To ja już dziś mogę i nie trzeba czekać, aż będę starszą.«

»Tak samo możesz, moje kochanie,« dodała matka, »kochać Jezusa już dziś od razu, nie potrzebując czekać, aż będziesz starszą. Wszystko, co ci uczynić trzeba, jest, abyś Go kochała, Jemu ufała, i wolę Onego pełnić pragnęła, który powiedział: »Dopuszczcie dzieciom przychodzić do mnie.« — Czy nie chcesz tego od razu rozpocząć?« — Dziewczynka szepnęła, mówiąc: »Tak jest, chętnie.« Potem obie razem ukłękły na ziemi, a matka w modlitwie błagała Pana, aby w swą opiekę raczył przyjąć dziecię, które tak serdecznie chciało być owieczką pastwiska Jego.

Po czyjej stronie?

Na łące stała gromada chłopców; bawili się w żołnierzy. Ustawili się w dwóch oddziałach, wzięli sobie za cel zdobycie pewnego pagóreczka, który się pośród łąki wznosił i brali się do szturm.

»Kto chce być ze mną?« wołał Adolf Dunkan, piękny i żwawy chłopczyk, o niebieskich oczach, stojąc wśród swoich z zarumienionem obliczem.

»Ja,« »ja,« »ja,« odezwało się kilka głosów. Adolf był znany ze swego me-

stwa, wszyscy go z góry wodzem uważali i chętnie się z nim łączyli, ponieważ zawsze odnosił zwycięstwo.

»Dobrze,« rzekł Adolf, a oko jego pałało zapalem istnego wodza, co swoich niechybnie wiedzie do zwycięstwa. »Ale pamiętajcie, ja tchórzów nie cierpię. Jeżeli ze mną jesteście, nie śmiecie się cofać, choć parę szturchańców dostaniecie. Tu trzeba wszystko przenieść cierpliwie, bo ja koniecznie muszę zwyciężyć.« »Hura!« krzyknęła mała drużyna i szturmem jak wiatr pędziła do celu. Na czele pędził wódz ich niestrudzony, nie miał czasu wytchnąć, aż na wierzchołku zatknął chorągiew na znak tryumfu. Była to chustka czerwono-biała, zatknięta na tyce.

Stojąc w pobliżu, patrzałem na te dziecinne wyścigi i pomyślałem o innym wodzu i wielkim zwycięstwie, co koło siebie ludzi zgromadza. Już Mojżesz dawny był nim w pewnym względzie.

Wielka ustawicznie wre na świecie walka, a dwie są strony, co z sobą walczą, Bóg i lud jego przeciw szatanowi i jego zastępom. Człowiek koniecznie musi się namyślić, po której stronie stanie; tu albo tam, trzeciej sposobności niema.

Ludzie mniemają, że mogą stać, patrząc, nie biorąc udziału. Jest to wielki błąd, albowiem Jezus, wódz nasz powiada: »Kto nie jest ze Mną, przeciwko Mnie jest.« A więc kto nie jest wyraźnie z Jezusem, przeciw Niemu stanie, bo go szatan chytrze do siebie przeciągnie, czy człowiek o tem wie albo nie wie.

Po stronie Jezusa zawsze jest zwycięstwo, tu się obawiać klęski nie potrzeba; albowiem Bóg mówi, że »pano-

wać będzie, aż wszystkich nieprzyjaciół pod nogi jego położy.« Najszczęśliwszym i najbezpieczniejszym jest zawsze ten człowiek, co przy Panu stoi.

Bóg i dziś do nas woła, mówiąc: »Kto chce być ze Mną?« Przy Nim niejedno wycierpieć ci trzeba, albowiem Jezus, wódz nasz prawdziwy niejedno cios ciężki przed nami wycierpiał. »Ciebie biczują, cierniem koronują, urągłowie cię lżą i policzkują. Octem i żółcią na krzyżu spragniony jesteś pojony.«

Niejedno z was powie: »Ja postanowiłem za Jego pomocą stać niezachwianie po Jego stronie! Cóż tedy będzie mojem zadaniem?« Zaraz wam powiem; to wyraża słowo, które mówi: »Niech do Mnie przyjdzie!« Naszem więc zadaniem na pierwszym miejscu jest przyjść do Jezusa, aby Mu o naszym postanowieniu powiedzieć. Następnie przyjść, aby rozkaz jego względem walki waszej odebrać; po trzecie przyjść, by nam dał odwagi i zapалу w boju; a w końcu do Niego w każdej sprawie przychodzić! Nie trzeba się wstydzić za takiego wodza. Jemu swe sprawy spokojnie poruczyć! Gdyby dziś na nas zawołał, mówiąc: »Któż po mojej stronie?« — jak miłą rzeczą byłoby słyszeć taką odpowiedź, jak u onych chłopców, którzy wołali: »Ja! — ja! ba my wszyscy!«
E. T.

Miłosierny i litościwy jest Pan; nierychły do gniewu i wielkiego miłosierdzia. Psalm. 103, 8.

Jak daleko jest wschód od zachodu, tak daleko oddalił od nas przestępstwa nasze. Psalm. 103, 12.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Hrabia i dziecko.

Był w pewnym miasteczku hrabia, który ani w Boga ani w Biblię nie wierzył. Pewnego razu usłyszał śpiewać pewną dziewczynkę; jakąś nader miłą melodję nuciła, a śpiew dziewczynki zawsze zajmuje.

Przybliżywszy się ujrzał, że miała łzy w oczach, jak gdyby płakała.

»Dlaczegoż płaczesz śpiewając pieśni?» zapytał łagodnie.

»Tak jestem szczęśliwą,« odrzekła mała.

»Więc czemuż płaczesz, kiedyś szczęśliwą?» — »Ja Jezusa kocham,« odpowiedziała, »przeto mi z radości idą łzy w oczy.«

»Gdzież jest ten Jezus?» zapytał obcy. — »W niebie.«

»Jakże tedy może nieco dla ciebie zrobić, kiedy jest w niebie? On ci nie może dać odzienia ani zabawek, jak rodzice i przyjaciele czynią.«

»On niejedno dla mnie uczynić może. On wchodzi w me serce i mię uszczęśliwia.«

»Głupstwo, co gadasz,« rzekł na to hrabia; »to wierutne głupstwo.«

»O nie! to nie głupstwo,« odpowiedziała dziewczynka; »to jest szczerą prawdą, a ja z niej mam radość.«

Hrabia się odwrócił, ale Duch Boży serce mu poruszył. Co głupstwem nazwał, może być prawdą, a ta prawda może i jego ponure serce radością napęlić. Odtąd szukał i on Zbawiciela, w którym znalazł radość i uspokojenie.

A tak sam się przekonał o prawdziwości słów apostoła, który mówi: »Którego nie widziawszy miłujecie; którego teraz

nie widząc, wszakże weń wierząc, weselicie się radością niewymowną i chwalebnią.« 1. Piotr. 1, 8. W. T. S.

Modlitwa wśród śniegu.

Było to pewnego popołudnia w miesiącu lutym. Na dworze marzło, choć słońce na niebie łagodnie świeciło. Przed domem pani N. bawiła się śniegiem gromadka dobrze ubranych dzieci, widocznie wszystkie były zdrowe i zamożnym rodzicom należały. Jedne skakały po śniegu, drugie robiły z niego bryły ciskając je w powietrze, wszystkie były wesołe i pełne uciechy. Pani N. stała u okna, przez zamarzłą szybę patrząc na dzieci, między którymi jej pięcioletnia Anna się znajdowała. Rumiana jej twarzyczka była istnym obrazem zdrowia i wesołości. Matka patrząc na nią westchnęła do Boga z podziękowaniem i oraz z prośbą, aby łaską swoją jej miłe dziecię raczył i nadal w opiece swojej zachować.

Po chwili wezwała Annę do domu, bo się słońce ku zachodowi chyliło i ostre powietrze powiewało. Służąca zdjęła z dziewczynki ciepłe ubranie, bóbki i pończoszki, które od śniegu nabrały wilgoci, pomogła przywdziać suche pończochy i wygodne pantofle, a potem Annę do mamy zaprowadziła. Dziecko wbiegłszy do pokoju usiadło matce na łonie i z dziecinnym zapałem opowiadało, jak się przyjemnie w śniegu bawiło.

»Wie mameczka, co było?» dodała w końcu. »Bawiąc się w śniegu mimo-wolnie musiałam o Panu Bogu myśleć i modlić się do Niego.«

»A jakżeś się modliła, kochanie?«
 »Powtarzałam tę modlitwę o śniegu, którejsię mnie nie dawno nauczyła: Omyj mnie Panie, a będę bielszą nad śnieg.«

Matka przytuliła dziecko do łona, a Anna w zamyśleniu dalej mówiła:
 »Ja myślę, mameczko, że mię Pan wysłuchał, bo go serdecznie o to prosiłam.«

Nim tego wieczoru poszła spać, nauczyła ją matka jeszcze dwóch wyroków Biblii, w których jest wzmianka o śniegu. Pierwszy z nich zawiera onę przesłaniczną obietnicę Pańską, zawartą w księdze Proroka Izajasza r. 1. w. 18.: »Choćby były grzechy wasze jako szarłat, jako śnieg zbieleją.« — Drugi zaś jest napisany w księdze objawienia św. Jana r. 7. w. 14.: »Cię są, którzy omyli szaty swoje i wybielili je we krwi Barankowej.«

Sliczna to była modlitwa, którą mała Anna wśród zabaw dzieciennych westchęła do Boga. Oby wszystkie dzieci zawsze się modliły!

Trzymając się liny.

Brzegi Anglii są miejscami bardzo skaliste i prostopadle spadają w morze. Pewnego dnia wybrał się młodzieniec na takie skały, puścił się za daleko, a obaczywszy, gdzie się znajduje nie był więcej w stanie ni w tę ni w ową stronę się obrócić. Przed nim otwierała się otchłań morską, w prawo i lewo piętrzyły się skały, a powrócić także nie było można, bo nie miał na czem się przytrzymać, aby się wdrapać na sterzące skały, które i tak kruszyły się, gdy je ręką ujął. W tem niebezpiecznym położeniu nic innego nie pozostało, jak wołać o pomoc. Długo też wołał, nim

go ludzie usłyszeli, a przekonawszy się o niebezpieczeństwie, śpieszyli z pomocą. Leczą i tę przynieść nie było łatwą. Do zabłąkanego nikt się dostać nie mógł.

Zrobili więc tak. Na szczycie skały wbili do kamienia żelazny klin, który mocno trzymał. Do niego przywiązali linę i spuszczała na dół. Ale robota nie była łatwą, ponieważ trzeba było przeprowadzać ją naokoło skały i ponad przepaścią. Więc jeden z mężczyzn zstępował ostrożnie nadół wzdłuż liny, aż na pewnym miejscu próbował zarzucić jej koniec do miejsca, na którym w wiszącym położeniu znajdował się zabłąkany. Po dłuższych próbach udała się sprawa; lina dostała się do rąk jego i po niej ostrożnie brał się do powrotu.

Patrząc na człowieka, który się spuścił do pewnej głębi, trzymając się liny i kierując liną, aby się do rąk zabłąkanego dostała, przypominają mi się dwa wyroki z Pisma świętego. Pierwszy brzmi: »Trzymający się onej wiernej mowy.« Tytus 1, 9.

Drugi brzmi: »Zachowuwając (lepiej podawając) słowo żywota.« Filip. 2, 16. Trzymamy się dla własnej bezpieczeństwa naszej; podawamy innym dla ich ocalenia. A zatem Słowo Boże jest jak ona lina. Jest »wierną«, nie złudną, bo kto się jej trzyma, nie upadnie; jest jak lina »żywota«, albowiem w niebezpieczeństwie się znajdującym żywot ocala.

Błogosławieni, którzy mają czego się trzymać. Czytałem o niedowiarku, który miał umierać. Przyjaciół jego chciał go pocieszyć, bo wielkie bole znosił, a umysł jego był pełen rozpacz. »Trzymaj się,« mówi przyjaciel jego.

»Ach,« odpowiedział umierający, »gdybym tylko miał czego się trzymać.« — I nam bardzo często trzeba się trzymać, nie tylko w śmierci ale i w życiu. Niekiedy jest człowiek na śliskiej drodze, że się o swych siłach utrzymać nie może. Niekiedy staniemy na takich szczytach, że nam się prawie głowa zawraca. Najlepszą rzeczą dla młodzi naszej jest »trzymać się mocno.«

Lecz czegoż, dzieci, chcecie się trzymać? Czy może swoich dobrych uczynków? Mnie się wydaje, jakby tam nie wszystko było doskonałem? Czy dobrych chęci i dobrych zamiarów? Czyście je też zawsze ściśle wykonali? Może trzymacie się i spolegacie na pewnych wzruszeniach i tkliwych uczuciach? Ja im nie wierzę; w stanowczej chwili doznacie zawodu. Nie, nam czegoś lepszego potrzeba, czegoś stałego, naczem można spocząć, czegoś mocniejszego, aby się trzymać, a dzieka Bogu, mamy linę taką, którą jest Słowo Wiekuistego, wierna mowa jego. W niem, powiadają, jest aż 30.000 obietnic zawartych, a my wiemy, »wierny jest ten, który je obiecał,« Żyd. 10, 23. Jeżeli tylko jedno przyrzeczenie Boże weźmiecie, jak n. p. to: »Kto wierzy w Syna, ma żywot wieczny.« Jan 3, 36. — a tego jednego mocno się trzymacie, to ono stanie się kotwicą dla duszy aż na wieki wieków.

Lecz jeżeli tej obietnicy prawdziwie się dla siebie trzymacie, czy ją też innym podawacie? Czy ją trzymacie tak, aby się przez nią ocalić mogli? Możecie ją trzymać, jakby pochodnię, co drogę oświeca, aby bliźniego ostrzedz przed przepaścią. Możecie trzymać jakby oręż, którem się wroga mężnie odbija;

możecie też trzymać jak linę, którą tonącego ciągną z otchłani. Spróchniała lina nie wiele pomoże, lecz Słowo Boże jest mocną liną, na którą można zupełnie się spuścić. Sami trzymaliście się go, więc wiecie, jest »wiernem«; innym, przyjacielom i znajomym możecie je podać, bo to jest prawdziwie »słowo żywota.«

Czy wiecie, dlaczego ta lina jest mocną? Bóg sam ją zgotował. W fabrykach naszych, gdzie się rządowe liny wyrabiają, wkładają w każdą długą nić czerwoną, poczem się poznawa, że liny takie są własnością rządu. Otóż i przez Słowo Wiekuistego snuje się taka czerwona nić, od krwi Abła i ofiary Abrahama począwszy, aż na Golgatę, gdzie się krew Baranka za grzechy nasze przelała; aż do tronu Boga Trójjedynego, gdzie zastępy zbawionych śpiewają, mówiąc: »Baranek zabity odkupił nas Bogu przez krew swoją.« Tej liny się trzymaj, ona nie pochybi. T. B. B.

Choćby się i góry poruszyły i pagórki się zachwiały, jednak miłosierdzie moje od ciebie nie odstąpi, a przymierze pokoju mego nie wzruszy się. mówi twój miłościwy Pan. Izajasz. 54, 10.

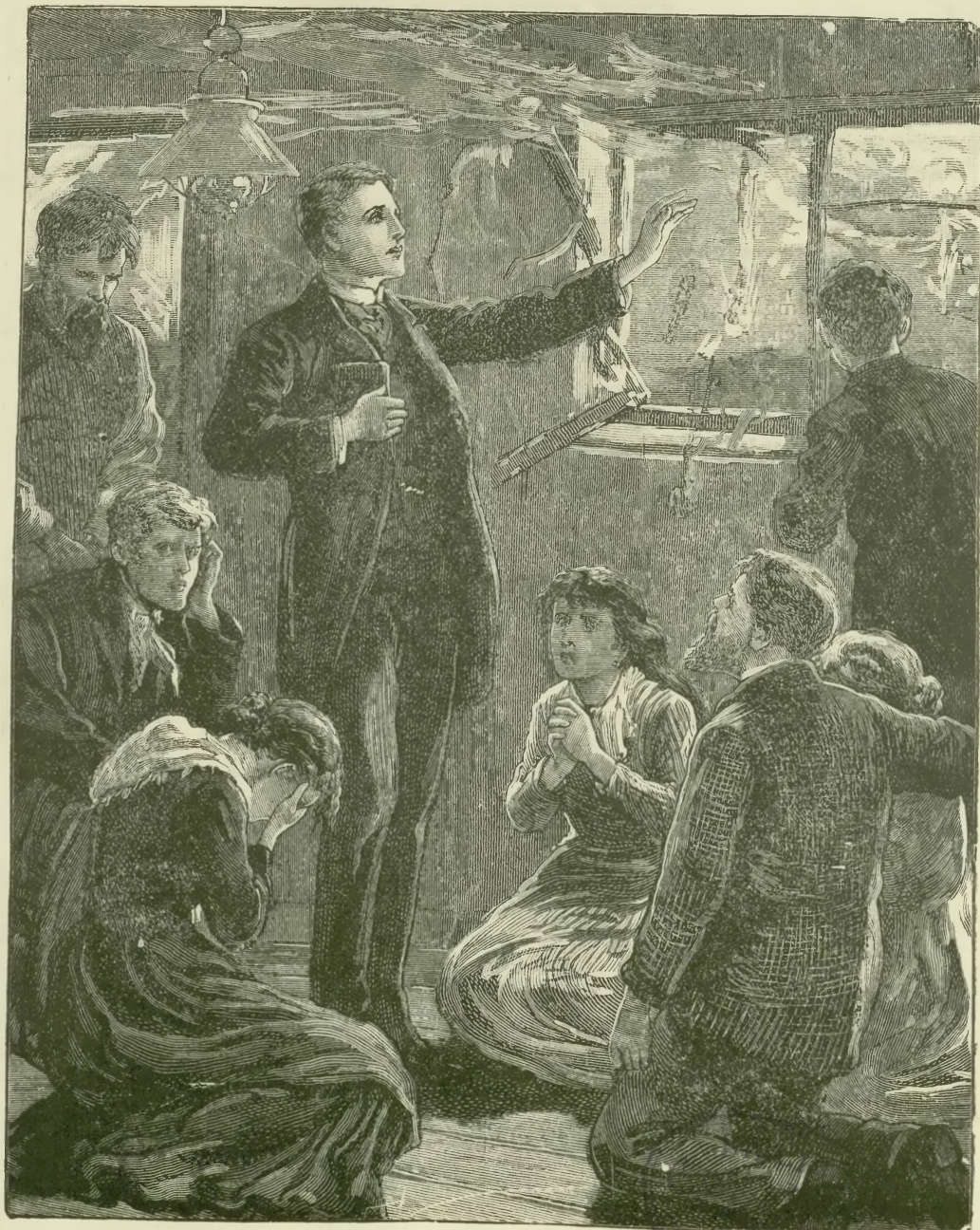
Ja najlepiej wiem myśli, które myślę o was, mówi Pan; myśli o pokoju a nie o utrapieniu, abym uczynił koniec pożądanym biedom waszym. Jerem. 29, 11.

Jam jest on chleb żywota; kto do mnie przychodzi, łaknąć nie będzie, a kto wierzy w mię, nigdy pragnąć nie będzie. Jan 6, 35.

Nawet i włosy na głowie waszej policzone są. Mat. 10, 30.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Okropna noc.

Była to okropnie duszna noc, dnia 10. lipca 1886. Słońce wyglądało jak miedziana tarcza, czerwone, niejasne; w takich kolorach zachodziło za wierzchołkami gór Tarawery, jakby rozgniewane, że do takiego łoża idzie na spoczynek. Góry zaś same dziwnie jakoś wyglądały zamglone, gdy cienie wieczorne na nich osiadały, pokrywając skromną roślinność, a potem wszystkie wierzchołki ciemnością ogarniając.

W wielkim hotelu miasta Rotomahana i we wszystkich chatkach naokoło pogaszono światła; mieszkańcy udali się na spoczynek, z którego niestety strasznie się ocucili. O północy, jak niegdyś w Egipcie, odezwały się krzyki, bo ziemia pod nogami zaczęła się chwiać. Między tymi, którzy z pościeli wyskoczyli, był pewien młodzieniec, silny i zdrowy, pochodzący z Anglii. Pięć dni przedtem przybył do Tarawery, pragnąc oglądać tamtejsze okolice, słynne z piękności. Całymi dniami jeździł na koniu zwiedzając wzgórza wulkaniczne, mi okryte popiołami, prześliczne gaje kwitnących akacyj, tudzież brzegi jeziora, którego wody małym strumykiem na dół spływały.

Miał lat dopiero 21, był silnym i zdrowym i okiem pełnym nadziei, zapalał patrzeć do przyszłości. Mimo to, albo prawie skutkiem tego zawsze z sobą nosił Nowy testament oprawny w skórę. Edwin Benbricz tem więcej unosił się nad pięknościami przyrody, ponieważ całym sercem kochał Stworzyciela. Gdy liczył lat pięć, umarł mu ojciec w ciągu kilku godzin, a matka w dni kilka poszła za mężem. Mło-

dy Edwin jednak znalazł wkrótce Tego, który żadnej sieroty nigdy nie opuści. Później jeszcze utracił brata wskutek wypadku przy wystrzale z flinty, tudzież siostra dorosła dziwnym sposobem życie utraciła. Wszystkie te klęski tem mocniej serce młodzieńca utwierdziły w Bogu.

Gdy pierwsze wstrząśnienie dało się uczuć, wszyscy mieszkańcy hotelu zgromadzili się w pokoju, który jeden pozostał nieuszkodzony. Lecz niedługo byli tam niebezpieczni. Istny grad kamieni i kul ognistych, błota i lawy spadający z góry zawalił dach domu, tak iż wyższe piętro z ogromnym łoskotem zleciało na dół.

W tej chwili Edwin stał niezachwiany wśród rozpaczających; stał z Biblią w rękę, prosząc obecnych, aby słuchali słowa pociechy, którą im Bóg zsyła. Nigdy słowa Pisma nie brzmiały w świecie tak uroczyście jak w onej chwili grożącej śmierci, czytane przez człowieka, który ich znaczenie w duszy odczuwał. Łagodnie, jasno jakby smutna skarga odzywała się prośba: »Panie, wspomnij na mnie!« Jak pociecha nieba brzmiała odpowiedź: »Zaprawdę, powiadam tobie, dziś będziesz ze mną w raju.«

Wszyscy słuchacze czuli drżącym sercem, że lada chwila ta obietnica sprawdzi się nad nimi, a ta okoliczność wielkim nabożeństwem napawała serca. Okna domu wszystkie były wybite, mury się chwiały, a w pokoju było jasno jak we dnie wskutek płomieni wszędzie palających. Wśród drżącej gromadki stał młody Edwin, rroczystym głosem wołając do Boga i mówiąc: »O Panie! Ty z nami zostań. Życie nasze w Twojej jest ręce, a jeżeli w tej

chwili staniemy przed Tobą, zlituj się nad nami, odpuść winy nasze!»

Nastała cisza; słowa modlitwy drżały jeszcze w uszach. Obecni powstali z kolan na nogi i wymawiając słowa dziękczynienia rozeszli się na chwilę.

Edwin poszedł także do swego pokoju; usiadłszy wziął arkusz papieru i pisał. »Edwin Benbricz z Newcastle w Anglii pisze te słowa. To jest najokropniejsza chwila w całym mem życiu. Nie mogę powiedzieć, kiedy mię Bóg wezwie, abym przed Nim stanął. Dziękuję Panu, że siła Jego mię wspiera. Jesteśmy pod okropnym deszczem wulkan—« Wszystkie te słowa są tak wyraźnie i spokojnie napisane, jakby najmniejszego wzruszenia nie doznał. Naraz zwalił się hotel, a kto mógł, uciekał. Edwin jeszcze zwinął papier, włożył w biurko i wyszedł z pokoju. Gdy po kilku dniach papier znaleziono, był cały zwalany i nawpół spalony, a ręka, co słowa pisała, spoczywała w śmierci.

Odpowiedź Maryni.

»Mańciu moja!» rzekł pewnego dnia dziadus, »powiedz ty mi, dlaczego Pana Jezusa kochasz?»

Marynia była jeszcze małym dzieckiem, lecz spojrzawszy spokojnie na dziadusia, rzekła: »Ale mój dziadziu, Pan Jezus mię wezwał, przeto poszedłam i jemu serce me dałam, bo mię umiłowal.»

»Zkądże możesz wiedzieć, że cię Jezus wezwał, taką dziecięcę?» — »Dziadeczkul« rzekła, jakby ją wstyd było, że dziadzio tak mało umie, »Pan Jezus powiedział: Dopuszczcie dziatkom przy-

chodzić do mnie! Czy się to także do mnie nie odnosi?»

Staruszek ucieszył się, że wnuczę o wezwaniu Pana wiedziało. Położywszy mu rękę na głowie rzekł: »Bardzo dobrze, kochanie; nikt ci tego zabronić nie śmie, ponieważ Pan mówi, że takich jest królestwo niebieskie.»

Tak tedy serca młode, kochane! wy wszystkie do tych należycie, które Jezus wzywa. Czyście na wezwanie tak odpowiedziały jak Marynia? Jeżeli nie, jeżeli wam się zdało, że głos jego miły nie was obchodzi, to wam przypominam, że się wezwanie jego do każdego dziecięcia, po wszystkie czasy odnosi. On tak i do was wszystkich się odzywa, odzywa w tej chwili. Proszę was tedy, nie zatulać uszu swych przed Panem. Nie bądźcie głuche na jego wołanie, aby się nie musiał skarżyć, powiadając: »Ile razy chciałem zgromadzić dzieci twoje, a nie chcieliście!»

Może powiecie: »Cóż mi za zysk z tego, jeżeli do Pana Jezusa pójde?» Ja odpowiadam: »Najprzód dostąpicie odpuszczenia grzechów, dalej pokoju, potem cierpliwości do niesienia krzyża, a w końcu po wszystkim — koronę żywota, na wieki nie zwiędłą. Nie zapominajcie o tych wielkich skarbach. Droga zaś, co do nich człowieka prowadzi, jest Jezus Chrystus.« Może odpowiecie: »Jakże mamy iść?» Czy nie pamiętacie, co Jezus powiada? »Jam jest drogą,« mówi. A więc wprost do Niego udać się trzeba, nie szukać ścieżki jakiejś osobliwej. Wprost więc do Pana, wprost do Jego serca! Czy serce wasze nie tęskni za Nim? Bądźcie przekonane, najlepszy przyjaciel was tak nie powita, nie przyjmie serdecznie, jak was

Jezus przyjmie. Idźcie do Niego, Jego własne słowo najlepszem wam będzie poleceniem. Oby Pan wszystkim, co to czytają, błogosławieństwa uzyczyc raczył.

B. G.

Jam jest drzwiami.

Niekiedy nam się zdaje, jakby droga do Boga była zatarasowana wielkimi przeszkodami i pozamykana ogromnemi drzwiami, tak iż człowiekowi trzeba stać i kołatać, a żadnym sposobem nie można się dostać do wnętrza. Jakże inaczej przedstawia sprawę Jezus, Zbawiciel nasz, mówiąc: »Jamci jest drzwiami.« Gdy dobry przyjaciel stanie we drzwiach domu swego, prosząc was do siebie, to najmniejszej trudności niema dostać się do domu jego. Trzeba tylko nogę podnieść i przekroczyć próg.

Bóg nas do siebie zaprasza, a Jezus stoi i mówi, wzywając: »Pójdźcie przez Mię. Jamci jest drogą, Jamci jest drzwiami.« Człowiek dobrotliwy a jednak Bóg wieczny stoi Pan przed nami, zapraszając: »Pójdźcie!« Czy nie chcecie wejść? Nie łatwą mu było tak stać i wołać, bo wiecie, że za to życie ofiarował. Tak, życie swe wydał, nim nas mógł wybawić.

U niejednych drzwi trzeba człowiekowi stać i kołatać raz, drugi i trzeci, nim mu otworzą, a potem jeszcze nie jesteś pewnym, jak cię przyjmą. Lecz gdy Jezus we drzwiach wzywa nas do siebie, to pewnie serdecznem będzie przyjęcie. U niektórych domów znajdziemy drzwi dwoje, z przodu i z tyłu. Tu tylko są jedne, a przez te jedne idą wszyscy ludzie, wielcy i mali, biedni i bogaci — oni wszyscy muszą iść

przez Jezusa, bo innego wejścia do Boga niema.

A cóż potem, gdy do Niego przyjdziemy? Potem zbawieni jesteśmy, albowiem już teraz każdy człowiek do zbawionych lub potępionych należy. W tej chwili, gdy te słowa czytasz, po stronie jednych lub po stronie drugich się znajdujesz. Innego sposobu niema. A jeżeli rzeczywicie dotąd do zbawionych nie należysz, czy nie zechcesz szukać Jezusa Pana, aby cię zbawił?

Było to niedawno, piękny okręt puścił się w drogę; na pokładzie znajdował się między innymi młody podróżny, z którym się rodzice czule żegnali. Po kilka razy powtarzali sobie życzenia swoje, porucząc Bogu całą załogę, a przede wszystkim kochanego syna. Lecz za krótki czas nadeszła nowina, że się okręt w drodze o skały rozbił. Okropna rozpacz ogarnęła serca i żadnym sposobem się nie uspokoili, aż po kilku tygodniach nadszedł telegram z podpisem syna; było tam tylko to jedno słówko: »Ocalony.« Wszystek ich smutek od razu ustąpił, a radość nieopisana ogarnęła serca.

Czy możesz do nieba wysłać wiadomość słowem: »Ocalony?« A możesz takową imieniem swem stwierdzić? Radość panowała w rodzinie młodzieńca, gdy się dowiedzieli, że jest ocalony. Może też być w niebie dziś taka radość na wieść o wiecznem zbawieniu twojem?

Ktorzy są Chrystusowi, ciało swoje ukrzyżowali z namiętnościami i pożądliwościami. Galat. 5, 24.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.

Wesołe poselstwo dla dzieci.



Ułomny Antek.

Biednego Antka znano bardzo dobrze na niektórych ulicach ogromnego Londynu. Ciało jego było bardzo słabe, lecz co do ducha, był dosyć żywym i sprytnym chłopakiem. Do wszelkiej roboty był zręcznym, lecz najwięcej zajmował się sprzedawaniem kwiatów i gazet.

Pewnego dnia w zimie pośliznął się i upadł na posadzce. Jakaś dziewczynka mimo przechodząc pomogła mu powstać i rzekła uprzejmie: »Czyś się nie skaleczył?»

Cała twarz jego rozświeciła się radością nad tą pomocą i uprzejmem słowem; koniecznie się wzbraniał przyjąć monetę, którą mu podała.

Gdy odeszła, opisywał Antek cały wypadek przed jednym z przyjaciół, dodając: »Dziesięć razy chciałbym tak upaść, gdyby mię zawsze tak podniosła jak teraz.« W przyszłości liczył biedny Antek czas tylko ode dnia, gdy ta panienka tak była uprzejmą, lub gdy go podniosła.

Rozczulającą jest sobie pomyśleć, jak wielką radość biednemu chłopcu tak małym uczynkiem sprawiła, ale także pocieszającą, bo nas uczy, że każdy i każda z nas może niewielką grzecznością sprawić radość i uszczęśliwić tak biedną istotę.

Perskie przysłowie mówi: »Uczyn teraz niewielką rzecz, to wielkie powoli się znajdą, prosząc, byś je wykonał.« Często małe rzeczy pomijamy, czekając na sposobność do pełnienia wielkich. Chcąc zdziałać coś takiego, co ten lub ów zdziałal, omieszkujemy uczynić to, co w naszej jest mocy.

Kałuża przy drodze rzekła do kropli deszczu, co w nią wpadła, mówiąc: »Jak ty jesteś małą i nieznaczną rzeczą!»

»Może być,« odrzekła kropla wesoło; »lecz się we mnie całe niebo odbija, a powierzchnia wielkiego jeziora też więcej dać nie może.«

Pewien młody Indyanin oddał swe serce Panu Jezusowi. Potem na wiosnę poszedł w dalsze strony ryby łowić. Na rozstaniu rzekł do misjonarza, mówiąc: »Mój towarzysz i ja nie umiemy dużo, my wielkiej światłości wśród towarzyszy łowiących ryby nie wzniesiemy, ale jeśli tylko wśród ciemności pogaństwa choć jak zapałka zaświecimy, to choć jednemu między błądzącymi wskażemy przez to drogę do zbawienia.«

F. T.

Dziwne ocalenie.

Było to roku 1778. w miesiącu lipcu. W Północnej Ameryce, w Stanie Pennsylvania, płynie rzeka Susquehanna. Nad jej brzegami wznoszą się dziś piękne wioski i kwitnące miasta, ale przed stu laty zupełnie inaczej tam wyglądało. Były pojedyncze osady, pracowity rolnik uprawiał ziemię, lecz znaczna część kraju była jeszcze dziewiczymi lasami pokryta, w których dzicy Indianie mieszkali. Inne zaś przestrzenie kraju zupełnie jeszcze odłogiem leżały.

W pewnem oddaleniu od osady rolników stała na wzgórzu nie wielka chatka, z mocnego drzewa silnie zbudowana, lecz bez wszelkich ozdób. Takie mieszkania sobie pierwsi osadnicy budowali. Pewnego poranku stały przed nią cztery osiodłane konie, dobrej rasy i dobrze karmione. Koło nich stało

czterech młodych jeźdźców uzbrojonych w flinty — oczywiście wybierali się w drogę i na kogoś czekali. Byli to młodzieńcy rośli i czerstwi, lecz więcej wprawieni do pług i roli niż robienia strzelbą. Po dłuższym czekaniu otworzyli się drzwi chatki, a z wnętrza wystąpił staruszek czerstwy o poważnej twarzy i białych włosach, które mu nadawały postać patriarchy. Był to ich ojciec. Każdego poranku, każdego wieczora kłekał u krzesła nad Biblią otwartą, z której czerpał siły i jakby kapłan domu i rodziny długo i gorąco modlił się Bogu. Modlitwa i słowo Boże było najmocniejszą bronią owych osadników, którzy najczęściej dla wiary swojej w wolnej Ameryce szukali przytułku.

Na widok ojca stanęli młodzieńcy i odkrywając głowy czekali, że im na drogę pobłogosławi. Lecz ojciec poważnie przemówił do nich: »Dzieci moi! dziś nie pojedziecie!« Zdumieli się młodzieńcy. Wczoraj umówili razem z ojcem, że wyjadą do młyna o kilka mil odległego, aby przywieźć mąki, na którą przed tygodniem odwieźli zboże. W domu ani garści mąki nie było i niema z czem zwlekać. Tłumaczy to ojcu, ale na próżno. »Dzieci moje,« rzekł, »jutro pojedziecie, dziś nie. Ja sam nie wiem, dlaczego; lecz gdy się modliłem, prosząc Boga, aby was prowadził, ustawicznie przychodziły mi na myśl słowa: »Niech zostaną aż do jutra.« Synowie widząc poważną twarz ojca i słyszając głos jego spokojny, poważny, natychmiast zrozumieli, że wszelkie przedstawienia będą bezskuteczne; przeto rozsiedlali konie i spokojnie przyszłego poranku czekali. Lecz ten poranek wielkiej zmiany przyniósł. Tej samej nocy wpa-

dła zgraja dzikich Indian na osadę, zastała osadników pogrążonych we śnie, najmniejszego nie przeczuwających niebezpieczeństwa i wszystkich aż do ostatniego w pień wymordowała. Budynki białych wszystkie zapaliła, a potem z wielkim wrzaskiem i hałasem wracała do gąszcza. Gdy poranek nastał, wstali synowie naszego patriarchy osiodłać konie i puścić się w drogę. Lecz wyszedłszy przed dom o wschodzie słońca ujrzeni w dali dymy buchające i wkrótce się o rzezi popełnionej dowiedzieli. Młyn, do którego się wybierali, spłonął w płomieniach, a obywatele jego aż do ostatniego, stali się wszyscy ofiarą rzezi. Młodzieńcy tak samo byliby zabici, gdyby jak chcieli, we młynie byli przenocowali. Nie dziw tedy, że usłyszawszy o tem zdarzeniu sędziwy ojciec i synowie jego pod szczerem niebem uklękli na ziemi i z głębi serca podziękowali łaskawemu Bogu za swe ocalenie. L. C.

Za rękę.

Pewnego wieczoru szła mała dziewczynka z ojcem swym do domu. Po drodze było trzeba przejść przez rwącą wodę, nad którą zamiast kładki tylko jedną prostą deskę położono. Było tam miejsce dla jednej ledwie osoby.

Gdy ojciec wkroczył na deskę, rzekł do dziewczynki: »Chodź moje dziecko, podaj mi rączki, a teraz idź za mną.« Gdy się szczęśliwie na drugą stronę dostali, rzekł ojciec do dziecka: »A jakże, moja! czyś się nie bała iść za mną po desce, gdy pod nami woda szumiała?«

»O nie,« odrzekła; »jakżebym się bała, kiedyś twoją, ojczy, rękę trzymała?«

Tak i my musimy ufać Ojcu w niebie. Niech On nas trzyma za rękę naszą, a my nie trapmy się myślą, czy my go też sami mocno trzymamy. Tak pójdziemy za Nim przez łąki i pola, pagórki, doliny, aż w pałacu króla bezpiecznie staniemy. *F. B.*

Czy tu jest miejsce?

»Zróbcie się szerokimi! Rozłóżcie torby i książki po krzesłach,« rzekła Agnieszka do przyjaciółek na zgromadzeniu dzieci. »Gdy Kasia sąsiadowa nadejdzie, by przy nas usiadła, to jej powiemy, że już miejsca niema.«

Kasia przyszła, szukając krzesła. Patrzy naokoło; dziewczęta siedzą od niej odwrócone, ubiór szeroko mają rozpostarty a na zapytanie odpowiedziały: »W tym rzędzie już niema dla ciebie miejsca!« Zatem odeszła.

* * *

»O, chodź tu ku nam, Marynko,« zwołały dziewczęta siadając do powozu i sposobiąc się do wycieczki. »Chodź tu, Marynko; jeszcze się lepiej ściśniemy i zrobimy miejsce dla ciebie. Chodź tu ku nam, będzie nam z tobą tak miło i dobrze!«

Dziewczęta się ściśniły i zrobiły miejsce drogiej przyjaciółce. Wygodnie im nie było, bo były tak zbite, że się w powozie ruszyć nie mogły, a jazda była dosyć daleką. Ale cóż to znaczy? Gdzie miłość, tam nawet w niewygodzie dobrze.

* * *

Oto, dziś Zbawiciel do serca twego idzie. Czy jest w nim dlań miejsce? Drogi to przyjaciel. Jemu już trzeba przygoto-

wać miejsce, choćby to z niewygodą było połączone. Bez Niego nie będziecie szczęśliwi, ani jednego dnia. On wszystkie troski wasze zmniejszy o połowę, a wszystkie uciechy podwoi, osłodzi! Przyjmijcie go w serce, kochane dzieci. Powiedzcie Mu, mówiąc: »O Panie Jezu! choć serce moje jest pełne grzechu i niewiedomości, pełne wątplenia i namiętności, to jednak, o Panie, ja muszę mieć Ciebie! Dla Ciebie jest miejsce, mój Panie Jezu. O, wejdź w serce moje!«

* * *

Szatan się umizga, także miejsca szuka. Miej się na baczności, młody chrześcjaninie! Nie daj mu miejsca, bo cię nie opuści. Najlepszy sposób się go pozbyć jest, oddać swe serce Panu Jezusowi, niech On je zajmie i całkiem zapełni. Niech On tam tronuje, niech każdy jego kątek wypełnia miłość i radość i pokój, łagodność i dobroć. A gdy szatan przyjdzie szukając miejsca, krzyknijmy, wołając: »Wszystko dla Jezusa! Wszystko dla Jezusa! Niema tu miejsca.«

E. T.

Nie wstydzę się za Ewangelią Chrystusową, ponieważ jest mocą Bożą ku zbawieniu każdemu wierzącemu. Rzym. 1, 16.

Kogóżbym innego miał na niebie? I na ziemi w nikim innym upodobania nie mam. Ps. 73, 25.

Miłością wieczną umiłowalem cię, dlategoć ustawicznie miłosierdzie pokazuję. Jerem. 31, 3.

Dosyć masz na łasce mojej, albowiem moc moja wykonywa się w słabości. 2. Kor. 12, 9.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.



Wesołe poselstwo dla dzieci.



Aniołek Jadwigi.

»Mamo! mamol! nic mi nie zostało!« odezwał się miły, dźwięczny głos dziewczynki, liczącej nie więcej niż dziesięć lat życia. Oczka miała jasne, ale szczięta były bardzo zużyte. Kobieta, którą nazwała »mamą«, wyglądała bladą, wynędzniałą, ale na twarzy odbijał się spokój i nadzieja serca. Patrząc na córkę, rzekła: »Nic ci nie zostało? Cóż przez to rozumiesz?«

»O mameczko!« rzekła: »Jam swój głos, swoje ręce i nogi Panu Jezusowi oddała, i tak bardzo czuję się szczęśliwą. Na nabożeństwie śpiewaliśmy tę piękną pieśń, w której jest wyszczególnionem, co to wszystko Panu Jezusowi oddać powinniśmy. Ja jej nie śpiewałam całej, bo »srebra« i złota nie mam; lecz swoje ręce i swoje nogi chętnie jego służbie poświęcę, a z tego bardzo jestem szczęśliwą.«

Matka przycisnęła główkę córki do łona, gorącego całusa kładąc na jej czole, a dwie łzy spłynęły jej przytem z oczu, lecz łzami żalu wcale nie były.

»Tak się z tego cieszę, moje kochanie!« rzekła. »Bóg mojej prośby wysłuchał, bo się modliłam, aby tobie, kochana Aneczko, zawsze błogosławił.«

Anna jeszcze raz przeczytała piękną pieśń nabożną, a potem się obie obok siebie położyły spać.

»Mameczko!« rzekła Anna, gdy rano skromne spożyły śniadanie, »co ja też dzisiaj mogę dla Pana Jezusa uczynić?«

»Musisz zaczekać, moje dziecko,« odpowiedziała matka. »Ja nic z naszych rzeczy oddać nie mogę, bo bardzo jesteśmy biedne. Lecz czekaj tylko. Bóg sobie sposób obmyśli.«

»Ale mamciu,« czy ja dziś nie mogę czego dla Jezusa uczynić?«

Matka pomyślała przez chwilę, potem rzekła: »Myślisz, żebyś potrafiła posłać łóżę niewidomej Jadwigi, wymieść jej pokój i wszystko do ładu przywieść? Mógłabyś to za mnie zrobić? Ja się nie czuję zdrową, a to byłaby prawie robota dla Pana Jezusa, bo Jadwiga jest jedną z Jego uczennic.«

»Tak jest, mameczko, to ja chętnie zrobię,« odpowiedziała. Potem, przywdziawszy ubranie, bo było zimno, pobiegła chętnie do starej Jadwigi.

Ta już słuchała, skoro na schodach usłyszy kroki uprzejmej sąsiadki, matki Anusi. Gdy inny krok usłyszała, mignął po jej twarzy jakby cień rozczarowania, aż ją wdzięczny głosik zwinnego dziewczęcia znowu uspokoił. Anna była zgrabną i troskliwą, do tego w domu nauczyła się porządku; przeto za niedługo pokoik Jadwigi wyglądał schludnie. Wszystko było na swoim miejscu. Potem umyła staruszce twarz i ręce, posłała łóżko, a gdy robotę ukończyła, zapytała, co ma na śniadanie? »Nic, moje dziecko,« rzekła staruszka, lecz nie ze skargą, tylko z cierpliwością. — »Ale czy Pani nie jest głodna?« — »Nie, nie jestem już więcej. Miałam to uczucie, ale mi przeszło. Ja wkrótce będę niecoś miała, bo mi Pan Jezus powiedział, że mi małego anioła pošle. Może ty jesteś moim aniołkiem?«

»Nie, Jadwigo!« rzekła dziewczynka, cała zamyślona. »To być nie może, bo ja ani grosza nie mam, ani jednego grosza.«

»A jednak nim jesteś, mym małym aniołem,« odrzekła stara. »Idź na ulicę, chodź trochę tam sam, ja zaś tu sie-

dząc będę się modliła i jestem pewna, że mój Ojciec w niebie przyśle mi pomoc.»

Anna pocałowała staruszkę i wyszła. Siedm razy przeszła ulicą tam sam, spodziewając się — lecz nie dowierając, — że prośba staruszki będzie wysłuchaną. W tem tuż obok niej otwarły się drzwi i odezwał się głos kobiety wołającej: »Hej! moje dziecko; widzę nic nie robisz. Zabiegnij mi tam z tym listem, dam ci za to grosza.«

»Oto śniadanie dla Jadwigi,« pomyślała u siebie; prędko odbyła poselstwo i odebrała nagrodę. Teraz należało mądrze użyć grosza, aby najpotrzebniejsze rzeczy zakupić. Lecz na tych sprawach znało się dziewczę. Skoczyło tedy naprzód, lecz na zmarzniętej posadzce pośliznąwszy się upadło na kupę brudnego śniegu. W tem je jakaś uprzejma ręka podnosi, oczyszcza chustką i stawia na nogi.

»Moje dziecko, nie trzeba tak pędzić napoprzek ulicy; na przyszły raz idź nieco ostrótniej,« rzekł poważny mężczyzna. Anna spojrzawszy w jego twarz uprzejmą, rzekła spokojnie: »Dziękuję Panu! Nic mi się nie stało. Prędko pobiegłam, bo mi było śpieszno i nie mogłam bardzo drogi obierać.« — »Czemuż ci śpieszno? Czy idziesz do szkoły? Na to już późno.« — »Nie, Panie! Ja ten tydzień do szkoły nie idę, bo nie mam, co obuć. W poniedziałek znów pójdę, powiada mama. Ja śpieszyłam kupić nieco na śniadanie dla starej Jadwigi.«

Jeszcze jedno i drugie zapytanie, a Anna już stała na progu sklepu. Misyonarz szedł za nią aż do drzwi i słyszał, jak mówiła: »Proszę mi dać kawałek chleba,

masła, drzewa i węgla, ile za jeden grosz otrzymać mogę.« Anna nie wiedziała, że obcy wstąpił za nią do sklepu, aż naraz usłyszała głos jego, gdy mówił: »Proszę dać po groszu z każdego gatunku.«

»Ach, Panie!« rzekła, ściskając przez wdzięczność dłoń misyonarza. »Czy też Pan kocha Pana Jezusa?« — Potem za chwilę dodała: »Pan jesteś aniołkiem starej Jadwigi.«

»To ty nim jesteś,« rzekł na to Jegomość. »Śpiesz się więc teraz. Zanieś jej śniadanie.«

Pobiegła do staruszki, zapaliła ogień, gotowała wodę, pomazała chleb masłem, a gdy herbatę ugotowała, nalała do filiżanki! A to jakiej herbaty! Prawie tak wyglądała, jak gdy ją z garnuszką lała do maszynki.

Lecz na tem się praca misyonarza nie zakończyła. Prawie gdy Jadwiga śniadała, ku zdziwieniu staruszki i opiekunki pojawił się w drzwiach i rozpoczął rozmowę z staruszką.

»A dawno już pielęgnujesz Jadwigę?« zapytał misyonarz, zwracając się do Anny. — »O dziś, po pierwszy raz,« rzekła. »Mama czuła się dziś nieco słabą i mnie wysłała uporządkować pokoik Jadwigi. Mnie się tak ta robota podoba i tak się przy tem czuję szczęśliwą! A czy tu nie wygląda zupełnie schludnie?« zapytała maleńka niewinnie.

»Tak jest! zupełnie ładnie,« rzekł misyonarz. — »Trochę uwalalam sobie sukienkę, kiedym upadła; ale to nie szkodzi, bom się wcale nie uderzyła. Mnie się to tak podoba, że jutro znowu poproszę mamę, by mi pozwoliła posłużyć Jadwidze. To tak przyjemnie, kiedy można komu co dobrego zrobić.« Potem

misjonarz przeczytał ustęp z Pisma świętego, zostawił niewielką sumkę pieniędzy na opędzenie najbliższych potrzeb Jadwigi i znowu przybyć obiecawszy pożegnał się. Anna umyła naczynia od śniadania i wesoło wracała do mamy, by jej opowiedzieć, co ją to dziś wszystko spotkało.

Tego samego wieczoru miał nasz misjonarz kazanie w pewnym kościele. Dla objaśnienia pewnej nauki opowiedział o dzisiejszem spotkaniu z małą dziewczynką, co niewidomą staruszkę pielęgnowała. Przypadkowo, jak mniemaliśmy, wstąpiły na nabożeństwo dwie poważne panie w takim ubraniu, jakie kobiety „kwakrów” zwykły nosić. Przechodząc mimo kościoła usłyszały śpiew i weszły. W rzeczywistości Bóg je tam wprowadził. Opowiadanie misjonarza mocno je zajęło, przeto następnego dnia przybyły do jego mieszkania, by się szczegółów o losach Jadwigi bliżej dowiedzieć. Skończyło się na tem, że ją w pewnym zakładzie umieścili i aż do jej śmierci za jej utrzymanie płacili.

O Annie i jej matce też nie zapomniali, ale im dużo dobrego zrobiły, tak że obie miały sprawiedliwy powód dziękować Bogu, który raczył sprawić, że się z uprzejmym misjonarzem zaznajomiły.

A. F. B.

„To jest wielkie światło.“

»Czy wasi bogowie was kochają?« zapytał misjonarz pewnego Indyanina. »Bogowie nigdy o kochaniu nie myślą,« brzmiała jego ponura odpowiedź. W tem misjonarz wydobywszy z kieszeni Nowy Testament, przeczytał mu 16. wiersz 3. rozdziału Ewangelji św. Jana: »Tak

Bóg umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny.« — Biedny poganin słuchał w zachwyceniu. »Proszę to jeszcze raz przeczytać,« błagał pokornie; misjonarz uczynił zadosyć, czytając: »Nas Bóg tak umiłował świat, że Syna i t. d.« — »To jest wielkie światło!« zawołał Indyanin; proszę jeszcze raz przeczytać. Po trzeci raz czytał misjonarz: »Mój Bóg — twój Bóg — tak umiłował świat, że Syna swego jednorodzonego dał, aby każdy, kto weń wierzy, nie zginął, ale miał żywot wieczny.«

Z naciskiem rzekł na to poganin mówiąc: »To jest prawda! Ja to w sercu czuję!«

»To jest prawda! To jest wielkie światło!«

Czy my też możemy tak z serca powtórzyć, czytając o »Synu Bożym, który mię umiłował i wydał samego siebie za mię?« Gal. 2, 20. »Bóg umiłował świat,« to nie mało znaczy; ale więcej jeszcze nas ta rzecz poruszy, gdy się wprost do nas samych odnosi: »Bóg mię umiłował.« Obyśmy w pokorze tak ją pojmowali.

Wielkiem, zaprawdę, będzie nam światłem, oświecającem ścieżkę żywota, a jasność jego z każdym dniem wzrośnie. Czy pomyśleć na to, nie zechcemy Panu w pokorze dziękować?

L. C.

Oto, Baranek Boży, który gładzi grzechy świata. Jan. 1, 29.

Jarzmo moje wdzięczne jest, a brzemię moje lekkie jest. Mat. 11, 30.

Wszystkie opowiadania „Wesołego poselstwa“ są prawdziwe.